

NAJNOWSZY BESTSELLER

JOHN
GRISHAM

KRÓL AFER



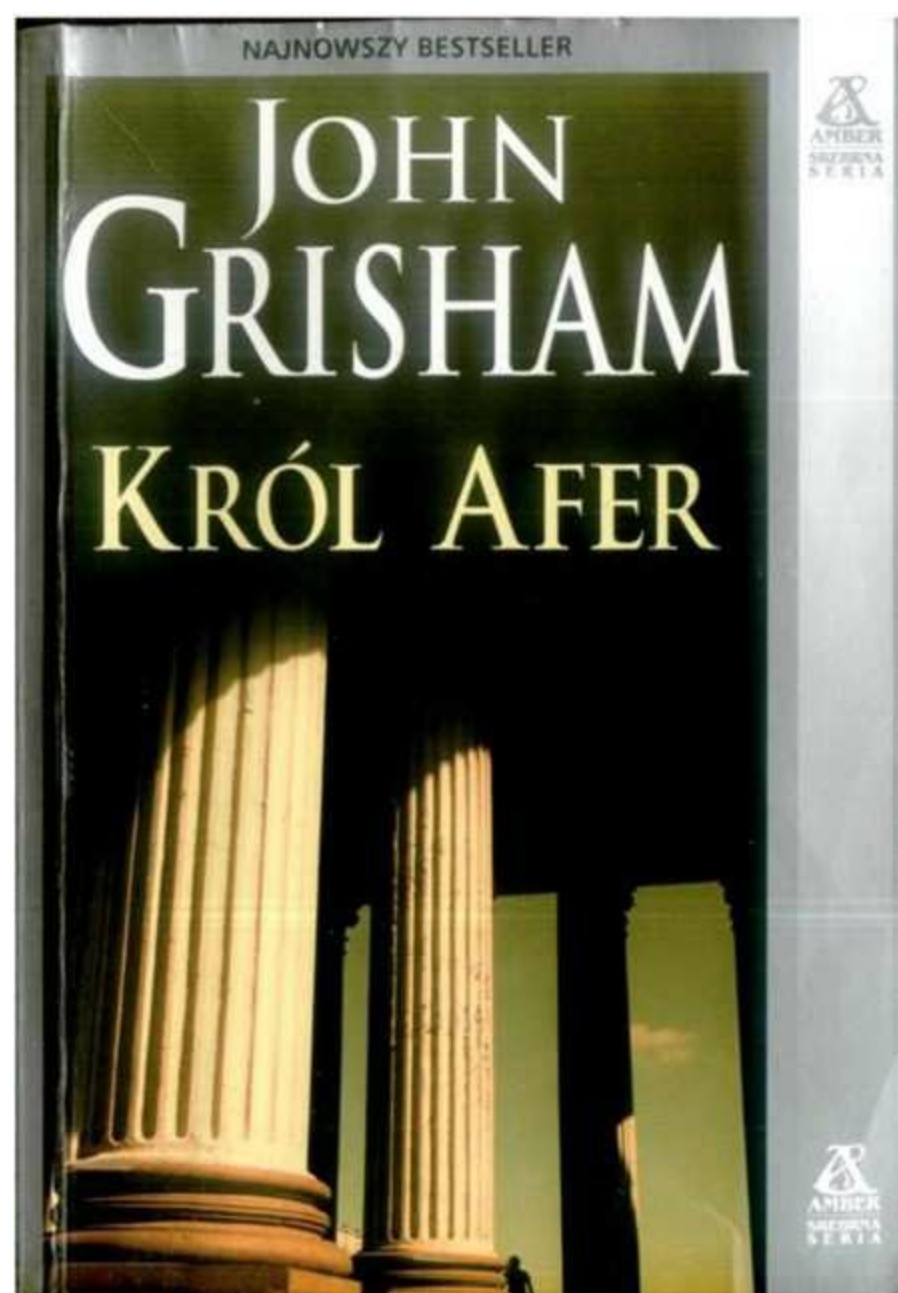
NAJNOWSZY BESTSELLER

JOHN GRISHAM

KRÓL AFER


AMBER
SERIES


AMBER
SERIES





JOHN GRISHAM

Najpopularniejszy pisarz świata

Grisham jest najlepiej sprzedającym się na świecie autorem powieści dla dorosłych. „The New York Times”

Grishama znają i czytają wszyscy: miłośnicy literatury popularnej i wytrawni znawcy literatury. Ulubiony pisarz świata, mistrz thrillerów prawniczych (z których większość została zekranizowana) w ciągu 14 lat wydał 15 największych corocznych bestsellerów: *Czas zabijania*, *Firma*, *Rainmaker*, *Raport pelikana*, *Klient*, *Komora*, *Ława przysięgłych* (najnowszy film w październiku 2003 na ekranach światowych kin), *Wspólnik*, *Obróńca ulicy*, *Testament*, *Bractwo*, *Malowany dom*, *Ominąć święta* zostały sprzedane w ponad 130 milionach egzemplarzy. *Malowany dom*, wielka powieść w tradycji Faulknerowskiej, i *Ominąć święta*, ciepła, bardzo śmieszna i bardzo smutna komedia obyczajowa, dowiodły, że to pisarz wybitny o zaskakująco szerokich możliwościach literackich. W thrillerze prawniczym *Wezwanie* Grisham powrócił „na swój własny teren”.

Najnowszy superbestseller *Król afer* to najbardziej nietypowy i zaskakujący psychologiczny thriller prawniczy, w którym pisarz ujawnia gigantyczne afery, łącząc napięcie dramatu sądowego z moralną refleksją i mocnym oskarżeniem przedstawicieli swojego zawodu.

KRÓL AFER

15 milionów dolarów! Nawet najbardziej wzięty adwokat nie oparłby się takiemu honorarium. Ale wybór nieoczekiwanie pada na uczciwego nieudacznika, który od lat tkwi w Urzędzie Obróńcy Publicznego i tylko marzy o lepszym życiu i karierze. I oto Clay Carter dostaje sprawę za 15 milionów dolarów. I propozycję: załatwić i wyciszyć wielką aferę, w której stawką są nie tylko gigantyczne pieniądze, ale życie i śmierć wielu ludzi. Z obrońcy najbiedniejszych ma się zamienić w obrońcę najpotężniejszych... Dlaczego właśnie on?

Rozpoczyna się dramatyczna walka, której sceną będą nie sale sądowe, ale zaciszne gabinety i pierwsze strony gazet. I przede wszystkim sumienie, uczucia i ambicje Cartera. Walka, z której – nawet zwyciężając – nigdy nie można wyjść zwycięsko.

ISBN 83-241-1138-7



Cena det. zł 29,80



JOHN

GRISHAM

KRÓL AFER

Przekład

Jan Kraśko

Tym! oryginału THE

KING OF TORTS

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

ZBIGNIEW FONIOK

Konsultacja prawnicza

mec. PIOTR BODYCH

Redakcja

techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

MARIA RAWSKA

MAGDALENA KWIATKOWSKA

ELŚBIETA STEGLIŃSKA

Ilustracja na okładce

GETTY IMAGES/FLASH PRESS MEDIA

Opracowanie graficzne okładki STUDIO

GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO

AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 2003 by Belfry Holdings, Inc.

Ali Rights Reserved.

For the Polish edition Copyright ©

2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1138-7

ROZDZIAŁ 1

Wystrzały z pistoletu, z którego oberwał w głowę Dynia, słyszało ni mniej, ni więcej jak osiem osób. Trzy odruchowo zamknęły okna, sprawdziły zamki u drzwi i wycofały się do swych małych bezpiecznych, a przynajmniej ustronnych mieszkań. Dwie inne, doświadczone w tego rodzaju sprawach, uciekły z miejsca zdarzenia równie szybko, jeśli nie szybciej, jak sam przestępca. Kolejna, miejscowy fanatyk recyklingu, grzebał właśnie w śmieciach w poszukiwaniu aluminiowych puszek, gdy usłyszał w pobliżu odgłosy ostrej ulicznej potyczki. Zanurkował za stos kartonowych pudeł, siedział tam, dopóki strzelanina nie ucichła, po czym wychynął z ukrycia, żeby zobaczyć to, co zostało z Dyni.

Dwóch ludzi widziało niemal wszystko. Siedzieli na plastikowych skrzynkach na mleko, na rogu Georgii i Lamont, przed sklepem monopolowym, częściowo ukryci za parkującym samochodem, więc sprawca, który rozejrzał się szybko, idąc za Dynią, ich nie zauważył. Obaj mieli powiedzieć policji, że widzieli, jak chłopak sięga do kieszeni po broń i jak ją wyciąga; na pewno widzieli pistolet, taki mały czarny. Sekundę później usłyszeli kilka wystrzałów, chociaż nie widzieli, jak Dynia obrywa w głowę. Dwie sekundy później sprawca wybiegł z zaułka z pistoletem w rękę i z jakichś powodów popędził prosto w ich stronę. Biegł zgięty wpół, jak wystraszony pies, winny jak jasna cholera. Był w szło-czerwonych butach do koszykówki, które wydawały się o pięć numerów za duże i plaskały o chodnik.

Przebiegając obok, wciąż ścisnął w rękę spluwę, prawdopodobnie trzydziestkęósemkę, i aż drgnął, gdy zauważył ich i zdał sobie sprawę, że za 5

dużo widzieli. Przez jedną przerażającą sekundę wyglądało na to, że zaraz tę spluwę podniesie, żeby skasować świadków, którzy zdołali tymczasem wywinąć kozła, spaść na plecy ze skrzynek i uciec, dziko wymachując rę-

kami i nogami. Potem chłopak przepadł.

Jeden z uciekinierów otworzył drzwi sklepu monopolowego i wrzasnął, żeby ktoś wezwał gliniarzy, bo była strzelanina.

Pół godziny później policja otrzymała telefon, że młodego chłopaka, pasującego z opisu do tego, który wykończył Dynię, widziano dwa razy na Dziewiątej: pistolet niósł wciąż na widoku i zachowywał się dziwniej niż

większość ludzi bywających w tamtym rejonie miasta. Co najmniej jedną osobę próbował zwabić na opustoszały parking, ale niedoszła ofiara uciekła i zameldowała o incydencie policji.

Sprawcę zatrzymano godzinę później. Nazywał się Tequila Watson. Był

Murzynem, miał dwadzieścia lat i figurował w policyjnych kartotekach jako podejrzany o handel narkotykami. Nie miał ani rodziny, ani stałego zameldowania. Ostatnio sypiał w ośrodku odwykowym przy ulicy W. Zdołał pozbyć się gdzieś pistoletu, a jeśli obrabował Dynię, pozbył się również pieniędzy czy narkotyków, w każdym razie łupu. Kieszenie miał tak czyste, jak czyste miał

oczy. Policjanci dawali głowę, że w chwili aresztowania nie był pod wpływem śladowych środków odurzających. Na ulicy przeprowadzono szybkie, ostre przesłuchanie, po czym zakuto go w kajdanki i wepchnięto na tylne siedzenie radiowozu.

Zawieźli go na Lamont, gdzie zaaranżowano spotkanie z dwoma świadkami. Zaciągnęli do zaułka, w którym zabił Dynię, i spytali:

- Byłeś tu kiedyś?

Tequila nie odpowiedział, gapił się tylko na kałużę świeżej krwi na brudnym betonie. Do zaułka weszli świadkowie, których doprowadzono spokojnie do miejsca, gdzie stał.

- To on - stwierdzili chórem.

- Ma na sobie to samo ubranie i te same buty. Ma wszystko oprócz pistoletu.

- Tak, to on.

- Na sto procent.

Tequilę ponownie wepchnięto do radiowozu i zawieziono do aresztu.

Oskarżono go o morderstwo i zamknięto bez możliwości wyjścia za kaucją. Czy to z doświadczenia, czy ze strachu, chłopak nie powiedział ani słowa, gdy śledczy wypytywali go, przymilali się do niego, a nawet grozili.

Nie zdobyli niczego obciążającego i niczego, co mogłoby mu pomóc. śladnej wskazówki, dlaczego zamordował Dynię. śladnego wyjaśnienia na temat tego, co ich łączyło, jeśli w ogóle coś ich łączyło. Jeden z doświadczonych

detektywów zrobił w aktach krótką adnotację, że zabójstwo wydaje się trochę zbyt przypadkowe.

Nie trzeba było nigdzie dzwonić. Ani słowem nie wspomniano o adwokacie czy poręczycielu. Tequila zdawał się oszołomiony, ale i zadowolony, że może wreszcie usiąść w zatłoczonej celi i wbić wzrok w podłogę.

O ojcu Dyni nie wiedziano nic, wiedziano jednak, że chłopak ma matkę, która pracuje jako strażniczka w podziemiach wielkiego biurowca przy New York Avenue. Trzy godziny trwało, zanim policja zdołała ustalić jego prawdziwe nazwisko - Ramon Pumphrey - adres i znaleźć sąsiada, który zechciałby im powiedzieć, czy Ramon miał matkę.

Adelfa Pumphrey siedziała przy biurku tuż przy wejściu do podziemi, skąd miała obserwować rząd monitorów. Była dużą, grubą kobietą w obcisłym brązowym mundurze. U pasa miała broń, a na twarzy wyraz kompletnego braku zainteresowania. Policjanci, którzy ją odwiedzili, robili to już dziesiątki razy. Przekazali Adelfie nowinę i poszli szukać jej prze-

loSonego.

W mieście, w którym młodzi ludzie codziennie zabijali się nawzajem, wszyscy mieli twardą skórę i serce, a każda matka знаła wiele innych, któ-

re straciły dziecko. Z każdą stratą śmierć była coraz bliżej i matki wiedzia-

ły, że ten dzień może być dniem ostatnim. Codziennie obserwowały, jak inne przeżywają koszmar.

Adelfa Pumphrey z twarzą ukrytą w dłoniach myślała o swoim synu i jego martwym ciele leżącym gdzieś w mieście i oglądanym przez obcych.

Poprzysięgła sobie zemścić się na człowieku, który go zabił.

Przeklinała ojca, który porzucił swojego syna.

Plakała po swoim dziecku.

I wiedziała, że to przeżyje. że jakoś przeżyje.

Poszła do sądu, bo chciała być na rozprawie wstępnej. Policja jej powiedziała, że będzie tam skurwiel, który zabił jej syna, że takie posiedzenia są krótkie i rutynowe, że facet nie przyzna się do winy i poprosi o adwokata. Tyle. Siedziała w ostatnim rzędzie, między bratem i sąsiadem, lejąc łzy w mokrą chustkę do nosa. Chciała zobaczyć Tequila. Chciała spytać go dlaczego, ale wiedziała, że nie będzie okazji.

Ponieważ oskarżony popełnił wyjątkowo ciężką zbrodnię, poza kajdankami ozdabiały go łańcuchy skuwające ręce z kostkami u nóg. Ale gdy szurając nogami, wraz z kolejną grupą podsądnych wszedł do sali rozpraw, bynajmniej nie wyglądał groźnie. Rozejrzał się szybko, szukając wzrokiem znajomych, sprawdzając, czy może ktoś przyszedł tu specjalnie dla niego.

7

Gdy posadzono go na krześle, jeden z pomocników szeryfa nachylił się nad nim i powiedział:

- Kobieta z tyłu, ta w niebieskiej sukience, to matka chłopaka, którego zabiłeś.

Tequila odwrócił się powoli ze spuszczoną głową i spojrzał prosto w stronę, zapuchnięte oczy Adelfy, choć patrzył tylko przez sekundę. Adelfa spoglądała na chudego chłopaka w przydużym kombinezonie, zastanawiając się, gdzie jest jego matka, jak go wychowała, czy Tequila ma ojca i, co najważniejsze, jakim sposobem i dlaczego ścieśka jego ścicia przecięła się ze ścieśką ścicia jej syna. Byli mniej więcej w tym samym wieku. Policja powiedziała jej, że wygląda na to, przynajmniej w tej fazie śledztwa, że nie chodziło o narkotyki. Ale ona wiedziała swoje. Narkotyki zdominowały każdy aspekt ulicznego ścicia. Tak, Adelfa wiedziała o tym aż za dobrze.

Dynia palił trawkę i crack: owszem, raz aresztowano go za posiadanie, ale nigdy nie zachowywał się agresywnie. Gliniarze mówili, że wygląda to na przypadkowe zabójstwo. Wszystkie uliczne

zabójstwa są przypadkowe, powiedział jej brat, ale wszystkie mają teŝ powód.

Po jednej stronie sali stał stół, przy którym siedzieli ci najwaŝniejsi.

Policjanci szeptali z prokuratorami, prokuratorzy przeglądali akta i meldunki, dzielnie próbując wyprzedzić przestępców w papierkowej robocie. Po drugiej stronie sali stał stół dla obrońców, którzy przychodzili i odchodzili, w miarę jak przesuwali się taŝmociąg z przestępcami. Sędzia jednym tchem recytował zarzuty, narkotyki, napad z bronią w rękę, niewyjaŝniona próba gwałtu, znowu narkotyki, mnóstwo naruszeń warunków zwolnienia za poręczeniem. Wzywanych po nazwisku oskarŝonych prowadzono do stołu sędziowskiego, gdzie stali w milczeniu i czekali. Przerzucano dokumenty i odwoŝono ich z powrotem do aresztu.

- Tequila Watson! - zawołał pomocnik szeryfa.

Inny funkcjonariusz pomógł Tequili wstać. Chłopak wstał i pobrzękując łańcuchami, pokiŝtykał do stołu.

- Panie Watson - oznajmił głoŝno sędzia. - Jest pan oskarŝony o morderstwo. Ile ma pan lat?

- Dwadzieŝcia - odpowiedział Tequila, patrząc w podłogę.

Słowa sędziego zabrzmiały echem w sali i wszyscy na chwilę znieruchomieli. Ubrani w pomarańczowe kombinezony przestępcy patrzyli na Tequilę z podziwem. Prawnicy i policjanci z ciekawoŝcią.

- Czy stać pana na adwokata?

- Nie.

- Tak myślałem - mruknął sędzia i zerknął na stół obrońców. ŝyżne pola waszyngtoŝskiego wydziału kryminalnego Sądu Najwyŝszego, działu 8

przestępstw, były uprawiane przez UOP, Urząd Obrońcy Publicznego, sieć bezpieczeństwa dla wszystkich ubogich kryminalistów. Siedemdziesiąt procent spraw prowadzili wyznaczeni przez sąd adwokaci, dlatego w sali krę-

ciło się codziennie co najmniej pięciu, szeŝciu obrońców w tanich garniturach i sfatygowanych mokasynach, z aktami sterczącymi z teczek. Teraz jednak obecny był tylko jeden, mecenas Clay Carter II, który zajrzał tu w sprawie dwóch innych, o wiele mniej groźnych przestępstw i stwierdziwszy, ŝe jest zupełnie sam, zapragnął nagle czmychnąć z sali. Zerknął w prawo, zerknął w lewo i uŝwiadomił sobie, ŝe Wysoki Sąd patrzy na niego. Gdzie podziali się pozostali obrońcy?

Przed tygodniem mecenas Carter zakończył sprawę o morderstwo, któ-

ra ciągnęła się prawie trzy lata, i którą w końcu zamknięto, wysyłając skazanego do więzienia, skąd juŝ nigdy nie miał wyjść, przynajmniej oficjalnie. Clay był bardzo ŝczęŝliwy, ŝe jego klient siedzi, i z ulgą powitał fakt, ŝe nie ma na biurku kolejnej sprawy o morderstwo.

Ale wszystko wskazywało na to, że sytuacja zaraz ulegnie zmianie.

- Panie mecenasie? - Nie było to polecenie, tylko zaproszenie do wypełnienia obowiązku spoczywającego na każdym obrońcy: do obrony uboższego przestępcy bez względu na rodzaj sprawy. Mecenas Carter nie zamierzał okazywać słabości, a już na pewno nie na oczach policjantów i prokuratorów. Z trudem przełknął ślinę i z kamienną twarzą podszedł do sędziego tak, jakby gotów był natychmiast zasądzić proces z ławą przysię-

łych. Wziął akta, szybko przejrzał ich skąpaną zawartość i nie zwracając uwagi na błagalne spojrzenia Tequili, rzekł:

- Będziemy wnosić o uniewinnienie, Wysoki Sądzie.

- Dziękuję, panie mecenasie. Zostanie pan również adwokatem pozwanego?

- Chwilowo tak. - Mecenas Clay już szukał wymówek, żeby zwalić sprawę na kogoś innego.

- Bardzo dobrze. Dziękuję - powiedział sędzia, sięgając po akta następnej sprawy.

Adwokat i jego klient odbyli krótką naradę wojenną przy stole. Carter wysłuchał wszystkich informacji, które oskarżony zechciał mu przekazać, to znaczy niewiele. Obiecał wpaść do aresztu nazajutrz, na dłuższą rozmowę. Gdy tak do siebie szeptali, wokół stołu zaroiło się nagle od młodych prawników z UOP, kolegów mecenasa, którzy wyrosli tam jak spod ziemi.

Wrobili mnie? - myślał Clay. Znikli, wiedząc, że na wokandzie jest sprawa o morderstwo? W ciągu ostatnich pięciu lat sam robił ten numer wiele razy. Unikanie paskudnych spraw było w urzędzie formą sztuki.

9

Chwycił teczkę i spiesznie odszedł. Środkowym przejściem, mijając po drodze rzędy krzeseł, na których siedzieli zmartwieni krewni, mijając Adelfę Pumphrey i wspierającą ją grupkę, wyszedł na korytarz zatłoczony kolejnymi przestępcami, ich mamusiami, przyjaciółkami i adwokatami. W Urzędzie Obrońcy Publicznego byli tacy, którzy twierdzili, że chaos panujący w sądzie jest ich żywiołem: przedprocesowe i procesowe napięcie, smak ryzyka płynący z faktu, że dzielą to samo pomieszczenie z tyloma groźnymi kryminalistami, bolesny konflikt między ofiarami i ich katami, beznadziejnie przepelniona wokanda, powołanie do obrony biednych i chęć zapewnienia im sprawiedliwego traktowania przez policjantów i przez system.

Jeśli Claya Cartera kusiała kiedyś kariera w Urzędzie Obrońcy Publicznego, dzisiaj nie pamiętał już dlaczego. Za tydzień miała nadejść i minąć piąta rocznica rozpoczęcia pracy, nadejść i minąć bez obchodów i - taką przynajmniej żywił nadzieję - bez wiedzy innych. W wieku trzydziestu jeden lat Clay był wypalony: siedział w gabinecie, który wstydził się pokazać znajomym, szukał wyjścia, nie mając dokąd iść, a teraz wrobiono go w kolejną bezsensowną sprawę o morderstwo, sprawę, która z każdą chwilą coraz bardziej mu ciążyła.

W windzie przeklął siebie za to, że dał się wrobić. Popęłnił błąd jak zwykły śłotdziób; za długo

pracował w UOP, żeby wejść w pułapkę, zwłaszcza na dobrze znanym terenie. Rzucam to, przyrzekał sobie w duchu; od roku przyrzekał tak niemal codziennie.

Windą jechało z nim dwóch innych pasażerów. Jednym była urzędniczka sądowa ze stertą akt na rękach. Drugim czterdziestokilkuletni mężczyzna w czarnych dżinsach, podkoszulku, marynarce i butach z krokodylowej skóry. Trzymał gazetę i wyglądało na to, że czyta ją przez małe okulary na czubku długiego, eleganckiego nosa; tak naprawdę przyglądał się bacznie Clayowi, który nie zdawał sobie z tego sprawy. Po co ktoś miałby zwracać na kogoś uwagę w windzie, zwłaszcza w tym gmachu?

Gdyby Clay był czujniejszy i mniej zamyślony, na pewno stwierdziłby, że mężczyzna jest za dobrze ubrany jak na pozwanego i za sportowo jak na prawnika. Nie miał przy sobie nic oprócz gazety, co było dziwne, ponieważ ten sąd nie słynął jako czytelnia. Nie wyglądał ani na sędziego, ani na urzędnika, ani na ofiarę, ani na podsądnego, ale Clay w ogóle go nie zauważył.

10

ROZDZIAŁ 2

W

Waszyngtonie

mieszkało

siedemdziesiąt

sześć

tysięcy

prawników i wielu z nich pracowało w wielkich firmach o długość karabinowego wystrzału od Kapitolu - firmach bogatych i potężnych, w których najbliżotliwsi współpracownicy otrzymywali nieprzyzwoicie wysokie premie, w których najbardziej tępych kongresmanom

proponowano lukratywne układy. a najbardziej wzięci adwokaci mieli własnych agentów - ale Urząd Obrońcy Publicznego był na szarym końcu trzeciej ligi. Na samym dnie.

Niektórzy prawnicy z UOP wykazywali wielką gorliwość, broniąc biednych i prześladowanych. Praca w urzędzie nie była dla nich jedynie odskocznią do innej kariery. Bez względu na to, jak mało zarabiali i jak skąpym dysponowali budżetem, cieszyli się z niezależności i satysfakcji płynącej z faktu, że bronią najsłabszych.

Inni zaś wmawiali sobie, że praca w UOP jest pracą tymczasową, bez-litosną zaprawą, której potrzebowali, żeby rozpocząć bardziej obiecującą karierę. Naucz się podstaw w jak najcięższych warunkach, ubrudź sobie ręce, zobacz i rób rzeczy, którychśaden z zatrudnionych w wielkich firmach adwokatów nigdy by nie zrobił, a któregoś dnia firma z prawdziwą wizją wynagrodzi ci wszystkie trudy. Nieograniczone doświadczenie procesowe, znajomości wśród sędziów, urzędników sądowych i policjantów, biegłość w zarządzaniu sprawami, umiejętność radzenia sobie z najtrudniejszymi klientami - to jedynie nieliczne walory, jakie obrońcy z UOP

mieli do zaoferowania już po kilku latach pracy.

Urząd zatrudniał osiemdziesięciu prawników. Wszyscy pracowali na dwóch ciasnych i dusznych piętrach gmachu użyteczności publicznej dystryktu Columbia, białawego, kwadratowego, betonowego budyniska przy Mass Avenue niedaleko Thomas Circle, zwanego Pudłem. Urząd zatrudniał również około czterdziestu nisko opłacanych sekretarek i trzydziestu sześciu półlegalnych adwokatów bez licencji, rozrzuconych w labiryncie pakamerowatych pokoiów. Kierowała nimi Glenda, która większość czasu spędzała za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu, bo czuła się tam bezpiecznie.

Rozpoczynając pracę, obrońca publiczny zarabiał trzydzieści sześć tysięcy dolarów rocznie. Podwyżki były minimalne i bardzo rzadkie. Najstarszy prawnik, wykończony nerwowo czterdziestotrzyletni starzec, zarabiał pięćdziesiąt siedem tysięcy i od dziewiętnastu lat groził odejściem.

Nawał pracy był straszliwy, ponieważ miasto przegrywało wojnę z przestępczością. Kolejka ubogich kryminalistów nie miała końca. Sporządzając budżet, rokrocznie od ośmiu lat Glenda domagała się dziesięciu dodatkowych

prawników i dwunastu adwokatów bez licencji. Od czterech lat dostawała mniej pieniędzy niż poprzedniego roku. Dylematem chwili obecnej było to, których adwokatów bez licencji zwolnić, a których obrońców przenieść na pół etatu.

Jak większość swoich kolegów, Clay Carter nie szedł na studia z myślą o poświęceniu się obronie najbiedniejszych przestępców. Gdzie jak gdzie, ale w urzędzie nie zamierzał pracować ani przez jeden dzień. Nie. Gdy studiował w college'u, a potem w szkole prawniczej w Georgetown, jego ojciec miał w Waszyngtonie kancelarię. Clay pracował tam przez wiele lat na część etatu i miał swój gabinet. Marzenia były wtedy bezgraniczne: rodzinna spółka i strumień pieniędzy.

Problem w tym, że gdy Clay kończył ostatni rok studiów, kancelaria splajtowała i ojciec wyjechał z miasta. Ale to zupełnie inna historia. Clay został obrońcą publicznym, ponieważ nie znalazł innej pracy, a pilnie jej potrzebował.

Minęły trzy lata, zanim dzięki uporowi, sprytowi i przebiegłości zdołał

załatwić sobie własny gabinet i uciec z pomieszczenia, które dzielił z innymi obrońcami i półlegalniakami. Wielkości pakamery w skromnym podmiejskim domu, gabinet nie miał okien i stało w nim biurko zajmujące pół

podłogi. Jego gabinet w kancelarii ojca był cztery razy większy i widziało się stamtąd obelisk Waszyngtona; chociaż Clay bardzo chciał o tym widoku zapomnieć, nie potrafił wymazać go z pamięci. Od tamtej pory minęło pięć lat, a on wciąż siedział przy biurku, gapiąc się na ściany, które z ka-

dym miesiącem zdawały się coraz bardziej na niego napierać, i dumał, jak to się stało, że z tamtego gabinetu wykopano go do tego.

Rzucił akta Tequili na czyściutkie, uprzątnięte biurko i zdjął marynarkę. W tak koszmarnych warunkach łatwo by było gabinet zapuścić, pozwolić, żeby wyrosły w nim sterty teczek i papierów, a całą winę za bałagan rzucić na przepracowanie oraz na braki kadrowe. Ale jego ojciec uważał, że uporządkowane biurko jest oznaką uporządkowanego umysłu. Zawsze powtarzał, że jeśli nie można znaleźć czegoś w trzydziści sekund, traci się pieniądze. że jeśli ktoś do Ciebie zadzwonił i Cię nie zastał, trzeba natychmiast oddzwonić - tak brzmiała reguła numer dwa, której Clay nauczył się przestrzegać.

Dlatego ku rozbawieniu zagonionych kolegów zawsze biurko porządkował. Na środku ściany powiesił dyplom ukończenia studiów oprawiony w eleganckie ramki. Przez pierwsze dwa latanie chciał go nikomu pokazywać z obawy, że inni obrońcy zaczną wypytywać, dlaczego absolwent Georgetown pracuje za minimalną pensję. Dla doświadczenia, powtarzał sobie w duchu, jestem tu dla doświadczenia. Dla comiesięcznych procesów, pro-12

cesów twardych, takich z twardymi oskarżycielami i twardymi przysięgłymi. Dla rynsztokowej praktyki, dla walki na gołe pięści, jakiej Sadna duša firma nie jest w stanie mi zapewnić. Pieniądze miały przyjść później, gdy będzie młodym, zaprawionym w boju adwokatem.

Patrzył na akta Watsona i zastanawiał się, jak by tu wcisnąć je komuś innemu. Miał dość trudnych spraw. Miał dość znakomitej praktyki i innych bzdur, z którymi musiał się pogodzić jako nisko opłacany obrońca publiczny.

Na biurku leżało sześć różowych karteczek z numerami telefonu; pięć osób dzwoniło do niego w sprawach słuśbowych, jedna, Rebeka, jego wie-ioletnia przyjaciółka, w sprawie prywatnej. Zaczął od Rebeki.

- Jestem bardzo zajęta - powiedziała, gdy wymienili obowiązkowe uprzejmości.

- To ty do mnie dzwoniłaś - odparł Clay.

- Tak, ale mam tylko chwilkę. - Rebeka była asystentką mało znaczą-

cego kongresmana, przewodniczącego jakiejś bezużytecznej podkomisji.

Ale ponieważ facet był przewodniczącym, miał dodatkowe biuro i musiał

obsadzić je ludźmi takimi jak ona, zagonionymi przez cały dzień gorliwcami, przygotowującymi się do kolejnej rundy przesłuchań, na których nikt się jak zwykle nie zjawi. żeby załatwić córeczce tę pracę, jej ojciec pociągnął za wszystkie sznurki.

- Ja też mam sporo roboty - odrzekł Clay. - Właśnie dostałem kolejną sprawę o morderstwo. - Powiedział to z nutką dumy w głosie, jakby obrona Tequila Watsona była prawdziwym zaszczytem.

W taką grali grę: Kto jest bardziej zajęty? Kto ważniejszy? Kto ciężiej pracuje? Kto przeżywa większy stres?

- Jutro są urodziny mamy - powiedziała i zrobiła krótką pauzę, jakby oczekiwała, że Clay będzie o tym pamiętał. Clay nie pamiętał. I miał to gdzieś. Nie lubił jej matki. - Zaprosili nas na kolację do klubu.

Zły dzień stał się jeszcze gorszy. Mógł tylko odpowiedzieć: „Jasne”, i to szybko.

- Koło siódmej. Marynarka i krawat.

- Oczywiście. - Wolałbym już zjeść kolację z Tequilą Watsonem w areszcie, pomyślał.

- Muszę lecieć - powiedziała. - Do zobaczenia. Kocham cię.

- Ja ciebie.

Była to ich typowa rozmowa, ot, kilka szybkich słów, bo zaraz potem jedno i drugie pędziło, żeby

ratować świat. Spojrzał na jej zdjęcie na biurku. Mieli ze sobą tyle zatargów, że starczyłoby ich na rozbicie dziesięciu małżeństw. Jego ojciec skarżył kiedyś jej ojca, choć nigdy tak do końca nie ustalono, kto wygrał, a kto przegrał. Ona miała ponoć arystokratycznych 13

przodków, on miał przodków wojskowych. Oni byli republikanami, on nie.

Jej ojca zwano Bennettem Buldożerem, bo słynął z bezpardonowego podejścia do rozwoju budownictwa w podmiejskich rejonach Karoliny Pół-

nocnej. Clay był przeciwny bezładnemu rozrastaniu się tamtejszych miast i potajemnie wspierał finansowo dwie grupy obrońców środowiska naturalnego, walczące z budowlańcami. Jej matka była agresywną bojowniczką o coraz wyższą pozycję towarzyską i chciała, żeby jej obie córki wyszły za krezusów. Clay nie widział swojej od jedenastu lat. Poza tym nie miał

śladnych ambicji towarzyskich. Ani pieniędzy.

Od prawie czterech lat co miesiąc się kłócili, głównie przez jej matkę.

Ich romans był tylko dzięki miłości, pośladaniu i zdecydowaniu, że wbrew wszystkiemu wytrwają. Ale Clay czuł, że Rebeka jest już tym zmęczona, że wiek i nieustanna presja rodziców coraz bardziej ją nużą. Miała dwadzie-

ścia osiem lat. Nie chciała robić kariery. Chciała mieć męża, rodzinę, spędzać

długie dni w podmiejskim klubie, rozpuszczając dzieci, grając w tenisa i jadając lunch z matką.

Wystraszony, nagle drgnął, bo jak spod ziemi wyrosła przed nim Paulette Tullos.

- Udupili cię, co? - rzuciła z szyderczym uśmiechem. - Kolejna sprawa o morderstwo.

- Byłaś tam? - spytał Clay.

- Wszystko widziałam. Widziałam, co się święci, widziałam, jak cię usadzili, ale nie mogłam cię uratować.

- Wielkie dzięki. Masz u mnie kielicha.

Zaproponowałby, żeby usiadła, ale w gabinecie stał tylko jeden fotel.

Na krzesła nie było miejsca, poza tym ich nie potrzebował, bo jego wszyscy klienci siedzieli w więzieniu. Zresztą towarzyskie pogawędki nie nale-

żały tu do codziennej rutyny.

- Mam szansę się tego pozbyć? - spytał.

- Minimalną albo Śadną. Komu chciałbyś to wcisnąć?

- Myślałem o tobie.

- Przykro mi. Mam juŜ dwa morderstwa. Glenda na to nie pójdzie.

Paulette była jego najbliŜszą przyjaciółką. Jako wytwór jednej z najpodlejszych dzielnic miasta, z trudem przedarła się przez college i wieczorową szkołę prawniczą, i gdy juŜ wyglądało na to, Őe trafi do klasy Őredniej, poznała pewnego starego Greka, który lubił młode Murzynki. Poślubił ją, wygodnie urządził w Waszyngtonie, a potem wrócił do Europy, bo tak wolał. Paulette podejrzewała, Őe ma tam dwie Őony, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Miała pieniądze i rzadko kiedy bywała sama. Od dziesięciu lat układ działał bez zarzutu.

14

- Podśluchałam tych z prokuratury - powiedziała. - Kolejne uliczne zabójstwo bez konkretnego motywu.

- Nie pierwsze i nie ostatnie.

- Ale bez motywu.

- Motyw jest zawsze: forsa, prochy, seks, para nowych adidasów.

- Ale podobno ten chłopak był bardzo łagodny, nigdy na nikogo nie napadł.

- Pierwsze wraŜenia są zwykle fałszywe, dobrze o tym wiesz.

- Dwa dni temu Jermaine dostał podobną sprawę. Zabójstwo bez wy-raźnego motywu.

- Nie słyzałem.

- Pogadaj z nim. Jest nowy i ambitny. Kto wie, moŜe mu to wcisniesz.

- Zaraz do niego pójdę.

Jermaine'a nie zastał, ale z jakichś powodów drzwi do gabinetu Glendy były lekko uchylone. Clay najpierw je pchnął, a potem zapukał.

- Masz chwilę? - spytał, wiedząc, Őe Glenda nigdy nie ma czasu, przynajmniej dla podwładnych. Nieźle radziła sobie z prowadzeniem urzędu, zarządzaniem sprawami, z łataniem dziurawego budŜetu, a przede wszystkim z politykowaniem w ratuszu. Ale nie lubiła ludzi. Wolała pracować za zamkniętymi drzwiami.

- Jasne - odparła bez Őadnego przekonania. Było oczywiste, Őe jest niezadowolona, czego Clay się spodziewał.

- Byłem rano w sądzie. Trafiłem tam w złym momencie i przywalili mi kolejne morderstwo, z którego wolałbym zrezygnować. Niedawno skoń-

czyłem sprawę Traxela; jak wiesz, ciągnęła się przez trzy lata. Mam dość morderstw, muszę odpocząć. MoŜe wziąłby to ktoś młodszy?

- Chce się pan wymigać od pracy, mecenasie? - Glenda uniosła brwi.

- Absolutnie. Przydziel mi wszystkie prochy i włamania. Tylko o to proszę.

- A kto twoim zdaniem mógłby wziąć sprawę tego jak mu tam...

- Tequili Watsona.

- Tequili Watsona. Niby komu miałabym ją przydzielić?

- Wszystko jedno. Po prostu chciałbym odpocząć.

Glenda odchyliła się w fotelu jak sędziwa przewodnicząca zarządu i zaczęła Őuć koniec długopisu.

- A my to nie, panie mecenasie? My to nie?

- A więc tak czy nie?

- Mamy tu osiemdziesięciu prawników, z których połowa ma kwalifikacje do tego rodzaju spraw. KaŜdy prowadzi co najmniej dwie. Znajdziesz kogoś, to mu ją daj, ale ja tego nie zrobię.

15

Wychodząc, rzucił:

- Przydałaby mi się podwyŜka. MoŜe o tym pomyślisz?

- W przyszłym roku, panie mecenasie. W przyszłym roku.

- I ktoś do pomocy.

- W przyszłym roku.

Akta sprawy Tequili Watsona pozostały na starannie uporządkowanym biurku mecenasa Claya Cartera II.

ROZDZIAŁ 3

Gmach był ostatecznie tylko więzieniem. chociaŜ zbudowano go niedawno, chociaŜ jego uroczyste otwarcie było powodem dumy dla garstki ojców miasta, był tylko więzieniem. Zaprojektowany przez najlepszych miejskich specjalistów do spraw więziennictwa i naszpikowany najnowocześ-

niejszymi gadsetami technicznymi, był tylko zwykłym więzieniem. Choć zbudowany z myślą o przyszłym stuleciu, był przepelniony już w dniu otwarcia. Z daleka przypominał wielki czerwony pustak bez okien, posępny, pe-

len przestępców i niezliczonych ludzi, którzy ich pilnowali. żeby ktoś poczuł się lepiej, nazwano go Centrum Sprawiedliwości Kryminalnej, co było współczesnym eufemizmem, szeroko stosowanym przez architektów od tego rodzaju budowli. A przecież budowla ta była tylko zwykłym więzieniem.

I terenem działania mecenasa Cartera. Spotykał się tam prawie ze wszystkimi klientami po tym, jak ich aresztowano i zanim wypuszczono ich za kaucję, jeśli mogli sobie na kaucję pozwolić. Wielu nie mogło. Wielu aresztowano za przestępstwa bez użycia siły fizycznej i bez względu na to, czy byli winni, czy nie, trzymano ich pod kluczem do ostatniego dnia procesu.

Tigger Banks spędził w więzieniu niemal osiem miesięcy za włamanie, któ-

rego nie dokonał. Stracił dwie posady na pół etatu. Stracił mieszkanie. Stracił

godność. Jego ostatni telefon do Claya był ściskającym serce błaganiem o pieniądze. Znowu zaczął palić crack, znowu trafił na ulicę i lada chwila mógł wpakować się w kłopoty.

Każdy adwokat w mieście miał do opowiedzenia podobną historię; wszystkie kończyły się źle i nic nie można było na to poradzić. Utrzymanie jednego więźnia kosztowało czterdzieści jeden tysięcy dolarów rocznie.

Dlaczego system tak chętnie wyrzucał pieniądze w błoto?

Clay miał dość tych pytań. Miał dość Tiggerów Banksów, więzienia i ponurych strażników, którzy witali go przy wejściu do podziemi, z którego korzystała większość adwokatów. Miał dość więziennego zapachu, drob-16

nych, idiotycznych procedur wymyślonych przez urzędników, którzy przeczytali kilka książek na temat środków bezpieczeństwa, jakie powinno się tam stosować. Była środa, dziewiąta rano, chociaż każdy dzień był dla niego taki sam. Wszedł do środka rozsuwanymi drzwiami z napisem ADWOKACI i gdy urzędniczka stwierdziła, że odczekał swoje, bez słowa otworzyła okienko. Nie musieli nic mówić, ponieważ łypali na siebie spode łba prawie od pięciu lat. Wpisał się, oddał książkę, a ona zamknęła okienko, bez wątplenia kuloodporne, takie, które ustrzegłoby ją przed rozszalałymi obroń-

cami.

Glenda straciła dwa lata, próbując wprowadzić metodę uprzedzania telefonicznego: obrońca publiczny, i w rzeczy samej każdy zainteresowany, miałby dzwonić godzinę przed przyjazdem, żeby godzinę później jego klient był już w pobliżu rozmównicy. Ot, zwykły, prosty wniosek i jego prostota doprowadziła niewątpliwie do tego, że w biurokratycznym piekle go od-rzucono.

Przy ścianie stał rząd krzeseł, na których adwokaci mieli czekać, podczas gdy ich prośba wędrowała ślimaczym tempem na górę. O dziewiątej rano zawsze siedziało na nich kilku prawników,

przekładając akta, szep-cząc do telefonu komórkowego i wzajemnie się ignorując. Na samym początku kariery Clay przynosił ze sobą grube księgi prawnicze, Őeby je studiować, zakreślać na Őółto najwaŐniejsze fragmenty i zaimponować tamtym swoją pilnością. Teraz wyjął „Posta” i zaczął studiować dział sportowy.

Jak zwykle zerkał przy tym na zegarek, Őeby sprawdzić, ile czasu zmarnu-je, czekając na Tequilę Watsona.

DwadzieŐcia cztery minuty. Nieźle.

StraŐnik zaprowadził go korytarzem do długiego pomieszczenia podzielonego grubymi taflami pleksiglasu. Wskazał mu czwarty boks od końca.

Clay usiadł. Przez pleksiglas widział, Őe połowa boksów jest pusta. I znowu musiał czekać. Wyjął z teczki dokumenty i zaczął rozmyŐlać nad pytaniami do oskarŐonego. Boks po prawej stronie zajmował adwokat pogrąŐo-ny w ostrej, acz wyciszonej polemice z klientem, którego Clay nie widział.

Wrócił straŐnik i jakby tego rodzaju rozmowy były zakazane, przykuc-nął, spojrział na kamerę systemu bezpieczeŐstwa i szepnął:

- PaŐski chłopak miał kiepską noc.

- Dobra - odrzekł Clay.

- O drugiej nad ranem zaatakował aresztanta, zbił go i wywołał niezłą awanturę. Musiało ich rozdzielać szeŐciu naszych. Wygląda nieciekawie.

- Tequila?

- Watson. Tamten wylądował w szpitalu. Będą dodatkowe zarzuty.

- Jest pan tego pewien? - spytał Clay, zerkając przez ramię.

2 - Król afer

17

- Wszystko jest na taŐmie. - Koniec rozmowy.

PodnieŐli wzrok, gdy dwóch straŐników wprowadziło do boksu Tequilę. Był skuty i chociaŐ na czas rozmowy z obroŐcą więźniom zdejmowano kajdanki, jego rozkuwać nie zamierzano. StraŐnicy odeszli, ale niedaleko.

Lewo oko miał zapuchnięte na amen, z zaschniętą krwią w obu kąci-kach. Prawe było otwarte, ale krwistoczerwone. Na Őrodku czoła miał opa-trunek z gazy, na policzku plaster. Wargi i szczęka były obrzęknięte do tego stopnia, Őe Clay miał wątpliwości, czy siedzi przed nim właściwy klient.

Było oczywiste, że ktoś sprzął go na kwaśne jabłko.

Podniósł czarną słuchawkę i dał znak, żeby chłopak zrobił to samo.

Tequila ujął ją niezdarnie obiema rękami.

- Tequila Watson? - spytał Clay, zachowując tyle kontaktu wzrokowego, ile było to możliwe.

Tamten kiwnął głową, bardzo powoli, jakby poluzowały mu się wszystkie kości w czaszce.

- Był pan u lekarza?

Chłopak znowu kiwnął głową. Tak.

- To klawisze tak pana urządzili?

Tequila bez wahania pokręcił głową. Nie.

- Ktoś spod celi?

Kiwnięcie głową. Tak.

- Klawisze mówią, że wszczął pan bójkę, pobił kogoś i wysłał go do szpitala. To prawda?

Znowu kiwnięcie głową. Tak.

Trudno było sobie wyobrazić, żeby ważący siedemdziesiąt kilo chłopak sterroryzował pensjonariuszy zatłoczonej celi waszyngtońskiego aresztu.

- Znał pan tego kogoś?

Tequila pokręcił głową. Nie.

Jak dotąd nie potrzebował słuchawki i Clay zaczynał mieć dosyć języka migowego.

- Dlaczego go pan pobił?

Z wielkim trudem obrzmiące wargi w końcu się rozwarły.

- Nie wiem - stęknął Tequila powoli i boleśnie.

- Świetnie. Znakomity punkt zaczepienia. Może tak w samoobronie?

Prowokował cię? Uderzył?

- Nie.

- Był naćpany albo pijany?

- Nie.

- Gadał bzdury, groził albo coś w tym rodzaju?

- Spał.

18

- Spał?

- Tak.

- Za głośno chrapał? No nie.

Kontakt wzrokowy został przerwany przez obrońcę, który musiał nagle zapisać coś w swoim Sółtym notatniku. Data, godzina, miejsce, nazwisko klienta... i Clay nie miał juŜ co notować. Chował w zanadrzu sto pytań, a po tych stu mógłby mu zadać sto kolejnych. Podczas pierwszych rozmów prawie zawsze były takie same; dotyczyły podstawowych faktów z nędznego Śycia klienta i tego, jak to się stało, Śe się tu spotkali. Prawda była strze-

Śona jak szlachetne kamienie i przekazywana na drugą stronę pleksiglasu tylko wtedy, gdy klient nie czuł się zagrożony. Na pytania o rodzinę, szko-

łę, pracę i przyjaciół zwykle odpowiadali szczerze. Ale uzyskanie odpowiedzi na pytania związane z samym przestępstwem wymagało pewnych wybiegów. KaŜdy obrońca wiedział, Śe w trakcie pierwszych rozmów nie wolno poświęcać na nie zbyt duŜo czasu. Śe trzeba kopać gdzie indziej.

Prowadzić śledztwo bez pomocy oskarŜonego. Śe prawda wypłynie na wierzch później.

Ale wyglądało na to, Śe z Tequilą jest inaczej. Jak dotąd nie bał się prawdy. Clay postanowił zaoszczędzić wiele, bardzo wiele cennego czasu.

Nachylił się i zniŚył głos.

- Podobno zabiłeś tego chłopaka. Strzeliłeś mu pięć razy w głowę.

Opuchnięty podbródek powędrował w dół.

- Niejakiego Ramona Pumphreya alias Dynia. Znałeś go?

Kolejne kiwnięcie głową. Tak.

- I zastrzeliłeś? - Clay zniŚył głos jeszcze bardziej i teraz juŜ prawie szeptał. StraŚnicy spali, ale tego pytania klientowi się nie zadawało, przynajmniej nie w areszcie.

- Tak - odrzekł cicho Tequila.

- I strzeliłeś pięć razy?

- Myślałem, że sześć.

No i po procesie, pomyślał Clay. Zamknę tę sprawę w dwa miesiące.

Zawrzemy układ. Przyznamy się do winy w zamian za dożywanie.

- Poszło wam o prochy?

- Nie.

- Obrabowałeś go?

- Nie.

- Pomóż mi, Tequila. Musiałeś mieć jakiś powód.

- Znałem go.

- I tyle? To ten powód? Najlepsze wytłumaczenie?

Tequila bez słowa skinął głową.

19

- Poszło o dziewczynę, tak? Przyłapałeś go ze swoją dziewczyną?

Chyba masz dziewczynę?

Pokręcił głową. Nie.

- Czy to, że go zastrzeliłeś, miało coś wspólnego z seksem?

- Nie.

- Powiedz coś, mów do mnie, jestem twoim obrońcą. Jediną osobą na tej planecie, która może ci pomóc. Daj mi jakiś punkt zaczepienia.

- Kiedyś kupowałem od niego prochy.

- Od Dyni? Nareszcie coś. Dawno?

- Dwa lata temu.

- Dobra. Wisiał ci pieniądze albo prochy? A może ty mu coś wisiałeś?

- Nie.

Clay wziął głęboki oddech i po raz pierwszy zauważył jego ręce. Dłonie miał pokryte drobnymi skaleczeniami i spuchnięte tak bardzo, że nie widać było kłykci.

- Często się bijesz?

Tequila kiwnął głową, a moŜe nią pokręcił.

- JuŜ nie.

- A kiedyś tak?

- Szczeniackie bójki. Raz biłem się z Dynią.

Nareszcie. Clay odetchnął jeszcze głębiej i podniósł długopis.

- Dzięki. Bardzo dziękuję panu za pomoc, panie Watson. Kiedy się z nim biłeś?

- Dawno temu.

- Ile mieliście lat?

Wzruszenie ramionami w odpowiedzi na głupie pytanie. Clay wiedział

z doświadczenia, że jego klienci nie mają poczucia czasu. Obrabowano ich wczoraj, aresztowano przed miesiącem, ale miesiąc to granica, poza którą wszystko się rozmywało i zamazywało. Źycie na ulicy było walką o przetrwanie do końca dnia, bez czasu na wspomnienia i nostalgię. Przyszłość nie istniała, więc ten punkt odniesienia też był nieznany.

- Byliśmy gówniarzami. - Odpowiadał jednym, dwoma słowami, pewnie z przyzwyczajenia albo dlatego, że miał złamaną szczękę.

- Ile mieliście lat?

- MoŜe ze dwanaście.

- Biliście się w szkole?

- Jak graliśmy w kosza.

- Mocno się pobiliście? Pokaleczyliście się, złamaliście sobie rękę czy nogę?

- Nie. Rozdzielili nas.

20

Clay odłożył słuchawkę i podsumował to, co miał na jego obronę. Panie i panowie przysięgli, mój klient zamordował nieuzbrojonego człowieka, niejakiego Ramona Pumphreya. Ze skradzionego pistoletu strzelił mu pięć albo sześć razy w głowę z bliskiej odległości w brudnym zaułku. Zrobił to z

dwóch powodów. Po pierwsze, znał go, po drugie, osiem lat temu bił się z nim na szkolnym boisku. MoŜe to niewiele, panie i panowie, ale wszyscy znamy to miasto i wiemy, Ŝe te powody sa rownie dobre jak kaŜde inne.

Podniosł słuchawke.

- Czesto widywaeś Dynie?

- Nie.

- Kiedy widziaeś go ostatni raz, nie liczac tego spotkania w zaułku?

Tequila wzruszył ramionami. Znowu miał kłopoty ze sprecyzowaniem czasu.

- Widywaeś go raz na tydzieñ?

- Nie.

- Raz na miesiac?

- Nie.

- Dwa razy do roku?

- No moŜe.

- Kiedy spotkaliecie sie dwa dni temu, pokłocieś sie z nim? PomoŜ

mi, Tequila, potrzebuje jakichs szczegolow.

- Nie, nie pokłociliemy sie.

- Po co tam poszedeś?

Tequila odłoŜył słuchawke i zaczął poruszać głowa, do tyłu i do przodu, bardzo powoli, jakby zeszywnia mu kark. Widac byo, Ŝe go boli. Kajdanki wrzynay mu sie w ciao. Wreszcie podniosł słuchawke i wychrypia:

- Powiem prawde. Miałem pistolet i chciaem kogos zabic. Wszystko jedno kogo. Wyszedem z obozu, woczyem sie po ulicy i szukaem kogos, Ŝeby zabic. Prawie dopadem jednego Koreañca przed sklepem, ale byo za duŜo ludzi. Zobaczyem Dynie. Znaem go. Szliemy razem z minute. Po wiedziaem, Ŝe mam towar, jakby chcia sobie zapalic. Weszliemy do tego zaułka. I wtedy go zastrzeliem. Nie wiem dlaczego. Chciaem kogos zabic, i tyle.

Gdy stao sie jasne, Ŝe skoñczy, Clay zapyta:

- Co to jest oboz?

- Ośrodek odwykowy. Tam mieszkałem.

- Długo?

Znowu te daty. Ale tym razem Tequila go zaskoczył.

- Sto piętnaście dni.

21

- Nie ćpasz od stu piętnastu dni?

- No.

- Byłeś czysty, kiedy go zastrzeliłeś?

- Tak. I dalej jestem, od stu szesnastu dni.

- Zastrzeliłeś kogoś przedtem?

- Nie.

- Skąd wzięłeś pistolet?

- Ukradłem kuzynowi.

- Wypuszczają was z tego obozu?

- Nie.

- Uciekłeś?

- Dali mi dwie godziny. Po stu dniach można wyjść na dwie godziny i wrócić.

- A więc wypuścili cię, pojechałeś do kuzyna, ukradłeś pistolet, wyszedłeś na ulicę, żeby znaleźć kogoś, kogo mógłbyś zabić, i spotkałeś Dy-nię, tak?

Pod koniec pytania Tequila kiwnął głową.

- Tak. Niech pan nie pyta dlaczego. Nie wiem. Po prostu nie wiem.

W jego zaczerwienionych oczach pokazała się chyba odrobina wilgoci -

może miał poczucie winy albo wyrzuty sumienia - ale Clay nie był tego pewien. Wyjął z teczki kilka dokumentów i wsunął je do szpary w pleksiglasie.

- Podpisz tam, gdzie są czerwone ptaszki. Przyjdę za parę dni.

Tequila nie zwrócił na dokumenty najmniejszej uwagi.

- Co ze mną będzie? - spytał.

- Porozmawiamy o tym później.

- Kiedy stąd wyjdę?

- Chyba nieprędko.

ROZDZIAŁ 4

Ludzie, którzy prowadzili Obóz Zbawienia, nie widzieli powodu, żeby ukrywać się przed kłopotami. Nie zrobili nic, żeby uciec ze strefy wojennej, z której pochodziły ich ofiary. Śaden tam spokojny ośrodek na wsi.

Śadna klinika w lepszej dzielnicy miasta. Ich klienci przychodzili prosto z ulicy i na ulicę wracali.

Budynek stał przy ulicy W, w północno-zachodniej części Waszyngtonu, naprzeciwko rzędu bliźniaków z oknami zabitymi dyktą, gdzie czasem spotykali się handlarze prochami. O rzut kamieniem był cieszący się złą 22

sławą pusty parking przed starą stacją benzynową. Tam handlarze umawiali się z hurtownikami i załatwiali swoje interesy, nie zważając na to, kto ich widzi. Według nieoficjalnych policyjnych danych, z parkingu wywieziono więcej naszpikowanych ołowiem zwłok niż z jakiegokolwiek innego miejsca w Waszyngtonie.

Clay jechał powoli ulicą W. Miał zablokowane drzwiczki, ręce kurczowo zaciskał na kierownicy, rozglądał się na wszystkie strony i wytęszał słuch, czekając na huk pierwszych wystrzałów. Biały był w tym getcie kuszącym celem, bez względu na porę dnia.

Obóz Zbawienia mieścił się w stareńkim magazynie, dawno porzuconym przez właścicieli, przeznaczonym do rozbiórki, wreszcie sprzedanym na aukcji za kilka dolarów organizacji, która uznała, że można go jakoś wykorzystać. Był to budynek wielki i zwalisty, z czerwonej cegły pomalowanej na brązowo od chodnika po dach, na wysokość głowy zasprejowany przez miejscowych specjalistów od graffiti. Ciągnął się przez całą ulicę, od przecznicy do przecznicy. Wszystkie drzwi i okna zabetonowano i pomalowano, więc nie trzeba tu było ani ogrodzeń, ani drutów kolczastych. Potencjalny uciekinier musiałby mieć młotek, dłuto i co najmniej dzień niezakłóconej przez nikogo pracy.

Clay zaparkował swoją hondę accord dokładnie naprzeciwko i zastanawiał się przez chwilę, czy uciec stąd, czy wysiąść. Nad grubymi, podwójnymi drzwiami wisiała tabliczka z napisem: OBÓZ ZBAWIENIA, TEREN PRYWATNY. Zakaz wstępu. Jakby ktoś mógłby albo chciał tam wejść. W pobliżu jak zwykle kręciła się zgraja ulicznych typów: kilku młodych osiłków, pewnie z prochami i spluwami na głiniarzy, dwóch chwiejących się na nogach pijaków, kilka osób - pewnie rodzina - które przyszły tu, żeby odwiedzić kogoś w ośrodku. Obowiązki wielokrotnie prowadziły go do

najpaskudniejszych miejsc w mieście, więc doszedł do wprawy w udawaniu, że się nie boi. Jestem adwokatem. Jestem tu w sprawie słuśbowej. Z drogi. Nie odzywajcie się do mnie. Pracował w UOP od prawie pięciu lat, ale jeszcze do niego nie strzelano.

Zamknął samochód i zostawił go przy krawężniku. Idąc, ze smutkiem pomyślał, że niewielu ulicznych bandziorów - niewielu albo Saden - zwróci uwagę na jego małą hondę. Miała dwanaście lat i prawie trzysta dwadzie-

ścia tysięcy kilometrów na liczniku. Weźcie ją sobie, i już.

Wstrzymał oddech, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia członków stojącej na chodniku bandy. W promieniu ponad trzech kilometrów nie ma tu Sadnego innego białego, pomyślał. Wcisnął guzik przy drzwiach i w głośniczku zaskrzeczał czyjś głos:

- Kto tam?

23

- Nazywam się Clay Carter. Jestem adwokatem. O jedenastej mam spotkanie z Talmadge X. - Wymówił to nazwisko bardzo wyraźnie, wciąż

przekonany, że źle usłyszał. Przez telefon prosił sekretarkę, żeby mu je przesylabizowała, na co ta niegrzecznie odparła, że to wcale nie nazwisko.

W takim razie co? Zwykle X. Wierz pan w to albo nie. X to X.

- Chwileczkę - powiedział głos.

Clay czekał. Patrzył na drzwi, rozpaczliwie próbując zignorować tamtych. Nagle wyczuł jakiś ruch po lewej stronie. Blisko, tuż koło niego.

- Hej, stary, jesteś adwokatem? - spytał ktoś piskliwym głosem, tak że wszyscy go usłyszeli.

Clay odwrócił się i spojrzał prosto w ciemne okulary swego przesładowcy.

- Tak - odrzekł najspokojniej, jak tylko umiał.

- Nie jesteś - powiedział tamten. Tuż za nim wyrosła grupka jego koleśków. Wszyscy gapili się na Claya.

- Chyba jednak jestem.

- Nie możesz być adwokatem.

- Absolutnie - rzucił ktoś z grupki.

- Na pewno jesteś adwokatem?

- Tak - odrzekł Clay, dając się w to wciągnąć.

- Jak jesteś adwokatem, to czemu jeździsz taką gównianą bryczką?

Clay nie był pewien, co uraziło go bardziej, śmiech bandziorów czy zawarta w tym stwierdzeniu prawda. I jeszcze bardziej pogorszył sprawę.

- Ale moja Sona jeździ mercem - zaSartował bezsensownie.

- Nie masz Sony. Nie nosisz obrączki.

Co jeszcze zauwaŜyli? - myślał Clay. WciąŜ się śmiali, gdy wtem szczęk-nęła zamek i otworzyły się drzwi. Clay zdołał zachować pozorny spokój i zamiast rozpaczliwie rzucić się przed siebie, obojętnie wszedł do środka.

Recepcja przypominała bunkier: betonowa podłoga, ściany z pustaków, metalowe drzwi, brak okien, niski sufit i kilka lamp - było tam wszystko oprócz worków z piaskiem i broni. Za długim stołem z dwoma telefonami siedziała recepcjonistka.

- Zaraz przyjdzie - powiedziała, nie podnosząc głowy.

Talmadge X był surowym, Sylałym mężczyzną w wieku około pięć-

dziesięciu lat. Nie miał ani grama tłuszczu, ani cienia uśmiechu na starej, zrytej zmarszczkami twarzy. Oczy miał wielkie i smutne, naznaczone dziesiątkami lat spędzonymi na ulicy. Był Murzynem, ale ubranie miał bardzo białe: mocno wykrochmaloną koszulę i ogrodniczki. Czarne wojskowe buty błyszczały jak lustro. Głowa teŜ mu błyszczała, bo nie było na niej ani jednego włoska.

24

Wskazał jedno z krzeseł w swoim prowizorycznym gabinecie i zamknął drzwi.

- Ma pan papiery? - rzucił bez wstępów. Najwyraźniej nie umiał ga-dać o niczym.

Clay podał mu dokumenty, na których widniał nieczytelny podpis sku-tego kajdankami Tequili Watsona. Talmadge X przeczytał kaŜde słowo na kaŜdej stronie. Clay zauwaŜył, Œe facet nie nosi zegarka, Œe w ogóle nie lubi zegarów. W tej instytucji czas płynął za drzwiami.

- Kiedy to podpisał?

- Dzisiaj. Rozmawiałem z nim dwie godziny temu, w areszcie.

- Jest pan jego adwokatem? Oficjalnie?

Wymiar sprawiedliwości w sprawach karnych Talmadge znał na wylot.

- Tak. Wyznaczonym przez sąd i oddelegowanym przez Urząd Obrony Publicznej.

- Glenda jeszcze u was pracuje?

- Tak.

- Znamy się od lat. - Na tym gadka o niczym się skończyła.

- Wiedział pan o tej strzelaninie? - spytał Clay, wyjmując z teczki notes.

- Nie. Dowiedziałem się godzinę temu, od pana. Wiedzieliśmy, że wyszedł we wtorek i nie wrócił. Wiedzieliśmy, że stało się coś złego, bo niczego dobrego tu nie oczekujemy. - Mówił powoli i wyraźnie. Często mrugał, ale cały czas patrzył Clayowi prosto w oczy. - Co on zrobił?

- Ale wszystko, co powiem, pozostanie między nami, tak?

- Jestem jego wychowawcą. I jego pastorem. Pan jest jego adwokatem. Nic nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Zgoda?

- Zgoda.

Clay podał mu szczegóły, które do tej pory zgromadził, łącznie z wersją wydarzeń Tequili. Technicznie i etycznie rzecz biorąc, nie powinien był

ujawniać nikomu zeznań klienta. Ale kto by się tym przejmował? Talmadge X wiedział o Watsonie więcej, niż Clay miał się o nim kiedykolwiek dowiedzieć.

Opowieść płynęła, wydarzenia się rozwijały, wreszcie Talmadge X odwrócił wzrok i zamknął oczy. Podniósł głowę i spojrzał w sufit, jakby chciał

spytać Boga, dlaczego tak się stało. Zasepiony i pogrążony w głębokiej zadumie, odpłynął myślami w dal.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytał, gdy Clay skończył.

- Chciałbym przejrzeć jego akta. Dał mi pełnomocnictwo.

Akta leżały dokładnie pośrodku biurka.

- Później - odparł Talmadge X. - Najpierw porozmawiajmy. Co pan chce wiedzieć?

25

- Zaczniemy od samego Tequili. Skąd pochodzi?

Talmadge znowu patrzył mu prosto w oczy. Chciał pomóc.

- Z ulicy. Z tego samego miejsca, co my wszyscy. Skierowali go tu ci z opieki społecznej, bo był beznadziejnym przypadkiem. Nie miał rodziny.

Nie znał swego ojca. Matka umarła na AIDS, kiedy miał trzy lata. Najpierw wychowywały go ciotki. Potem przechodził z rąk do rąk, z jednej rodziny zastępczej do drugiej, z sądu do sądu, z sierocińca do sierocińca. Wyleciał

ze szkoły. Dla nas to typowy przypadek. Słyszał pan o naszym Obozie Zbawienia?

- Nie.

- Trafiają tu sami najgorsi, nałogowi narkomani. Zamykamy ich na kilka miesięcy, jak na unitarce. Jest nas ośmiu. Ośmiu wychowawców, ośmiu nałogowych narkomanów. Nałogowiec zawsze pozostanie nałogowcem, musi pan o tym wiedzieć. Czterech z nas zostało duchownymi. Odsiedziałem trzynaście lat za prochy i rabunek, a potem odnalazłem Jezusa. Specjalizujemy się w młodych nałogowcach palących crack, takich, którym nikt inny nie może już pomóc.

- Tylko crack?

- Człowieku, crack to jest drag, tani i łatwo dostępny. Zapalisz i na kilka minut zapominasz o Śyciu. Raz zaczniesz i już nie przestaniesz.

- Tequila nie potrafił mi opowiedzieć o swojej przeszłości kryminalnej.

Talmadge X otworzył akta i przerzucił kilka kartek.

- Pewnie dlatego, że niewiele pamięta. Od lat chodzi nawalony. Jest...

Popęłnił kilka drobnych przestępstw jako niepełnoletni. Potem włamanie, kradzież samochodu... Wszyscy to robiliśmy, żeby zdobyć szmal na prochy. Miał osiemnaście lat, kiedy przesiedział cztery miesiące za kradzież

w sklepie. W zeszłym roku przytknęli go za posiadanie; siedział trzy miesiące. Jak na jednego z nas, całkiem nieźle. Nic gwałtownego.

- Ile cięskich przestępstw?

- Tu nie widzę śadnego.

- To powinno trochę pomóc. Nie wiem jak, ale powinno.

- Jemu nic już nie pomoże.

- Podobno było dwóch świadków. Kiepsko.

- Przyznał się gliniarzom?

- Nie. Zamknął się w sobie i nie powiedział ani słowa.

- Rzadkie.

- Fakt.

- Dostanie doŜywocie bez moŜliwości wcześniejszego zwolnienia-orzekł Talmadge głosem doświadczonego wyjadacza.

26

- Chyba tak.

- To dla nas nic nowego, panie mecenasie. Źycie w więzieniu jest pod wieloma względami lepsze niż na ulicy. Znam masę ludzi, którzy wolą siedzieć. Smutne jest to, Ŝe Tequila był jednym z nielicznych, którym mogło się udać.

- Tak? Dlaczego?

- To bystry chłopak. Kiedy przestał brać i wrócił do zdrowia, cieszył

się jak dziecko. Pierwszy raz w swoim dorosłym Źyciu był zupełnie czysty.

Nie umiał czytać, więc go nauczyliśmy. Lubił rysować, więc zachęcaliśmy go do rysowania. Nigdy się tu niczym nie ekscytujemy, ale z niego byliśmy dumni. Z oczywistych powodów zastanawiał się nawet, czy nie zmienić nazwiska.

- Nie ekscytujecie się? Nigdy?

- Tracimy sześćdziesiąt sześć procent wychowanków, panie mecenasie. Dwie trzecie. Przychodzą tu naćpani, rzygając jak koty, schorowani, otumanieni crackiem, niedoŜywieni, nawet zagłodzeni, z wysypką, z wypadającymi włosami, najgorsze ćpuny tego miasta, a my tuczemy ich, wy-syłamy na detoks, organizujemy dla nich dzień jak w wojsku: pobudka o szó-

stej rano, szorowanie podłogi w pokojach, inspekcja, o wpół do siódmej śniadanie, a potem pranie mózgu, rozmowy z wychowawcami, którzy prze-

Ŝywiali kiedyś dokładnie to samo. Przestań pieprzyć, stary - proszę wybaczyć ten język - nawet nie próbuj nas kantować, bo kanciarza nie okantu-jesz. Po miesiącu są czyści i bardzo dumni z siebie. Nie tęsknią za światem zewnętrznym, bo nic dobrego tam na nich nie czeka, ani praca, ani rodzina, ani nikt, kto ich kocha. Łatwo ich urobić, a my jesteśmy nieugięci. ZaleŜnie od pacjenta, po trzech miesiącach pobytu zaczynamy wypuszczać ich do miasta, na godzinę, na dwie dziennie. Dziewięciu na dziesięciu wraca, aby szybciej do swego małego pokoiku. Trzymamy ich tu dokładnie rok. Dwanaście miesięcy, ani dnia dłuŜej. Próbuujemy ich kształcić, organizujemy dla nich kursy obsługi komputera. Robimy co w naszej mocy, Ŝeby znaleźć dla nich pracę. Kończy się rok i wszyscy płaczemy. Odchodzą i rok później dwie trzecie z nich znów ćpa i kończy w rynsztoku.

- Przyjmujecie ich z powrotem?

- Rzadko. Gdyby wiedzieli, że mogą wrócić, nic by z tego nie wyszło.

- Co się dzieje z jedną trzecią pozostałych?

- Właśnie dla nich tu jesteśmy. To dla nich zostałem wychowawcą i terapeutą. Tak samo jak ja, ludzie ci wytrzymują, prześzywają i tylko oni wiedzą, ile to ich kosztuje. Wróciliśmy z piekła, a to koszmarna droga. Wielu z nich pracuje z innymi narkomanami.

- Ilu możecie tu pomieścić?

27

- Mamy osiemdziesiąt łósek, ani jednego wolnego. Moglibyśmy przyjąć dwa razy więcej, ale nie starcza pieniędzy.

- Kto was finansuje?

- Osiemdziesiąt procent funduszków pochodzi z federalnych grantów, ale walczymy o nie co roku bez gwarancji, że je dostaniemy. Dwadzieścia procent to datki wyblagane od prywatnych fundacji. Jesteśmy zbyt zajęci, żeby zebrać dużo pieniędzy.

Clay przewrócił kartkę i coś zanotował.

- A jego rodzina? Nie ma nikogo, z kim mógłbym porozmawiać?

Talmadge X przerzucił kilka dokumentów i pokręcił głową.

- Może ma gdzieś jakąś ciotkę, ale niech pan nie robi sobie nadziei.

Nawet gdyby ją pan znalazł, jak mogłaby panu pomóc?

- Pewnie by nie pomogła, ale dobrze jest pogadać z członkiem rodziny.

Talmadge przerzucał kartki, jakby coś knuł. Clay podejrzewał, że szuka zapisków, które chciałby usunąć przed przekazaniem akt.

- Kiedy będę mógł je dostać? - spytał.

- Może jutro? Chciałbym je najpierw przejrzeć.

Clay wzruszył ramionami. Jutro to jutro.

- Dobrze - mruknął Talmadge. - Nie rozumiem, dlaczego Tequila to zrobił. Proszę mi powiedzieć, co nim kierowało.

- Nie wiem. Myślałem, że pan mi to wytłumaczy. Zna go pan prawie od czterech miesięcy. Chłopak

zawsze unikał przemocy i broni. Nie lubił

się bić. Pewnie był wzorowym pacjentem. Pan się na tym zna. To pan mi powie dlaczego.

- Tak, widziałem wszystko - odrzekł Talmadge z jeszcze smutniejszymi oczami. - Ale tego nie. On bał się przemocy. Nie tolerujemy tu bójek, ale chłopcy to chłopcy, zawsze jeden drugiego trochę postraszy. Tequila należała do tych najsłabszych. Nie wierzę, żeby mógł stąd wyjść, ukraść pistolet, na chybił trafił wybrać ofiarę i strzelić. I nie wierzę, żeby napadł

na tego w areszcie, pobił go i wysłał do szpitala. Po prostu w to nie wierzę.

- Więc co mam powiedzieć przysięgłym?

- Jakim przysięgłym? Dobrze pan wie, że on się przyzna. Już po nim, resztę życia spędzi w pudle. Na pewno ma tam mnóstwo znajomych.

Zapadła cisza, krępująca cisza, którą Talmadge zupełnie się nie przejmował. Zamknął i odsunął akta. Spotkanie dobiegło końca. Clay był tu go-

ściem i musiał wyjść.

- Przyjadę jutro - powiedział. - O której?

- Po dziesiątej. Odprowadzę pana.

- Szkoda fатыgi - odrzekł Clay, ciesząc się, że nie będzie sam.

28

Bandziorów przybyło, czekali, aż adwokat wyjdzie na ulicę. Siedzieli i opierali się o jego samochód, który jednak wciąż tam stał, w dodatku cały, w jednym kawałku. Jakąkolwiek planowali zabawę, na widok Talmadge'a natychmiast o niej zapomnieli. Wystarczył jeden ruch głową i się rozeszli, dzięki czemu, cały i zdrowy, Clay mógł szybko odjechać, wzdrygając się na myśl o powrocie.

Osiem ulic dalej znalazł skrzyżowanie Lamont z Georgią i zaparkował, żeby się trochę rozejrzeć. Nie brakowało tam zaułków, w których można było kogoś zastrzelić, a on nie zamierzał szukać krwi. Okolica robiła wra-

żenie równie paskudnej jak sąsiedztwo Obozu Zbawienia. Postanowił wró-

cić tu później z Rodneyem, czarnoskórym półlegalniakiem, który znał uliczne życie jak mało kto. Wtedy trochę pogrzebie i popyta.

ROZDZIAŁ 5

Klub Potomac w McLean w Wirginii założyła przed stu laty grupa zamieszanych obywateli, których

nie przyjęto do innych podmiejskich klubów.

Bogaci zniosą niemal wszystko, tylko nie to, żeby ktoś ich gdzieś nie chce.

Zrobili zrzutkę, zbudowali najlepszy klub w okolicach Waszyngtonu, ścignęli do siebie paru senatorów z konkurencji, skusili kilka innych osobisto-

ści i wkrótce Potomac zaczął uchodzić za przybytek bardzo szacowny. Gdy miał wystarczająco dużo członków, żeby się samodzielnie utrzymać, rozpoczął obowiązkową praktykę wykluczania innych. Chociaż wciąż uchodził za klub nowy, wyglądał i działał jak wszystkie inne.

Jednakże różnił się od nich pod jednym znaczącym względem. Otóż

nigdy nie zaprzeczał, że jeśli ktoś ma wystarczająco dużo pieniędzy, w ka-

dej chwili może kupić sobie członkostwo. Śadnych tam list oczekujących, Śadnych komisji czy tajnego głosowania członków zarządu. Jeśli byłeś w Waszyngtonie nowy albo jeśli nagle zostałeś bogaczem, status i prestiż

mogłeś kupić sobie z dnia na dzień, jeśli tylko wypisałeś odpowiedni czek.

W rezultacie Potomac miał piękne pole golfowe, kort tenisowy, baseny, przebieralnie, jadalnię, słowem: wszystko, co ambitny klub powinien mieć.

O ile Clay wiedział, Bennett Van Horn też wypisał czek. Bez względu na to, czy wiodło mu się teraz dobrze, czy źle, rodzice Claya nie mieli pieniędzy i na pewno nie przyjęto by ich do Potomacu. Przed osiemnastu laty jego ojciec pozwał Bennetta do sądu, skarżąc go o machlojki w Alexandrii.

W owym czasie Bennett był nadętym, zadufanym w sobie pośrednikiem handlu nieruchomościami z mnóstwem długów i ledwie kilkoma nieobciążonymi 29

aktywami. Nie należał do klubu, ale zachowywał się tak, jakby się tam urodził.

Na prawdziwą Sybę natrafił pod koniec lat osiemdziesiątych, najężdżając faliste wzgórza Wirginii. Pozawierał umowy, znalazł współników. Nie wynalazł dewastatorskiego stylu podmiejskiej rozbudowy, ale zdecydowanie przedkładał go ponad inne. Na dziewiczych wzgórzach zbudował centra handlowe. W pobliżu uświęconego krwią historycznego pola bitwy wznosił osiedle. żeby zrealizować jeden ze swoich projektów, zrównał z ziemią całą wieś - na jej miejscu miały wyrosnąć bloki mieszkalne, małe domy, duże domy, park z płytkim, mulistym stawem i dwoma kortami tenisowymi oraz dziwaczna dzielnica handlowa, która wyglądała ładnie na planach, ale na szczęście nigdy jej nie zbudowano. Chociaż Bennett nie miał poczucia humoru, swoim topornym, taśmowo stawianym osiedlom nadawał nazwy pochodzące od krajobrazu, który perfidnie zniszczył: Falujące Łąki, Szepczące Dęby, Leśne Wzgórza i tak dalej. Dogadał się z innymi artystami od miejskiej rozbudowy i wraz z nimi próbował

wywierać nacisk na stanową legislaturę w Richmond - chciał więcej pieniędzy, aby zbudować więcej dróg i więcej osiedli, żeby w rejonach tych panował większy ruch. Stał się pionkiem w

politycznej grze i pękał z dumy.

Na początku lat dziewięćdziesiątych jego Grupa BVH przeszła etap gwałtownego rozwoju, dzięki czemu dochody wzrastały nieco szybciej niż

wydatki na spłatę zaciągniętych długów. Kupili z Soną dom w prestiżowej dzielnicy McLean. Wstąpili do Potomacu i zapuścili tam korzenie. Ciężko pracowali, żeby stworzyć pozory, że zawsze mają pieniądze.

Według danych z giełdy papierów wartościowych, które Clay uważnie studiował i kopiował, w 1994 Bennett postanowił wejść na giełdę i zebrać dwieście milionów dolarów. Zamierzał spłacić niektóre długi, ale przede wszystkim: „...zainwestować w nieskrępowaną przyszłość północnej Wirginii”. Innymi słowy, w kupno kolejnych buldożerów i w realizację kolejnych niszczycielskich projektów. Myśl, że facet może mieć taką kasę, na pewno podekscytowała miejscowych dealerów firmy Caterpillar. Powinna przerazić miejscowe władze, ale miejscowe władze spały.

Ponieważ głównym inwestorem był jeden z miejscowych bankierów, akcje BVH wystartowały z poziomu dziesięciu dolarów za sztukę, żeby zaraz potem skoczyć do szesnastu i pół; całkiem niezłe, lecz ich wartość była daleko mniejsza od tej, jakiej spodziewał się założyciel i prezes spół-

ki. Tydzień wcześniej przechwalał się w miejscowym brukowcu giełdowym: „Chłopcy z Wall Street są pewni, że wartość akcji skoczy do czterdziestu dolarów”. Tymczasem na rynku wtórnym ich cena spadła na łeb, na szyję do sześciu dolarów za sztukę. Bennett niemądrze odmówił sprzedaży 30 choćby części pakietu, jak na jego miejscu postąpiłaby większość rozsądnych przedsiębiorców. Zatrzymał cały, cztery miliony akcji, i pozostawało mu jedynie patrzeć, jak ich wartość spada z sześćdziesięciu milionów do niemal zera.

Dla czystej przyjemności i zabawy, codziennie rano Clay zaglądał do działu giełdowego gazety i sprawdzał cenę tylko jednej akcji. BVH można było obecnie kupić za osiemdziesiąt siedem centów za sztukę.

Jak tam twoje akcje? - chciał spytać go Clay, ale nigdy nie miał odwagi. Może dzisiaj, pomyślał, wjeżdżając na teren klubu. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że kiedyś poślubi Rebekeę, jego braki były ulubionym tematem rozmów przy kolacyjnym stole. Braki jego, nigdy Van Horna.

- Gratulacje, Bennett! - zawołał, mijając parking. - W ciągu ostatnich dwóch miesięcy twoje akcje skoczyły o dwanaście centów. Dajesz im po palić, że hej! Pora na kolejnego mercedesa? - Boże, ile rzeczy chciałby mu powiedzieć.

żeby nie dawać napiwku parkingowemu, ukrył hondę za odległymi kortami tenisowymi. Idąc, wciąż do siebie mamrotał. Nienawidził tego miejsca - nienawidził go ze względu na tych wszystkich dupków, nienawidził

go, bo nie mógł zostać członkiem klubu, bo w klubie tym królowali Van Hornowie, którzy chcieli, żeby czuł się tu jak intruz. Po raz setny tego dnia, jak każdego innego, zadał sobie pytanie, dlaczego

musiał zakochać się w dziewczynie, której rodzice byli po prostu nie do zniesienia. Najchętniej uciekłyby z Rebeką do Nowej Zelandii, jak najdalej od Urzędu Obrońcy Publicznego, jak najdalej od jej rodzinki.

Spojrzenie zimnej jak lód hostessy mówiło wszystko: Wiem, że nie jest pan członkiem klubu, ale cóż, zaprowadzę pana do stolika.

- Proszę za mną- rzuciła, prawie nie udając, że uśmiech, który mu posłała, jest uśmiechem fałszywym.

Clay milczał. Głośno przełknął ślinę, próbując zapomnieć o ściśniętym łożadku. Jak miał spokojnie jeść w takich warunkach? Byli tu z Rebeką dwa razy, raz z Van Hornami, raz bez nich. śarcie było drogie i całkiem dobre, ale z drugiej strony on jadał tylko kanapki z indykiem i wiedział, że nie ma zbyt wyrafinowanego smaku.

Bennetta jeszcze nie było. Clay ostrożnie objął panią Van Horn - oboje tego nie znosili - i powiedział:

- Wszystkiego najlepszego. - śłośne. Potem poklepał po policzku Rebeke. Stolik mieli dobry, z widokiem na osiemnasty dołek pola golfowe go, bardzo prestiżowe miejsce, bo widać było stamtąd, jak nieudolni starcy walczą z tkwiącymi w piachu piłeczkami i jak pułują, nie mogąc trafić do odległej o pół metra dziury.

31

- Gdzie pan Van Horn? - spytał z nadzieją, że Bennetta zatrzymano w mieście albo - co byłoby znacznie lepsze - że wyładował w szpitalu z jakąś poważną chorobą.

- Już jedzie - odrzekła Rebeka.

- Cały dzień spędził w Richmond na spotkaniu z gubernatorem - do-dała natychmiast jej matka.

Byli niesamowici. Clay miał ochotę powiedzieć: „Dobra, wygraliście!

Jesteście ważniejsi ode mnie!”

- Nad czym teraz pracuje? - spytał grzecznie i po raz kolejny zdumiało go, że potrafi tak świetnie udawać. Dobrze wiedział, po co Buldożer pojechał do Richmond. Władze stanowe nie miały forsy na budowę nowych dróg w północnej Wirginii, gdzie chciał budować je on i jemu podobni. W północnej Wirginii można było zdobyć głosy. Władze chciały przeprowadzić referendum na temat podatku od sprzedaży, żeby miasta i hrabstwa wokół Waszyngtonu mogły zbudować własne autostrady. Więcej dróg, więcej osiedli, więcej centrów handlowych, większy ruch, więcej pieniędzy dla podupadającej BVH.

- Nad jakimiś problemami politycznymi - odparła Barb, czyli pani Van Horn. Prawdopodobnie nie miała zielonego pojęcia, o czym jej mąż rozmawiał z gubernatorem. Clay wątpił też, czy znała aktualną cenę akcji BVH.

Wiedziała, kiedy spotykają się członkowie jej klubu brydżowego, i że Clay nie ma pieniędzy, ale całą resztą zajmował się Bennett.

- Jak minął dzień? - spytała Rebeka, taktownie, acz szybko zmieniając temat. Podczas rozmowy z jej rodzicami Clay usłyszał kiedyś określenia:

„beładna rozbudowa miejska”, w dodatku dwa albo nawet trzy razy, i atmosfera natychmiast stała się napięta.

- Jak zwykle - odrzekł. - A tobie?

- Jutro mamy przesłuchanie, było piekło.

- Rebeka mówi, że dostałeś kolejną sprawę o morderstwo - powiedziała Barb.

- Tak, to prawda - odparł Clay, zastanawiając się, o jakich jeszcze aspektach jego pracy rozmawiały. Stały przed nimi kieliszki z białym winem. Oba były na wpół puste. Nie ulegało wątpliwości, że przerwał im jakąś dyskusję, najprawdopodobniej o nim. A może był przewrażliwiony? Może.

- Kto jest twoim klientem? - spytała Barb.

- Taki jeden ulicznik.

- Kogo zabił?

- Innego ulicznika.

Trochę jej uścisnęło. Czarni mordowali czarnych. A niech się pozabijają.

Kogo to obchodzi?

32

- I co? Zrobił to?

- Na razie zakładamy, że jest niewinny. Tak to działa.

- Krótko mówiąc, zabił go, i już.

- Na to wygląda.

- Jak można takich bronić? Skoro wiesz, że jest winny, jak możesz tak ciężko pracować, żeby go z tego wyciągnąć?

Rebeka wypila długi łyk wina i postanowiła to przeczekać. Ostatnimi czasy coraz rzadziej spieszyła mu na ratunek, a jego coraz częściej dręczyła myśl, że chociażby się z nią byłoby cudownie, byłoby

równieŝ koszmarne z nimi. Jak dotąd koszmar zdecydowanie wygrywał.

- Konstytucja gwarantuje kaŝdemu prawo do obrony i sprawiedliwe go procesu - odparł protekcjonalnie, jakby powinien o tym wiedziec kaŝdy głupiec. - Po prostu robie swoje.

Barb przewróciła oczami i spojrzęła na osiemnasty dołek. Wiele klubowiczek korzystało z usług chirurga plastycznego, który specjalizował

się najwyraźniej w nadawaniu twarzy azjatyckiego wyglądu. Juŝ po drugiej operacji oczy robiły się skoŝne i chociaŝ pozbawione zmarszczek, wyglądały bardzo sztucznie. Panię Van Horn szczypano, krajano i szpikowano zastrzykami bez ŝadnego dalekosięŝnego planu i transformacja była po prostu nieudana.

Rebeka wypięła kolejny łyk wina. Gdy pierwszy raz jedli tu z jej rodzicami, zdjęła pod stołem pantofelek i muskała mu palcami łydkę, jakby chciała powiedziec: „Spadajmy stąd i chodźmy do łóŝka”. Wtedy, ale nie teraz.

Teraz była lodowata i zajęta własnymi myślami. Clay wiedział, ŝe ma gdzieŝ jutrzejsze przesłuchania. Myślała o czymŝ innym, o tkwiących tuŝ pod powierzchnię problemach i zastanawiał się, czy kolacja ta nie jest przypadkiem ostateczną rozgrywką, naradą wojenną na temat ich przyszłości.

Do jadalni wpadł Bennett pełen fałszywych przeprosin za spóźnienie.

Klepnął Claya w plecy, jakby byli starymi kumplami z uniwersytetu, i ucałował panie w policzek.

- Co slychać u gubernatora? - spytała Barb na tyle głośno, ŝe uslyszeli ją siedzący na drugim końcu sali.

- Ŝwietnie. Przysyla pozdrowienia. W przyszłym tygodniu przyjeŝdŝa prezydent Korei. Gubernator zaprasza nas na uroczystą galę. - To teŝ zostało wypowiedziane pełnym głosem.

- Naprawdę? - tchnęła Barb i jej sztuczną twarz wykrzywił wyraz największej rozkoszy.

Wśród Koreańczyków na pewno poczuje się jak wśród swoich, pomyślał Clay.

- Powinna być niezła zabawa - rzucił Bennett, wyjmując z kieszeni kolekcję telefonów komórkowych i układając je równo na stole. Kilka 33

sekund po nim nadszedł kelner z podwójnym chivaseem, jak zwykle z małą ilością lodu.

Clay zamówił herbatę, teŝ z lodem.

- Co słyhać u mojego kongresmana? - ryknął Bennett do Rebeki i szybko zerknął w prawo, żeby sprawdzić, czy usłyszeli to goście przy są-

siednim stoliku. Mam swego własnego kongresmana!

- Wszystko dobrze, tatusiu. Przesyła pozdrowienia. Jest bardzo zajęty.

- Wyglądasz na zmęczoną, kochanie. Miałaś ciężki dzień?

- Taki sobie.

Van Hornowie sięgnęli po kieliszki. Rodzice Rebeki uwielbiali rozmawiać o jej zmęczeniu. Uważali, że za dużo pracuje. że w ogóle nie powinna pracować. Dobijała trzydziestki i nadeszła pora, żeby wyszła za młodego, miłego demokrację z dobrą posadą i świetlaną przyszłością, żeby mogła wychowywać ich wnuki i spędzić resztę życia w klubie.

Clay miałby gdzieś ich marzenia, sęk w tym, że Rebeka marzyła o tym samym. Kiedyś myślała o karierze w służbie publicznej, ale po czterech latach na Kapitolu miała dość biurokracji. Chciała mieć męża, dzieci i wielki dom na przedmieściach.

Podano menu. Do Bennetta ktoś zadzwonił i wielki prezes przeprowadził z nim ostrą rozmowę. Klient nie wywiązywał się z umowy. Przyszłość amerykańskiej wolności finansowej wisiała na włosku.

- Co ja na sobie włożę? - spytała Barb.

Clay ukrył twarz za kartą dań.

- Coś nowego - odrzekła Rebeka.

- Masz rację - zgodziła się z nią natychmiast pani Van Horn. - Pojedźmy w sobotę na zakupy.

- Dobry pomysł.

Bennett uratował kontrakt i zamówili. Potem uraczył ich szczegółami rozmowy: ci z banku pracowali za wolno, musiał ich pogonić, blablabla, blablabla. Gadał tak, aż podano sałatki.

- W Richmond - powiedział jak zwykle z pełnymi ustami - jadłem lunch z moim bliskim przyjacielem, Ianem Ludkinem, przewodniczącym Izby Reprezentantów. - Spojrzał na Claya. - Spodobałby ci się. To prawdziwy książę, wirgiński demokrację.

Jedząc, Clay kiwnął głową, jakby nie mógł doczekać się spotkania z jego wszystkimi bliskimi przyjaciółmi.

- Ian jest mi winien kilka przysług, więc o coś go zapytałem.

Clay zdał sobie sprawę, że Barb i Rebeka przestały jeść. Widelce znieruchomiały, a one podniosły

- Tak? O co? - rzucił, bo zdawało się, ŝe tego oczekują.

- Cóż, opowiedziałem mu o tobie. Młody, bystry prawnik, przebojowy, pracowity, absolwent szkoły prawniczej w Georgetown, przystojny, z charakterem, Ian powiedział, ŝe nie ma to jak młody talent. ŝe bardzo trudno takich znaleźć i ŝe akurat ma pracę dla prawnika. Ja na to, ŝe nie wiem, czy będziesz reflektował, ale ŝe chętnie ci to w jego imieniu zaproponuję. Co o tym myślisz?

Myślę, ŝe zastawiliście na mnie pułapkę, chciał wypalić Clay. Rebeka obserwowała go uważnie, czekając na pierwszą reakcję.

- To cudownie - powiedziała Barb zgodnie ze scenariuszem.

Bystry, utalentowany, pracowity, wykształcony, a nawet przystojny. Clay był zdumiony, ŝe jego akcje tak szybko wzrosły.

- Interesujące - odrzekł zgodnie z prawdą. Każdy aspekt tej kwestii był interesujący.

Bennett ruszył do ataku. Oczywiście miał przewagę zaskoczenia.

- To wspaniała propozycja. Fascynująca praca. Poznasz prawdziwych ludzi czynu. Nigdy nie będziesz się nudził. Musiałbyś cięśko harować, zwłaszcza podczas obrad, ale powiedziałem Ianowi, ŝe masz szerokie bary i nie boisz się odpowiedzialności.

- Dokładnie co miałbym robić? - wykrztusił Clay.

- Nie wiem, nie znam się na tym, ale jeśli jesteś zainteresowany, Ian chętnie się z tobą zobaczy. Rzec w tym, ŝe sprawa jest pilna. Ma mnóstwo kandydatów. Musisz działać szybko.

- Do Richmond jest niedaleko - zauważyła Barb.

O wiele bliŝej niŝ do Nowej Zelandii, pomyślał Clay. Barb juŝ planowała ich ślub. Ale nie mógł rozgryźć Rebeki. Czasami wyraźnie się przy nich dusiła, ale rzadko kiedy wykazywała chęć ucieczki. Bennett wykorzystywał swoje pieniądze - jeśli w ogóle jakieś mu jeszcze zostały - jako przynętę, ŝeby skusić córki i zatrzymać je blisko domu.

- Cóż, dziękuję za propozycję - powiedział, uginając się pod nowym brzemieniem, które spoczęło na jego szerokich barach.

- Na początek dostałbyś dziewięćdziesiąt cztery tysiące rocznie - do-dał Bennett, zniŝając głos, ŝeby nie usłyszano go przy sąsiednich stołach.

Dziewięćdziesiąt cztery tysiące dolarów to ponad dwa razy więcej, niŝ

Clay obecnie zarabiał, o czym Van Hornowie doskonale wiedzieli. Cztili mamonę i mieli obsesję na punkcie pensji i dochodów netto.

- Cudownie! - wykrzyknęła jak na zawołanie Barb.

- Sporo - przyznał Clay.

- Całkiem nieźle, co? - rzucił Bennett. - Jan mówi, że poznałby cię z najbardziej wpływowymi prawnikami w mieście. Dobre kontakty to tutaj

wszystko. Przepracujesz kilka lat, wyrobisz sobie przepustkę i zajmiesz się prawem korporacyjnym. Tam są dopiero pieniądze.

To, że Van Horn zainteresował się nagle jego przyszłą karierą, bynajmniej nie podniosło Claya na duchu. Rzecz jasna, planowanie nie miało nic wspólnego z nim, tylko z nią, jego córką.

- Jak można coś takiego odrzucić? - napierała bezczelnie Barb.

- Przestań, mamo - wtrąciła Rebeka.

- Ale to cudowna okazja- dodała Barb, jakby Clay nie potrafił dostrzec oczywistego.

- Przemysł to sobie, prześpij się z tym - rzekł Bennett. Dar został zło-

żony. Zobaczmy, czy chłopak jest na tyle bystry, żeby go przyjąć.

Clay rzucił się na sałatkę. Kiwnął głową, jakby nie mógł mówić. Podano drugą szkołkę i zmienili temat. Bennett podzielił się z nimi najnowszymi plotkami z Richmond na temat budowy nowego stadionu baseballowego pod Waszyngtonem. Uwielbiał o tym mówić. BVH, wraz z dwiema innymi konkurencyjnymi grupami inwestycyjnymi, starała się o prawo do franczyzy, dlatego - pod warunkiem że kiedykolwiek, jeśli w ogóle, franczyza ta zostałaby zatwierdzona - pilnie śledził rozgrywającą się batalię.

Według ostatniego artykułu, który zamieścił „Post”, jego spółka była na trzecim miejscu i z miesiąca na miesiąc traciła szanse. Anonimowe źródła twierdziły, że ich finanse są bardzo niejasne i niepewne, a w artykule ani razu nie wymieniono jego nazwiska. Clay wiedział, że Bennett ma gigantyczne długi. Kilka projektów zablokowali mu bojownicy o czystość środowiska naturalnego, którzy próbowali ocalić resztkę nietkniętej przez cywilizację ziemi. Ciągłe pozywał do sądu byłych wspólników. Jego akcje były niemal zupełnie bezwartościowe. Mimo to siedział tu i słopiąc whisky, gadał o nowym stadionie za czterysta milionów, o franczyzie za dwie-

ście i o liście płac za co najmniej sto milionów dolarów.

Steki podano zaraz po tym, gdy skończyli jeść sałatkę, więc Clay mógł

natychmiast zapchać sobie usta i unikać męczarni związanych z rozmową. Rebeka nie zwracała na niego uwagi, on nie zwracał uwagi na nią. W

powietrzu wisiła kolejna sprzeczka.

Musieli wysłuchać opowieści o gubernatorze, o bliskim przyjacielu, który szykował się do walki o fotel senatora i oczywiście chciał mieć przy sobie Bennetta. Poznali szczegóły kilku najbardziej obiecujących kontraktów. Jak zwykle mówiono równieŜ o kupnie samolotu, ale Bennett gadał

o tym od jakiegoś czasu i ciągle nie mógł znaleźć takiego, który by mu odpowiadał. Zdawało się, Ŝe kolacja trwa juŜ dwie godziny, lecz minęło jedynie dziewięćdziesiąt minut, gdy zrezygnowawszy z deseru, Van Hornowie postanowili wrócić do domu.

36

Clay podziękował Bennettowi i Barb i obiecał, Ŝe szybko przemyśli sprawę pracy w Richmond.

- To Ŝyciowa szansa - rzekł z powaŜną miną Bennett. - Nie zaprzepaść jej.

Upewniwszy się, Ŝe na dobre wyszli, Clay zaprosił Rebekę do baru.

Bez słowa czekali na drinki. Ilekroć atmosfera była napięta, Ŝadne z nich nie chciało zabrać głosu pierwsze.

- Nic nie wiedziałam o Richmond - zaczęła Rebeka.

- Trudno w to uwierzyć. Moim zdaniem wiedziała o tym cała rodzina.

A juŜ na pewno matka.

- Ojciec się o ciebie troszczy, to wszystko.

Twój ojciec jest idiotą- chciał to powiedzieć, ale nie powiedział.

- Nie, on troszczy się o ciebie. Nie moŜe pozwolić, Ŝebyś wyszła za faceta bez przyszłości, i próbuje tę przyszłość za mnie zaplanować. Nie podoba mu się moja praca i chce mi wcisnąć inną. Nie sądzisz, Ŝe to bez-czelne?

- MoŜe chce ci tylko pomóc. Przysługa za przysługę. On uwielbia tę grę.

- Ale dlaczego zakłada, Ŝe potrzebuję pomocy?

- Bo moŜe potrzebujesz.

- Rozumiem. Nareszcie mówisz szczerze.

- Clay, nie moŜesz pracować tam do końca Ŝycia. Jesteś dobrym prawnikiem i dbasz o swoich klientów, ale moŜe nadeszła pora, Ŝeby coś zmienić. Pięć lat to duŜo. Sam tak mówiłeś.

- A moŜe nie chcę mieszkać w Richmond. MoŜe nigdy nie myślałem o wyjeździe z Waszyngtonu. A

jeśli nie chcę pracować dla kumpli twego tatusia, jeśli perspektywa pracy z bandą miejscowych polityków mi nie odpowiada, to co? Jestem prawnikiem, Rebeko, nie urzędasem.

- Dobrze. Jak chcesz.

- Czy ta propozycja to jakieś ultimatum?

- Ultimatum? Pod jakim względem?

- Pod każdym. Co będzie, jeśli powiem „nie”?

- Chyba już powiedziałeś, to dla ciebie typowe. Szybko podejmujesz decyzje.

- Szybkie decyzje są łatwe, kiedy wybór jest oczywisty. Sam znajdę sobie pracę, a już na pewno nie chcę, żeby twój ojciec robił mi przysługę.

Co będzie, jeśli powiem „nie”?

- Nic. Jestem pewna, że słońce nie przestanie wschodzić.

- A twoi rodzice?

- Będą rozczarowani.

- A ty?

37

Rebeka wzruszyła ramionami i sięgnęła po kieliszek. O małżeństwie rozmawiali kilka razy, ale jak dotąd nie doszli do porozumienia. Nie było zaręczyn, a już na pewno nie było konkretnych dat. Gdyby któreś z nich chciało zerwać, zawsze znalazłby się ku temu jakiś pretekst, chociaż każdy byłby dość dęty. Po czterech latach: (jeden) nieumawiania się z nikim innym, (dwa) nieustannych zapewnień o miłości, (trzy) sypiania ze sobą co najmniej pięć razy tygodniowo ich związek zmierzał ku trwałemu statusowi.

Jednakże Rebeka za nic nie chciała przyznać, że pragnęłaby zawiesić karierę na kołku, wyjść za mąż i założyć rodzinę, że najchętniej nie pracowałaby już wcale. Wciąż ze sobą rywalizował i, wciąż grali w grę, kto jest ważniejszy. Nie potrafiła przyznać, że chciałyby mieć męża, który by ją utrzymywał.

- Wszystko mi jedno - odparła. - To tylko praca, a nie ministerialna posada. Jak nie chcesz, to jej nie bierz.

- Dziękuję. - Clay poczuł się jak ostatni palant. A jeśli Bennett naprawdę próbował mu pomóc? Nie znosił jej rodziców tak bardzo, że irytowało go wszystko, co robili. Ale cóż, to jego problem, prawda? Mieli prawo martwić się o karierę przyszłego zięcia, ojca ich wnuków.

Niechętnie przyznał, że o zięcia takiego jak on martwiłby się kaśdy.

- Chciałabym już wyjść - powiedziała Rebeka.

- Oczywiście.

Szedł i obserwując ją od tyłu, chciał zasugerować, że ma czas na krótkie barabara. Ale nie, Rebeka nie miała nastroju i zważywszy, w jakiej atmosferze jedli kolację, na pewno z mety by odmówiła. Poczł się jak głupiec, który nie potrafi nad sobą zapanować, i chyba takim głupcem ostatnio był. Dlatego okopał się, zacisnął zęby i czekał, aż mu przejdzie.

Gdy pomagał jej wsiąść do bmw, szepnęła:

- Może wpadniesz do mnie na chwilę?

Popędził do samochodu.

ROZDZIAŁ 6

Z Rodneyem czuł się trochę bezpieczniej, poza tym dla podejrzanych typów okupujących ulicę Lamont było duŝo za wcześnie. O dziewiętej rano wciąż spali, trawiając wszelkiego rodzaju trucizny, które skonsumowali poprzedniego dnia. Powoli budzili się za to sklepikarze. Clay zaparkował w pobliŝu zaułka.

38

Rodney był adwokatem bez licencji i pracował w UOP. Od dziesięciu lat studiował z przerwami w wieczorowej szkole prawniczej i wciąż powtarzał, że pewnego dnia zrobi dyplom. Ale miał na utrzymaniu czterech nastoletnich synów, dlatego rzadko kiedy dysponował czasem i pieniędzmi. Ponieważ wychowywał się na waszyngtońskich ulicach, dobrze znał.

Niemal codziennie któryś z kolegów - zwykle biały, strachliwy i niedoświadczony - prosił go o pomoc, o eskortę do stref wojennych miasta, gdzie miał

przeprowadzić śledztwo w związku z jakąś odraŝającą zbrodnią. Ponieważ

Rodney był półlegalniakiem, a nie pełnoprawnym adwokatem z licencją, odmawiał równie często, jak mówił „tak”.

Ale nigdy nie odmówił Clayowi. Pracowali razem przy wielu sprawach.

Znaleźli miejsce, gdzie zastrzelono Ramona, i dokładnie obejrzelili teren, dobrze wiedząc, że policja kilka razy go przeczesała. Wypstrykali rolkę filmu i poszli poszukać świadków.

Nie znaleźli ani jednego, co wcale ich nie zaskoczyło. Spędzili tam ledwie kwadrans, ale wieść o ich przyjeździe zdążyła się już roznieść. Przyszli obcy. Obcy rozpytują o zabójstwo: drzwi na klucz i nic nie mówicie. Ci ze skrzynek na mleko, pijacy, którzy codziennie spędzali w tym miejscu wiele

godzin, Słopiąc tanie wińsko i wszystko widząc, już dawno gdzieś przepadli i nikt o nich nie słyszał. Sklepikarze byli zdziwieni, że w ogóle doszło tu do jakiejś strzelaniny.

- Na tej ulicy? - pytali, jakby zbrodnia jeszcze tu nie dotarła.

Godzinę później pojechali do Obozu Zbawienia. Clay prowadził, a Rodney pił zimną kawę z papierowego kubka. Sądząc po jego minie, kawa była podła.

- Kilka dni temu Jermaine dostał podobną sprawę - powiedział. -

Chłopak z ośrodka, po kilkumiesięcznej kuracji. Wyszedł - nie wiem, czy uciekł, czy go zwolniono - i dwadzieścia cztery godziny później miał już

spluwę, z której postrzelił dwoje ludzi. Jedna osoba zmarła.

- Wybrał ich przypadkowo, na chybił trafił?

- A co to niby znaczy? W tym mieście? Dwaj faceci bez ubezpieczenia mają stłuczkę i zaczynają do siebie strzelać. To przypadek czy coś ich usprawiedliwia?

- Narkotyki, rabunek, samoobrona?

- Nie, chyba jednak przypadek.

- W którym ośrodku mieszkał?

- Nie w tym. Chyba gdzieś w Howard. Nie widziałem akt. Wiesz, jaki Jermaine jest powolny.

- Nie pracujesz z nim?

- Nie, ale słyszałem plotki.

39

Rodney słyszał wszystkie plotki i pogłoski. O prawnikach z Urzędu obrońcy Publicznego i ich sprawach wiedział więcej niż Glenda.

- Byłeś tu kiedyś? - spytał Clay, skręcając w ulicę W.

- W tym ośrodku? Parę razy. Mają tam same najgorsze przypadki, to ostatni przystanek przed cmentarzem. Ciężkie warunki, twardzi wychowawcy.

- Znasz dementelna nazwiskiem Talmadge X?

- Nie.

Tym razem na chodniku nikt nie urządzał śladnego cyrku. Clay zaparkował przed budynkiem i szybko weszli do środka. Talmadge'a nie było, bo pilnie wezwano go do szpitala. Był za to jego kolega,

niejaki Noland, który przedstawił się grzecznie jako szef terapeutów i wychowawców. Zaprowadził ich do swego gabinetu i gdy usiedli przy stoliku, dał im akta do przejrzenia. Clay podziękował, stuprocentowo pewny, że dokładnie je ocen-zurowano.

- Nasze przepisy nie pozwalają wynosić ich na zewnątrz - wyjaśnił

Noland. - Jeśli chcecie panowie zrobić odbitki, strona kosztuje dwadzieścia pięć centów.

- Oczywiście - odrzekł Clay. Nie zamierzał podwaŜać przepisów. Gdyby chciał mieć kompletne akta, zawsze mógł je zdobyć dzięki nakazowi.

Noland usiadł przy biurku, gdzie piętrzyła się imponująca sarta dokumentów. Clay zaczął przeglądać akta. Rodney robił notatki.

Historia Tequila była smutna i łatwa do przewidzenia. Przyjęto go w styczniu, zaraz po tym, gdy ci z opieki społecznej odratowali go po przedawkowaniu. WaŜył niecałe pięćdziesiąt pięć kilo, a miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. W ośrodku zbadał go lekarz, który stwierdził, że Tequila ma lekką gorączkę, dreszcze i że doskwierają mu bóle głó-wy, co w przypadku narkomana nie jest niczym niezwykłym. Nie licząc tego, że był niedoŜywiony, przeziębiony i wycieńczony narkotykami, lekarz nie dopatrzył się niczego godnego uwagi. Jak wszystkich pacjentów, chłopaka zamknięto na trzydzieści dni i regularnie go karmiono.

Według notatek Talmadge'a, Tequila zaczął staczać się już w wieku ośmiu lat, kiedy to wraz z bratem ukradł skrzynkę piwa z cięŜarówki do-stawczej. Połowę wypili, połowę sprzedali, żeby kupić cztery i pół litra taniego wińska. Regularnie wyrzucano go ze wszystkich szkół i w wieku dwunastu lat odkrył crack, żeby pograŜać się ostatecznie. ŝył z kradzieŜy.

Pamięć sprzyjała mu do chwili, gdy zaczął ćpać, dlatego wydarzenia z kilku ostatnich lat pamiętał jak przez mgłę. Talmadge X przeszedł szczegóły i zachował listy oraz e-maile będące świadectwem oficjalnych przy-stanków na jego ponurej drodze. Mając czternaście lat, spędził miesiąc na oddziale dla narkomanów i alkoholików waszyngtońskiej izby zatrzymań 40

dla nieletnich. Gdy tylko go zwolniono, poszedł prosto do handlarza i kupił

crack. Dwumiesięczny pobyt w Orchard House, słynnej zamkniętej placów-ce dla nieletnich nałogowców, teŜ niewiele pomógł. Tequila wyznał Talmadge'owi, że ćpał tam równie często jak na wolności. Gdy skończył szesnaście lat, trafił do Clean Streets, Czystych Ulic, rygorystycznego ośrodka podobnego do Obozu Zbawienia. Przez pięćdziesiąt pięć dni zachowywał

się wzorowo, a potem bez słowa odszedł. Talmadge X zanotował: „Palił

crack już dwie godziny po wyjściu". Rok później sąd dla nieletnich wysłał

go na letni obóz dla trudnej młodzieŜy, ale ponieważŜ prawie nie dbano tam o bezpieczeństwo, Tequila zarabiał, sprzedając kumplom prochy.

Przedostatnią próbą wyjścia z nałogu było uczestnictwo w programie Grayson Church, kierowanym przez znanego terapeutę, wielebnego Jolleya. Wielebny wysłał do Talmadge'a list, w którym wyraził opinię, że Tequila należy do tragicznych przypadków, które są „prawdopodobnie beznadziejne”.

Chociaż jego historia była bardzo przygnębiająca, zdumiewał fakt, że nie ma w niej gwałtu i przemocy. Pięć razy aresztowano go za włamanie, raz za kradzież w sklepie i dwa razy za nielegalne posiadanie narkotyków.

Dokonując przestępstw i wykroczeń, ani razu nie użył broni, a przynajmniej nie znaleziono jej w chwili zatrzymania. Zauważył to Talmadge X, który w trzydziestym dziewiątym dniu pobytu Tequili w ośrodku napisał:

„...ma tendencję do unikania najmniejszej groźby konfliktu fizycznego.

Boi się większych i silniejszych, jak również mniejszych i słabszych od siebie”.

Czterdziestego piątego dnia Tequilę zbadał lekarz. Pacjent był zdrowy i ważył sześćdziesiąt trzy kilo. Skórę miał czystą, „bez otarć i zmian”. W aktach były także notatki na temat jego postępów w nauce czytania i zainteresowania sztuką. W miarę upływu czasu stawały się coraz krótsze. Życie w Obozie Zbawienia było proste i monotonne. Niektóre dni miały bezładnej adnotacji.

Ale wpis w dniu osiemdziesiątym był inny: „Zdał sobie sprawę, że potrzebuje duchowego wsparcia z góry, że inaczej znowu zacznie ćpać. że sam nie da sobie rady. Mówi, że chciałby mieszkać tu do końca życia”.

Dzień setny: „Uczciliśmy ten dzień ciastkami i lodami. Tequila wygłosił

krótkie przemówienie. Płakał. Nagrodzono go dwugodzinną przepustką”.

Dzień sto czwarty: „Dwugodzinna przepustka. Wyszedł i dwadzieścia minut później wrócił z lodami na patyku”.

Dzień sto siódmy: „Wysłałem go na pocztę. Nie było go prawie godzinę, ale wrócił”.

Dzień sto dziesiąty: „Dwugodzinna przepustka. Wrócił, bez żadnych problemów”.

41

Ostatni wpis, dzień sto piętnasty: „Dwugodzinna przepustka. Nie wrócił”.

- Bardzo smutne - powiedział Clay i z westchnieniem zamknął akta.

Miał wiele pytań, ale Noland nie mógłby - albo nie chciał - na nie odpowiedzieć.

- Tak, w tym nieszczęsnym świecie to naprawdę smutne. Rzadko kiedy bywam wzruszony do łez, ale

przez niego płakałem. - Noland wstał. -

Chciałby pan coś skopiować? - Spotkanie dobiegło końca.

- MoŜe później - odrzekł Clay.

Podziękowali mu i odprowadził ich do recepcji.

W samochodzie Rodney zapiął pas, rozejrzał się wokoło i spokojnie powiedział:

- Mamy nowego przyjaciela.

Clay patrzył akurat na wskaźnik paliwa; miał nadzieję, Ŝe dojadą do biura.

- Jakiego przyjaciela?

- Widzisz tego bordowego dŝipa? Przed skrzyŝowaniem, po drugiej stronie ulicy.

Clay kiwnął głową.

- No widzę.

- Za kierownicą siedzi Murzyn, wielki, krzepki byk w czapeczce Red-skinów. Obserwuje nas.

Clay wyteŝył wzrok, ale ledwo widział jego sylwetkę, nie wspominając juŜ o kolorze skóry i czapeczce.

- Skąd wiesz?

- Był na Lamont, widziałem go dwa razy. Za kaŝdym razem patrzył na nas, udając, Ŝe nie patrzy. Kiedy przyjechaliśmy tutaj, stanął trzy ulice dalej, a teraz jest tam.

- Skąd wiesz, Ŝe to ten sam wóz?

- Bordowy to rzadko spotykany kolor. Widzisz to wgłębienie na prawym błotniku?

- Nie wiem, moŜe i widzę.

- To ten sam dŝip, bez dwóch zdań. Podjedźmy bliŝej i się przypatrz-my.

Przejechali tuŜ obok dŝipa. Kierowca szybko zasłonił twarz gazetą.

Rodney zapisał numer rejestracyjny.

- Po co miałby nas śledzić? - spytał Clay.

- Prochy. Zawsze chodzi o prochy. MoŜe Tequila handlował. MoŜe ten zabity miał wrednych kumpli. Kto wie?

- Chciałbym się dowiedzieć.

42

- Na razie nie kopmy w tym za głęboko. Ty prowadź, a ja będę ubezpieczał tyły.

Przez pół godziny jechali Puerto Rico Avenue na południe, wreszcie zatrzymali się na stacji benzynowej nad Anacostia River. Clay stał przy pompie, a Rodney obserwował każdy przejeżdżający samochód.

- Nie ma go - oświadczył, gdy ponownie ruszyli. - Wracajmy do biura.

- Dlaczego zrezygnował? - spytał Clay. Kupiłby każde wyjaśnienie.

- Nie wiem - odrzekł Rodney, wciąż zerkając w boczne lusterko. -

Może ciekawiło ich tylko, czy pojedziemy do ośrodka. A może domyślili się, żeśmy ich namierzili. Przez jakiś czas uważaj, kto za tobą jedzie.

- Bomba. Jeszcze nikt mnie nie śledził.

- Lepiej módl się, żeby na śledzeniu poprzestali.

Jermaine Vance dzielił gabinet z innym początkującym prawnikiem, którego akurat nie było, dlatego Clay mógł usiąść na jego krześle. Porównali notatki na temat klientów oskarżonych o morderstwo.

Klientem Jermaine'a był dwudziestoczteroletni recydywista Washad Porter, który w przeciwieństwie do Tequili miał za sobą karierę obfitującą w przypadki gwałtu i przemocy. Jako członek jednego z największych waszyngtońskich gangów, dwa razy ciężko ranny w ulicznej strzelaninie, został skazany za próbę zabójstwa i siedem lat spędził za kratkami. Nie wykazywał prawie żadnego zainteresowania wyjściem z nałogu; jedyną próbę, wyraźnie nieudaną, podjął w więzieniu. Na cztery dni przed zabójstwem Ramona Pumphreya oskarżono go o postrzelenie dwóch osób. Jeden z postrzelonych zginął na miejscu, drugi walczył o życie.

Washad spędził pół roku w zamkniętym ośrodku Clean Streets i zniósł

wszystkie obowiązujące tam rygory. Jermaine odbył z jego opiekunem rozmowę bardzo podobną do tej, jaką Clay przeprowadził z Talmadge'em X.

Washad doszedł do siebie, był zdrowym, wzorowym pacjentem i z każdym dniem nabierał poczucia własnej wartości. Jedynym zgrzytem był epizod z pierwszych dni pobytu, kiedy to uciekł z ośrodka, naćpał się i wrócił, żeby błagać o wybaczenie. Potem przez prawie cztery miesiące nie sprawiał wychowawcom najmniejszego kłopotu.

Wyszedł w kwietniu i już nazajutrz zastrzelił dwóch ludzi ze skradzionego pistoletu. Wszystko wskazywało na to, że ofiary wybrał na chybił

trafił. Pierwszą był dostawca, którego dopadł w pobliżu szpitala. Padły ostre słowa, doszło do przepychania, a potem Washad strzelił do niego cztery razy i uciekł. Dostawca wciąż był w śpiączce. Godzinę później i sześć ulic dalej Washad wykorzystał dwie ostatnie kule, żeby zabić drobnego dealera, 43

z którym miał jakiś zatarg. Zatrzymali go kumple zamordowanego i zamiast go zlinczować, oddali w ręce policji.

Jermaine rozmawiał z nim tylko raz, bardzo krótko, w sali sądowej, podczas pierwszego przesłuchania.

- Wszystkiemu zaprzeczał. Był skonsternowany i w kółko powtarzał, że nie może uwierzyć, że kogoś zastrzelił, że zrobił to dawny Washad, a nie ten nowy.

ROZDZIAŁ 7

Clay nie pamiętał, żeby w ciągu ostatnich czterech lat dzwonił lub próbował dodzwonić się do Buldośera więcej niż raz. Próba skończyła się kompletnym fiaskiem, ponieważ nie zdołał przebić się przez biurokratyczny pancierz chroniący tego wielkiego, ważnego człowieka. Van Horn chciał stworzyć wrażenie, że większość czasu spędza „na budowie”, wśród buldo-

śerów i spychaczy, gdzie może na bieżąco kierować pracą i myśleć o niezmiernym potencjale budowlanym północnej Wirginii. W jego domu wisiały wielkie zdjęcia przedstawiające go „na budowie”: był na nich w zrobotyzowanym na miarę kasku z monogramem, wskazywał ręką to tu, to tam, podczas gdy maszyny równały ziemię pod budowę kolejnych pasaży i centrów handlowych. Mówił, że nie ma czasu na cieżką gadaninę, i podobno nie znosił telefonów, chociaż zawsze miał kilka przy sobie.

Tymczasem tak naprawdę najwięcej czasu spędzał na grze w golfa, choć według ojca jednego z uniwersyteckich kolegów Claya grał bardzo kiepsko.

Rebecce wysnęło się parę razy, że ojciec grywa w klubie co najmniej cztery razy tygodniowo i potajemnie marzy o zdobyciu mistrzostwa Potomacu.

Pan Van Horn był człowiekiem czynu i nie miał cierpliwości siedzieć za biurkiem. Twierdził, że w firmie bywa bardzo rzadko. Buldog, który odebrał telefon, niechętnie zgodził się połączyć go z kolejną sekretarką, pewnie ważniejszą i siedzącą bliżej szefa.

- Dział rozwoju - rzuciła arogancko, jakby firma miała niezliczone działy.

Clay wisiał na telefonie co najmniej pięć minut, zanim połączono go z osobistą sekretarką Bennetta.

- Nie ma go - oznajmiła.

- Jak można się z nim skontaktować?

- Jest na budowie.

- Tak myślałem. Można się tam dodzwonić?

44

- Proszę zostawić swój numer. Przekażę go prezesowi wraz z innymi wiadomościami.

- Och, dziękuję - powiedział Clay i podał jej swój służbowy numer.

Pół godziny później Bennett oddzwonił. Sądząc po jego głosie, dzwonił z klubu, z podwójną whisky w rękę i z wielkim cygarem w ustach. Pewnie grał w remika z kolegami.

- Clay! Jak się masz? - spytał, jakby nie widzieli się od pół roku.

- Dziękuję, dobrze, a pan?

- Świetnie. Miło było wczoraj. - W tle nie słychać było ani ryku silników, ani grzmotu wybuchów.

- Tak jak zawsze - zełgał Clay.

- Co mogę dla ciebie zrobić, synu?

- Chciałbym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał. Naprawdę doceniam to, że załatwił mi pan pracę w Richmond. Zupełnie tego nie oczekiwałem; miło z pańskiej strony, że zechciał pan zainterweniować.

- Clay z trudem przełknął ślinę. - Ale szczerze mówiąc, w najbliższej przyszłości nie zamierzam przeprowadzać się do Richmond. Zawsze mieszkałem w Waszyngtonie i tu jest mój dom.

Miał wiele powodów, żeby odrzucić tę propozycję. Argument, że zawsze mieszkał w Waszyngtonie, bynajmniej nie należał do najważniejszych.

Najważniejsze było to, że nie chciał, żeby Bennett Van Horn kierował jego życiem, nie chciał mieć u niego długu wdzięczności.

- Chyba śartujesz - odrzekł Buldożer.

- Nie, mówię serio. Dziękuję, ale nie skorzystam. - Clay nie zamierzał

z nim dyskutować. Ten głupi palant nie będzie nim dyrygował. W chwilach takich jak ta kochał telefony. Cudownie wyrównywały szanse.

- Robisz duży błąd, synu. Nie patrzysz na to perspektywicznie, nie widzisz całości obrazu.

- Być może, ale pan chyba też nie.

- Jesteś bardzo dumny, Clay, i bardzo mi się to podoba. Ale masz jeszcze mleko pod wąsem. Musisz się nauczyć, że życie to gra przysług, że jeśli ktoś próbuje ci pomóc, pomoc tę się przyjmuje, a

pewnego dnia ty pomo-

Œesz jemu. Popełniasz błąd, Clay, i boję się, Œe błąd ten będzie miał powaŒ-
ne konsekwencje.

- Tak? Jakie?

- Takie, które mogą wpłynąć na twoją przyszłość.

- To moja przyszłość, nie pańska. To ja wybiorę sobie nową pracę,
& po niej jeszcze inną. Na razie jestem zadowolony z tego, co robię.

- Jesteś zadowolony, Œe przez cały dzień bronisz kryminalistów? Zu-pełnie tego nie rozumiem.

45

JuŒ to przerabiali, i to nieraz, i Clay wiedział, Œe jeśli rozmowa potoczy się tak jak zwykle, sytuacja
szybko się pogorszy.

- JuŒ mnie pan o to pytał. Lepiej do tego nie wracajmy.

- Chodzi o wielki wzrost dochodów, Clay. O większe pieniądze, o ciekawszą pracę. Miałbyś do
czynienia z solidnymi obywatelami, a nie z ulicznikami. Obudź się, chłopcze! – W tle słychać było
czyjeś głosy.

Bennett grał pod publiczke.

„Chłopcze”. Clay zacisnął zęby i puścił to mimo uszu.

- Nie zamierzam z panem dyskutować, panie Van Horn. Zadzwo-

łem, Œeby powiedzieć „nie”.

- Lepiej to sobie przemyśl.

- JuŒ przemyślałem. Dziękuję, ale nie.

- Jesteś fajtłapą, Clay. Zrozumiałem to jakiś czas temu. A twoja od-mowa tylko to potwierdza.
Odrzucasz ciekawą pracę, bo wpadłeś w rutynę i wolisz pracować za marną pensyjke. Nie masz
ambicji, nie masz odwagi, jesteś ślepy.

- Wczoraj byłem pracowity i bystry. Miałem szerokie bary i wielki talent.

- Cofam to. Jesteś nieudacznikiem.

- Byłem teŒ dobrze wykształcony, a nawet przystojny.

- Kłamałem. Jesteś fajtłapą.

Clay odłożył słuchawkę pierwszy. Trzasnął nią z uśmiechem, dumny, że udało mu się zirytować wielkiego Bennetta Van Horna. Wyrwał przy swoim i dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza być niczym po-pychadłem.

Z Rebeką postanowił porozmawiać później, dobrze wiedząc, że nie będzie to rozmowa przyjemna.

Trzecia i ostatnia wizyta w Obozie Zbawienia była bardziej dramatyczna od poprzednich. Z Jermaine'em na przednim siedzeniu i Rodneyem na tylnym, dojechał tam za policyjnym radiowozem i ponownie zaparkował

naprzeciwko budynku. Policjanci, obydwaj młodzi, ciemnoskórzy i znudzeni egzekwowaniem sądowych nakazów, zadzwonili do drzwi i już kilka minut później doszło do pełnej napięcia konfrontacji z Talmadge'em X, Nolandem i krewkim wychowawcą Samuelem.

Częściowo dlatego, że Clay był jedynym białym w tłumie, a głównie dlatego, że to właśnie on wystarał się o nakaz, trzech wychowawców wyładowało swój gniew na nim. Ale miał to gdzieś. Wiedział, że już nigdy w Syciu ich nie zobaczy.

- Przecież widziałeś te akta! - krzyknął Noland.

46

- Widziałem tylko to, co mi daliście - odparował Clay. - Teraz chcę zobaczyć całą resztę.

- O czym ty gadasz? - warknął Talmadge X.

- Chcę mieć wszystkie dokumenty, w których występuje nazwisko Tequili Watsona.

- Nie masz do tego prawa.

Clay spojrzał na policjanta z nakazem.

- Zechce pan to odczytać?

Policjant podniósł dokument, żeby wszyscy go widzieli, i przeczytał:

- „Wszystkie dokumenty dotyczące przyjęcia, badań lekarskich, leczenia, terapii, rehabilitacji i zwolnienia. Nakazem sędziego F. Floyda Sackmana z wydziału kryminalnego waszyngtońskiego Sądu Najwyższego”.

- Kiedy to podpisał? - spytał Samuel.

- Trzy godziny temu.

- Wszystko wam pokazaliśmy - rzucił Noland.

- Wątpię - odparł Clay. - Znam się na tym. Pokazaliście akta wyselekcjonowane.

- Za bardzo się staraliście - dodał układnie Jermaine.

- Nie zamierzamy się z wami bić - rzucił wyższy z policjantów, dając im do zrozumienia, że chętnie by się z nimi pobili. - Od czego zaczynamy?

- Wyniki badań lekarskich są poufne - powiedział Samuel. - To tajemnica lekarska.

Znakomity strzał, ale trochę niecelny.

- Akta lekarskie są poufne - wyjaśnił Clay. - Ale nie akta pacjenta.

Mam tu papier podpisany przez Tequilę Watsona, który upoważnia mnie do odbioru wszystkich dokumentów, łącznie z medycznymi.

Zaczęli od ślepego pokoju z niedopasowanymi do siebie szafkami stojącymi przy ścianach. Po kilku minutach Talmadge X i Samuel znikli, na pięcie trochę opadło. Policjanci przystawili sobie krzesła i usiedli, a recepcjonistka podała im kawę. Dżentelmenom z Urzędu Obrońcy Publicznego poczęstunku nie zaproponowała.

Po godzinie grzebania nie znaleźli niczego ciekawego. Clay i Jermaine wyszli, pozostawiając Rodneya samego. Mieli spotkanie z kolejnymi policjantami.

Nalot na Czyste Ulice wyglądał podobnie. Wmaszerowali do biura pod obstawą dwóch mundurowych. Wyciągnięto dyrektorkę z zebrania. Czytając nakaz, wymamrotała, że zna sędziego Sackmana i że pogada z nim później. Bardzo się zirytowała, ale nakaz mówił sam za siebie. Ten sam język: wszystkie dokumenty dotyczące Washada Portera.

- To nie było konieczne - powiedziała. - Zawsze współpracujemy z adwokatami.

47

- Słyszałem co innego - odparł Jermaine. Fakt. Czyste Ulice słynęły z tego, że odmawiały nawet najbardziej niewinnym prośbom obrońców z UOP.

Gdy skończyła czytać nakaz po raz drugi, jeden z policjantów rzucił:

- Nie zamierzamy tu czekać cały dzień.

Wpuściła ich do dużego gabinetu i sprowadziła sekretarkę, która zaczęła wyciągać akta.

- Kiedy je zwrócicie? - spytała.

- Gdy je przejrzymy - odrzekł Jermaine.

- Gdzie będą?

- W Urzędzie Obrońcy Publicznego, pod kluczem.

Ich romans zaczął się u Abe'a. Rebeka siedziała w boksie z dwiema przyjaciółkami, gdy Clay przeszedł obok w drodze do toalety. Spotkali się wzrokiem i Clay aś przystanął, nie wiedząc, co zrobić. Przyjaciółki wkrótce znikły. Znikli również przyjaciele Claya. Przez dwie godziny siedzieli we dwoje przy barze i bez przerwy gadali. Na pierwszą randkę umówili się już nazajutrz. Do łóśka poszli tydzień później. Przez dwa miesiące trzyma-

ła go z daleka od starych Van Hornów.

Teraz, po czterech latach, wszystko oklapło i była pod nieustanną presją rodziców. Uznał, że powinni zerwać ze sobą u Abe'a, tam gdzie się zaczęło.

Przyszedł jako pierwszy i stanął przy barowej ladzie w tłumie szczurów z Kapitolu, którzy opróśniając szklaneczkę za szklaneczką, głośno, szybko i wszyscy naraz gadali o ważnych sprawach, na których załatwienie poświęcili wiele godzin. Kochał Waszyngton i nienawidził go zarazem.

Kochał jego historię, energię i prestiś. Nie znosił natomiast tych niezliczonych sługusów, którzy ścigali się w szaleńczym wyścigu o palmę pierwszeństwa dla najważniejszego z najważniejszych. Ci stojący tuś obok to-czyli pasjonujący spór o nowe prawo ściekowe na Nizinach Środkowych.

Knajpa u Abe'a była zwyczajną knajpą, tyle że strategicznie usytuowaną u stóp Kapitolu, żeby napoić spragniony tłum wracający do domów na przedmieściach. Piękne kobiety. Dobrze ubrane. Wiele z nich przychodziło tu na polowanie. Clay pochwycił kilka spojrzeń.

Rebeka była przygaszona, zdeterminowana i zimna. Usiedli w boksie i zamówili coś mocniejszego, bo czekała ich niezła jazda. Zadał jej kilka bezsensownych pytań na temat przesłuchania podkomisji, które rozpoczęło się bez śadnych fanfar, przynajmniej według „Posta”. Podano drinki i ruszyli do boju.

- Rozmawiałam z ojcem - zaczęła.

48

- Ja teś.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że nie weźmiesz tej pracy?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że ojciec pociągnął za sznurki, żeby mi ją załatwić?

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Dałem ci to wyraźnie do zrozumienia.

- Ty nigdy nie wyrażasz się jasno.

Oboje sięgnęli po kieliszki i wypili.

- Twój ojciec nazwał mnie nieudacznikiem. Czy podobnie uważa reszta twojej rodziny?

- W tej chwili tak.

- Ty też?

- Mam wątpliwości. Któraś z nas musi myśleć realistycznie.

W ich romansie była tylko jedna poważna przerwa, coś w rodzaju za-kończonego kompletną kląpą rozejmu. Mniej więcej przed rokiem postanowili ochłonąć i pozostając bliskimi przyjaciółmi, rozejrzeć się trochę wokoło, zbadać teren, upewnić się, czy nie ma tam nikogo innego. Barb załatwiła tę separację, ponieważ, jak Clay dowiedział się nieco później, jeden z młodych i bardzo bogatych członków klubu Potomac właśnie stracił siostrę, która umarła na raka jajników. Bennett był bliskim przyjacielem jego rodziny i tak dalej, i tak dalej. Zastawili z Barb pułapkę, ale wdowiec wyczuł przynętę. Wystarczył miesiąc z rodziną Van Hornów i kupił sobie dom w Wyoming.

Ale tym razem groziło im coś o wiele poważniejszego. To było niemal na pewno zerwanie. Clay pociągnął kolejny łyk i przyrzekł sobie, że bez względu na okoliczności, w żadnym wypadku nie powie niczego, co mogłoby ją urazić. Ona mogła mu zadawać ciosy poniżej pasa. On nie będzie.

- Czego byś chciała, Rebeko?

- Nie wiem.

- Owszem, wiesz. Chcesz, żebyśmy się rozstali?

- Chyba tak - odrzekła i momentalnie zwilgotniały jej oczy.

- Masz kogoś innego?

- Nie.

Ale tylko na razie. Daj starym trochę czasu i sama zobaczysz.

- Chodzi o to, że stoisz w miejscu, Clay. Jesteś inteligentny, utalentowany, ale nie masz ambicji.

- Jejku, jak miło to słyszeć. Jeszcze kilka godzin temu byłem fajtłapą.

- To takie śmieszne?

- Czemu nie? Dlaczego nie mielibyśmy się trochę pośmiać? To już koniec, spójrzmy prawdzie w oczy. Kochamy się, ale jestem nieudacznikiem, 49

który stoi w miejscu. Tobie chodzi o to. Mnie o twoich rodziców. Prześują i wyplują każdego biedaka, który się z tobą ośmi.

- Biedaka?

- Jasne. Współczuję facetowi, bo twoi starzy sanie do zniesienia. I dobrze o tym wiesz.

- Biedaka, który się ze mną oŚeni? - Łzy błyskawicznie wyschły.

Groźnie błysnęła oczami.

- Spokojnie, Rebeko.

- Biedaka, za którego wyjdę?

- Posłuchaj, coś ci zaproponuję. Pobierzmy się. Teraz, natychmiast.

Rzućmy pracę, weźmy cichy, szybki ślub, sprzedajmy wszystko, wyjedź-

my ... powiedzmy do Seattle albo do Portland, w kaŚdym razie gdzieś daleko stąd, i przez chwilę Śyjmy miłością.

- Nie chcesz jechać do Richmond, ale pojechałbyś do Seattle?

- Z Richmond mielibyśmy za blisko do twoich rodziców.

- A potem?

- Potem znaleźlibyśmy pracę.

- Jaką? Na zachodzie brakuje prawników?

- O czymś zapominasz. Pamiętaj, Śe jestem inteligentny, utalentowany, dobrze wykształcony, bystry, a nawet przystojny. Wielkie kancelarie by się za mną uganiały. W półtora roku zostałbym wspólnikiem. Będziemy mieli dzieci.

- I wtedy przyjadą moi rodzice.

- Nie, bo nie powiemy im, gdzie jesteśmy. A jeśli nas znajdą, zmieni-my nazwisko i wyjedziemy do Kanady.

Podano nowe drinki i nie tracąc czasu, odsunęli stare na bok.

Wesoła chwila szybko przeminęła. Ale uświadomiła im po raz kolejny, Śe się kochają, Śe bardzo lubią ze sobą przebywać. W ich związku było więcej śmiechu niŚ smutku, ale to juŚ się zmieniało. Coraz rzadziej się śmiali. Coraz częściej dochodziło między nimi do bezsensownych sprze-czek. Rebeka coraz bardziej ulegała wpływom rodziny.

- Nie lubię zachodniego wybrzeŚa - powiedziała.

- To wybierz inne miejsce - odrzekł Clay, kończąc tę zabawę. Miejsce zostało juŚ wybrane i Rebeka nie zamierzała wyjeŚdŚać daleko od mamusi i tatusia.

Musiała kiedyś powiedzieć to, z czym tu przyszła. Pociągnęła długi łyk, nachyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Clay, naprawdę chcę od tego odpocząć.

- Nie przejmuj się. Zrobimy, co zechcesz.

- Dziękuję.

50

- Jak długo chcesz odpoczywać?

- Nie zamierzam z tobą negocjować.

- Miesiąc?

- DłuŜej.

- Nie, na to się nie zgodzę. Nie dzwońmy do siebie przez trzydzieści dni, dobrze? Dzisiaj mamy siódmy maja. Spotkamy się szóstego czerwca, tu, przy tym samym stoliku, i porozmawiamy o ewentualnym przedłuŜeniu separacji.

- Separacji?

- Nazwij to, jak chcesz.

- Dziękuję. Ja nazywam to zerwaniem, Clay. Rozstaniem. Rozłąką. Ty idziesz swoją drogą, ja swoją. Porozmawiamy za miesiąc, ale nie oczekuję zmian. Nie ma ich od roku.

- Gdybym przyjął tę koszmarną pracę w Richmond, teŜ byśmy się rozstali?

- Prawdopodobnie nie.

- Prawdopodobnie?

- Nie.

- A więc to była jedna wielka podpucha, tak? Ta praca to ultimatum.

Pułapka, tak jak myślałem. Przyjmij tę robotę, chłopcze, bo inaczej...

Nie zaprzeczyła.

- Clay, mam dość kłótni, dobrze? Nie dzwoń do mnie przez trzydzieści dni.

Chwyciła torebkę i zerwała się na równe nogi. Wychodząc z boksu, zdołała jakimś cudem cmoknąć go bezsensownie w prawą skroń, ale on nie zareagował. Nawet za nianie popatrzył. Ona nie

spojrzała na niego.

ROZDZIAŁ 8

Clay mieszkał w starzejącym się osiedlu mieszkaniowym w Arlington. Gdy wynajmował mieszkanie przed czterema laty, nie słyszał jeszcze o BVH.

Później dowiedział się, że osiedle powstało na początku lat osiemdziesią-

tych, że było jednym z pierwszych przedsięwzięć Bennetta. Przedsięwzięcie upadło, osiedle kilka razy kupowano i sprzedawano i czynsz Claya ani razu nie trafił do kieszeni pana Van Horna. Zresztą nikt z tej rodziny nie wiedział, że Clay mieszka w czymś, co kiedyś zbudował Bennett. Nawet Rebeka.

Dwupokojowe mieszkanie dzielił z Jonaszem, starym kumplem ze szkoły prawniczej, który czterokrotnie oblał egzamin adwokacki, zanim go wreszcie 51

zdał, i który sprzedawał teraz komputery. Sprzedawał je na pół etatu, mimo to zarabiał więcej od Claya i chociaż fakt ten nigdy nie wypłynął, zawsze tkwił tu pod powierzchnią.

Nazajutrz po rozstaniu z Rebeką Clay wziął sprzed drzwi „Posta” i usiadł

w kuchni z pierwszą filiżanką kawy. Jak zwykle zaczął od działu finansowego, żeby szybko i z radością zerknąć na katastrofalne wyniki BVH. Po-daś była minimalna, a kilku nie mających rozeznania właścicieli oferowało akcje po siedemdziesiąt pięć centów za sztukę.

I kto tu był nieudacznikiem?

Nie znalazł ani słowa na temat superważnego posiedzenia podkomisji Rebeki.

Skończywszy miłe polowanko na czarownice, zajrzał do działu sportowego, powiedziawszy sobie, że pora zapomnieć o Van Hornach. O nich wszystkich.

Dwadzieścia po siódmej, a więc wtedy, gdy zwykle jadał płatki, zadzwonił telefon. Clay uśmiechnął się i pomyślał: to ona. Już wróciła.

Nikt inny nie dzwonił tak wcześnie. Nikt z wyjątkiem chłopaka lub męża kobiety, która była akurat na górze, odsypiając kaca z Jonaszem. Przez te wszystkie lata Clay odebrał kilka takich telefonów. Jonasz ubóstwiał kobiety, zwłaszcza te związane z kimś innym. Mawiał, że są dla niego większym wyzwaniem.

Ale tym razem nie dzwoniła ani Rebeka, ani narzeczoną, ani mąż.

- Z panem Clayem Carterem poproszę - powiedział obcy męski głos.

- Przy telefonie.

- Nazywam się Max Pace. Zajmuję się werbowaniem adwokatów do firm prawniczych w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Pańskie nazwisko zwró-

ciło naszą uwagę i mam dla pana dwie bardzo atrakcyjne propozycje, które mogą pana zainteresować. Czy moglibyśmy umówić się dzisiaj na lunch?

Kompletnie oniemiały Clay miał przypomnieć sobie pod prysznicem, że choć to dziwne, ale myśl o miłym lunchu była pierwszą, która przyszła mu do głowy.

- Ale... oczywiście - wykrztusił. Łowcy głów stanowili nieodłączną część tej branży, podobnie jak każdej innej. Ale rzadko kiedy tracili czas na grzebanie w mule Urzędu Obrońcy Publicznego.

- Świetnie. Spotkajmy się w holu hotelu Willard. Może o dwunastej?

- Dobrze, o dwunastej - odrzekł Clay, zerkając na stertę brudnych naczyń w zlewie. Tak, to działa się naprawdę. To nie był sen.

- Dziękuję. W takim razie do zobaczenia. Obiecuję, że się pan nie zawiedzie.

- Na pewno.

v

52

Max Pace szybko się rozłączył, a on ścisnął słuchawkę, patrzył na brudne naczynia i zastanawiał się, który z kumpli zrobił mu kawał. A może to Bennett Buldożer po raz ostatni szukał na nim zemsty?

Nie miał numeru telefonu Pace'a. Był tak nieprzytomny, że nie spytał

nawet o nazwę jego firmy.

Nie miał też czystego garnituru. W szafie wisiały dwa, oba szare, jeden gruby, drugi cienki, oba bardzo stare i bardzo znoszone. Służbowe wdzianka. Na szczęście w Urzędzie Obrońcy Publicznego eleganckich strojów nie wymagano, dlatego zwykle chodził tam w brązowych spodniach i granatowej marynarce. Gdy szedł do sądu, wkładał krawat i zdejmował go zaraz po powrocie do biura.

Pod prysznicem doszedł do wniosku, że strój nie ma znaczenia. Max Pace wiedział, gdzie Clay pracuje, i na pewno domyślał się, jak mało zarabia. Gdyby przyszedł na rozmowę w wystrzępionych brązowych spodniach, mógłby zażądać więcej forsy.

Tkwiąc w korku na Arlington Memorial Bridge, uznał, że to ojciec.

Co prawda wygnano go z Waszyngtonu, ale wciąż miał tu duże znajomo-

ści. W końcu nacisnął odpowiedni guzik, poprosił o ostatnią przysługę i załatwił mu porządną pracę. Gdy jego adwokacka kariera zakończyła się długim, acz niezwykle barwnym finiszem, pchnął syna do

UOP. Praktyka dobiegła końca. Po pięciu latach w okopach nadeszła pora na prawdziwą pracę.

Jakie firmy mogły się nim interesować? Tajemnica ta bardzo go intrygowała. Ojciec nie znosił wielkich korporacji i firm lobbystycznych z Connecticut i Massachusetts Avenue. Nie poważył teŝ drugorzędnych adwokatów, którzy ogłaszali się na burtach autobusów, na tablicach reklamowych i zasypywali sądy niepowaŝnymi sprawami. Jego stara kancelaria zatrudniała dziesięciu prawników, dziesięciu sądowych rozrabiaków, którzy potrafili uzyskać wysoki werdykt i byli rozrywani.

- I właśnie tam zmierzam - mruknął do siebie Clay, spoglądając na płynący pod nim Potomac.

Przecierpiawszy najbardziej nieproduktywny poranek w swojej karierze, wyszedł o wpół do dwunastej i niespiesznie pojechał do Willarda, oficjalnie znanego jako hotel Willard Intercontinental. W holu natychmiast podszedł do niego młody, muskularny mężczyzna, którego jakby skądś znał.

- Pan Pace jest na górze - powiedział. - Wolałby porozmawiać w pokoju, jeśli to panu nie przeszkadza.

- Aleŝ skąd - odrzekł Clay. Jakim cudem tak łatwo go rozpoznano, tego nie wiedział.

53

Jadąc windą, nie zwracali na siebie uwagi. Wyszli na ósmym piętrze.

Facet zapukał do drzwi apartamentu Theodore'a Roosevelta. Drzwi szybko się otworzyły i Max Pace powitał Claya z zawodowym uśmiechem na twarzy. Miał czterdzieści kilka lat, ciemne, falujące włosy, ciemne wąsy i w ogó-

le wszystko miał ciemne. Czarne dŝinsy, czarny podkoszulek, czarne spiczaste buty. Hollywood w Willardzie. Bynajmniej nie dyrektorski wygląd, jakiego się Clay spodziewał. Gdy ściskali sobie ręce, po raz pierwszy tknę-

ło go, ŝe coś tu jest nie tak.

Jedno spojrzenie i goryl zniknął.

- Dziękuję, ŝe pan przyszedł - powiedział Max, gdy wchodzili do owalnego salonu przeładowanego marmurami.

- Nie ma sprawy. - Clay oglądał pokój, chłonał go wzrokiem; wszę-

dzie kosztowna skóra i tkaniny, odchodzące na wszystkie strony pokoje. -

Ładnie pan mieszka.

- Jeszcze tylko kilka dni. Pomyślałem sobie, ŝe moglibyśmy tu zjeść, zamówić coś z dołu i spokojnie porozmawiać.

- Świetnie. - I wtedy do głowy przyszło mu pytanie, pierwsze z wielu.

Dlaczego waszyngtoński łowca głów wynajmuje horrendalnie drogi apartament w Willardzie? Dlaczego nie ma biura? I czy naprawdę potrzebuje ochroniarza?

- śyczy pan sobie coś konkretnego?

- Nie jestem wybredny.

- Mają tu znakomite capellini i łososia. Jadłem wczoraj. Pycha.

- Spróbuję. - W tej chwili Clay spróbowałby wszystkiego; umierał z głodu.

Max podszedł do telefonu, a on podziwiał widok na Pennsylvania Avenue. Gdy lunch został zamówiony, usiedli przy oknie i szybko wymienili kilka uwag o pogodzie, o pechowej passie Oriolesów i o fatalnym stanie gospo-darki. Pace był bardzo wygadany i chętnie rozmawiał na kaŜdy temat, dopóki chciał rozmawiać zeń Clay. Dźwigał cięŜary i uwielbiał o tym mówić. Lubił

skubać wąsy. Ilekroć to robił, bicepsy falowały mu i się wybrzuszały.

MoŜe kaskader, ale na pewno nie łowca głów z pierwszej ligi.

Minęło dziesięć minut pogawędki i wreszcie Clay spytał:

- Te dwie firmy. MoŜe coś mi pan o nich powie?

- Te firmy nie istnieją - odrzekł Max. - Okłamałem pana. Przyrzekam, Őe pierwszy i ostatni raz.

- Nie jest pan łowcą głów?

- Nie.

- A kim?

- StraŜakiem.

54

- Dzięki. Teraz juŜ wszystko wiem.

- Proszę mnie wysłuchać. Muszę coś panu wyjaśnić, ale obiecuję, Őe kiedy skończę, będzie pan zadowolony.

- Lepiej niech pan mówi szybko, bo zaraz wychodzę.

- Spokojnie, panie mecenasie. Mogę ci mówić Clay?

- Jeszcze nie.

- Dobrze. Jestem agentem, najemnikiem, wolnym strzelcem. DuŜe firmy wynajmuj mnie do gaszenia poŜarów. Spieprz coŐ, zdaj sobie spraw, Őe popełnili bd, zanim zwrs to adwokaci, i wynajmuj mnie, Őeby po cichu to wszystko posprzta i przy odrobinie szczcia zaoszczdzi im kup forsy.

Moje usugi s bardzo poszukiwane. Nazywam si Max Pace, a moŐe inaczej, to bez znaczenia. To, kim jestem i skd pochodz, jest zupenie niewaŐ-

ne. WaŐne jest to, Őe duŐa firma wynajta mnie, Őeby ugasi poŐar. Pytania?

- Na razie mam ich za duŐo.

- CierpliwoŐci. Nie mog zdradzi panu nazwiska mojego klienta i niewykluczone, Őe nigdy go nie zdradz. Ale jeŐeli dojdziemy do porozumienia, bd mg powiedzie znacznie wicej. Oto caa historia: moim klientem jest midzynarodowa firma farmaceutyczna. Wytwarza szerok gam produkt, poczynajc od tych powszechnie stosowanych, ktre znajdzie pan na pewno w swojej domowej apteczce, koczc na złoŐonych lekach na raka i otyoŐ. Jest to stara spoka o ugruntowanej i nienagannej reputacji. Mniej wicej dwa lata temu wynalaza lek, ktory jest w stanie zwalczy uzaleŐnienie od narkotykw opartych na opium i kokainie. Jest o wiele skuteczniejszy od metadonu, bo metadon pomaga wielu pacjentom, ale uzaleŐ-

nia i czsto jest naduŐywany. Nazwijmy ten cudowny lek tarvanem; przez krtki czas rzeczywiŐcie tak go nazywano. Zosta odkryty przypadkowo i szybko przetestowany na wszystkich dostpnych zwierztach laboratoryjnych. Rezultaty testw byy zdumiewajce, ale trudno jest symulowa uzaleŐnienie od cracku wŐród szczurw.

- Potrzebowali ludzi - wtrci Clay.

Pace skubn ws; bicepsy zafaloway.

- Tak. MoŐliwoŐci tarvanu byy tak wielkie, Őe grube ryby nie mogy spa. Prosz sobie wyobrazi: bierze pan jedn piguk dziennie przez trzy miesice i jest pan czysty. Narkotyczny god znika. Kokaina, heroina, crack... rzuca pan to wszystko w trzy miga, o tak. Gdy prochy juŐ pana nie C13gn, bierze pan piguk tarvanu co drugi dzie i jest pan od nich wolny do konca Őycia. To lek o niemal natychmiastowym dziaaniu, lek dla milionw uzaleŐnionych. Prosz tylko pomysle o zyskach. MoŐna zaŐada, ile si chce, bo na pewno znajdzie si ktoŐ, kto chtnie za tak piguk zapaci.

Prosz pomysle, ile istnie ludzkich moŐna uratowa, ilu zbrodniom moŐna

zapobiec, ile rodzin ocali, ile miliardw zaoszczdzi, nie wydajc ich na rehabilitacj narkomanw. Im duŐej ci z zarzdu o tym myŐleli, tym szybciej chcieli wypuŐci tarvan na rynek. Ale, jak juŐ wspomniaem, musieli go jeszcze przetestowa na ludziach.

Krotka pauza, yk kawy. Podkoszulek zadrŐa. Nie ma to jak krzepa.

- No i zaczli popenia bdy. Wybrali trzy miasta - Meksyk, Singapur i Belgrad - miasta poza jurysdykcj FDA, Federalnego Urzdu ŐywnoŐci i Lekw. Pod przykrywk bliŐej nieokreŐlonej

organizacji humanitarnej zbudowali kliniki odwykowe, ładne, zamknięte ośrodki, gdzie uzależnieni byli pod całkowitą kontrolą. Wybierali najgorszych ćpunów, jakich tylko mogli znaleźć. Zgarniali ich, odtruwali i zaczęli podawać im tarvan, chociaż narkomani nie mieli o tym pojęcia. Zresztą nie ich to nie obchodziło, bo wszystko było za darmo.

- Ludzkie laboratoria - powiedział Clay. Opowieść była jak dotąd fascynująca, a strażak Max umiał opowiadać.

- O to. Poza zasięgiem amerykańskiego systemu pozwów zbiorowych. Poza zasięgiem prasy. Poza zasięgiem przepisów. To był błyskotliwy plan. A lek działał wspaniale. Jeden miesiąc i po głodzie. Dwa miesiące i narkoman cieszył się, że jest czysty. Trzy miesiące i nie bał się wracać na ulicę. Wszystko było pod nadzorem: dieta, ćwiczenia fizyczne, terapia, nawet rozmowy. Każdy pacjent miał co najmniej jednego terapeuty, a każda klinika mogła pomieścić sto łóżek. Po trzech miesiącach pobytu zwalniano ich pod warunkiem, że co drugi dzień będą wracali i łykali tarvan. Dziewięćdziesiąt procent wracało i ani razu nie sięgnęło po narkotyki. Dziewięćdziesiąt procent! Zawiodło tylko dwa.

- A pozostałe osiem?

- Osiem procent zaczęło stwarzać problemy, ale mój klient nie wiedział, jak będą poważne. Tak czy inaczej, kliniki pracowały pełną parą i przez półtora roku przewinęło się przez nie około tysiąca narkomanów.

Rezultaty leczenia przekroczyły wszelkie oczekiwania. Mój klient wyczuwał miliardowe zyski. I nie miał śladnej konkurencji. Żadna inna firma farmaceutyczna nie prowadziła poważnych badań nad tego rodzaju lekiem. Większość z nich zrezygnowała wiele lat temu.

- A kolejny błąd?

Max westchnął.

- Było ich tak wiele...

Zadzwoił dzwonek. Kelner wtoczył do pokoju wózek i przez pięć minut rozstawiał talerze. Clay stał przy oknie, patrząc na wierzchołek obelisku Waszyngtona, lecz był za bardzo zamyślony, żeby cokolwiek widzieć.

Max dał kelnerowi napiwek i wreszcie zostali sami.

56

- Jest pan głodny?

- Nie. Niech pan mówi. - Clay zdjął marynarkę i usiadł. - Domyślam się, że teraz będzie najlepsze.

- Najlepsze czy najgorsze, zależy, jak na to patrzeć. Kolejnym błędem było przeniesienie tej imprezy tutaj. I właśnie tu zrobiło się naprawdę paskudnie. Mój klient popatrzył na globus i wybrał jedno

miejsce dla białych, jedno dla Latynosów, jedno dla Azjatów. Potrzebował też czarnych.

- W Waszyngtonie jest ich pełno.

- Właśnie.

- Pan kłamie, prawda? Proszę mi powiedzieć, że to kłamstwo.

- Okłamałem pana tylko raz, panie mecenasie. I przyrzekłem, że już

nigdy więcej tego nie zrobię.

Clay powoli wstał i znów podszedł do okna. Max uważnie go obserwował.

Jedzenie stygło, ale oni mieli to gdzieś. Czas zwolnił bieg. Clay odwrócił

się i spytał:

- Tequila?

Max kiwnął głową.

- Tak.

- I Washad Porter?

- Tak.

Minęła minuta. Clay założył ręce na piersi i oparł się o ścianę przodem do Maxa. Max poprawił wąsy.

- Niech pan mówi dalej.

- W ośmiu procentach przypadków coś idzie nie tak. Mój klient nie wie co i jak, nie wie nawet, kto jest narażony na ryzyko. Problem w tym, że po zażyciu tarvanu coś każe tym ludziom zabijać. O tak, po prostu. Po stu dniach kuracji zachodzą jakieś zmiany w mózgu i pacjenta ogarnia nieodparta żądza krwi. To, czy miał przedtem skłonność do przemocy, czy nie, jest zupełnie bez znaczenia. Wiek, rasa, płeć... nic ich nie wyróżnia.

- Osiemdziesiąt trupów?

- Co najmniej. Ale w slumsach Meksyku trudno o dokładne dane.

- Ilu w Waszyngtonie?

Max po raz pierwszy poczuł się nieswojo i zrobił unik.

- Odpowiem na to za chwilę. Proszę pozwolić, że najpierw skończę.

I proszę usiąść. Nie lubię zadzierać głowy.

Clay usiadł.

- Kolejnym błędem było obejście Federalnego Urzędu Śywności i Le-ków.

- No jasne.

- Mój klient ma w tym mieście wielu wpływowych przyjaciół oraz duże doświadczenie w kupowaniu polityków za pośrednictwem komitetów akcji 57

politycznej, zatrudnianiu ich, przyjaciółek i byłych współpracowników.

Za pieniądze można tu wszystko, panie mecenasie. Zawarto układ, śliski układ. Maczali w tym palce w Śniacy z Białego Domu, z Departamentu Stanu, z Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, z FBI i z paru innych agencji. Niczego nie spisywano ani nie podpisywano. Nikt nie wydał ani centa, nie było Śadnych łapówek. Mój klient odwalił kawał dobrej roboty, przekonując ich, że tarwan można uratować świat, jeśli tylko przetestuje się go w jeszcze jednym laboratorium. Ponieważ Federalny Urząd Śywności i Leków potrzebuje na to dwóch, trzech lat i nie ma w Białym Domu zbyt wielu przyjaciół, zawarto porozumienie. Ludzie ci, grube ryby, których nazwiska poszły już w niepamięć, znaleźli sposób na przemycenie tarvanu do kilku wybranych, finansowanych z budżetu klinik odwykowych w Waszyngtonie. Gdyby lek okazał się skuteczny, wywarto by nacisk na tych z urzędu, żeby szybko dopuścili go do sprzedaży.

- Czy wchodząc w ten układ, pański klient wiedział o tych ośmiu procentach?

- Nie wiem. Nie powiedział mi wszystkiego i pewnie nigdy nie powie.

Z kolei ja nie zadawałem mu Śadnych pytań. Moja praca polega na czymś innym. Ale nie, podejrzewam, że o tym nie wiedział. W przeciwnym wypadku nie ryzykowałby eksperymentów tutaj, w Waszyngtonie. Wszystko działało się bardzo szybko, panie mecenasie.

- Teraz możemy mówić sobie po imieniu.

- Dzięki, Clay.

- Nie ma za co.

- Wspomniałem, że nie było Śadnych łapówek. Cóż, powtarzam tylko to, co powiedział mój klient. Ale bądźmy realistami. Według wstępnych szacunków, w ciągu najbliższych dziesięciu lat sprzedaż tarvanu przyniosłaby trzydzieści miliardów dolarów zysku. Czystego zysku, nie przychodu. W tym samym czasie zaoszczędzono by około stu miliardów na wydatkach budżetowych. To oczywiste, że ktoś musiał komuś dać w łapę.

- Ale to już przeszłość?

- O tak. Lek wycofano sześć dni temu. Te cudowne kliniki w Meksyku, Singapurze i w Belgradzie

zamknięto w środku nocy. Terapeuci znikli jak duchy. Zapomniano o wszystkich eksperymentach. Dokumenty wrzucono do niszczarek. Mój klient nigdy nie słyszał o tarwaniu. I chcielibyśmy, żeby tak pozostało.

- Mam wrażenie, że w tym momencie na scenę wydarzeń miałbym wkroczyć ja.

- Tylko wtedy, jeśli zechcesz. Jeśli na to nie pójdziesz, spotkam się z innym prawnikiem.

58

- Jeśli nie pójdę na co?

- Na układ, Clay, na układ. Jak dotąd narkomani przyjmujący tarwan zabili w Waszyngtonie pięć osób. Jeden biedak jest w śpiączce i prawdopodobnie już się nie obudzi. Pierwsza ofiara Washada Portera. To razem sześciu. Wiemy, kim są, jak zginęli, kto ich zabił, wiemy wszystko. Chcemy, żebyś reprezentował ich rodziny. Zwrócisz się do nas w ich imieniu, a my zapłacimy. Załatwimy to wszystko szybko i po cichu, bez sądnych pozwów i bez najmniejszego śladu.

- Dlaczego mieliby mnie wynajmować?

- Bo nie wiedzą, że mogą nas pozwać. Myślą, że ich bliscy byli ofiarami ulicznej przemocy. To tutaj normalka. Dzieciak ginie zastrzelony przez jakiegoś ćpuna, dzieciaka się grzebie, ćpuna aresztuje, jest proces i rodzina ma nadzieję, że facet spędzi resztę życia w więzieniu. Ale nigdy nie myśli o odszkodowaniu. Domagać się odszkodowania od ulicznika czy narkomana? Nie pójdzie na to nawet najbardziej wygłodniały adwokat. Wynajmą cię, ponieważ powiesz im co i jak i obiecasz, że za szybkie, dyskretne i ugodowe załatwienie sprawy każda rodzina dostanie cztery miliony dolarów.

- Cztery miliony dolarów - powtórzył Clay, nie bardzo wiedząc, czy to za dużo, czy za mało.

- Nasze ryzyko polega na tym: jeśli jakiś adwokat dowie się o istnieniu tarwanu, a szczerze mówiąc, jesteś pierwszym, który coś zwęszył, może dojść do procesu. Założymy, że adwokat jest dobry, doświadczony, że wybierze samych czarnych przysięgłych...

- To łatwe.

- Oczywiście. I założymy, że ten adwokat zdobędzie skądś dowody.

Może jakieś dokumenty, których nie zniszczono, choć bardziej prawdopodobne byłoby to, że sypnąłby któryś ze współpracowników mojego klienta.

Tak czy inaczej, założymy, że proces toczy się korzystnie dla rodziny zabitego. Przysięgli mogą przyznać jej olbrzymie odszkodowanie. Co gorsza, mojemu klientowi zrobiono by koszmarną reklamę. Jego akcje spadłyby na łeb, na szyję. Wyobraź sobie najgorsze, Clay, namaluj najbardziej upiorny obraz i wierz mi, że mój klient też ten obraz widzi. Zrobił coś złego. Wie o tym i chce to naprawić. Ale jednocześnie próbuje ograniczyć straty.

- Cztery miliony dolarów to tanio.

- I tak, i nie. Weźmy na przykład Ramona Pumphreya. Dwadzieścia dwa lata, pracował na część etatu, zarabiał sześć tysięcy dolarów rocznie.

Zakładając, że pośyłyby jeszcze pięćdziesiąt trzy lata - to średnia długość życia - i zarabiał dwa razy więcej, ekonomiczna wartość jego życia wyniosłaby pół miliona dolarów. Tyle jest wart.

59

- Można by zażądać odszkodowania.

- To zależy. Tę sprawę trudno by było wygrać, bo nie ma żadnych dokumentów. Akta, które wczoraj zdobyłeś, te są czyste. Wychowawcy i terapeuci z Obozu Zbawienia nie mają pojęcia, co im podawali. Ci z Federalnego Urzędu Świadczeń i Leków nigdy o tarwanie nie słyszeli. Mój klient wydałby miliard na adwokatów, na biegłych i Bóg wie na kogo jeszcze.

Proces przypominałby wojnę, bo ci ludzie są winni!

- Sześć razy cztery to dwadzieścia cztery miliony.

- Plus dziesięć dla adwokata.

- Dziesięć milionów dolarów?

- Tak, taka jest umowa. Dziesięć milionów dolarów dla ciebie.

- śartujesz.

- Nie, mówię poważnie. W sumie trzydzieści cztery miliony. Mogę natychmiast wypisać czek.

- Muszę się przejść.

- Może coś zjesz?

- Nie, dzięki.

ROZDZIAŁ 9

Snuł się przed Białym Domem. Na chwilę zgubił się w grupie duńskich turystów, którzy pstrykali zdjęcia i czekali, aż pomacha im prezydent, potem wszedł do parku Lafayette, gdzie za dnia nie było bezdomnych, wreszcie usiadł na ławce na Farragut Square i nie czując smaku, zjadł jakąś kanapkę. Miał przytępione zmysły, myślał wolno i chaotycznie. Powietrze było ciężkie, choć nadszedł już maj. Wilgotność nie pomagała myśleć.

Zobaczył dwanaście ciemnoskórych twarzy w ławie przysięgłych, dwunastu rozsierdzonych ludzi, którzy spędzili tydzień, wysłuchując szokują-

cej historii o tarwanie. Zwrócił się do nich z ostatnim podsumowaniem: „Ci ludzie potrzebowali

laboratoryjnych szczurów, panie i panowie, najchętniej Amerykanów, ponieważ Ameryka jest bogata. Dlatego rozprowadzali ten cudowny lek w naszym mieście". Dwunastu przysięgłych chłonęło kaś-

de jego słowo i zgodnie kiwało głowami, Ŝeby jak najszybciej udać się na naradę i wymierzyć sprawiedliwość.

Ciekawe, jakie było najwyŜsze odszkodowanie w historii sądownictwa.

Czy znalazłby to w *Księ dze rekordów Guinnessa*? NiewaŜne, jakie było, wystąpiłby o wyŜsze. „Po prostu wypełnijcie odpowiednią rubryczkę, panie i panowie przysięgli”.

60

Nie, sprawa nigdy nie trafiłaby do sądu; przysięgli nie byłiby potrzebni. Ten, kto wyprodukował tarvan, wydałby znacznie więcej niŜ trzydzieści cztery miliony, Ŝeby pogrzebać prawdę. Wynająłby oprychów, którzy ła-maliby ludziom nogi, kradli dokumenty, zakładali podsłuch i palili biura, zrobiliby wszystko, Ŝeby dwunastu gniewnych nie poznało prawdy.

Pomyślał o Rebecce. JakŜe byłaby inna, gdyby zasypał ją luksusami i pieniędzmi. Jak szybko zapomniałaby o zmartwieniach Kapitolu i rozpoczęła Ŝycie Ŝony i matki. Wyszłaby za niego w trzy miesiące, gdy tylko Barb wszystko by zaplanowała.

Pomyślał o Van Hornach, ale - co dziwne - nie o Van Hornach, któ-

rych dotąd znał. Tych Van Hornów juŜ nie było; próbował o nich zapomnieć. Po czterech latach niewolnictwa nareszcie się od nich uwolnił. JuŜ

nigdy nie będą go dręczyli.

Niebawem miał uwolnić się od wielu innych rzeczy.

Minęła godzina. Nagle stwierdził, Ŝe jest na DuPont Circle, Ŝe gapi się w okna wystawowe sklepików na Massachusetts Avenue; rzadkie ksiąŜki, rzadkie naczynia, rzadkie kostiumy; wszędzie rzadko spotykani ludzie. Było tam lustro, więc spojrzął sobie prosto w oczy, zastanawiając się, czy Max Pace naprawdę istnieje, czy jest oszustem, czy duchem. Szedł chodnikiem, wzdrygając się z obrzydzenia na myśl, Ŝe szacowna firma mogła wykorzystywać najsłabszych, a dziesięć sekund później drŜał z podniecenia na myśl o fortunie, o jakiej nigdy nawet nie marzył. Musiał porozmawiać z ojcem.

Jarrett Carter będzie wiedział, co zrobić.

Minęła kolejna godzina. Czekali na niego w biurze, miał cotygodniową naradę.

- Wyrzućcie mnie - mruknął.

Przez kilka minut przeglądał ksiąŜki w Kramerbooks, swojej ulubionej księ-

garni. MoŜe juŜ niedługo będzie mógł przejść z działu paperbacków do działu książek w twardej oprawie. I zapełnić nimi nowe półki na nowych ścianach.

Punktualnie o trzeciej wszedł do kafejki na tyłach księgarni, no i proszę, siedział tam juŜ Max Pace, pijąc lemoniadę i czekając. Wyraźnie ucieszył się na jego widok.

- Śledziłeś mnie?- spytał Clay, siadając i chowając ręce do kieszeni spodni.

- Oczywiście. Napijesz się czegoś?

- Nie. Co by było, gdybym jutro złoŜył pozew w imieniu rodziny Ramona Pumphreya? Ta jedna sprawa jest warta więcej niŜ to, co proponujesz za sześć.

Max musiał tego pytania oczekiwać, bo odpowiedział natychmiast i bez wahania.

61

- Napotkałbyś wiele problemów. Podam ci trzy najwaŜniejsze. Po pierwsze, nie wiedziałbyś, kogo skarŜyć. Nie wiesz, kto jest producentem tarvanu, i nigdy się nie dowiesz. Po drugie, nie masz pieniędzy, Őeby wystąpić przeciwko mojemu klientowi. Őeby coś zdziałać, musiałbyś wyłoŜyć co najmniej dziesięć milionów dolarów. Po trzecie, straciłbyś moŜliwość reprezentowania wszystkich znanych powodów. Jeśli szybko się nie zdecydujesz, będę musiał pójść do następnego adwokata z mojej listy i złoŜyć mu tę samą propozycję. Chcę załatwić to w miesiąc.

- Mógłbym pójść do duŜej kancelarii, do fachowców od zbiorówek.

- Tak, i miałbyś jeszcze więcej problemów. Po pierwsze, musiałbyś oddać im co najmniej połowę honorarium. Po drugie, proces toczyłby się pięć lat, jeśli nie dłuŜej. Po trzecie, nawet największa tego rodzaju firma mogłaby w tym przypadku przegrać. Prawda moŜe nigdy nie ujrzeć światła dziennego, Clay.

- A powinna.

- Nic mnie to nie obchodzi. Mam załatwić jedno: odpowiednio wynagrodzić ofiary i pogrzebać tę sprawę raz na zawsze. Nie bądź głupcem, przyjacielu.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- To prawda, ale robimy postępy.

- Masz listę adwokatów?

- Tak, dwa nazwiska. Obydwaj w twojej sytuacji.

- Innymi słowy, biedni i wygłodniali.

- Jesteś biedny, ale i bystry.

- Podobno. I mam szerokie bary. Ci dwaj teŜ sã stãd?
 - Tak, ale na razie o nich nie mówmy. Dziŝ jest czwartek. Do poniedziałku w połuŋnie muszã miec odpowiedz. W przeciwnym razie pójdã do kogoŝ innego.
 - Czy tarvan stosowano teŜ w innych amerykaŋskich miastach?
 - Nie, tylko w Waszyngtonie.
 - Ilu ludzi go przyjmowało?
 - Mniej wiãcej stu.
- Clay wypil łyk wody z lodem, którã postawił przed nim kelner.
- A wiãc mamy tu jeszcze kilku potencjalnych zabójców.
 - MoŜliwe. Nie trzeba dodawać, Ŝe czekamy i w napiãciu ich wszystkich obserwujemy.
 - Nie moŜna ich powstrzymać?
 - Powstrzymać ulicznã przemoc w Waszyngtonie? Nikt nie mógł przewidziec, Ŝe Tequila Watson wyjdzie z oŝrodka i dwie godziny póŋniej ko-goŝ zabije. Tak samo Washad Porter. Nigdy nie wiadomo, któremu z przyjmujãcych tarvan moŜe nagle odbic ani kiedy to moŜe nastãpić. Sã pewne
- 62
- dowody, Ŝe po dziesięciu dniach bez tarvanu pacjent staje siã nieszkodliwy.
- Ale to tylko spekulacje.
- A wiãc teoretycznie rzecz biorãc, za kilka dni zabójstwa powinny ustać, tak?
 - Na to liczymy. Mam nadzieję, Ŝe jakoŝ przeŜyjemy ten weekend.
 - Twój klient powinien siedziec.
 - Moim klientem jest korporacja.
 - Korporacjã moŜna pozwać.
 - Nie kłómy siã, dobrze? Do niczego nas to nie doprowadzi. Musimy skupic siã na tobie, na tym, czy jesteŝ w stanie temu sprostać.
 - Na pewno masz juŜ jakiŝ plan.
 - Tak, bardzo szczególowy.
 - Dobra, rzucam pracã i co dalej?

Pace odsunął szklankę i nachylił się do przodu, jakby dopiero teraz miał

mu powiedzieć najlepsze.

- Załóżysz własną firmę. Wynajmiesz lokal, ładnie go umeblujesz i tak dalej. Trzeba to dobrze sprzedać, Clay, a jedynym na to sposobem jest wyglądać i zachowywać się jak adwokat odnoszący wielkie sukcesy. Do twego gabinetu będą przychodzić klienci, musisz im zaimponować. Musisz zatrudnić asystentów i prawników. Jak cię widzą, tak cię piszą, to bardzo ważne. Wierz mi. Kiedyś te byłem prawnikiem. Klient chce rozmawiać w ładnym gabinecie. Chce widzieć, że adwokat jest kimś. Pamiętaj, że ka-

demu z nich obiecasz ugodę za cztery miliony dolarów.

- Cztery miliony to za mało.

- Potem, dobrze? Musisz wyglądać jak człowiek sukcesu, tylko o to mi chodzi.

- Rozumiem. Zaczynałem w bardzo dobrej firmie.

- Wiemy. Między innymi właśnie dlatego nam się spodobałeś.

- Trudno od zaraz wynająć porządny lokal.

- Już go dla ciebie wynajęliśmy, przy Connecticut Avenue. Chcesz obejrzeć?

Wyszli z księgarni tylnym wyjściem i jak dwóch przyjaciół na spacerze, ruszyli niespiesznie przed siebie.

- Ciągłe mnie śledzicie?

- Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Po prostu jestem ciekaw. Niecodziennie mi się to zdarza.

Gdybym nagle zaczął uciekać, zastrzelilibyście mnie?

Pace zachichotał.

- To dość absurdalne, prawda?

- Beznadziejnie głupie.

- Mój klient bardzo się denerwuje.

- Ma powody.

- W tej chwili krąży po mieście dziesiątki ludzi, obserwując, czekając i modląc się, żeby nie doszło już do śadnego zabójstwa. Mają nadzieję, że to załatwisz.

- A problemy etyczne?

- Jakie?

- Przychodzą mi do głowy dwa. Konflikt interesów i podstępne zabieganie o ugodę.

- Zabieganie o ugodę? Nie śartuj.

Przystanęli na skrzyżowaniu.

- Teraz reprezentuję oskarżonego - powiedział Clay, gdy czekali na światło. - Jak przejdę na drugą stronę barykady, żeby reprezentować jego ofiarę?

- Po prostu przejdiesz. Zbadaliśmy to od strony etycznej. Sprawa jest śliska, ale nie naruszysz śadnych przepisów prawnych. Kiedy zrezygnujesz z pracy w UOP, będziesz mógł otworzyć własną kancelarię i zacząć przyjmować klientów.

- To najłatwiejsze. Ale co z Tequilą Watsonem? Wiem, dlaczego popełnił morderstwo. Nie mogę tego przed nim ukrywać. Ani przed nim, ani przed jego przyszłym adwokatem.

- Działanie pod wpływem alkoholu czy narkotyków nie usprawiedliwia zbrodni. Watson jest winny. Ramon Pumphrey nie śyje. Musisz zapomnieć o Tequili.

Ruszyli przez ulicę.

- Nie podoba mi się ta odpowiedź.

- Lepszej nie mam. Jeśli zrezygnujesz i będziesz dalej go reprezentował, nigdy nie uda ci się udowodnić, że kiedykolwiek brał tarvan. Wiesz, że brał, ale tego nie dowiedziesz. I wyjdiesz na głupca.

- Może i bym go nie wybronił, ale zawsze mógłbym twierdzić, że tarvan to dobre okoliczności łagodzące.

- Pod warunkiem, że udowodniłbyś istnienie tarvanu. To tutaj. - Stali przed długim, nowoczesnym gmachem ze szklano-brązowym wejściem się-

gającym drugiego piętra.

Clay zadarł głowę.

- Droga dzielnica.

- Chodź. Masz narożny gabinet na trzecim piętrze. Piękny, z fantastycznym widokiem.

W przestronnym, marmurowym holu wisiała tablica ze spisem mieszczących się w gmachu instytucji. Wyglądała jak *Who is Who* waszyngtoń-

skiej palestry.

64

- Raczej tu nie pasuję - powiedział Clay, czytając nazwy firm i kancelarii.

- Ale możesz.

- A jeśli nie zechcę tu pracować?

- Wszystko zależy od ciebie. Tak się przypadkiem złożyło, że mamy tu lokal. Możemy ci go podnająć po bardzo przystępnej cenie.

- Kiedy go wynajęliście?

- Nie zadawaj zbyt wielu pytań, Clay. Gramy w tej samej drużynie.

- Jeszcze nie.

Korytarze na trzecim piętrze niedawno odmalowano i wyłożono wykładziną. Kosztowną wykładziną. Stanęli przy oknie wielkiego, pustego gabinetu i patrzyli na samochody sunące Connecticut Avenue. żeby otworzyć własną firmę, trzeba było załatwić tysiące spraw, a Clayowi przychodziło do głowy najwyżej sto. Ale miał przecucie, że Max zna odpowiedź

na każde pytanie.

- No i co o tym myślisz?

- W tej chwili myślenie kiepsko mi idzie. W głowie mam mętlik.

- Nie zmarnuj takiej okazji, Clay. Już się nie powtórzy. A zegar tyka.

- Czysty surrealizm.

- Możesz zarejestrować się przez Internet, zajmie ci to godzinę. Wybierz bank, otwórz kilka kont. Papier firmowy, wizytówki i tak dalej załatwisz w try miga. Biuro może być gotowe i umeblowane w ciągu kilku dni.

W przyszłą środę będziesz siedział tu za eleganckim biurkiem i dyrektorał.

- A pozostałe pozwoly? Jak je zgarnę?

- Pomogą ci przyjaciele, Rodney i Paulette. Znają miasto, znają ludzi.

Zatrudnij ich, daj im trzykrotnie większą pensję i ładne gabinety po drugiej stronie korytarza. Mogliby prowadzić rozmowy z rodzinami zamordowanych. Możemy.

- Pomyślałeś o wszystkim.

- Tak. Dokładnie o wszystkim. Kieruję bardzo wydajną machiną, któ-

ra lada moment może spanikować. Pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Potrzebujemy tylko dowódcy.

Gdy jechali na dół, winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wsiadło dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy troje elegancko ubrani i wypielęgnowani, wszyscy z grubymi, kosztownymi skórzanymi teczkami, wszyscy emanujący atmosferą powagi i znaczenia, nieodłączną dla wielkiej firmy prawniczej. Max był tak pochłonięty szczegółami planu, że ich nie widział.

Ale Clay chłonał ich wzrokiem: ich maniery, powściągliwe wypowiedzi, ich powagę i arogancję. Byli wielkimi prawnikami, wpływowymi adwokatami 65

i nawet nie raczyli go zauważyć. Oczywiście w brązowych spodniach i sfatygowanych mokasynach nie wyglądał na znakomitego kolegę z waszyngtońskiej palestry.

Ale mogło się to zmienić z dnia na dzień, prawda?

Pożegnał się z Maxem i poszedł na długi spacer w kierunku biura. Gdy w końcu tam dotarł, nie znalazł na biurku żadnej pilnej wiadomości. Najwyraźniej naradę, którą sobie odpuścił, odpuściło sobie wielu innych. Nikt nie spytał go, gdzie był. Nikt nie zauważył, że przepadł na całe popołudnie.

Gabinet wydał mu się nagle mniejszy i jeszcze bardziej obskurny, a meble nieznośnie prymitywne. Na biurku leżała sterta akt, spraw, o których nie chciało mu się już myśleć. Jego klienci i tak byli kryminalistami.

Według przepisów, powinien złożyć miesięczne wymówienie. Przepisów jednak nikt nie respektował, ponieważ nie można było wcielić ich w życie. Ludzie rzucali pracę cały czas, z parodniowym wymówieniem albo w ogóle bez żadnego. Glenda napisze do niego surowy list i zagrozi konsekwencjami. On napisze do niej list miły i sprawa się skończy.

Najlepszą sekretarką w biurze była panna Glick, zaprawiona w bojach weteranka, która mogłaby reflektować na dwa razy większą pensję i propozycję odejścia z tego szarego, posępnego urzędu. Postanowił, że w jego nowej firmie będzie pracowało się miło i przyjemnie. Wysokie pensje, premie, długie urlopy, a nawet udział w zyskach.

Ostatnią godzinę dnia pracy spędził za zamkniętymi drzwiami, knując, podkradając zatrudnionych w UOP pracowników, zastanawiając się, któ-

rzy adwokaci i adwokaci bez licencji mogliby się nadawać.

Trzeci raz tego dnia spotkał się z Maxem na kolacji w Old Ebbitt Grill przy Pięćdziesiątej, dwie ulice za Willardem. Ku jego zaskoczeniu, Max zaczął od martini, co bardzo go rozluźniło. Napięcie zniknęło jeszcze bardziej przy drinku i Pace stał się wreszcie realną osobą. Był kiedyś adwokatem w Kalifornii, ale jakieś niefortunne wydarzenie położyło kres jego karierze. Dzięki licznym kontaktom znalazł swoistą niszę w systemie prawniczym i został strażnikiem. Czyścicielem. Wysoko opłacanym agentem, który wślizgiwał się tam, gdzie trzeba, sprzątał bałagan i znikał bez śladu. Przy stekach i po

pierwszej butelce bordeaux Max powiedział, że po tarwanie czeka na Claya coś innego.

- Coś dużego - dodał i rozejrzał się ukradkiem po sali, żeby sprawdzić, czy nie podsłuchują ich jacyś szpiegi.

- Ale co? - spytał Clay.

Max rozejrzał się jeszcze raz i odrzekł:

- Mój klient ma rywala, który wypuścił na rynek wadliwy lek. Jeszcze nikt o tym nie wie. Ich lek jest lepszy od naszego. Ale mój klient ma niezbi-66

te dowody, że sprzyja powstawaniu raka. Czekam na odpowiedni moment do ataku.

- Do ataku?

- Tak, zorganizowanego przez młodego, agresywnego adwokata dysponującego dowodami, który wystąpi do sądu z pozwem zbiorowym.

- Proponujesz mi kolejną sprawę?

- Tak. Weźmiesz sprawę tarvanu, zakończysz ją w miesiąc, a wtedy damy ci coś wartego grube miliony.

- Wartego więcej niż tarvan?

- O wiele więcej.

Jak dotąd Clay zdołał zjeść połowę steku, nie czując żadnego smaku.

Druga połowa miała pozostać nietknięta. Umierał z głodu, ale stracił apetyt.

- Dlaczego akurat ja? - Pytał sam siebie, nie jego.

~ To samo pytanie zadają sobie ci, którzy wygrywają na loterii. Wygrałeś na loterii, Clay. Na loterii adwokackiej. Byłeś na tyle bystry, że wpadłeś na trop tarvanu w chwili, gdy my rozpaczliwie szukaliśmy młodego prawnika, któremu moglibyśmy zaufać. Odnaleźliśmy się i przeżywamy właśnie tę króciutką chwilę, w której podejmuje się decyzje ważące na ca-

łym przyszłym Syciu. Powiesz „tak” i zostaniesz wielkim prawnikiem. Powiesz „nie” i przegrasz na loterii.

- Dotarło. Muszę to przemyśleć. Muszę otrzeźwieć.

- Masz na to weekend.

- Dzięki. Posłuchaj, jutro rano chciałbym wyjechać. Wrócę w niedzielę. Naprawdę nie musicie mnie

śledzić.

- Mogę spytać, dokąd jedziesz?

- Na Abaco na Bahamach.

- Do ojca?

Clay był zaskoczony, ale z drugiej strony wiedział, że nie powinien.

- Tak.

- Po co?

- Nie twoja sprawa. Na ryby.

- Przepraszam, ale jesteśmy bardzo zdenerwowani. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Niezupełnie. Powiem ci, o której odlatuję i o której wracam, tylko mnie nie śledźcie.

- Masz moje słowo.

67

ROZDZIAŁ 10

Great Abaco, długa, wąska wyspa na północnym krańcu Bahamów, leżała mniej więcej sto sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Florydy. Clay był

tam tylko raz, przed czterema laty, kiedy to zdołał wreszcie wskrobać pieniądze na samolot. Pojechał na długi weekend, chcąc omówić z ojcem wiele poważnych spraw i zrzucić z siebie kilka ciężarów. Ale ani niczego nie omó-

wił, ani niczego nie zrzucił. Jarrett Carter wciąż za bardzo przeżywał swoją hańbę i jego głównym zajęciem było chłanie rumowego ponczu od południa do nocy. Mógł rozmawiać o wszystkim, byle nie o prawie i prawnikach.

Tym razem miało być inaczej.

Clay wylądował na bardzo ciepłym i bardzo zatłoczonym Coconut Air-port. Detelman z odprawy celnej zerknął na jego paszport i gestem ręki przepuścił go dalej. Jazda taksówką do portu Marsh trwała pięć minut, nie tą stroną jezdni. Kierowca lubił głośną muzykę gospel, ale Clay nie miał nastroju na kłótnie. Ani na dawanie napiwków. Wysiadł i poszedł szukać ojca.

Jarrett Carter pozwał kiedyś prezydenta Stanów Zjednoczonych i chociaż przegrał, doświadczenie to utrwaliło w nim przekonanie, że każdy następny pozwany będzie łatwiejszą ofiarą. Nie bał się nikogo, ani w sądzie, ani poza sądem. Swoją reputację ugruntował jednym wielkim zwycięstwem:

wywalczeniem olbrzymiego odszkodowania w sprawie prezesa Amerykań-

skiego Stowarzyszenia Medycznego, dobrego lekarza, który popełnił błąd podczas operacji i którego oskarżono o zaniedbanie. Bezlitośni przysięgli w konserwatywnym hrabstwie wydali surowe orzeczenie i Jarrett Carter stał się nagle rozrywającym adwokatem. Wybierał najtrudniejsze sprawy, niemal wszystkie wygrywał i w wieku czterdziestu lat zyskał szeroką sławę. Założył kancelarię znaną z bezpardonowego sposobu praktykowania prawa. Clay nigdy nie wątpił, że pójdzie w jego ślady i poświęci się karierze adwokackiej.

Nadzieje szlag trafił, gdy był w college'u. Doszło do paskudnego rozwodu, który Jarrett ciężko przeżył. W kancelarii zaś nastąpił rozłam i jak to w takich sytuacjach bywa, wspólnicy zaczęli pozywać się wzajemnie do sądu i odchodzić każdy w swoją stronę. Zgnębiony Jarrett przez dwa lata nie wygrał ani jednego procesu, na czym bardzo ucierpiała jego reputacja.

Ale największy błąd popełnił jakiś czas potem, gdy on i jego księgowy zaczęli fałszować księgi, ukrywać dochody i zawyżać koszty własne. Gdy ich przyłapano, księgowy palnął sobie w łeb, ale ojciec wytrzymał. Był

kompletnie dobity, groziło mu więzienie. Na szczęście dochodzenie w jego sprawie prowadził znajomy prokurator, stary kumpel ze szkoły prawniczej.

68

Szczegóły ugody na zawsze pozostały mroczną tajemnicą. Ojca nigdy o nic nie oskarżono, zawarto jedynie nieoficjalny układ; zaraz potem Jarrett po cichu zamknął kancelarię, zwrócił licencję adwokacką i wyjechał z kraju.

Uciekł z pustymi rękami, chociaż ci, którzy otarli się o tę aferę, twierdzili, że zachomikował coś za granicą. Według Claya, nic na to nie wskazywało.

Tak więc słynny Jarrett Carter został kapitanem łodzi rybackiej na Bahamach i niektórzy uważali, że prowadzi cudowne łowiska. Clay znalazł go na osiemnastometrowym kutrze cumującym w zatłoczonej przystani. Po długim dniu w morzu do portu wracały inne łodzie. Opaleni na brąz rybacy podziwiali swój połów. Błyskały flesze aparatów fotograficznych. Miejscowi pomocnicy spieszenie wyładowywali na molo skrzynie z lodem, w któ-

rych mroziły się wielkie okonie morskie i tuńczyki. Wynosili na brzeg torby pełne pustych butelek i puszek po piwie.

Jarrett był na dziobie, w jednej ręce ścisnął szlauch, w drugiej gąbkę.

Clay obserwował go przez chwilę, nie chcąc przeszkadzać mu w pracy. Ojciec wyglądał jak typowy amerykański uciekinier na obczyźnie: był na bosaka, miał ciemną, ogorzałą skórę, stalową hemingwayowską brodę, srebrne łańcuchy na szyi, rybacką czapkę z długim daszkiem i starą białą koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami. Gdyby nie lekko wystający mięsień piwny, robiłby wrażenie zdrowego, silnego i sprawnego.

- Niech mnie kule biją! - krzyknął, zobaczywszy syna.

- Ładna łódź - powiedział Clay, wchodząc na pokład.

Mocno uścisnęli sobie ręce, to wszystko. Jarrett nie należał do męż-

czyzn czułych i serdecznych, przynajmniej w stosunku do syna, chociaż

kilka byłych sekretarek twierdziło co innego. Pachniał zaschłym potem, morską wodą i stęchłym piwem - spędził na morzu cały dzień. Szorty i koszula były brudne.

- Tak, ale nie moja, tylko pewnego lekarza z Boca. Dobrze wyglądasz.

- Ty też.

- Jestem zdrowy, to najważniejsze. Weź sobie browar. - Jarrett wskazał przenośną lodówkę na pokładzie.

Otworzyli puszki i usiedli w płóciennych fotelach. Molem przechodzi-

ła chwiejnie grupa rybaków. Łódź lekko się zakołysała.

- Ciężki dzień, co?

- Wypłynęliśmy o wschodzie słońca. Ja i ojciec z dwoma synami, wielkimi, krzepkimi chłopami, podobno ciężarówcami. Pochodzą z New Jersey. W Syciu nie miałem na pokładzie tylu mięśniaków naraz.

Pięćdziesięciokilowe sztuki wyciągali z wody jak pstrągi.

Tuż obok łodzi przeszły dwie kobiety, obie z małymi plecakami i wędkami. Mocno opalone i znużone, jak pozostali wędkarze. Jedna była grubawa,

69

druga nie, ale Jarrett patrzył i za jedną, i za drugą, dopóki nie znikły mu z oczu. Clay był zaśniewany.

- Wciąż masz to mieszkanie? - spytał. Ojciec mieszkał w zapuszczonej dwupokojowej klitce za portem.

- Tak, ale teraz mieszkam na łodzi. Właściciel rzadko tu bywa, więc nie ma problemu. W kajucie stoi sofa.

- Mieszkaś na łodzi?

- Jasne. Jest klimatyzowana, dość duża... Zresztą prawie przez cały czas jestem tu sam.

Sączył piwo, patrząc na kolejną grupę idących mołem wędkarzy.

- Jutro płynę z klientami - powiedział. - Masz ochotę się zabrać?

- A co innego można tu robić?

- Kilku bubków z Wall Street. Chcą wypłynąć o siódmej rano.

- Bomba.

- Zgłodniałem. - Jarrett zerwał się na równe nogi i wrzucił pustą puszkę do kosza na śmieci. - Chodźmy.

Szli mołem, mijając po drodze dziesiątki jachtów i łodzi. Większość załóg jadła już obiad. Kapitanowie pili piwo i odpoczywali. Wszyscy wykrzykiwali coś do Jarretta, a on miał dla każdego krótką, ciętą odpowiedź.

Wciąż był na bosaka. Clay siedł za nim i myślał: oto mój ojciec, niegdyś wielki Jarrett Carter, a teraz plaśowy włóczęga w wypłowiałych szortach i rozpiętej koszuli. Król portu. I bardzo nieszczęśliwy człowiek.

W barze Pod Błękitną Płetwą było tłoczno i głośno. Wyglądało na to, że Jarrett wszystkich tu zna. Zanim zdążyli znaleźć dwa wolne stołki, dostali od barmana wysokie szklanki z rumowym ponczem.

- Twoje - rzucił ojciec. Trącił się z nim i jednym haustem wypił połowę. Potem odbył krótką, acz poważną rozmowę z jakimś kapitanem i przez chwilę zapomniał o synu, co zupełnie Clayowi nie przeszkadzało.

Dopiewszy pierwszą szklankę, poprosił o drugą. Potem o trzecią.

Na wielkim stole w kącie sali przygotowywano wyśerkę. Pośrodku sta-

ły tace z rakami, krabami i krewetkami. Jarrett dał Clayowi znak i usiedli wraz z kilkunastoma innymi. Muzyka była głośna, rozmowy jeszcze głoś-

niejsze. Wszyscy robili wszystko, żeby się jak najszybciej upić, ale ojciec zdecydowanie przodował.

Siedzący po prawej stronie Claya śęglarz był podstarzałym hippisem, który twierdził, że uciekając przed Wietnamem, spalił kartę powołania.

Odrzucał wszystkie demokratyczne idee, łącznie z podatkiem od zatrudnienia i od dochodu.

- Włóczę się po Karaibach od trzydziestu lat - chwalił się, zapychając sobie usta krewetkami. - Federalni nie wiedzą nawet, że istnieje.

70

Clay podejrzewał, że federalnych nie interesuje ani on, ani pozostałe wyrzutki, z którymi właśnie jadł obiad. śęglarze, kapitanowie łodzi, pełnoetatowi rybacy, wszyscy od czegoś uciekali - od

alimentów, od podatków, przed są-

dem, przed konsekwencjami nieudanych interesów. Uważali się za buntowników, nonkonformistów, za wolne duchy, za współczesnych piratów, zbyt niezależnych, żeby dać się zakuć w kajdany normalnych społecznych zasad.

Przed rokiem wyspę nawiedził huragan i kapitan Floyd, najgłośniejszy z nich wszystkich, prowadził wojnę z towarzystwem ubezpieczeniowym.

Jego opowieść sprowokowała serię kolejnych opowieści o huraganie, któ-

re należało oczywiście zakropić kolejną rundką ponczu. Clay przestał pić, ojciec pił dalej. Mówił coraz głośniej i był coraz bardziej pijany, jak wszyscy przy stole.

Dwie godziny później jedzenie znikło, ale nie znikł rum. Kelner przynosił dzbanek za dzbankiem i Clay postanowił po cichu wyjść. Odszedł od stołu przez nikogo niezauważony.

Tak wyglądał spokojny obiad z ojcem.

Obudził się w ciemności, słysząc dudniące kroki w kabinie na dole.

Jarrett głośno gwizdał, a nawet podśpiewywał coś, co przypominało melodię Boba Marleya.

- Wstawaj! - wrzasnął. Łódź lekko się kołysała, ale nie z powodu fal, tylko na skutek hałaśliwej energii, z jaką rozpoczynał nowy dzień.

Clay leżał przez chwilę na krótkiej, wąskiej sofie, próbując zorientować się, gdzie jest, i wreszcie przypomniał sobie, jak to kiedyś było. Jarrett Carter zawsze przychodził do kancelarii przed szóstą rano, czasem przed piątą, a czasem już o czwartej. I tak przez sześć dni w tygodniu, bywało, że przez siedem. Rzadko kiedy chodził na jego szkolne mecze baseballowe i futbolowe, bo był po prostu za bardzo zajęty. Nigdy nie wracał do domu przed wieczorem, często nie wracał wcale. Gdy Clay zaczął studiować i pracować w jego kancelarii, ojciec słynął z tego, że młodych zawałał robotą.

Gdy jego małżeństwo zaczęło się rozpadać, sypiał w biurze, czasami sam.

Bez względu na złe nawyki, zawsze był gotów do boju, zawsze wyprzedzał

innych. Miał krótki romans z alkoholem, ale przestawał pić, gdy wódka przeszkadzała mu w pracy.

W czasach chwały prawie nie potrzebował snu, a teraz najwyraźniej nie potrafił wyzbyć się niektórych nawyków. Wpadł do kabiny i minął Claya jak burza, pachnąc mydłem i tanim płynem po goleniu.

- Wstawaj! - wrzasnął.

O śniadaniu nie wspominał ani słowem. Clay ochlapał się wodą w małym pomieszczeniu zwanym tu prysznicem. Nie miał klaustrofobii, ale 71

myśl, że ktoś może mieszkać w takiej ciasnocie, przyprawiła go o zawrót głowy. Niebo pokrywały grube, gęste chmury i było już ciepło. Jarrett stał

na mostku, słuchał radia i z niepokojem zerkał w górę.

- Złe nowiny - mruknął.

- Tak?

- Idzie wielki sztorm. Przez cały dzień ma lać.

- Która godzina?

- Wpół do siódmej.

- O której wczoraj wróciłeś?

- Pytasz jak twoja matka. Kawa jest tam.

Clay nalał sobie filiżankę i usiadł przy kole sterowym.

Twarz ojca skrywały grube, ciemne okulary, broda i długi daszek czapki. Clay podejrzewał, że oczy zdradzałyby tęgiego kaca, a tak nikt o niczym nie wiedział. Radio co chwilę nadawało komunikaty meteo i ostrzeżenia sztormowe z większych jednostek na morzu. Jarrett przekrzykiwał się z innymi kapitanami, wymieniając uwagi i prognozy, spoglądając w niebo i krę-

jąc głową. Minęło pół godziny. Nikt nie wypływał z portu.

- Niech to szlag - zaklął ojciec. - Zmarnowany dzień.

Nadeszło czterech młodych waśniaków z Wall Street, wszyscy w białych szortach, nowych adidasach i nowych kapeluszach rybackich. Jarrett zobaczył ich, przeszedł na rufę i zanim zdążyli wejść na pokład, oświadczył:

- Przykro mi, panowie, ale dzisiaj nic z tego. Idzie sztorm.

Cztery pary oczu spojrzały w niebo. Jedno zerknięcie i wszyscy czterej doszli do wniosku, że ci z meteo się mylą.

- śartuje pan - powiedział jeden.

- Przynajmniej spróbujmy - powiedział drugi.

- Nie - odparł Jarrett. - Dziś nie będzie łowienia.

- Ale zapłaciliśmy za wynajem łodzi.

- Zwrócimy wam pieniądze.

Ojciec jeszcze raz popatrzył na chmury, które z każdą minutą ciemnia-

ły. Huknął grzmot, jak odległy wystrzał z działa.

- Przykro mi, panowie - powtórzył Jarrett.

- To może jutro?

- Nie, jutro jestem zajęty.

Odeszli, powłócząc nogami, przekonani, że podstępnie pozbawiono ich wspaniałych trofeów rybackich.

Gdy tylko wyjaśniła się sprawa pracy, Jarrett wyjął piwo z lodówki.

- Chcesz? - spytał.

- Która godzina?

- Dobra na piwo.

72

- Jeszcze nie skończyłem kawy.

Siedzieli na rybackich krzesłach na pokładzie i wsłuchiwali się w coraz głośniejsze grzmoty. W przystani zaroilo się od kapitanów i pomocników, którzy zabezpieczali łodzie, i od nieszczęśliwych rybaków wlokących po molo przenośne lodówki oraz torby z aparatami fotograficznymi i olejem do opalania. Wzmagał się wiatr.

- Rozmawiałaś z matką? - spytał Jarrett.

- Nie.

Rodzinną historię Carterów była prawdziwym koszmarem i obydwaj wiedzieli, że nie warto jej zgłębiać.

- Ciągłe pracujesz w UOP?

- Tak, i chciałbym o tym pogadać.

- Co u Rebeki?

- To już chyba przeszłość.

- To dobrze czy źle?

- Na razie po prostu boli.

- Ile ty masz lat?

- Jestem dwadzieścia cztery lata młodszy od ciebie. Trzydzieści jeden.

- Słusznie. Jesteś za młody, żeby się senić.

- Dzięki, tato.

Nadbiegł kapitan Floyd.

- Gunter tu jest. Poker za dziesięć minut. Chodźmy!

Jarrett zerwał się na równe nogi. Oświł się jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek.

- Grasz? - rzucił do Claya.

- W co?

- W pokera.

- Nie.

- Kto to jest Gunter?

Ojciec przeciągnął się i wskazał ręką.

- Widzisz ten trzydziestometrowy jacht? To jego krypa. Niemiec, stary pierdoła. Ma kupę szmalu i stado dziewczyn na pokładzie. Nie ma lepszego miejsca na przeczekanie sztormu.

- No chodź! - wrzasnął kapitan Floyd przez ramię.

Jarrett wszedł na molo.

- Idziesz? - warknął do Claya.

- Nie, zostanę.

- Nie bądź głupi. Lepsze to, niż siedzieć tu przez cały dzień. - Ruszył

za Floydem.

Clay machnął ręką.

- Poczytam książkę.

73

- Jak chcesz.

Wskoczyli do pontonu z jeszcze jednym typem spod ciemnej gwiazdy, odpłynęli i wkrótce znikli za jachtami.

Clay miał go nie widzieć przez kilka miesięcy. Ładna mi rada. Był zdany na samego siebie.

ROZDZIAŁ 11

Inny hotel, inny apartament. Pace przeprowadzał się tak szybko, jakby ktoś deptał mu po piętach. Krótkie powitanie, kawa i przeszli do interesów.

Widać było, że coraz bardziej doskwiera mu chęć jak najszybszego po-grzebania prawdy. Robił wrażenie zmęczonego. Ruchy miał niespokojne.

Mówił szybciej. Przestał się uśmiechać. Nie spytał Claya ani o weekend, ani o ryby na Bahamach. Był zdecydowany zawrzeć układ albo z nim, albo z innym prawnikiem z listy. Usiedli przy stole, obydwaj z notatnikami i go-towymi do ataku długopisami.

- Uważam, że lepszą propozycją będzie pięć milionów - zaczął Clay. -

Owszem, to zwykli ulicznicy, których życie ma małą wartość ekonomiczną, ale to, co zrobił twój klient, jest warte wielomilionowego odszkodowania. Jeśli to wypośredkować, otrzymamy pięć milionów dla każdego.

- Wczoraj umarł ten w śpiączce - powiedział Max.

- A więc mamy sześciu.

- Siedmiu. Jednego zabili w sobotę rano.

Clay tyle razy mnożył pięć milionów razy sześć, że miał teraz kłopoty z nową kwotą.

- Kogo? - spytał. - Gdzie?

- Krwawe szczegóły potem, dobra? Powiedzmy, że mieliśmy tu bardzo długi weekend. Podczas gdy ty łowiłeś ryby, my przez cały czas siedzieliśmy na policyjnym nasłuchu, a w weekend trzeba na to armii ludzi.

- To na pewno tarvan?

- Na sto procent.

Clay namazał coś w notatniku i spróbował dostosować do tego swoją strategię.

- Pogódźmy się, pięć milionów na jedną ofiarę - powiedział.

- Dobra.

W samolocie zdołał wmówić sobie, że to tylko gra zer. Nie myśl o prawdziwych pieniądzach, tylko o szeregu zer. Nie myśl też o tym, co można za te pieniądze kupić. Nie myśl o dramatycznych zmianach, które cię czekają.

74

Nie myśl o przysięgłych, z którymi będziesz musiał się kiedyś spotkać. Po prostu baw się zerami, i tyle. Nie zwracaj uwagi na ostry nóż, który harata ci żołądek. Udawaj, że bebeczy masz ze stali. Twój przeciwnik jest słaby, przerażony i bardzo bogaty. Twój przeciwnik postąpił bardzo źle.

Z trudem przełknął ślinę i spróbował mówić w miarę normalnym głosem.

- Honorarium adwokata też jest za niskie.

- Doprawdy? - Pate zaś się uśmiechnął. - Dziesięć milionów nie wystarczy?

- Nie za tę sprawę. Gdyby przejęła ją duża firma specjalizująca się w zbiorówkach, twojemu klientowi groziłoby zdemaskowanie.

- Szybko się uczysz, co?

- Połowa pójdzie na podatki. Koszty ogólne utrzymania kancelarii będą bardzo wysokie. W ciągu kilku dni mam założyć nową firmę, firmę z siedzibą w drogiej dzielnicy miasta. Poza tym chcę zrobić coś dla Tequili i dla pozostałych.

- Dobra, podaj kwotę. - Pate już pisał coś w notatniku.

- Gdybym dostał piętnaście milionów, zmiana pracy poszłaby gładziej.

- Strzelasz?

- Nie, negocjuję.

- A więc chcesz w sumie pięćdziesiąt milionów: trzydzieści pięć dla rodzin i piętnaście dla siebie. Tak?

- To powinno wystarczyć.

- Zgoda. - Max wyciągnął do niego rękę. - Moje gratulacje.

Clay uściśnął ją i odrzekł:

- Dziękuję. - Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Tu jest umowa, z paroma szczegółami i zastrzeżeniami. - Max sięgnął do teczki.

- Z jakim i zastrzeżeniami?

- Po pierwsze, nigdy nie wspomnisz o tarwaniu Tequila Watsonowi, jego nowemu adwokatowi ani Sądniemu pozwanemu, który miałby jakikolwiek związek z tą sprawą. Gdybyś to zrobił, naraziłbyś na szwank całe przedsię-

wzięcie. Jak mówiliśmy wcześniej, działanie pod wpływem leku nie usprawiedliwia zbrodni. Może być okolicznością łagodzącą, ale Watson popełnił

ciężkie przestępstwo i to, czy brał wtedy tarvan, nie może być wykorzystane do jego obrony.

- Rozumiem to lepiej niż ty.

- W takim razie zapomnij o mordercach. Teraz reprezentujesz rodziny ich ofiar. Stoisz po drugiej stronie barykady i jak najszybciej się z tym pogódź. Zgodnie z umową, dostaniesz z góry pięć milionów dolarów, pięć za 75

dziesięć dni i ostatnie pięć po zamknięciu wszystkich spraw. Wspomnisz komuś o tarwaniu i umowa przestaje obowiązywać. Naruszysz nasze zaufanie i stracisz kupę forsy.

Clay skinął głową i spojrzał na gruby plik dokumentów na stole. Max postukał w niego palcem.

- Zgadzasz się tu na dochowanie tajemnicy - kontynuował. - Jest tam mnóstwo ciemnych sekretów, których nie może zobaczyć nawet twoja sekretarka. Ani razu nie pada tam nazwisko, a raczej nazwa mojego klienta.

Na Bermudach założyliśmy fasadową korporację z oddziałem na Antylach Holenderskich, która podlega szwajcarskiej firmie z siedzibą w Luksemburgu. Zaczyna się tam i kończy każdy papierowy ślad, tak że nie połapie się w tym wszystkim nikt, nawet ja. Twoi nowi klienci dostają pieniądze i nie mają prawa o nic pytać. Nie przypuszczam, żeby były z tym jakieś problemy. Ty zgarniesz miliony. Nie chcemy Sądnych kazań moralnych.

Bierz forszę, zrób swoje i wszyscy będą zadowoleni.

- I zaprzędaj duszę?

- Powiedziałem, Sądnych kazań. Nie robisz niczego nieetycznego. Za-

łatwiasz olbrzymie odszkodowanie ludziom, którzy nie mają pojęcia, że coś może im kapnąć. To nie jest zaprzędawanie duszy. I co z tego, że zgarniesz kupę forsy? Nie będziesz pierwszym adwokatem, któremu się trafiło.

Clay myślał o pierwszych pięciu milionach dolarów. Płatnych natychmiast.

Max wypełnił kilka rubryk i podsunął mu umowę.

- Umowa wstępna. Podpisz ją i powiem ci więcej o moim kliencie.

Zamówię kawę. - Poszedł zatelefonować na dół.

Clay wziął dokument, potrzymał go chwilę, a gdy zaciągnął mu w rękę, spróbował przeczytać pierwszy paragraf.

Miał natychmiast - już teraz, tego samego dnia - zrezygnować z pracy w Urzędzie Obroncy Publicznego i z obrony Tequili Watsona; do umowy załączono odpowiednie formularze. Miał otworzyć własną kancelarię, zatrudnić odpowiedni personel, założyć konta bankowe i tak dalej. Do umowy dołączono również standardowy projekt statutu kancelarii J. Claya Cartera II. Jak tylko będzie to możliwe, miał skontaktować się z siedmioma rodzinami i rozpocząć pracę.

Przyniesiono kawę. Clay czytał dalej. Max stał po drugiej stronie pokoju i cichym, poważnym głosem rozmawiał z kimś przez telefon, niewątpliwie zdając przełożonym sprawozdanie z ostatnich wydarzeń; a może sprawdzał, czy nie doszło do kolejnego morderstwa? Za podpis na stronie jedenastej prawnik miał otrzymać przelewem pięć milionów dolarów, kwotę, którą Pace wpisał starannie w wykropkowane miejsce. Gdy Clay składał

76

podpis, trzęsły mu się ręce, nie ze strachu czy moralnej niepewności, tylko z szoku na widok tyłu zer.

Skończywszy pierwszą rundę papierkowej roboty, wyszli z hotelu i wsiedli do samochodu, za którego kierownicą siedział goryl znany Clayowi z Willarda.

- Proponuję zacząć od konta powiedział Max cicho, lecz stanowczo.

Clay był Kopciuszkiem jadącym na bal i wszystko działo się teraz jak we śnie.

- Jasne, dobry pomysł.

- Upatrzyłeś sobie jakiś bank?

Dyrektor jego obecnego banku doznałby szoku, śledząc to, co miało dzieć się na jego koncie. Clay z trudem utrzymywał minimalny wkład przez tak długi czas, że każdy większy przelew natychmiast by ich zatrwożył. Kiedyś zadzwonił do niego jakiś pomniejszy urzędnik z wiadomością, że minął termin spłaty małej pożyczki. Clay już widział, jak w pełni dyrektorzy z samej góry pochylają się nad wydrukiem, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Nie, ale jestem pewien, że jakiś mi zaproponujesz.

- Utrzymujemy bliskie stosunki z Chasem. Bardzo sprawnie załatwia ją przelewy.

W takim razie niech będzie Chase, pomyślał z uśmiechem Clay. Aby szybciej.

- Na Piętnastą - rzucił Max do kierowcy, który już jechał w tamtym kierunku. Pace wyciągnął kolejne papiery. - Umowa najmu i podnajmu twojego biura. To dobre miejsce, dlatego drogie. Mój klient wynajął biuro za pośrednictwem podstawionego figuranta na dwa lata, za osiemnaście tysięcy

miesięcznie. MoŜemy ci je odstąpić za tyle samo.

- To ponad czterysta tysięcy dolarów.

Max uśmiechnął się i odrzekł:

- MoŜe pan sobie na to pozwolić, panie mecenasie. Niech pan zacznie myśleć jak adwokat, który ma forsę jak lodu.

Uprowadzono jakiegoś wicedyrektora. Pace spytał o odpowiednią osobę i niemal rozłoŜono przed nimi czerwony dywan. Clay wziął sprawę w swoje ręce i podpisał wszystkie niezbędne dokumenty.

Według dyrektora, pieniądze miały wpłynąć na konto do siedemnastej.

Ponownie samochód, ponownie Max.

- Pozwoliliśmy sobie przygotować statut twojej firmy - powiedział, wręczając mu kolejny plik papierów.

- JuŜ to widziałem - odrzekł Clay, wciąż myśląc o przelewie.

- To standard, nic poufnego. Zrób to przez Internet. Zapłacisz dwie-

ście dolarów kartą kredytową i moŜesz działać. Zajmie ci to niecałą godzinę. Zrób to w UOP.

77

Clay wziął dokumenty i spojrzał w okno. TuŜ obok nich na czerwonym świetle stał bordowy jaguar XJ i Clay zaczął odpływać myślą w dal. Próbo-wał się skupić, ale po prostu nie mógł.

- A propos UOP - dodał Max. - Jak chcesz to załatwić?

- Załatwmy to teraz.

- M przy Osiemnastej - rzucił Pace do kierowcy, który zdawał się widzieć i słyszeć absolutnie wszystko. I do Claya: - Myślałeś o Rodneyu i Paulette?

- Tak. Dzisiaj z nimi pogadam.

- Dobrze.

- Cieszę się, Ŝe to pochwalasz.

- My teŜ mamy kilku ludzi dobrze znających miasto. Mogą ci pomóc.

Będą dla nas pracowali, ale twoi klienci nie mogą o tym wiedzieć. - Mów-

więc to, kiwnął głową do kierowcy. - Nie moŜemy teraz odpoczywać. Od-pocznijemy dopiero wtedy,

kiedy dogadasz się ze wszystkimi siedmioma rodzinami.

- A Rodney i Paulette? Muszę im wszystko powiedzieć.

- Prawie wszystko. Będą jedynymi pracownikami, którym powiesz, co się wydarzyło. Ale nie masz prawa wspomnieć im ani o tarwanie, ani o firmie, nie mogą teŜ widzieć umów z klientami. Przygotujemy je sami.

- PrzecieŜ muszą wiedzieć, co im proponujemy.

- Oczywiście. Muszą namówić rodziny ofiar do przyjęcia pieniędzy.

Ale nie mogą się dowiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą.

- CięŜka sprawa.

- Zaczniemy od nich.

Nie było oczywiste, czy ktoś z UOP zauwaŜył jego nieobecność. Nawet niezawodna panna Glick odbierała telefon za telefonem i nie miała czasu na zwykłe: „Gdzie byłeś?” Na biurku znalazł kilkanaście wiadomości, wiadomości zupełnie niewaŜnych, poniewaŜ teraz nic juŜ nie miało znaczenia. Glenda pojechała na konferencję do Nowego Jorku, co jak zwykle oznaczało, Ŝe pracownicy mogli później wracać z lunchu, a nawet wziąć sobie parę dni chorobowego. Szybko napisał rezygnację i wysłał ją do niej e-mailem. Potem zamknął drzwi i wypchał dwie teczki osobistymi szpargałami, zostawiając stare ksiąŜki oraz inne rzeczy, które kiedyś miały dla niego wartość senty-mentalną. Zawsze mógł po nie wrócić, chociaŜ wiedział, Ŝe nie wróci.

Rodney pracował w maleńkim pokoju, który dzielił z dwoma innymi półlegalniakami.

- Masz chwilę? - spytał Clay.

- Nie bardzo - odrzekł Rodney, ledwo podnosząc wzrok znad sterty sprawozdań.

78

- Jest przełom w sprawie Tequili Watsona. Zajmę ci tylko minutkę.

Rodney niechętnie wetknął długopis za ucho i wrócił z nim do gabinetu, gdzie półki ziały pustką. Zamknęli drzwi.

- Odchodzę - powiedział Clay niemal szeptem.

Rozmawiali prawie godzinę, a Pace czekał niecierpliwie w samochodzie parkującym wbrew przepisom przy krawęŜniku. Kiedy Clay wyszedł

wreszcie na ulicę, z dwiema pękatymi teczkami w rękach, wyszedł z nim Rodney, teŜ obładowany teczką i wypchaną papierami torbą na zakupy.

Poszedł do swego samochodu i zniknął. Clay wskoczył do wozu Maxa.

- Wszedł w to - powiedział.

- Cóż za niespodzianka.

W kancelarii spotkali się z zatrudnionym przez Maxa projektantem wnętrz. Projektant zaproponował Clayowi zestaw kosztownych mebli, które miał akurat na składzie, mógł je dostarczyć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Pokazał mu również próbki różnych wzorów i materiałów, wszystkie z tych droższych. Clay podpisał zamówienie.

Instalowano już telefony. Po wyjściu projektanta przyszedł spec od komputerów. Clay wydawał pieniądze tak szybko, że w pewnej chwili zaczął mieć wątpliwości, czy wydusił z Maxa wystarczająco dużo.

Kilka minut po piątej ze świeżo odmalowanego gabinetu wyszedł Pace.

Schował telefon do kieszeni i powiedział:

- Pieniądze przysły.

- Pięć milionów?

- Tak. Jesteś multimilionerem.

- Wychodzę. Do jutra.

- Gdzie idziesz?

- Już nigdy więcej nie zadawaj mi tego pytania, dobra? Nie jesteś moim szefem. I przestańcie za mną łązić. Mamy umowę.

Potrącany przez przechodniów, szedł Connecticut Avenue, uśmiechając się głupio do siebie. Doszedł aż do Siedemnastej, do wielkiego basenu przed obeliskiem Waszyngtona, gdzie grupy uczniów robiły sobie zbiorowe zdjęcia. Skręcił w prawo i przeszedł przez Constitution Garden, mijając po drodze Vietnam Memorial, tablicę z nazwiskami żołnierzy poległych w Wietnamie. W kiosku kupił dwa tanie cygara, jedno zapalił i poszedł do mauzoleum Lincolna, gdzie usiadł i długo siedział, spoglądając na odległy Kapitol.

Nie mógł trzeźwo myśleć. Każda logiczna myśl była natychmiast wypierana przez inną. A myślał o ojcu, który mieszkał na cudzej łodzi rybackiej, udając, że prowadzi dobre życie, i z trudem zarabiając na chleb; 79

o pięćdziesięcioletnim facecie bez śladnej przyszłości; o alkoholiku, który pije, żeby uciec przed smutkami. Pykał z cygara, robiąc w myśli zakupy i tak dla zabawy podliczył, ile by wydał, gdyby kupił wszystko to, co chciałby kupić: nowe ubranie, ładny wóz, wieś stereo, poza tym trochę by popodrósował. Wyszło mu, że kosztowałyby to ledwie małeńki ułamek tego, co miał dostać.

NajdłuŜej zastanawiał się nad samochodem. Wóz musiał

być elegancki, ale nie pretensjonalny.

No i oczywiście musiał zmienić adres. Rozejrzeć się po Georgetown za miłym, starym domem. Słyszał, Ŝe niektóre chodzą po sześć milionów, ale takiego nie potrzebował. Był pewny, Ŝe znajdzie coś w granicach miliona.

Milion tu, milion tam...

Pomyślał teŜ o Rebecce, chociaŜ wolałby o niej nie myśleć. Przez cztery lata była jedyną osobą, której się ze wszystkiego zwierzał. Teraz nie miał

się komu zwierzyć. Zerwali ze sobą przed pięcioma dniami, ale przez ten czas zdarzyło się tak duŜo, Ŝe prawie o niej zapomniał.

- Daj sobie spokój z Van Hornami - powiedział na głos, wydmuchując kłęb dymu.

Postanowił przekazać duŜy datek zielonym z Piedmontu na walkę o ochronę naturalnego piękna północnej Wirginii. Zatrudnić adwokata, najlepiej takiego bez licencji, który będzie zajmował się tylko śledzeniem gra-bieŝczych poczynań BVH i gdy to będzie moŜliwe, wynajmował adwokatów dla drobnych właścicieli ziemskich, nieświadomych, Ŝe mogą zostać sąsiadami Bennetta Buldoŝera. Jejku, zanosił się na niezłą zabawę!

Daj sobie spokój z tymi ludźmi.

Zapalił drugie cygaro i zadzwonił do Jonasza, który odwalał w sklepie swoje godziny.

- Mam stolik w Citronelle - powiedział. - Bądź o ósmej. - Citronelle była najmodniejszą francuską restauracją w Waszyngtonie.

- Jasne, jasne - odparł Jonasz.

- Mówię serio. Będziemy oblewać. Zmieniam pracę. Wszystko ci wyjaŝnię. Przyjdź.

- Mogę z dziewczyną?

- Wykluczone.

Jonasz nie bywał nigdzie bez obecnej dziewczyny. Clay zamierzał się wyprowadzić, a gdy się wyprowadzi, na pewno nie będzie mu brakowało jego sypialnianych wyczynów. Zadzwonił do dwóch innych kolegów z uniwerku, ale obydwaj mieli dzieci i obowiązki, poza tym dzwonił w ostatniej chwili.

A więc kolacja z Jonaszem. Prawdziwa przygoda, jak zwykle.

W kieszeni koszuli miał pachnące farbą drukarską wizytówki, które z samego rana dostarczono z nocnej drukarni. Oznajmiały wszem wobec, że jest szefem adwokatów bez licencji zatrudnionych w kancelarii mecenasa J. Cartera U. Rodney Albritton, szef adwokatów bez licencji - wyglądało to tak, jakby kierował całym wydziałem. Wydziału jeszcze nie było, ale półlegalniaków przybywało w imponującym tempie.

Gdyby nawet miał czas kupić sobie nowy garnitur, nie włożyłby go na swoją pierwszą misję. Stary nadawał się lepiej: granatowa marynarka, rozluźniony krawat, wypłowiałe dżinsy, czarne, sfatygowane wojskowe buty.

Wciąż pracował na ulicy i musiał odpowiednio wyglądać. Adelfę Pumphrey znalazł w podziemiach. Siedziała i nic nie widząc, patrzyła na rząd monitorów wewnętrznego systemu bezpieczeństwa.

Przed dziesięcioma dniami zabili jej syna.

Spojrzała na niego i wskazała deskę z listą, na którą wpisywali się wszyscy goście. Rodney dał jej wizytówkę i się przedstawił.

- Pracuję w kancelarii w śródmieściu - dodał.

- To dobrze - odrzekła, ledwo zerknąwszy na wizytówkę.

- Chciałbym z panią porozmawiać.

- O czym?

- O pani synu Ramonie.

- Po co?

- Wiem o jego śmierci coś, czego pani nie wie.

- Jego śmierć nie należy teraz do moich ulubionych tematów.

- Rozumiem i ze smutkiem o tym mówię. Ale to, co powiem, na pewno się pani spodoba. Nie zabiorę pani dużo czasu.

Adelfa rozejrzała się. Przy drzwiach w korytarzu stał inny umundurowany strażnik i wyraźnie przysypiał.

- Za dwadzieścia minut mogę zrobić sobie przerwę - powiedziała. -

Niech pan zaczeka w stołówce na pierwszym piętrze.

Idąc na górę, Rodney pomyślał, że tak, jest wart każdego centa nowej, wysokiej pensji. Biały, który

przyszedłby do Adelfy Pumphrey w tak deli-katnej sprawie, wciąż by tam przed nią stał, nerwowo drżąc i szukając słów, bo nie chciałyby z nim gadać. Nie ufałyby mu, nie uwierzyła w ani jedno jego słowo, nie interesowałyby jej nic, co miałby do powiedzenia, przynajmniej przez pierwszy kwadrans rozmowy.

Ale on był bystry, czarny i umiał ładnie mówić, a ona chciała z kimś porozmawiać.

81

Akta Ramona Pumphreya, te od Maxa Pace'a, były cienkie, ale dokładne; materiał dowodowy nie należał do najobfitszych. Jego domniemany ojciec nigdy nie ośmielił się z jego matką. Nazywał się Leon Tease i obecnie odsiadywał trzydziestoletni wyrok w Pensylwanii za rabunek i usiłowanie zabójstwa. Najwyraźniej mieszkał z Adelfą na tyle długo, żeby spłodzić dwoje dzieci, Ramona i jego młodszego brata Michaela. Kolejnego brata spłodził

później mężczyzna, którego Adelfa poślubiła i z którym się rozwiodła. Obecnie była niezamężna i poza własnymi dziećmi wychowywała dwóch chłop-ców, synów siostry, która siedziała w więzieniu za handel crackiem.

Pracowała w prywatnej firmie i zarabiała dwadzieścia jeden tysięcy dolarów rocznie, pilnując budynków w jednej z najbezpieczniejszych dzielnic Waszyngtonu. Dojeżdżała do pracy metrem. Nie miała samochodu i nie umiała nawet prowadzić. Miała konto bankowe ze skromniutkim wkładem i dwie karty kredytowe, przez które nieustannie wpadała w kłopoty i które uniemożliwiały jej uzyskanie niskoprocentowanych kredytów. Nie była notowana. Swój czas dzieliła między pracę, rodzinę i Old Salem Gospel Center, stary kościół ewangelicki niedaleko domu.

Ponieważ oboje dorastali w tym samym mieście, przez kilka minut grali w grę z cyklu „Kogo tu znasz?” Gdzie chodziła pani do szkoły? Skąd pochodzą pani rodzice? Doszukali się paru wspólnych, choć niezbyt dobrych znajomych. Adelfa piła colę bez cukru. Rodney czarną kawę. Sto-

łówka była w połowie zapełniona przez drobnych urzędników, paplających o wszystkim, tylko nie o swojej monotonnej pracy.

- Chciał pan porozmawiać o moim synu - powiedziała Adelfa po kilku minutach niezręcznej gadaniny o niczym. Mówiła cicho, głosem niskim, spiętym i wciąż smutnym.

Rodney niespokojnie poprawił się na krześle i pochylił do przodu.

- Tak, i jeszcze raz przepraszam, że do tego wracam. Też mam dzieci.

Nie wyobrażam sobie, przez co musi pani przechodzić.

- Ma pan rację.

- Pracuję w kancelarii pewnego adwokata, młodego, bardzo bystrego faceta. Dowiedział się czegoś, dzięki czemu może pani dostać dużo pieniędzy.

Wyglądało na to, że myśli o dużych pieniądzach wcale jej nie rusza.

Rodney mówił dalej:

- Ten chłopak, który zabił Ramona, leczył się w ośrodku dla narkomanów i przez cztery miesiące trzymali go tam pod kluczem. To ćpun, ulicznik bez szans na lepsze życie. W tym ośrodku podawali mu jakieś leki.

Naszym zdaniem przez jeden z tych leków odbiła mu szajba: na chybił trafił wybrał ofiarę i zaczął strzelać.

82

- A więc nie chodziło o handel narkotykami?

- Nie, absolutnie.

Adelfa popatrzyła w dal. Zwilgotniały jej oczy i przez chwilę wydawało się, że zaraz zacznie płakać. Lecz nagle spojrzała na niego całkiem trzeźwo i spytała:

- Dużo pieniędzy? To znaczy ile?

- Ponad milion dolarów - odrzekł Rodney z twarzą pokerzysty, z miłą, którą wielokrotnie ćwiczył, poważnie wątpiąc, czy zdoła wypowiedzieć to bez dziko rozbieganych oczu.

Adelfa nie zareagowała, przynajmniej początkowo. Ponownie rozejrzała się po sali.

- Robi mnie pan w konia? - spytała.

- Ja? Co bym z tego miał? Nie znam pani. Po co miałbym przychodzić tu i gadać głupoty? Na stole leżą pieniądze, duże pieniądze. Pieniądze od wielkiej firmy farmaceutycznej. Ktoś chce, żeby je pani wzięła i trzymała język za zębami.

- Od jakiej firmy?

- Proszę posłuchać, powiedziałem pani wszystko, co wiem. Miałem się z panią spotkać, powiedzieć, co jest grane, i zaprosić na spotkanie z mecenasem Carterem, adwokatem, u którego pracuję. On pani wszystko wyja-

śni.

- To biały?

- Tak. Miły gość. Pracuję z nim od pięciu lat. Spodoba się pani, a jeszcze bardziej spodoba się pani to, co powie.

Łzy obeschły. Adelfa wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

- O której pani kończy?

- O wpół do piątej.

- Nasza kancelaria mieści się przy Connecticut Avenue, piętnaście minut drogi stąd. Mecenas Carter będzie na panią czekał. Ma pani moją wizytówkę.

Adelfa spojrzała na nią ponownie.

- I jeszcze jedna bardzo ważna rzecz - dodał szeptem Rodney. - Wszystko wypali pod warunkiem, że nie piśnie pani nikomu ani słowa. To wielka tajemnica. Zrobi pani to, co doradzi pani mecenas Carter, i dostanie pani więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek się pani śniło. Ale komuś pani o tym powie i pieniądze przejdą koło nosa.

Adelfa kiwnęła głową.

- I musi pani zacząć myśleć o przeprowadzce.

- O przeprowadzce?

83

- Do nowego domu, do innego miasta, gdzie nikt was nie zna i nie wie, że ma pani dużo pieniędzy. Ładny dom na bezpiecznej ulicy, gdzie dzieciaki mogą jeździć rowerem po chodniku, gdzie nie ma prochów, handlarzy, gangów ani detektorów metalu w szkole. Gdzie śadni krewni nie będą wyciągali łapy po pani pieniądze. Proszę przyjąć tę radę od kogoś, kto dorastał

w takich samych warunkach jak pani. Niech się pani przeprowadzi. Aby dalej od tego miasta. Jeśli zabierze pani tyle pieniędzy do Lincoln Towers, zjedzą panią Szwycem.

Wypad do UOP zaowocował jak dotąd skaperowaniem panny Glick, bardzo efektywnej sekretarki, która prawie bez wahania przyjęła propozycję podwójnej pensji, i jego starej przyjaciółki Paulette Tullos, która, choć na utrzymaniu swego wciąż nieobecnego greckiego męża, chętnie skorzystała z możliwości zarobienia dwustu tysięcy dolarów rocznie, gdyś zarabiała tylko czterdzieści; no i oczywiście Rodneya. Wypad sprowokował

również dwa pilne telefony od Glendy, na które nikt nie odpowiedział, oraz całą serię ostrych e-maili, które również zignorowano, przynajmniej tymczasem. Clay poprzysiągł sobie, że w niedalekiej przyszłości spotka się z nią i przedstawi jakiś warty powód, dla którego ukradł z urzędu tylu dobrych pracowników.

Jako przeciwwagę dla tych ostatnich zatrudni również Jonasza, który, choć nigdy nie praktykował prawa - zdał egzamin dopiero za piątym razem - był dobrym przyjacielem i powiernikiem; Clay miał nadzieję, że w swoim czasie chłopak się czegoś nauczy. Jonasz nie potrafił trzymać gęby na kłódkę i lubił pić, dlatego Clay przedstawił mu tylko mgliste zarysy tego, co będą robić. Zamierzał

wprowadzać go coraz głębiej i głębiej, ale zaczął od płycizny. Jonasz miał nosa i wyczuwając duże pieniądze, wynegocjował

początkową pensję w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, to znaczy mniejszą od pensji Rodneya, ale nikt z nich nie wiedział, ile zarabiają pozostali. Księgowością i wypłatami zajmowała się nowa firma z drugiego piętra.

Paulette i Jonaszowi Clay powiedział mniej więcej to samo co Rodneyowi. A mianowicie: natknął się na wielki spisek uknuty przez wielką firmę farmaceutyczną - nazwa firmy i nazwa wadliwego leku, który firma ta wypuściła na rynek, na zawsze pozostaną jego tajemnicą. Nawiązał z tą firmą kontakt. Szybko dobił targu. W grę wchodziły duże pieniądze. Najważniejsze było dochowanie tajemnicy. Róbcie swoje i nie zadawajcie pytań. Stworzymy tu małą, miłą kancelarię, zarobimy mnóstwo forsy i jeszcze się zabawimy.

Któż mógł odrzucić taką propozycję?

84

Panna Glick powitała Adelfę Pumphrey tak, jakby ta ostatnia była pierwszą klientką nowiuteńkiej firmy, którą w rzeczy samej była. Na trzecim pię-

trze wszystko pachniało nowością: farba, wykładzina, tapety, włoskie skór-

rzane meble w recepcji. Panna Glick podała Adelfie wodę w kryształowej szklance, której nigdy dotąd nie używano, a potem na powrót zajęła się układaniem rzeczy na swoim nowiutkim biurku z lśniącego chromu i szkła.

Wtedy przyszła kolej na Paulette, która zaprowadziła Adelfę do swego gabinetu na rozmowę wstępną, a rozmowa ta bynajmniej nie przypominała wymiany plotek. Paulette notowała wszystko na temat jej rodziny i pochodzenia, gromadząc dokładnie te same dane, które zgromadził już Max Pace.

Umiała rozmawiać z pogrążoną w smutku matką.

Jak dotąd Adelfa spotkała tu samych ciemnoskórych, co bardzo podniosło ją na duchu.

- Możliwe, że widziała już pani mecenas Cartera - powiedziała Paulette, przechodząc do kolejnego punktu ogólnego scenariusza opracowane go przez nią i przez Claya. - Był wtedy w sądzie. Sędzia wyznaczył go na obrońcę Tequili Watsona, ale pan mecenas zrezygnował. I właśnie wtedy zaangażował się w sprawę tej ugody.

Zgodnie z oczekiwaniami Adelfa nic z tego nie rozumiała.

Paulette parła dalej:

- Przez pięć lat pracowaliśmy razem w Urzędzie Obrońcy Publicznego. Kilka dni temu rzuciliśmy pracę i otworzyliśmy tę kancelarię. Pan mecenas na pewno się pani spodoba. Jest bardzo miłym człowiekiem i dobrym prawnikiem. Uczciwym i lojalnym wobec klientów.

- Dopiero co zaczęliście?

- Tak. Clay od dawna marzył o własnej firmie. Zaprosił mnie do wspól-
pracy. Jest pani w bardzo dobrych rękach, Adelfo.

Konsternacja ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Ma pani jakieś pytania?

- Mam tyle, że nie wiem, od czego zacząć.

- Rozumiem. Dam pani pewną radę. Proszę nie zadawać zbyt wielu pytań. Wielka firma chce dać pani dużo pieniędzy, żeby uniknąć potencjalnego oskarżenia o pośrednie spowodowanie śmierci pani syna. Jeśli się pani zawaha i zacznie pytać, może pani nie dostać nic. Niech pani weźmie te pieniądze, Adelfo. Niech pani je weźmie i ucieka.

Gdy nadeszła pora, Paulette zaprowadziła ją do dużego gabinetu w głę-

bi korytarza. Clay już od godziny nie mógł usiedzieć w miejscu, ale spokojnie powitał ją w progach kancelarii. Był w rozluźnionym krawacie, miał

podwinięte rękawy, a na biurku wały się akta i dokumenty, jakby prowadził wiele spraw naraz. Paulette została, dopóki całkowicie nie przełamano pierwszych lodów i, zgodnie z planem, wyszła.

85

- Poznaję pana - powiedziała Adelfa.

- Tak, byłem w sądzie na rozprawie wstępnej Tequili Watsona. Sędzia przydzielił mi jego sprawę, ale się jej pozbyłem. Teraz pracuję po drugiej stronie barykady.

- Słucham pana.

- Pewnie niewiele pani z tego rozumie.

- Niewiele.

- To naprawdę bardzo proste. - Clay oparł się o brzeg biurka i spojrzał

w jej twarz. Założył ręce i spróbował przybrać pozę człowieka, który już

nie raz takie rzeczy załatwiał. Opowiedział jej o wielkiej, nieuczciwej firmie farmaceutycznej i chociaż opowieść była dłuższa i bardziej ożywiona niż ta, którą uraczył Rodneya, wciąż była opowieścią bez konkretnych szczegółów i faktów. Adelfa siedziała w głębokim skórzanym fotelu, z rękami na kolanach spodni od służbowego munduru i patrzyła na niego, nie mrugając i nie wiedząc, w co ma wierzyć.

Kończąc, Clay powiedział:

- Chcą dać pani dużo pieniędzy, i to natychmiast.

- Ale konkretnie kto?

- Firma farmaceutyczna.

- Jak się nazywa?

- Ma kilka nazw i kilka adresów, ale prawdziwej nazwy nigdy pani nie pozna. To część umowy. Pani i ja, klientka i prawnik, musimy zatrzymać to wszystko w tajemnicy.

Adelfa w końcu zamrugła, rozłożyła i ponownie skrzyżowała ręce, a potem poprawiła się w fotelu. Gdy spojrzała na perski dywan zaścielający połowę podłogi, jej oczy zaszyły mgłą.

- Dużo, to znaczy ile? - spytała.

- Pięć milionów dolarów.

- Boże świąty! - wykrztusiła i rozplakała się. Ukryła twarz w dłoniach i długo łkała, nie próbując nawet przestać. Clay podał jej chusteczkę higieniczną z pudełka.

Pieniądze na ugody leżały na koncie w Chase Bank, tuż obok pieniędzy Claya. Na biurku piętrzyły się przygotowane przez Maxa dokumenty. Clay przejrzał je wraz z Adelfą, wyjaśniając, że pięć milionów dolarów zostanie przelane na jej konto z samego rana, gdy tylko otworzą bank. Przewracał

kartkę za kartką, zwracając uwagę na najważniejsze aspekty prawne i ka-

jąc jej podpisywać w wyznaczonych miejscach. Adelfa była zbyt skołowana, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Proszę mi zaufać - powtarzał w kółko Clay. - Jeśli chce je pani mieć, proszę tu podpisać.

86

- Czuję się tak, jakbym robiła coś złego.

- Nie, Adelfo. Zło wyrządził ktoś inny. Jest pani ofiarą, ofiarą i moją klientką.

- Muszę z kimś porozmawiać - powiedziała po którymś z rzędu podpisie.

Ale nie miała z kim. Według szpiegów Maxa, jej przyjaciel wybył, poza tym nie należał do tych, którzy mogliby udzielać jakichkolwiek rad. Miała siostry i braci, którzy mieszkali od Waszyngtonu aż po Filadelfię, ale na pewno nie byli inteligentniejsi od niej. Rodzice nie żyli.

- Popełniłaby pani błąd - odrzekł delikatnie Clay. - Jeśli zachowa pani tajemnicę, będzie się pani

lepiej było. Jeśli zacznie pani mówić, pieniądze te zniszczą panią.

- Nie umiałabym nimi gospodarować.

- Chętnie pani pomożemy. Paulette mogłaby pani doradzać.

- Byłoby dobrze.

- Po to tu jesteśmy.

Paulette odwiozła ją do domu, co trwało dość długo, gdyż była akurat godzina szczytu. Później powiedziała Clayowi, że po drodze Adelfa mówiła niewiele i kiedy dojechały na miejsce, nie chciała wysiąść. Siedziały więc w samochodzie przez pół godziny, rozmawiając cicho o jej nowym życiu.

Koniec z zasiłkami z opieki społecznej, koniec z nocnymi strzelaninami.

Koniec z modlitwami do Boga o bezpieczeństwo dzieci. Już nigdy więcej nie będzie musiała martwić się o nie tak, jak martwiła się o Ramona.

Koniec z gangami. Koniec ze złymi szkołami.

Gdy zaczęły się w końcu śnić, Adelfa płakała.

ROZDZIAŁ 13

Czarny porsche carrera zatrzymał się powoli pod cienistym drzewem przy ulicy Dumbarton. Clay wysiadł i przez kilka sekund udało mu się nie zwracać uwagi na swoją nową zabawkę, ale zaraz potem, rozejrzawszy się szybko na wszystkie strony, z zachwytem zerknął na nią jeszcze raz. Kupił ją przed trzema dniami i wciąż nie mógł uwierzyć, że należy do niego. Przywyknij, powtarzał sobie w duchu, i czasem udawało mu się zachowywać tak, jakby to był zwykły samochód, nic specjalnego, ale gdy tylko widział

wóz ponownie, po choćby króciutkim niewidzeniu, serce biło mu szybciej.

„JeŚdŚę porsche”, mówił do siebie na głos, pędząc autostradą jak kierowca formuły pierwszej.

87

Był osiem ulic za głównym campusem uniwersytetu Georgetown, gdzie studiował cztery lata, zanim zdał do szkoły prawniczej niedaleko Kapitolu.

Domy były tu malownicze i historyczne; małe trawniki starannie utrzymane; ulice porośnięte prastarymi dębami i klonami. Do ruchliwych sklepów, barów i restauracji przy ulicy M miał ledwie dwie przecznice i mógł tam dojść piechotą. Przez cztery lata biegał tymi ulicami, spędził wiele długich wieczorów z kumplami w klubach i pubach przy M i Wisconsin Avenue.

A teraz miał tu zamieszkać.

Za dom, który przykuł jego uwagę, Śądano milion trzysta tysięcy dolarów. Znalazł go, krąŚąc po Georgetown przed dwoma dniami. Na N był

jeszcze jeden, na Volta kolejny, a wszystkie o rzut kamieniem od siebie.

Postanowił, Śe kupi któryś do końca tygodnia.

Ten przy Dumbarton, jego pierwszy wybór, zbudowano w pięćdziesią-

tych latach dziewiętnastego wieku i od tamtego czasu starannie go utrzymywano. Jego ceglana fasadę wielokrotnie przemalowywano i obecnie była niebieskawa, lekko wypłowiała. Cztery poziomy, włączając w to piwnicę.

PoŚrednik handlu nieruchomościami twierdził, Śe właściciele, dwoje emerytów, którzy niegdyś przyjmowali tu Kennedych i Kissingerów - proszę wypełnić rubryczki najślynniejszymi nazwiskami, jakie tylko przyjdą panu do głowy - bardzo o niego dbali. Kennedy i Kissinger. Waszyngtońscy po-

Średnicy sypali nazwiskami szybciej niŚ ci z Beverly Hill, zwłaszcza gdy chodziło o posiadłość w Georgetown.

Clay przyjechał kwadrans przed czasem. Dom był pusty; poŚrednik mówił, Śe właściciele mieszkają teraz w domu pogodnej starości. Wszedł

furtką do małego ogrodu na tyłach i przez chwilę go podziwiał. Basenu nie było. Ani basenu, ani nawet miejsca na basen; ziemia w Georgetown jest bardzo droga. Był za to taras z meblami z kutego Śelaza i wypełzającymi z klombów chwastami. Wiedział, Śe nie będzie miał czasu się nimi zająć.

Śe będzie mógł poświęcić na to najwyŚej kilka godzin, nie więcej.

MoŚe po prostu zatrudni ogrodnika.

Podobał mu się i ten dom, i ten tuŚ obok. Podobała mu się ulica, panująca tu przytulna atmosfera, sąsiedztwo ludzi, którzy mieszkając blisko siebie, szanowali swoją i cudzą prywatność. Siedząc na

frontowych schodach, postanowił, że zaproponuje równy milion, że będzie twardo negocjował i blefował, że zagrozi rezygnacją i że w ogóle będzie się dobrze bawił, patrząc, jak pośrednik biega co chwilę do właścicieli i z powrotem, ale że w końcu chętnie zapłaci tyle, ile tamci żądali.

Patrząc na swego porsche, ponownie odpłynął myślą do świata fanta-zji, gdzie pieniądze rosły na drzewach i gdzie mógł kupić wszystko, co tylko zechciał. Włoskie garnitury, niemieckie sportowe samochody. Dom 88

w Georgetown, biuro w śródmieściu - co dalej? Zastanawiał się nad kup-nem łodzi dla ojca, oczywiście większej, takiej, która przyniosłaby mu większy dochód. Mógłby otworzyć małą firmę czarterową na Bahamach, zani-

żyć wartość łodzi i odpisać sobie większość kosztów, dzięki czemu ojciec nieźle by zarabiał. Jarrett tam umierał. Za dużo pił, sypiał z kim popadło, mieszkał na cudzej krypie i żebrał o napiwki. Clay chciał ułatwić mu życie.

Wydawanie pieniędzy przerwał mu - tylko chwilowo - trzask drzwi.

Przyszedł pośrednik.

Na liście Maxa Pace'a figurowało siedem nazwisk. Siedem nazwisk, które znał. Nazwiska siedmiorga ludzi, których namierzyli i śledzili jego szpiedzy. Tarvan wycofano z rynku przed osiemnastoma dniami, a jego producenci twierdzili, że to coś, co kazało ludziom zabijać po jego śmierci, zwykle przestawało działać po dziesięciu dniach. Ponieważ nazwiska uło-

sono chronologicznie, Ramon Pumphrey znalazł się na szóstym miejscu.

Na pierwszym był student uniwerku, który wyszedł ze Starbucka przy Wisconsin Avenue w Bethesda i od razu przed kawiarnią natknął się na faceta ze spluwą w ręku. Pochodził z Bluefield w Wirginii Zachodniej. Clay dojechał tam w rekordowym czasie, bynajmniej się nie spiesząc, jak kierowca rajdowy, któremu przyszło śmignąć przez dolinę Shenandoah. Idąc za wskazówkami Maxa, odszukał dom rodziców zamordowanego, mały, posępny bungalow niedaleko centrum. Zaparkowawszy na podjeździe, dłu-go siedział w samochodzie i wreszcie powiedział na głos:

- Jezu. Nie wierzę, że to robię.

Lecz w końcu wysiadł, a zmotywowały go do tego dwie rzeczy. Po pierwsze, nie miał wyboru. Po drugie, chciał mieć piętnaście, a nie pięć milionów dolarów. Chciał mieć wszystko.

Miał na sobie sportowe ubranie; teczkę zostawił w samochodzie. Matka była w domu, ojciec jeszcze w pracy. Wpuściła go niechętnie, ale potem zaproponowała herbatę i ciasteczka. Clay czekał w gabinecie obwieszonym zdjęciami zabitego syna. Zasłony były zaciągnięte. W domu panował bałagan.

Co ja tu robię?

Matka długo opowiadała o synu, a on z wyjątkową uwagą wsłuchiwał

się w kaŝde jej słowo.

Ojciec sprzedawał polisy ubezpieczeniowe kilka ulic dalej i wrócił, zanim rozpuścił się lód w szklankach. Clay przedstawił im sprawę, to znaczy to, co mógł im przedstawić. Początkowo zadawali mu ostroŝne pytania: Ilu innych zginęło? Dlaczego nie moŝna pójść z tym na policję czy gdzieś?

Czy nie powinno się tego nagłośnić? Clay odpowiedział na wszystkie jak zaprawiony w bojach weteran. Pace dobrze go wyszkolił.

89

Podobnie jak pozostałe ofiary, ludzie ci nie mieli wyboru. Mogli wpaść w gniew, mogli zadawać pytania, stawiać ŝądania, domagać się sprawiedliwości albo po cichu przyjąć pieniądze. Pięć milionów dolarów - w pierwszej chwili chyba to do nich nie dotarło, a jeśli dotarło, cudownie się maskowali. Chcieli być źli i pieniądze wcale ich nie interesowały, przynajmniej początkowo. Ale w miarę upływu czasu zaczęli dostrzegać światło.

- Jeśli nie moŝe pan zdradzić nam prawdziwej nazwy tej firmy, nie przyjmujemy ani centa - powiedział w pewnej chwili ojciec.

- Nie znam jej - odparł Clay.

Były łzy i groźby, miłość i nienawiść, chęć wybaczenia i ukarania: od popołudnia do wieczora przeŝyli niemal wszystkie moŝliwe emocje. Wła-

śnie pochowali najmłodszego syna i trawił ich niewysłowiony, odrętwiają-

cy ból. Nie znosili Claya za to, ŝe przyszedł, ale dziękowali mu serdecznie za troskę. Nie ufali adwokatowi z wielkiego miasta, który najwyraźniej kła-mał, obiecując im miliony, ale zaprosili go na kolację.

Wniesiono ją do domu punktualnie o szóstej. Cztery panie, koleŝanki z kościoła, przytargały tyle jedzenia, ŝe nie zjedliby tego przez tydzień.

Clay, którego przedstawiono jako przyjaciela z Waszyngtonu, natychmiast wpadł w krzyŝowy ogień pytań. Najbezwzględniejszy adwokat nie byłby dociekliwszy niŝ te cztery damy.

Damy w końcu wyszły. Robiło się coraz później, więc Clay zaczął ich naciskać. Proponował dobry układ - innego nie zaproponuje im nikt. Kilka minut po dziesiątej zaczęli podpisywać dokumenty.

Nie ulegało wątpliwości, ŝe najtrudniejszy będzie numer trzeci, sie-demnastoletnia prostytutka, która przez większość ŝycia pracowała na ulicy. Policja uwaŝała, ŝe w przeszłości robiła z mordercą jakieś interesy, ale nie miała pojęcia, dlaczego ją zastrzelił. Zrobił to przed barem, na oczach trzech ŝwiadków.

Zwano ją Bandy, bo nazwisko nie było nikomu potrzebne. Przeprowa-dzone przez Maxa śledztwo nie ujawniło ani męŝa, ani rodziców, ani rodzeństwa, ani dzieci, ani domowego adresu, ani nazwy

kościół czy szkoły, do której chodziła, ani tego - co najbardziej zdumiewające - czy była kiedykolwiek notowana. Nie było pogrzebu. Pochowano ją w zbiorowej mogile - w Waszyngtonie w takich mogiłach kończyło kilkadziesiąt osób rocznie. Gdy jeden ze szpiegów Pace'a rozpytywało ją u koronera, powiedziano mu: „Bandy leży w grobie nieznanej prostytutki”.

Jedynym kluczem do zagadki był morderca. Powiedział policji, że dziewczyna ma ciotkę w Małym Bejrucie, najbardziej niebezpiecznym getcie 90

w południowo-wschodniej części miasta. Ale po dwóch tygodniach intensywnych poszukiwań śladnej ciotki nie znaleziono.

Bez znanych spadkobierców ugoda nie mogła dojść do skutku.

ROZDZIAŁ 14

Ostatnimi klientami byli rodzice dwudziestoletniej studentki Uniwersytetu Howarda, która wyleciała ze studiów jednego tygodnia i już następnego została zamordowana. Mieszkali w Warrenton w Wirginii, sześćdziesiąt cztery kilometry na zachód od Waszyngtonu. Przez godzinę siedzieli w gabinecie Claya i trzymali się kurczowo za ręce, jakby jedno nie mogło funkcjonować bez drugiego. Czasem popłakiwali, wylewając swój niewysłowiony smutek. Czasem zachowywali stoicki spokój i byli tak twardzi, tak silni i nieugięci, że Clay miał chwilami wątpliwości, czy zechcą przyjąć pieniądze.

Ale w końcu je przyjęli, chociaż było jasne, że ze wszystkich klientów zależy im na nich najmniej. Niewykluczone, że z czasem je docenią, ale na razie pragnęli jedynie, żeby zwrócono im córkę.

Paulette i panna Glick odprowadziły ich do windy, gdzie wszyscy zaczęli się wzajemnie obejmować. Gdy zamykały się drzwi, rodzice z trudem powstrzymywali łzy.

Mały zespół Claya zebrał się w sali konferencyjnej, by cieszyć się chwilą i dziękować Bogu, że nie odwiedzą ich już śladne wdowy i pogrążeni w rozpacz rodzice, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Z tej okazji zamroźono drogiego szampana i Clay napełnił kieliszki. Panna Glick odmówiła, ponieważ nigdy nie piła, ale była jedyną abstynentką w kancelarii.

Wrażenie szczególnie spragnionych robili Paulette i Jonasz. Rodney wolał

by budweisera, ale nie pogardził i szampanem.

Przy drugiej butelce Clay wstał, żeby przemówić.

- Mam kilka ogłoszeń - powiedział, stukając w kieliszek. - Po pierwsze, zakończyliśmy sprawę tylenolu. Wszystkim gratuluję i dziękuję. -

„Tylenol” był kryptonimem tarvanu, leku, którego prawdziwej nazwy nigdy nie mieli poznać. Tak samo jak nie mieli poznać wysokości jego honorarium. Domyślali się, że zbił fortunę, ale nie wiedzieli jak wielką.

Rozległy się oklaski.

- Po drugie- kontynuował Clay - oblejemy to dzisiaj w Citronelle.

Zbiórka punktualnie o ósmej. Czeka nas długi wieczór, bo jutro nie pracujemy. Kancelaria jest zamknięta.

91

Znowu oklaski, znowu szampan.

- Po trzecie, za dwa tygodnie wyjeżdżamy do Paryża. Wszyscy, każdy z przyjacielem lub przyjaciółką, najchętniej z mężem lub żoną. Kancelaria pokrywa wszystkie koszty. Bilet lotniczy pierwszej klasy, luksusowy hotel i tak dalej. Lecimy na tydzień. Nie ma żadnych wyjątków. Jestem waszym szefem i rozkazuję wam lecieć ze mną do Paryża.

Panna Glick zasłoniła sobie usta rękami. Wszyscy byli oszołomieni.

Ciszę przerwała Paulette.

- Ale chyba nie do Paryża w Tennessee.

- Nie, moja droga, do tego prawdziwego.

- A jeśli spotkam tam mojego męża? - spytała z półśmiechem Paulette i pozostali wybuchli śmiechem.

- Jeśli chcesz, możesz jechać do Tennessee - odrzekł Clay.

- Po moim trupie, złotko.

Panna Glick w końcu odzyskała mowę.

- Ale ja nie mam paszportu.

- Formularze leżą na moim biurku. Zajmę się tym. Załatwienie paszportu trwa niecały tydzień. Coś jeszcze?

Zaczęli rozmawiać o pogodzie, o jedzeniu, o tym, co na siebie włożą.

Jonasz deliberował, z kim jechać. Tylko Paulette była w Paryżu, w podró-

ży poślubnej, na krótkiej wycieczce, która skończyła się dość nieprzyjemnie, bo Grek musiał nagle wyjechać w pilnej sprawie służbowej. Wracła do Stanów sama, za to pierwszą klasą.

- Skarbie - mówiła - w jedyńce podają szampana. A fotele są wielkie jak sofa.

- I mogę zabrać, kogo chcę? - spytał Jonasz, który najwyraźniej nie mógł się ostatecznie zdecydować.

- Wyliminujmy męŜatki, dobra? - zaproponował Clay.

- To zdecydowanie zawęŜa wybór.

- A ty z kim pojedziesz? - spytała Paulette.

- Pewnie z nikim - odparł Clay i w sali zapadła cisza. Wszyscy od dawna szeptali po kątach o jego rozstaniu z Rebeką, a materiału do plotek dostarczał im głównie Jonasz. Chcieli, by szef był szczęśliwy, chociaŜ nie znali go na tyle, Őeby wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Tam jest jakaś wieŜa - powiedział Rodney.

- WieŜa Eiffla - wyjaśniła Paulette. - MoŜna wejść na sam wierzchołek.

- Beze mnie. Wygląda niebezpiecznie.

- Widzę, Őe prawdziwy z ciebie podróŜnik.

- Długo tam zostaniemy? - spytała panna Glick.

92

- Siedem nocy - odrzekł Clay. - Siedem nocy w ParyŜu. - I wszyscy pogrąŜyli siew podsycanych szampanem marzeniach. A jeszcze przed miesiącem siedzieli zamknięci w posepnym biurze. Wszyscy oprócz Jonasza, który sprzedawał wtedy komputery.

Max chciał z nim pogadać, a poniewaŜ kancelaria była zamknięta, Clay zaproponował spotkanie w południe, gdy minie kac. Kac minął, ból głowy nie.

- Wyglądasz fatalnie - zaczął ciepło Pace.

- Wczoraj oblewaliśmy zwycięstwo.

- To, co chcę z tobą obgadać, jest bardzo waŜne. Dasz radę się skupić?

- Jasne. Wal.

Pace zaczął krąŜyć po pokoju z kubkiem kawy w ręku.

- Nareszcie uprzątnęliśmy bałagan z tarvanem – oznajmił

zdecydowanie. Sprawa była załatwiona dopiero wtedy, gdy to powiedział, nie wcześniej. - Mamy sześć ugód. JeŜeli kiedykolwiek pojawi się któryś z krewnych tej prostytutki, będziesz musiał się nim zająć. Ale jestem przekonany, Őe nie miała rodziny.

- Ja teŜ.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Clay.
- Dobrze mi za to płacą.
- Jeszcze dzisiaj przeleję na twoje konto ostatnią ratę. Będziesz miał

całe piętnaście milionów. To znaczy to, co z nich zostało.

- Czego się spodziewałeś? że będę jeździł starym wrakiem, spał w brudnej norze i chodził w tanim ubraniu? Sam mówiłeś, że trzeba wydawać pieniądze, żeby stworzyć dobre wrażenie.

- śartuję. A wrażenie, owszem, stwarzasz znakomite.

- Dziękuję.

- Przejście z biedy do bogactwa przychodzi ci z niezwykłą łatwością.

- Mam talent.

- Tylko ostrożnie, Clay. Nie zwracaj na siebie zbyt dużej uwagi.

- Porozmawiajmy o tej sprawie.

Pace usiadł i podsunął mu akta.

- Chodzi o dyloft wytwarzany przez Ackerman Labs, lek przeciwzapalny dla artretyków. Jest nowy i lekarze oszaleli na jego punkcie. Sprawia cuda, pacjenci go uwielbiają. Ale są dwa problemy. Po pierwsze, produkuje go rywal mojego klienta. Po drugie, lek powoduje powstawanie guzków w pęcherzu moczowym. Firma mojego klienta, tego od tarvanu, produkuje podobny. Był popularny jeszcze rok temu, do chwili gdy na rynek wszedł

dyloft. Na środkach przeciwzapalnych można zarobić mniej więcej trzy 93

miliardy rocznie. Dyloft jest już lekiem numer dwa i w tym roku prawdopodobnie zarobi miliard; trudno to dokładnie przewidzieć, ponieważ

szybko rośnie. Lek mojego klienta zarobił do tej pory półtora miliarda, ale popyt wciąż spada. Jeszcze trochę i dyloft zmiażdży całą konkurencję. Jest aż tak dobry. Kilka miesięcy temu mój klient kupił małą firmę farmaceutyczną w Belgii. Firma miała kiedyś filię, którą połączyli ci z Ackermana.

Połączyli i zwolnili kilku badaczy. Przy okazji z laboratorium znikła część dokumentacji, żeby za jakiś czas wypłynąć zupełnie gdzie indziej. Mój klient ma świadków i papiery, dzięki którym możesz dowieść, że dyrekcja Ackerman Labs wie o tych guzkach co najmniej od pół roku. Nadążasz?

- Nadążam. Ilu pacjentów bierze dyloft?

- Trudno powiedzieć, bo ich liczba szybko wzrasta. Prawdopodobnie około miliona.

- A ile procent ma guzki?
- Badania wskazują, że pięć. To wystarczy, żeby udupić lek na amen.
- Skąd wiadomo, że pacjent ma guzki?
- Robi się analizę moczu.
- Chcesz, żebyśmy pozwali do sądu Ackerman Labs?
- Zaczekaj. Prawda o dyloftcie wkrótce wyjdzie na jaw. Jak dotąd nie było żadnego procesu, żadnych roszczeń, nie opublikowano żadnych nie-korzystnych danych. Moi agenci donoszą, że Ackerman liczy szmal i odkłada go na konto, żeby spłacić adwokatów, kiedy rozpęta się burza. Niewykluczone, że próbują dyloft ulepszyć, wyeliminować wadę, ale to trwa i wymaga zgody Federalnego Urzędu Świeżości i Leków. Mają dylemat, bo potrzebują forsy. Kupując inne firmy, mocno się zadłużyli i jeszcze nie spłacili wszystkiego. Ich akcje idą po czterdzieści dwa dolary za sztukę.

Rok temu szły po osiemdziesiąt.

- Co będzie, kiedy ludzie dowiedzą się o dyloftcie?
- Akcje spadną na łeb, na szyję i właśnie tego chce mój klient. Jeśli wszystko przebiegnie gładko, zakładam, że ty i ja na pewno z tym sobie poradzimy, wiadomość o ewentualnym procesie pogrzebie Ackermana raz za zawsze. Ponieważ mamy w ręku dowód, że dyloft jest wadliwy, firma nie będzie miała wyboru i będzie musiała pójść na ugodę. Nie zaryzykują procesu, nie z tak niebezpiecznym lekiem.
- Dobra, a złe wieści?
- Dziewięćdziesiąt pięć procent guzków to guzki łagodne i bardzo małe.

Nie uszkadzają pęcherza.

- A więc groźba procesu ma jedynie wstrząsnąć rynkiem, tak?
- Tak, no i oczywiście zrekompensować straty poniesione przez ofiary leku. Nie chcę mieć w pęcherzu guzków, ani łagodnych, ani złośliwych.

94

Większość przysięgłych pomyślałaby tak samo. Oto nasz plan: zbierzesz pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu powodów i złożysz pozew w imieniu wszystkich pacjentów biorących dyloft. Jednocześnie, dokładnie w tym samym czasie, puścisz w telewizji serię ogłoszeń, żebyściągnąć więcej pozwów. Uderzysz mocno i szybko, zdobędziesz ich tysiące. Ogłoszenia pójdą w całym kraju, od wybrzeża do wybrzeża: krótkie i ostre, takie, które napędzą ludziom strachu i każą im zadzwonić pod bezpłatny numer w Waszyngtonie, obsługiwany przez setkę twoich półlegalniaków. Będzie cię to

kosztowało trochę pieniędzy, ale jeśli zdobędziesz powiedzmy pięć tysięcy pozwów i ułożysz się po dwadzieścia tysięcy dolarów od łebka, zgarniesz sto milionów. Jedna trzecia jest twoja.

- To jakiś obłąd!

- Nie, Clay, to kwintesencja systemu pozwów zbiorowych. Tak to po prostu działa. Jeśli tego nie zrobisz, gwarantuję ci, że zrobi to ktoś inny. Już

niebawem. W branży farmaceutycznej krąży tyle pieniędzy, że fachmani od masówek czekają jak sępy na każdy wadliwy lek. A wierz mi, takich leków jest mnóstwo.

- Ale dlaczego akurat ja?

- Chodzi o zgranie w czasie, mój przyjacielu. Jeśli mój klient będzie wiedział dokładnie, kiedy złożysz pozew, natychmiast zareaguje na potrzeby rynku.

- Ale skąd wytrzasnę pięćdziesięciu powodów?

Max postukał palcem w akta.

- Znamy ich co najmniej tysiąc. Nazwiska, adresy, wszystko tu jest.

- Wspomniałeś o setce półlegalniaków?

- Nie, przesada. Zatrudnisz, powiedzmy, sześciu do odbierania telefonów i zakładania akt. Tylu powinno wystarczyć. Ale pamiętaj, że możesz skończyć z pięcioma tysiącami indywidualnych klientów.

- Ogłoszenia telewizyjne?

- Tak jest. Znam firmę, która może je nagrać w niecałe trzy dni. Nic specjalnego: głos lektora, spadające na stół pigułki, potencjalne zagrożenia wynikające z zażywania dyloftu. Piętnaście sekund strachu na tyle dużego, żeby ludzie chwycili za słuchawkę i zadzwonili do kancelarii mecenasa Cartera II. Wierz mi, takie ogłoszenia skutkują. Puszczaj je przez tydzień we wszystkich większych sieciach telewizyjnych i nie będziesz mógł opę-

dzić się od klientów.

- Ile to będzie kosztowało?

- Ze dwa miliony, ale cóż, stać cię na to.

Teraz z kolei Clay zaczął nerwowo chodzić po pokoju, bo krew przestała mu krążyć w żyłach. Widział ogłoszenia zachęcające do występowania 95

przeciwko producentom pigułek odchudzających, ogłoszenia, w których niewidoczni adwokaci próbowali nastraszyć pacjentów i zmusić ich do wykręcenia bezpłatnego numeru telefonicznego.

Jezu, chyba nie zamierzał

upaść tak nisko.

Z drugiej strony, zgarnąłby za to trzydzieści trzy miliony dolarów! A wciąż nie mógł dojść do siebie po pierwszych piętnastu.

- Jak to wygląda czasowo?

Pace miał już harmonogram.

- Musisz namotać klientów i masz na to najwyżej dwa tygodnie. Trzy dni na nagranie ogłoszenia. Kilka dni na wykupienie czasu antenowego.

Będziesz musiał zatrudnić tych bez licencji i wynajmować lokal na przedmie-
ściach; tu jest za drogo. Trzeba przygotować pozew. Masz dobry personel.

Powinieneś wyrobić się w niecały miesiąc.

- Zabieram ich na tydzień do Paryża, ale jakoś to załatwimy.

- Mój klient chce, żeby pozew trafił do sądu w niecały miesiąc. Dokładnie mówiąc, do drugiego czerwca.

Clay wrócił do stołu i popatrzył na Maxa.

- Nigdy w Syciu z czymś takim nie występowałem - powiedział.

Pace wyciągnął z teczki jakąś broszurę.

- Co robisz w ten weekend? - spytał. - Jesteś zajęty?

- Niezbyt.

- Byłeś kiedyś w Nowym Orleanie?

- Dziesięć lat temu.

- A słyszałeś może o Kręgu Adwokackim?

- Powiedzmy.

- Stara grupa, nowe Sycie: ekstraklasa adwokatów od zbiorówek. Spotykają się dwa razy w roku, żeby pogadać o najnowszych trendach w tej branży. Miałbyś bardzo produktywny weekend. -
Przysunął broszurę bli-

żej i Clay ją podniósł. Na pierwszej stronie widniało kolorowe zdjęcie hotelu Royal Sonesta w

Dzielnicy Francuskiej.

W Nowym Orleanie było ciepło i jak zwykle wilgotno, zwłaszcza w Dzielnicy Francuskiej.

Był sam, i dobrze. Nawet gdyby się nie rozstali, Rebeka by z nim nie przyjechała. Miałyby za duŜo pracy, no i musiałyby pójść z matką po zakupy. Słowem, rutyna. Chciał zaprosić Jonasza, ale łączące ich stosunki były chwilowo napięte. Przeprowadził się z ich wspólnej nory do wygodnego domu w Georgetown i go tam nie zaprosił, krótko mówiąc, popełnił afront, lecz był to afront spodziewany. Postanowił załagodzić to później. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, był zwariowany lokator wychodzący i wra-96

cający do domu o kaŜdej porze dnia i nocy z kaŜdą przybłądą, jaką tylko mógł znaleźć.

Pieniądze zaczynały go izolować. Starych kumpli, do których kiedyś dzwonił, teraz ignorował, chcąc uniknąć dociekliwych pytań. Przestał chodzić do swoich dawnych restauracji i knajpek, bo stać go było na lepsze.

W niecały miesiąc zmienił pracę, dom, samochód, bank, ubranie, restaurację, siłownię i definitywnie zamierzał zmienić dziewczynę, chociaŜ na horyzoncie nie pojawiła się jak dotąd Őadna kandydatka. Nie rozmawiali z Rebeką od dwudziestu ośmiu dni. Zakładał, Őe zgodnie z umową, dnia trzydziestego do niej zadzwoni, ale tyle się od tamtego czasu zmieniło.

Zanim wszedł do hotelowego holu, koszula zdąŜyła przykleić mu się do pleców. Wpisowe wynosiło pięć tysięcy dolarów, czyste zdzierstwo, zwłaszcza za trzy dni fraternizowania się z bandą adwokatów. Kwota ta głoŝiła wszem wobec, Őe zaproszeni sã tylko bogaci, ci, którzy traktują masówki bardzo powaŜnie. Pokój kosztował czterysta pięćdziesiąt dolarów za dobę i zapłacił zań nowiuteńką, jeszcze nieuŜywaną platynową kartą kredytową.

Trwały róŜne seminaria. Seminarium poświęcone pozwom zbiorowym w sprawie zatruc prowadziło dwóch adwokatów, którzy pozwali do sądu firmę chemiczną za to, Őe zatrula gdzieś wodę pitną, co mogło - choć nie-koniecznĳe - spowodować raka, ale firma poszła na ugodę, zapłaciła pół

miliarda dolarów i adwokaci zarobili krocie. W sali obok ryczał telewizor; pokazywano film o tym, jak pogrywać z mediami, lecz widzów było niewielu. Zresztã wszystkie seminaria cieszyły się słabã popularnoŝciã. Ale był dopiero piãtek, a ci z wagi cięŜkiej mieli przyjechać w sobotę.

W małej sali wystawowej jedna z firm lotniczych zorganizowała pokaz filmu demonstrujãcego zalety luksusowego samolotu odrzutowego, maszyny najnowszej generacji. Film wyŝwietlano na duŜym ekranie w kãcie sali, stał tam zbity tłumek adwokatów, którzy w milczeniu podziwiali cud współ-

czesnej awiacji. Zasięg sześć tysięcy czterysta kilometrów: „Od wybrzeŜa do wybrzeŜa albo z Nowego Jorku do ParyŜa, oczywiŝcie non stop”. Spalał

mniej paliwa niŜ cztery inne odrzutowce, o których Clay nigdy dotãd nie slyszal, byl teŜ od nich duŜo szybszy. Wnętrze miał przestronne, takie z licznymi fotelami i sofami, a nawet z urodziwã stewardesã w krótkiej spódnicy, która chodziła po pokładzie z butelkã szampana i miseczkã wiŝni na

srebrnej tacy. Meble były skórzane, ciemnobrązowe. Maszyna dla przyjemności albo do pracy, bo galaxy 9000 wyposażono w najnowocześniejszy system telefoniczny oraz w odbiornik satelitarny, dzięki któremu wiecz-nie zajęty adwokat mógł dodzwonić się, gdzie tylko zechciał; no i faksy, kopiarki, dostęp do Internetu. W filmie występowała grupa srogich, twardych niby-prawników, którzy nie zwracając uwagi na ponętą blond 97

stewardesę w krótkiej spódnicy, siedzieli przy stole w koszulach z podwiniętymi rękawami i pracowali nad jakąś ugodą.

Czując się jak intruz, Clay powolutku wszedł głębiej w tłum. Na filmie - co bardzo rozsądne - ani razu nie wspomniano o cenie galaxy 9000.

Samolot można było kupić inaczej, na dogodniejszych warunkach - w grę wchodził leasing, spółka, wymiana starej maszyny na nową - które chętnie wyjaśniali gotowi do boju przedstawiciele firmy. Gdy ekran zgasł, wszyscy zaczęli mówić naraz, ale nie o wadliwych lekach czy pozwach zbiorowych, tylko o odrzutowcach i o tym, ile trzeba zapłacić pilotom. Przedstawiciele firmy zostali otoczeni wianuszkami kupujących. W pewnej chwili Clay usłyszał, jak jeden z nich mówi:

- Nowy kosztuje około trzydziestu pięciu.

Jezu, chyba nie trzydziestu pięciu milionów.

Inni wystawcy też oferowali luksusowe produkty. Budowniczy jachtów zgromadził okazałe audytorium. Był pośrednik handlu nieruchomości-

ściami z Karaibów. Inny reklamował rancza w Montanie. Wyjątkowym powodzeniem cieszyło się stoisko z najnowszymi, absurdalnie drogimi gadżetami elektronicznymi.

I z samochodami. Całą ścianę wytapetowano plakatami i zdjęciami luksusowych wozów: kabriolety Mercedesa-Benz, limitowana seria corvette, rdzawoczerwony bentley, którego powinien mieć każdy szanujący się adwokat od pozwów zbiorowych - było tam dosłownie wszystko. Porsche sprzedawał nowy model wozu terenowego i jego przedstawiciel już zbierał

zamówienia. Największy tłum stał jednak wokół lśniącego, błękitnego lam-borghini. Tabliczka z ceną była niemal ukryta, jakby producent się jej bał.

Tylko dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i tylko kilka sztuk. Wyglądało na to, że grupka adwokatów jest gotowa o ten wóz walczyć.

W nieco spokojniejszej części sali krawiec i jego pomocnik brali miarę z tęgiego prawnika, który zamówił u nich włoski garnitur. Napis na ścianie głosił, że są z Mediolanu, chociaż mówili dziwnie dobrą amerykańszczyzną.

W szkole prawniczej Clay był raz na dyskusji panelowej poświęconej wielomilionowym ugodom i temu, co należy zrobić, żeby ustrzec tępego klienta od pokus nagłego bogactwa. Kilku adwokatów opowiadało przerażające historie o robotniczych rodzinach, które zrujnowały sobie życie, i były to nader pouczające studia ludzkich zachowań. W pewnym momencie jeden z nich zażartował: „Nasi

klienci wydają pieniądze prawie tak szybko jak my".

Rozglądając się po sali, widział adwokatów wydających pieniądze szybciej, niż je zarabiali. Czy on też wszedł na tę drogę wiodącą do przepaści?

Oczywiście, że nie. Jak dotąd z niczym nie przesadził. Kto nie chciałby nowego samochodu i ładniejszego domu? Przecież nie kupował ani jach-98

tów, ani samolotów, ani ładnych rancz. Nie chciał ich mieć. A gdyby dzięki dyloftowi zbił kolejną fortunę, nigdy, przenigdy nie zmarnowałby jej na odrzutowce czy domy. Złożyłby pieniądze w banku albo zakopał w ogrodzie.

Ta rozpasana konsumpcyjna orgia przyprawiła go wreszcie o mdłości, więc wyszedł z hotelu. Miał ochotę na ostrygi i piwo Dixie.

ROZDZIAŁ 15

Jedynym spotkaniem w sobotę rano było seminarium poświęcone ustawie o pozwach zbiorowych, nad którą właśnie debatował Kongres. Temat przyciągnął niewielu słuchaczy. Za pięć tysięcy dolarów Clay był gotów wchłonąć tyle wiedzy, ile tylko mógł. Wyglądało na to, że ze wszystkich obecnych jedynie on nie ma kaca. Pozostali łąpczywie pili gorącą kawę z wysokich kubków.

Mówcą był adwokat lobbysta z Waszyngtonu, który schrzanił wszystko już na samym początku, opowiadając dwa świńskie kawały. Oba nie wypaliły. W sali siedzieli sami biali, sami mężczyźni, równi faceci, ale Saden z nich nie był w nastroju do wysłuchiwanie niesmacznych dowcipów. Fatalne poczucie humoru szybko ustąpiło miejsca zwykłej nudzie. Jednakże przynajmniej dla Claya materiały były dość ciekawe i w miarę pouczające; o masówkach wiedział niewiele, więc wszystko było dla niego nowe.

O dziesiątej musiał wybierać między dyskusją panelową na temat ostatnich doniesień w sprawie Chudego Bena i wykładem adwokata specjalizującego się w farbach ołowiowych; farby wydawały mu się nudne, więc poszedł na panel. Sala była pełna.

Chudy Ben to popularna nazwa słynnej pigułki na otyłość, którą lekarze przepisali milionom pacjentów. Jej producent zainkasował miliardy i szykował się do skoku na cały świat, gdy u znacznej liczby pacjentów pojawiły się problemy. Problemy z sercem, które łatwo było przypisać Chudemu Benowi. Z dnia na dzień posypały się pozwы, ale producent nie zamierzał

iść do sądu. Miał głębokie kieszenie i zaczął łagodzić sprawę, wypłacając powodom olbrzymie odszkodowania. Od trzech lat specjaliści od masówek ze wszystkich pięćdziesięciu stanów zabijali się, żeby tylko zgarnąć jak najwięcej pozwów.

Przy stole siedziało czterech adwokatów i prowadzący. Krzesło obok Claya było puste, ale w ostatniej chwili do sali wpadł drobny, zadziorny prawnik, który przepchnął się między rzędami, żeby je zająć. Usiadł i otworzył

teczkę: notatniki, materiały seminaryjne, dwa telefony komórkowe i pager.

Gdy wreszcie urządził swoje stanowisko bojowe - Clay odsunął się od niego jak najdalej - nachylił się i szepnął:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odszepnął Clay. Nie miał ochoty z nim gadać. Patrzył

na telefony i zastanawiał się, kto mógłby do niego dzwonić o dziesiątej rano w sobotę.

- Ile ma pan spraw? - szepnął ponownie tamten.

Ciekawe pytanie, pytanie, na które Clay nie miał gotowej odpowiedzi.

Niedawno skończył z tarvanem i właśnie szykował atak na dyloft, lecz w tej chwili nie prowadził dosłownie ani jednej sprawy. Ale w środowisku, gdzie wszystkie liczby i kwoty były olbrzymie i przesadzone, taka odpowiedź po prostu nie uchodziła.

- Kilkadziesiąt - zełgał.

Facet zmarszczył brwi, jakby rzecz była zupełnie nie do przyjęcia, i rozmowa ustała, przynajmniej na kilka minut. Jeden z prowadzących zaczął

mówić i w sali zapadła cisza. Facet przedstawił raport finansowy Healthy Living, producenta Chudego Bena. Firma miała kilka oddziałów, w większości dochodowych. Cena akcji nie ucierpiała. Wprost przeciwnie, po ka-

dej kolejnej ugodzie utrzymywała się na tym samym poziomie, co oznacza-

ło, że inwestorzy wiedzą, iż ci z Healthy Living mają tęgą kasę.

- To Patton French - szepnął ten z telefonami i notatnikami.

- Kto? - spytał Clay.

- Największy specjalista od zbiorówek w kraju. W zeszłym roku zarobił trzysta milionów.

- To on ma przemawiać po lunchu?

- Tak. Niech pan koniecznie przyjdzie.

French wyjaśnił - koszmarne szczegółowo - że jak dotąd zawarto trzysta tysięcy uгод z producentami Chudego Bena na ogólną kwotę siedmiu i pół miliarda dolarów. On i jego koledzy szacowali, że do wzięcia jest jeszcze około stu tysięcy spraw wartych dwa, trzy miliardy dolarów.

Producent i jego ubezpieczyciele mają mnóstwo pieniędzy na ugody, dlatego zebrani w tej sali powinni czym prędzej to wykorzystać. To rozpałiło tłum.

Clay nie miał zamiaru niczego wykorzystywać. Nie mógł się nadziwić, że ten niski, pulchny, nadęty palant z mikrofonem w ręku zarobił trzysta milionów dolarów i chce zarobić jeszcze więcej. Zboczyli z tematu i zaczęli rozmawiać o sposobach zdobywania nowych klientów. Jeden z dyskutantów miał tyle szmalu, że zatrudniał na pełny etat dwóch lekarzy, któ-

rzy nie robili nic innego, tylko jeździli z miasta do miasta i badali tych, którzy brali Chudego Bena. Inny polegał wyłącznie na ogłoszeniach telewizyjnych, co interesowało Claya do chwili, gdy rozpoczęła się posępna 100

dyskusja o tym, czy w ogłoszeniach tych powinien występować adwokat, czy też jakiś ograny aktorzyzna.

Co dziwne, nikt nie wspomniał ani słowem o strategiach procesowych -

o biegłych, o informatorach, o doborze przysięgłych, o dowodach medycznych - które omawiano niemal na wszystkich seminariach. Do Claya zaczęło powoli docierać, że tego rodzaju sprawy rzadko trafiają do sądu.

Umiejętności procesowe nie były tu ważną. Chodziło wyłącznie o zgromadzenie jak największej ilości pozwów. I o zgarnięcie jak najwyższego honorarium. Zarówno prowadzący dyskusję, jak i ci, którzy od czasu do czasu zadawali im ogólne pytania, chcąc nie chcąc, musieli ujawnić, że na zawartych ostatnio ugodach zarobili ciężkie miliony.

Clay miał ochotę wziąć kolejny prysznic.

O jedenastej miejscowy dealer Porsche wydawał przyjęcie zakrapiane wódką z sokiem pomidorowym. Ostrygi, Krwawa Mary i nieustanna gadałina o tym, kto ile ma spraw. I jak zamierza zdobyć kolejne. Tysiąc tu, dwa tysiące tam. Okazało się, że najpopularniejszą taktyką jest zgarnięcie maksymalnej ilości pozwów i wejście w układ z Pattonem Frenchem, który chętnie dołącza je do swoich, by złożyć je następnie w Missisipi, na swoim podwórku, gdzie sędziowie i przysięgli zawsze mu sprzyjają i gdzie przedstawiciele firm farmaceutycznych boją się wejść. French trzymał ich w garści jak chicagowski klawisz trzyma więźniów.

Po lunchu - bufet z akademickim sarciem i piwo Dixie - zabrał głos ponownie. Miał czerwone policzki, mówił językiem swobodnym i barwnym. Bez żadnych notatek przedstawił zebrany krótką historię amerykańskiego systemu pozwów zbiorowych, podkreślając, jak istotne znaczenie ma ten system dla ochrony mas przed zachłannością skorumpowanych firm, które wprowadzają na rynek wadliwe leki. A skoro już o tym mowa, nie lubił też towarzystw ubezpieczeniowych, banków, wielonarodowych spółek i republikanów. Nieokiel-

znany kapitalizm potrzebował ludzi takich jak ci z Kręgu Adwokackiego, twardych i nieustępliwych, walczących w okopach żołnierzy, którzy nie boją się zaatakować silniejszego w imieniu maluczkich, w imieniu ludzi pracy.

Z trzystoma milionami dolarów rocznego dochodu trudno było wyobrazić sobie Frencha jako słabeusza. Ale facet grał pod publiczność. Clay rozejrzał się wokoło i po raz kolejny stwierdził, że jest tu jedynym człowiekiem zdrowym na umyśle. Czy ludzie ci byli aż tak zaślepieni pieniędzmi, że naprawdę uważali się za obrońców biednych i chorych?

Większość z nich miała własne odrzutowce!

French uraczył ich całą serią wojennych opowieści. Czteryście milionów za lek na zły cholesterol. Miliard za lek na cukrzycę, który zabił co najmniej stu pacjentów. Sto pięćdziesiąt milionów za wadliwą instalację elektryczną w dwustu tysiącach domów, która wywołała sto pięćdziesiąt 101

pożarów, spaliła żywcem siedemnastu ludzi i poparzyła czterdziestu. Zebrani spijali mu słowa z ust. Coraz to napomykał, na co wydał pieniądze.

„To kosztowało ich nowiutkiego gulfstreama”, rzucił w pewnej chwili i w sali rozległy się oklaski. Mieszkając w Royal Sonesta od niecałych dwudziestu czterech godzin, Clay wiedział już, że nowy gulfstream, najwspanialszy ze wszystkich samolotów odrzutowych, kosztował około czterdziestu pięciu milionów dolarów.

Rywalem Frencha był adwokat z Missisipi, spec od tytoniu, który zarobił około miliarda i kupił sobie pięćdziesięcioczworometrowy jacht. Jacht Frencha miał tylko czterdzieści dwa metry długości, więc pan mecenas zamienił go na sześćdziesięciometrowy. Zebrani uznali, że to też jest zabawne. Jego firma zatrudniała obecnie trzydziestu adwokatów i potrzebowała jeszcze trzydziestu. French miał już czwartą żonę. Trzeciej dał apartament w Londynie.

I tak dalej, i tak dalej. Fortunę zbić, fortunę wydać. Wprawdzie pracował przez siedem dni w tygodniu, ale...

Normalni słuchacze byliby zażenowani tą wulgarną dyskusją o bogactwie, lecz on znał swoją publiczność. Wiedział, że doda im tylko energii, że jeszcze bardziej zachęci ich do zarabiania, do wydawania, do zdobywania większej ilości pozwów i większej liczby klientów. Przez godzinę perorował jak bezwstydnym prostakiem, ale rzadko kiedy przynudzał.

Pięć lat w UOP odizolowało Claya od wielu aspektów współczesnej praktyki adwokackiej. Słyszał o pozwach zbiorowych, ale nie miał pojęcia, że zajmujący się nimi ludzie tworzą aż tak dobrze zorganizowaną i wyspecjalizowaną grupę. Nie robili wrażenia szczególnie rozgniewanych. Ich strategia działania sprowadzała się do gromadzenia pozwów i zawierania uгод, nie do prowadzenia procesów.

Patton French mógłby pewnie gadać bez końca, ale po godzinie przestał. Adwokaci zgotowali mu owację na stojąco, głośną, choć nieco wymuszoną. Miał przemawiać ponownie o trzeciej, na seminarium poświęconym technikom wyszukiwania najlepszych obszarów jurysdykcyjnych. Zanosilo się na powtórkę seminarium porannego i Clay miał już dość.

Łaził po Dzielnicy Francuskiej, lecz nie interesowały go ani bary, ani kluby ze striptizem, tylko sklepy z antykami i galerie - nie kupił nic, bo ogarnęła go nieodparta żądza oszczędzania. Wieczorem

usiadł samotnie w ulicznej kawiarence na Jackson Square i gapił się na przechodniów. Pił, jadł sałatkę z cykorii na gorąco, ale nic nie skutkowało. Niczego nie zapisywał na papierze, lecz policzył to sobie w pamięci. Honorarium za tarvan minus czterdziestopięcioprocentowy podatek i koszty własne, minus to, co zdążył już wydać, zostawało mu sześć i pół miliona dolarów. Mógł złożyć je w banku i zarobić trzysta tysięcy rocznie w odsetkach, czyli osiem razy 102

więcej, niż zarabiał w UOP. Trzysta tysięcy rocznie to dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie i siedząc w cieniu w to ciepłe nowoorleańskie popołudnie, nie mógł sobie wyobrazić, jak by te pieniądze wydał.

To nie był sen. To była jawa. Pieniądze leżały na jego koncie. Mógłby być bogaty do końca Śycia i na pewno nie stałby się jednym z tych błaznów z Krę-

gu Adwokackiego, którzy gadali o pensjach pilotów i kapitanów jachtów.

Miał tylko jeden poważny problem. Zatrudnił ludzi i dużo im naobiecywał. Rodney, Paulette, Jonasz i panna Glick rzucili pracę i ślepo mu za-wierzyli. Nie mógł tak po prostu wyciągnąć wtyczki z gniazdka i zwać.

Przeszedł na piwo i podjął znaczącą decyzję. Przez krótki czas będzie harował nad sprawą dyloftu, którą, szczerze mówiąc, odrzuciłby tylko głupiec, bo Max Pace oferował klucze do prawdziwej kopalni złota. Gdy ją skończy, da współpracownikom wysoką premię i zamknie kancelarię. Bę-

dzie mieszkał spokojnie w Georgetown, podróżował po świecie, kiedy tylko zechce, łowił z ojcem ryby, patrzył, jak rośnie mu konto, i już nigdy, przenigdy nie przyjedzie na spotkanie Kręgu Adwokackiego.

Właśnie zamówił śniadanie do pokoju, gdy zaterkotał telefon. Dzwoniła Paulette, jedyna osoba, która wiedziała, dokąd pojechał.

- Masz ładny pokój? - spytała.

- Owszem.

- Jest tam faks?

- Oczywiście.

- Podaj numer, coś ci wyślę.

Była to kopia wycinka z niedzielnego wydania „Posta”. Zawiadomienie o bliskim ślubie. Rebeka Allison Van Horn i Jason Shubert Myers IV.

„Państwo Van Hornowie z McLean w Wirginii ogłaszają zaręczyny ich córki Rebeki z panem Jasonem Shubertem Myersem IV, synem państwa D. Stephens Myersów z Falls Church...” Zdjęcie, chociaż skopiowane i przesłane faksem z odległego o tysiące kilometrów Waszyngtonu, było bardzo wyraźne: piękna dziewczyna wychodziła za mąż za innego.

D. Stephens Myers był synem Dallasa Myersa, doradcy amerykańskich prezydentów od Woodrowa Wilsona poczynając, na Dwightcie Eisenhowerze kończąc. Według ogłoszenia, Jason Myers skończył Brown, potem harwardzką szkołę prawniczą i pracował teraz u Myersa i O'Malleya, w jednej z najstarszych, a już na pewno najbogatszych kancelarii prawniczych w Waszyngtonie. Stworzył wydział własności intelektualnej i został najmłodszym wspólnikiem w historii firmy. Jeśli nie liczyć okrągłych okularów, nie było w nim nic intelektualnego, chociaż Clay zdawał sobie sprawę, że nie mógłby ocenić go sprawiedliwie, nawet gdyby chciał. Nie był facetem nieatrakcyjnym, ale na pewno nie pasował

do Rebeki.

103

W grudniu planowano ślub w kościele episkopalnym w McLean, a po ślubie przyjęcie weselne, oczywiście w klubie Potomac.

W niecały miesiąc znalazła sobie kogoś, kogo pokochała na tyle, żeby wyjść za niego za mąż. Kogoś, kto gotów był znieść życie u boku Bennetta i Barb. Kogoś, kto miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zaimponować Van Hornom.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Dobrze się czujesz? - spytała Paulette.

- Świetnie - odrzekł ze ściśniętym gardłem.

- Naprawdę mi przykro.

- To już się kończyło, Paulette, od roku. Dobrze się stało. Teraz mogę o niej zapomnieć.

- Skoro tak mówisz...

- Nic mi nie jest. Dzięki, że zadzwoniłaś.

- Kiedy wracasz?

- Dzisiaj. Jutro rano będę w kancelarii.

Przynieśli śniadanie, ale zapomniał, że je zamówił. Wypił trochę soku, reszty nie tknął. Może ten romans dojrzywał już od jakiegoś czasu. Musiała tylko pozbyć się Claya i łatwo to zrobiła. W miarę upływu czasu jej zdrada przybierała coraz większe rozmiary. Niemal widział i słyszał, jak Barb pociąga za sznurki, doprowadzając do ich zerwania, zastawiając pułapkę na Myersa, a teraz planując szczegóły ich ślubu.

- Krzyśyk na drogę - mruknął.

Potem pomyślał o seksie, o tym, że jego miejsce zajął Myers, i cisnął

pustą szklanką w ścianę. Szklanka roztrzaskała się na kawałki, a on zaklął.

Zachowywał się jak idiota.

Ilu ludzi czytało teraz to ogłoszenie i myślało o nim? „Szybciotko go rzuciła, co?” - mówili. „Jezu, ale się jej spieszyło”.

Czy Rebeka też o nim myślała? Ciekawe, jak wielką miała satysfakcję, podziwiając to ogłoszenie i myśląc o starym Clayu? Pewnie olbrzymią. A może małą. Co za różnica? Państwo Van Hornowie na pewno zapomnieli o nim z dnia na dzień. Dlaczego on nie mógł zapomnieć o nich?

Spieszyło jej się, tyle wiedział na sto procent. Ich romans trwał za dłu-go i był zbyt intensywny, a ich rozstanie zbyt świeże, żeby tak po prostu rzuciła go i zadała się z innym. Sypiał z nią przez cztery lata. Myers dopiero od miesiąca albo jeszcze krócej; miał nadzieję, że nie dłużej.

Wrócił na Jackson Square, gdzie roilo się już od artystów, wróbitów z kartami tarota, Songlerów i ulicznych muzyków. Kupił sobie lodę i usiadł

na ławce przed pomnikiem Andrew Jacksona. Postanowił, że do niej zadzwoni i przynajmniej złoży jej życzenia. Potem postanowił znaleźć sobie wystrzałową blond laskę z nogami do samej szyi i pokazać ją Rebecce. Może 104

zabrać ją na ślub, oczywiście w mini. Miał kupę szmalu, więc na pewno jakąś znajdzie. Jeśli będzie musiał, najwyżej jej zapłaci.

- To już koniec, stary - powtarzał. - Weź się w garść.

Odpuść ją sobie.

ROZDZIAŁ 16

Styl ubierania się uległ gwałtownej ewolucji i każdy ubierał się teraz jak chciał. Przykład brali z szefa, który lubił dżinsy i kosztowne podkoszulki, i zawsze miał na podorędziu sportową marynarkę na wypadek, gdyby musiał pójść z kimś na lunch. Miał też eleganckie garnitury na ważne spotkania czy rozprawy sądowe, ale w tej chwili w sądzie nie bywał, ponieważ

firma nie miała ani klientów, ani sądnych spraw. Ale, ku jego satysfakcji, wszyscy ubierali się teraz dużo lepiej.

W poniedziałek w południe zebrali się w sali konferencyjnej: Paulette, Rodney i nieświeży Jonasz. Chociaż w krótkiej historii firmy panna Glick zdą-

żyła odegrać bardzo znaczącą rolę, wciąż była tylko sekretarką recepcjonistką.

- Panie i panowie, mamy nową robotę - zaczął Clay. Powiedział im o dylofcie i korzystając z krótkiego streszczenia, które dał mu Pace, przedstawił opis oraz historię leku. Z pamięci szybko wyrecytował najważniejsze dane: przychód, zyski, ilość gotówki, nazwy konkurencyjnych firm,

problemy prawne Ackermana. Na koniec zostawił najlepsze: katastrofalne skutki uboczne, guzki w pęcherzu moczowym i to, Œe firma o nich wie.

- Jak dotąd nikt nie wystąpił do sądu z Œadnym pozwem. Ale to się niebawem zmieni. Drugiego czerwca rozpoczynamy wojnę, składając w Waszyngtonie zbiorowy pozew w imieniu wszystkich poszkodowanych pacjentów. Rozpęta się piekło, a my trafimy w sam jego Œrodek.

- Mamy juŒ tych klientów? - spytała Paulette.

- Jeszcze nie, ale znamy ich nazwiska i adresy. Dzisiaj zaczynamy ich werbować. Opracujemy plan, a ty i Rodney będziecie odpowiedzialni za jego realizację. - ChociaŒ miał zastrzeŒenia co do ogłoszeń telewizyjnych, w drodze z Nowego Orleanu doszedł do wniosku, Œe nie ma innej realnej moŒliwości. Œe, gdy tylko złoŒy pozew i prawda o dylofcie wyjdzie na jaw, ci z Kręgu Adwokackiego rzucą się na klientów jak stado sępów. Œe jedynym sposobem szybkiego pozyskania wielu pacjentów zaŒywających ten lek są ogłoszenia.

Wyjaśnił to kolegom i dodał:

- Będzie nas to kosztowało co najmniej dwa miliony.

105

- To my mamy dwa miliony dolarów? - wypalił Jonasz, mówiąc to, o czym wszyscy pomyśleli.

- Mamy. Pracę nad spotami reklamowymi rozpoczniemy jeszcze dzisiaj.

- Szefie, ale ty chyba w nich nie wystąpisz? - rzucił niemal błagalnie Jonasz. - Proszę.

Tak samo jak we wszystkich miastach, wczesnym rankiem i późnym wieczorem w Waszyngtonie teŒ leciły ogłoszenia nawołujące poszkodowanych pacjentów do skontaktowania się z dzielnym adwokatem, który gotów był skopać tyłek producentowi i za pierwszą konsultację nie pobierał Œadnego honorarium. Często występowali w nich sami adwokaci i zwykle wypadali Œenująco.

Paulette teŒ miała przeraŒoną minę i lekko kręciła głową.

- AleŒ skąd. Od tego są specjaliŒci - rzekł Clay.

- Ilu klientów moŒemy się spodziewać? - spytał Rodney.

- Kilku tysięcy. Trudno powiedzieć.

Rodney wskazał kaŒdego z nich palcem i powoli policzył do czterech.

- O ile wiem, jest nas tylko czworo.

- Zatrudnimy nowych. Odpowiada za to Jonasz. Wynajmiemy pomieszczenie na przedmieŒciach i posadzimy tam tych bez licencji. Będą odbierali telefony i zakładali akta.

- Skąd ich wziąć? - spytał Jonasz.

- Z działu ogłoszeń czasopism prawniczych. Przejrzyj je. Po południu masz spotkanie z pośrednikiem w Manassas. Potrzebujemy około czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Nie szukaj niczego szczególnego, byle tylko było tam dużo kabli telefonicznych i komputerowych. Jak dobrze wiemy, komputery są naszą specjalnością. Wynajmij pomieszczenie, okabluj je, obsadź ludźmi i wszystko zorganizuj. Im szybciej, tym lepiej.

- Rozkaz, szefie.

- Ile można na tym dyłofcie zarobić? - spytała Paulette.

- Tyle, ile zapłaci Ackerman. Od dziesięciu do pięćdziesięciu tysięcy od pozwu. To zależy od wielu czynników; jednym z najważniejszych jest stopień uszkodzenia pęcherza.

Paulette zapisała coś w notatniku.

- A ile pozwów możemy zdobyć?

- Nie mam pojęcia.

- To strzel.

- Nie wiem. Kilka tysięcy.

- Dobra. Powiedzmy, że mamy trzy tysiące pozwów. Trzy tysiące pozwów razy minimum dziesięć tysięcy dolarów daje nam trzydzieści milionów, tak? - Powiedziała to powoli, nie przerywając pisania.

106

- Tak.

- Ile z tego dostanie adwokat? - spytała. Pozostali uważnie przypatrywali się Clayowi.

- Jedną trzecią - odrzekł.

- A więc dziesięć milionów. I wszystko trafi do firmy?

- Tak. Podzielimy się całym honorarium.

Słowa te zawisły w powietrzu i przez chwilę tam wisały. Jonasz i Rodney popatrzyli na Paulette, jakby chcieli powiedzieć: „Dalej, wyjaśnij to do końca!”

- W jaki sposób? - spytała bardzo powoli i wyraźnie.

- Każde z was dostanie dziesięć procent.

- A więc hipotetycznie rzecz biorąc, dostałabym milion, tak?

- Tak.

- I... ja teŜ? - spytał Rodney.

- I ty, i Jonasz. Ale podkreślam, Ŝe cały czas mówimy o minimum.

Minimum czy nie, przez długi czas w sali panowała cisza, bo wszyscy chłonęli te liczby i odruchowo juŜ wydawali pieniądze. Dla Rodneya oznaczało to, Ŝe będzie mógł posłać dzieci do college'u. Dla Paulette, Ŝe będzie mogła rozwieść się z Grekiem, którego w ciągu minionego roku widziała tylko raz. Dla Jonasza Ŝycie na łodzi.

- Mówisz powaŜnie, prawda? - spytał ten ostatni.

- Ŝmiertelnie powaŜnie. Poharujemy przez rok i jest szansa, Ŝe będziemy mogli przejść na wcześniejszą emeryturę.

- Skąd wiesz o dylofcie? - spytał Rodney.

- Nie mogę na to odpowiedzieć. Przykro mi. Musicie mi zaufać.

- Prawie zapomniałam o ParyŜu - szepnęła Paulette.

- To nie zapominaj. Będziemy tam w przyszłym tygodniu.

Jonasz zerwał się na równe nogi i chwycił notatnik.

- Jak się nazywa ten pośrednik?

Na drugim pięttrze swego nowego domu Clay urządził mały gabinet; nie zamierzał tam duŜo pracować, ale potrzebował miejsca na dokumenty. Biurkiem był stary rzeźnicki pień, który znalazł w sklepie z antykami we Fredricks-burgu. Zajmował całą ścianę i zmieściły się na nim telefon, faks i laptop.

Właśnie tam Clay ostroŜnie wkroczył do świata pozwów zbiorowych.

Zwlekał z telefonem aŜ do dziewiątej wieczorem, kiedy to większość ludzi kładła się spać, zwłaszcza tych starszych, znękanym artretyzmem. Wypił

coś dla kuraŜu i wybrał numer.

Słuchawkę podniosła kobieta, być moŜe Ŝona Teda Worleya z Upper Marlboro w Marylandzie. Clay przedstawił się grzecznie, powiedział, Ŝe jest prawnikiem - jakby prawnicy dzwonili do ludzi codziennie i nie było najmniejszych powodów do niepokoju - po czym poprosił do telefonu pana Worleya.

- Ogląda Oriolesów - odrzekła kobieta. Najwyraźniej Ted nie miał

zwyczaju rozmawiać przez telefon w trakcie meczu.

- Tak, ale tylko na chwilę.

- Pan jest prawnikiem?

- Tak, proszę pani, z Waszyngtonu.

- Co on nabroił?

- Nie, nic, absolutnie. Chciałbym z nim porozmawiać o jego... artretyzmie. - W pierwszej chwili miał ochotę rzucić słuchawkę i uciec gdzie pieprz rośnie, ale chwila ta szybko minęła. Dziękował Bogu, że nikt go nie widzi ani nie słyszy. Myśl o pieniądzach, powtarzał sobie w duchu. Myśl o pieniądzach.

- O artretyzmie? To pan jest lekarzem, nie adwokatem?

- Nie, proszę pani, jestem adwokatem, ale mam podstawy przypuszczać, że pan Worley przyjmuje bardzo niebezpieczny lek na artretyzm. Dlatego, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym z nim porozmawiać.

Głos w tle: kobieta krzyczała coś do męża, a on coś odkrzykiwał. W końcu Ted podniósł słuchawkę.

- Kto mówi? - warknął i Clay szybko się przedstawił.

- Jaki wynik? - spytał.

- Trzy do jednego dla Red Soxów w piątej rundzie. My się znamy? -

Pan Worley miał siedemdziesiąt lat.

- Nie, proszę pana. Jestem prawnikiem z Waszyngtonu i specjalizuję się w pozwach zbiorowych przeciwko producentom wadliwych leków. Ilekroć wypuszczana rynek taki lek, pozywam ich do sądu.

- Ale czego pan ode mnie chce?

- W Internecie figuruje pan jako potencjalny konsument leku o nazwie dyloft. Czy przyjmuje pan ten lek?

- A może to moja sprawa? Może nie chcę o tym gadać?

Celny strzał, ale Clay był nań przygotowany.

- Oczywiście, nie musi pan. Ale jeśli się tego nie dowiem, nie będziemy mogli ustalić, czy ma pan prawo do odszkodowania.

- Przeklęty Internet - wymamrotał pan Worley i odbył szybką naradę z Soną, która najwyraźniej była gdzieś w pobliżu.

- Do jakiego odszkodowania? - spytał.

- Właśnie, porozmawiajmy chwilę. Najpierw muszę wiedzieć, czy przyjmuje pan dyloft. Jeśli nie, ma pan szczęście.

- To chyba nie tajemnica, co?

- Nie, proszę pana. - Znowu zełgał, bo historia choroby pacjenta to rzecz poufna. Małe kłamstewka są konieczne, pomyślał. Spójrz na to inaczej. Worley i tysiące jemu podobnych prawdopodobnie nigdy by się nie

dowiedzieli, że zażywają wadliwy lek, gdyby im o tym nie powiedział. Bo ci z Ackermana nie puściliby pary z gęby. Na tym polegała jego praca.

- Tak, biorę dyloft.

- Od jak dawna?

- Gdzieś od roku. Świetnie działa.

- Czy są jakieś skutki uboczne?

- Na przykład jakie?

- Krew w moczu. Pieczenie podczas oddawania moczu. - Clay wiedział, że przez wiele miesięcy będzie rozmawiał z ludźmi o moczu, siusia-niu i pęcherzu, i zdał się już z tym pogodzić. Po prostu nie było innego wyjścia.

W szkole prawniczej takich rzeczy nie przerabiali.

- Nie. Dlaczego?

- Dysponujemy wstępnymi wynikami badań, które Ackerman Labs, producent dyloftu, próbuje ukryć. Stwierdzono, że zażywanie tego leku może doprowadzić do powstania guzków w pęcherzu moczowym.

I tak pan Ted Worley, który jeszcze przed kilkoma minutami spokojnie oglądał swoich ukochanych Oriolesów, miał spędzić bezsenność i bez-senny tydzień, martwiąc się rosnącymi w pęcherzu guzkami. Clay czuł się podle i chciał go nawet przeprosić, ale z drugiej strony wiedział, że sprawę

trzeba załatwić do końca. Bo jak inaczej Worley poznałby prawdę? Jeśli miał guzki, czyś nie chciałby o tym wiedzieć?

Trzymając słuchawkę jedną ręką, a drugą masując sobie bok, Ted odrzekł:

- A wie pan, jak teraz o tym pomyślę, to dwa dni temu rzeczywiście mnie piekło.

- O czym ty mówisz? - odezwała się w tle pani Worley.

- Nie twoja sprawa.

Czując, że zaraz może dojść do sprzeczki, Clay zaatakował:

- Moja firma reprezentuje wielu pacjentów zażywających dyloft. Uwa-

żam, że powinien pan poddać się badaniu.

- Jakiemu badaniu?

- Powinien pan zrobić analizę moczu. Mamy lekarza, który może załatwić to już jutro. Nie zapłaci pan ani centa.

- A jeśli stwierdzi, że coś jest nie tak?

- Wtedy porozmawiamy. Kiedy wiadomość o dylofcie zostanie upubliczniona, a dojdzie do tego już za kilka dni, posypią się pozwы.

Moja kancelaria przeprowadzi zmasowany atak na Ackerman Labs.

Chciałbym, żeby został pan moim klientem.

- Chyba powinienem pogadać z moim lekarzem.

109

- Oczywiście, ale proszę pamiętać, że on też jest za to odpowiedzialny. Przepisał panu ten lek. Na pańskim miejscu skorzystałbym z porady kogoś bezstronnego.

- Niech pan zaczeka. - Worley zasłonił ręką słuchawkę i odbył

swarliwą rozmowę z Soną. - Ciąganie po sądach lekarza nic nie da.

- Też tak uważam. O wiele lepiej jest pozwać firmę, która skrzywdziła tych ludzi.

- A dyloft? Mam przestać go brać?

- Najpierw zrobmy badania. Dyloft zostanie wycofany z rynku jeszcze tego lata.

- Gdzie te badania zrobić?

- W Chevy Chase. Może pan tam przyjechać?

- Pewnie, czemu nie? Tylko głupiec by zwlekał.

- Słusznie. - Clay poda! mu nazwisko i adres lekarza, którego zwerbował Pace. Badanie za osiemdziesiąt dolarów miało kosztować go trzysta, ale były to po prostu koszty własne.

Gdy uzgodnili szczegóły, przeprosił Worleya za to, że zakłócił mu wieczór, podziękował mu za rozmowę i odłożył słuchawkę, pozostawiając go sam na sam z Oriolesami i strachem. Dopiero teraz poczuł, że nad brwiami ma krople potu. Kaperowanie klientów przez telefon? Co z niego za prawnik?

Bogaty, pomyślał. Bogaty.

Tego rodzaju rozmowy wymagały grubej skóry, której nie miał. Wątpił, czy kiedykolwiek mu taka wyrośnie.

Dwa dni później zaparkował na podjeździe przed domem Worleyów w Upper Marlboro i przywitał się z nimi w drzwiach. Badanie, którego częścią była również cytologia, wykazało obecność zniekształconych komórek w moczu, co według Maxa Pace'a oraz jego rozległych i nieuczciwie zdobytych danych było znakiem, że w pęcherzu są guzki. Pana Worleya skierowano do urologa, z którym miał się spotkać już w przyszłym tygodniu. Guzki zostały-by usunięte metodą cystoskopii - przez penis wprowadzono by do pęcherza wziernik i małe skalpel - i chociaż zabieg ten był względnie rutynowy, pan Worley odchodził od zmysłów. Zamartwiał się na śmierć. Pani Worley mówiła, że przez dwie noce nie spała, podobnie jak ona.

Mimo szczerych chęci, Clay nie mógł im powiedzieć, że guzki są prawdopodobnie łagodne. Lepiej niech zrobią to lekarze, po zabiegu.

Przy filiżance rozpuszczalnej kawy ze śmietanką w proszku wyjaśnił

im poszczególne punkty umowy między klientem i kancelarią mecenasa Cartera II i odpowiedział na pytania dotyczące dalszego przebiegu sprawy.

Ted Worley podpisał, co trzeba, i został pierwszym powodem w kraju, któ-

ry wystąpił z pozwem przeciwko producentowi dyloftu.

110

I przez jakiś czas wydawało się, że będzie jedynym. Nieustannie wi-sząc na telefonie, Clay zdołał namówić na badanie tylko jednaście osób.

Uśadnej nie wykryto guzków. „Próbuj dalej” - naciskał Pace. Jedna trzecia potencjalnych klientów albo odkładała słuchawkę, albo nie wierzyła, że Clay mówi poważnie.

Razem z Paulette i Rodneyem podzielili listę na czarnych i białych.

Najwyraźniej czarni byli mniej podejrzliwi, bo łatwiej dawali się namówić na wizytę u lekarza. A może po prostu cieszyło ich, że ktoś się nimi zainteresował. Możliwe też, że Paulette - co wielokrotnie sugerowała - miała większy dar przekonywania.

Do końca tygodnia Clay zdobył trzech klientów, w których moczu wykryto zniekształcone komórki. Pracując razem, Rodney i Paulette zdobyli siedmiu.

Pozew zbiorowy w sprawie dyloftu był gotowy na wojnę.

ROZDZIAŁ 17

Według ksiąg starannie prowadzonych przez Reksa Crittles'a, człowieka, który coraz lepiej znał wszystkie aspekty jego życia, paryska przygoda kosztowała Claya dziewięćdziesiąt pięć tysięcy trzysta dolarów. Crittle był księ-

gowym i pracował w średniej wielkości firmie mieszczącej się bezpośrednio pod jego gabinetem. Jego też zarekomendował Pace, co bynajmniej nie było zaskakujące.

Co najmniej raz w tygodniu Clay schodził na dół lub Crittle wchodził na górę i spędzali razem pół godziny, omawiając finanse i sposoby gospodarowania pieniędzmi. Księgowanie było łatwe i nieskomplikowane. Panna Glick wstukiwała wszystkie dane i przysyłała je do komputerów Crittles'a.

Według Crittles'a, ten nagły przyrost bogactwa musiał spowodować wezwanie do urzędu skarbowego. Dlatego, nie zważając na zapewnienia Maxa, który twierdził, że do niczego takiego na pewno nie dojdzie, Clay nalegał na staranne prowadzenie ksiąg i na całkowity brak szarych stref w ewentualnych odpisach. Niedawno zarobił pieniądze, o jakich nawet nie marzył. Nie było sensu oszukiwać rządu na podatkach. Lepiej je zapłacić i spać spokojnie.

- East Media, przelew na pół miliona dolarów. Co to takiego? - spytał

Crittles.

- Za ogłoszenia telewizyjne - wyjaśnił Clay. - Pierwsza rata.

- Pierwsza? To ile tego będzie? - I spojrzał na niego znad okularów tak jak nigdy dotąd. Spojrzenie to mówiło: „Synu, czyś ty zwariował?”

111

- Dwa miliony. Za kilka dni składamy wielki pozew. Jednocześnie rozpoczynamy kampanię telewizyjną, którą poprowadzi East Media.

- No dobrze. - Crittle najwyraźniej bał się tak dużych wydatków. -

Zakładam, że będą równieś przychody.

- Mam nadzieję - odparł ze śmiechem Clay.
- A to pomieszczenie w Manassas? Piętnaście tysięcy na wynajem?
- Potrzebujemy więcej miejsca. Zatrudniam sześciu bez licencji. Czynsz jest niski.
- Miło widzieć, Œe troszczy się pan o koszty. Sześciu?
- Tak, czterech juŒ pracuje. Umowy i lista płac leŒą na moim biurku.

Crittle przez chwilę studiował wydruk i w kalkulatorze za jego okularami migotały cyferki.

- MoŒna wiedzieć, po co panu sześciu dodatkowych pracowników, skoro macie tak mało spraw?
- Ciekawe pytanie - odrzekł Clay. Pokrótce opowiedział mu o dyloftcie, nie wymieniając ani jego nazwy, ani producenta, ale nie było oczywiste, czy wyjaśnienie to Crittle'a usatysfakcjonowało. Jako księgowy, pod-chodził sceptycznie do wszystkiego, co Œciągało do sądu tysiące klientów.
- Jestem pewien, Œe wie pan, co pan robi - mruknął, podejrzewając, Œe Clay naprawdę zwariował.
- Niech mi pan zaufa, Rex. Pieniądze popłyną szerokim strumieniem.
- Jak dotąd tylko wypływają.
- Œeby zarobić, trzeba wydać.
- Podobno.

Atak rozpoczął się pierwszego czerwca po zachodzie słońca. Wszyscy -

nie było tylko panny Glick - zebrali się przed telewizorem w sali konferencyjnej, zczekali do ósmej trzydzieści dwie, a potem zamilkli i znierucho-mieli. Ogłoszenie trwało piętnaście sekund i rozpoczęło się od ujęcia przedstawiającego młodego, przystojnego aktora w białej marynarce, który z grubą księgą w ręku spojrzał szczerze prosto w obiektyw kamery i powiedział:

„Uwaga cierpiący na artretyzm. Jeśli przepisano wam lek o nazwie dyloft, moŒecie wystąpić z pozwem przeciwko jego producentowi. Stwierdzono, Œe dyloft wywołuje liczne powikłania, łącznie z powstawaniem guzków w pę-

cherzu moczowym". Na dole ekranu pokazały się wypisane tłustym drukiem słowa: DYLOFT
GORĄCA LINIA: 1-800-555-DYLO. Lekarz kontynuował: „Natychmiast zadzwońcie pod ten numer. Dzięki naszej gorącej linii będziecie mogli przeprowadzić darmowe badania. Dzwoncie juŒ teraz!"

Na piętnaście sekund wszyscy wstrzymali oddech, a gdy ogłoszenie się skończyło, nikt nie powiedział ani słowa. Chwila była szczególnie wstrzą-

sająca dla Claya, ponieważ Œ właśnie rozpoczął brutalny i potencjalnie para-112

liśujący atak na gigantyczną korporację, która bez wątpienia odpowie nań równie bezpardonowym atakiem. A jeśli dyloft nie jest wadliwy? Jeśli Max Pace się mylił? Jeśli Clay był tylko małym pionkiem w szachowej rozgrywce między olbrzymimi firmami? A jeśli biegli nie będą w stanie dowieść, że przyjmowanie leku prowadzi do powstawania guzków? Pytania te dręczyły go od kilku tygodni i setki razy zadawał je Maxowi. Dwa razy się pokłócili, kilka razy doszło między nimi do ostrej wymiany zdań. Max dał mu w koń-

cu kradzione, a przynajmniej nielegalnie zdobyte rezultaty badań nad skutkami działania dyloftu i Clay przesłał je do zweryfikowania swojemu przyjacielowi, koledze ze studiów, który pracował teraz jako lekarz w Baltimore.

Wyniki były rzetelne i złowieszcze.

W końcu wmówił sobie, że postępuje dobrze, a Ackerman źle. Ale siedząc przed telewizorem i wysłuchując tych oskarżeń, czuł, że cały dygocze i ma miękkie kolana.

- Paskudne - powiedział Rodney, który widział ogłoszenie kilkanaście razy w studiu. W prawdziwej telewizji wyglądało jeszcze paskudniej. Ci z East Media obiecywali, że obejrzy je szesnaście procent widzów każdej strefy rynkowej. Ogłoszenia miały iść co drugi dzień przez dziesięć dni, w dziewięćdziesięciu strefach, od wybrzeża do wybrzeża. Szacowana oglą-

dalność: osiemdziesiąt milionów widzów.

- To wypali - rzucił Clay, urodzony przywódca.

Przez pierwszą godzinę ogłoszenie szło w trzydziestu strefach na wschodnim wybrzeżu, potem puszczono je w osiemnastu strefach Ameryki centralnej. Cztery godziny później dotarło do wybrzeża zachodniego, gdzie pokazano je w czterdziestu dwóch strefach rynkowych. Tylko tej jednej nocy mała kancelaria adwokacka Claya Cartera II wydała na reklamę czterysta tysięcy dolarów.

Prefiks 800 kierował wszystkie telefony do Siłowni: była to pieszczotliwa nazwa nowej firmy Claya, gdzie pracowało sześciu adwokatów bez licencji, wypełniając druczki, zadając z góry ustalone pytania, kierując dzwoniących pod adres nowej strony internetowej i obiecując, że któryś z adwokatów na pewno oddzwoni. Dwie godziny po ukazaniu się pierwszego ogłoszenia wszystkie telefony były zajęte. Numery tych, którzy nie zdołali się przebić, rejestrował komputer. Automatycznie przekazywana wiadomość kierowała ich do Internetu.

O dziewiątej rano Clay miał pilny telefon od adwokata dużej kancelarii przy tej samej ulicy. Reprezentował Ackermana i nalegał, żeby natychmiast wstrzymali emisję ogłoszeń. Nadęty i protekcyjny, groził, że jeśli tego nie zrobią, jego firma przedsięwzięmie wszystkie możliwe kroki prawne.

Doszło do wymiany gniewnych słów, potem obydwaj trochę się uspokoili.

- Będzie pan teraz u siebie? - spytał Clay.

- Tak, oczywiście. Dlaczego?

- Mam coś dla pana. Wyślę przez kuriera. Będzie u pana za pięć minut.

Kurier Rodney pospieszył ulicą z kopią dwudziestostronicowego pozwu. Clay pojechał do sądu, żeby złożyć tam oryginał. Zgodnie z instrukcjami Maxa, kopie pozwu przefaksowano również do „Washington Post”,

„Wall Street Journal” i do „New York Timesa”.

Pace sugerował, że mądrym pociągnięciem inwestycyjnym byłaby sprzedaż akcji Ackermana. Na zamknięcie sesji w piątek szły po czterdzie-

ści dwa i pół dolara. Clay sprzedał sto tysięcy akcji. Za kilka dni chciał je odkupić, miał nadzieję, że po około trzydzieści dolarów za sztukę, i zagarnąć kolejny milion. Taki był przynajmniej plan.

Gdy wrócił, w kancelarii wrzała gorączkowa praca. W Siłowni zainstalowano sześć linii telefonicznych i w godzinach urzędowania, gdy wszystkie sześć były zajęte, telefony automatycznie przełączano do głównej siedziby firmy przy Connecticut Avenue. Rodney, Paulette i Jonasz rozmawiali z rozrzuconymi po całej Ameryce klientami, którzy przyjmowali dyloft.

- Na pewno zechcesz na to zerknąć - powiedziała panna Glick. Na różowej karteczce widniało nazwisko reportera z „Wall Street Journal”. -

Poza tym w gabinecie czeka pan Pace.

Max stał przy oknie z kubkiem kawy w ręku.

- Złożyłem - zameldował Clay. - Poruszyliśmy gniazdo os.

- Ciesz się chwilą.

- Dzwonił ich adwokat. Posłałem mu kopię pozwu.

- Dobrze. Oni już umierają. Wpadli w pułapkę i wiedzą, że grozi im rzeź. To marzenie każdego prawnika, Clay, rozkoszuj się tym.

- Siadaj. Mam pytanie.

Pace, jak zwykle ubrany na czarno, usiadł na krześle i założył nogę na nogę. Jego kowbojskie buty były chyba ze skóry grzechotnika.

- Gdyby wynajęli cię teraz ci z Ackermana, jak byś pograł?

- Najważniejsze to uspokoić rynek. Zaczęłbym od oświadczenia, wszystkiemu bym zaprzeczył i zważył winę na chciwych prawników. Broniłbym leku. Gdy pył po wybuchu bomby opadnie,

najważniejszym celem będzie utrzymanie cen akcji. Na otwarciu można je było kupić po czterdzieści i pół dolara, a to bardzo tanio. Teraz idą po trzydzieści trzy. Ściągnąłbym telewizję i posadziłbym przed kamerą naczelnego. Rzecznikom kazałbym puścić w ruch maszynę propagandową. Zaangażowałbym prawników, żeby przygotowali zorganizowaną obronę. Tym z działu handlowego kazałbym zapewnić lekarzy, że lek jest dobry.

- Ale nie jest.

114

- O to martwiłbym się później. Przez pierwszych kilka dni chodziłoby o uspokojenie rynku. Gdyby inwestorzy uwierzyli, że coś jest nie tak, opuściliby okręt i akcje zaczęłyby spadać. Potem odbyłbym poważną rozmowę z tymi na samej górze. Gdyby okazało się, że dyloft jest naprawdę wadliwy, ściągnąłbym księgowych i sprawdził, ile kosztowałoby nas zawarcie ugody. Ze złym lekiem nikt nie pójdzie do sądu. Każda ława przysięgłych posłałaby nas do wszystkich diabłów i stracilibyśmy kontrolę nad wydatkami. Jedni przyznaliby powodowi milion. Inni, w innym stanie, dostaliby szalu i przyznaliby dwadzieścia. Jak na loterii. Dlatego trzeba iść na ugodę. Jak już zdążyłeś zauważyć, adwokat jest na procencie, więc łatwo się z nim dogadać.

- Na ile ich stać?

- Ackermana? Są ubezpieczeni na trzysta milionów. No i mają pół miliarda w gotówce, głównie ze sprzedaży dyloftu. Z banku wycisnęli już prawie wszystko, ale gdybym to ja decydował, wyłożyłbym miliard. I to szybko.

- Myślisz, że tak zrobią?

- Nie zaangażowali mnie, więc nie są tacy bystrzy. Od dawna ich obserwuję i wiem, że nie są zbyt rozgarnięci. Ale, jak wszystkich producentów leków, przeraża ich perspektywa procesu. Zamiast wynająć strażaka, jak choć-

by mnie, robią to po staremu: polegają na swoich radcach, którzy oczywiście nie mają żadnego interesu w tym, żeby się szybko dogadać. Reprezentuje ich Walker-Stearns z Nowego Jorku. Wkrótce się do ciebie odezwą.

- Więc nie będzie szybkiej ugody?

- Złożyłeś pozew godzinę temu. Spokojnie.

- Wiem, ale jak tak dalej pójdzie, wydam wszystko, co od ciebie dostałem.

- Spokojnie, Clay. Za rok będziesz jeszcze bogatszy.

- Z rok, he?

- Tak myślę. Najpierw muszą nasreć się adwokaci. Walker-Stearns wyznaczy do tej sprawy pięćdziesięciu, a ci natychmiast włączą liczniki.

Sprawa Worleya i reszty jest dla nich warta sto milionów dolarów. Nie zapominaj o tym.

- Dlaczego nie zapłacą stu milionów mnie, żeby się odczepił?

- Nareszcie zaczynasz myśleć jak prawdziwy specjalista od masówek.

Zapłacą ci jeszcze więcej, ale najpierw muszą nakarmić swoich. Tak to działa.

- Ale ty byś tak nie zrobił.

- Jasne, żeby nie. Ten od tarvanu powiedział mi prawdę, co się rzadko zdarza. Odrobiłem lekcje, znalazłem ciebie i wszystko załatwiłem, szybko, po cichu i tanio. Pięćdziesiąt milionów i ani centa radcom prawnym klienta.

W drzwiach stanęła panna Glick.

- Znowu dzwoni ten reporter z „Wall Street Journal”.

115

Clay spojrzał na Maxa.

- Pogadaj z nim - rzucił Pace. - 1 pamiętaj: tamci mają armię speców od propagandy.

Nazajutrz rano na pierwszej stronie działu gospodarczego „Timesa” i

„Posta” ukazały się krótkie wzmianki na temat pozwu zbiorowego przeciwko producentowi dyloftu. W obu wymieniono nazwisko Claya, co było powodem do cichej radości. Więcej miejsca poświęcono reakcji pozwanego. Dyrektor naczelny firmy nazwał pozew „niepoważnym” i dodał, że jest to „kolejny przykład nadużycia ze strony prawników”. Wicedyrektor do spraw naukowych oświadczył, że: „dyloft został dokładnie sprawdzony i jego zażywanie nie powoduje żadnych skutków ubocznych”. Obie gazety nie omieszkały odnotować, że akcje Ackermana, które w ciągu ostatnich trzech kwartałów spadły o pięćdziesiąt procent, otrzymały kolejny cios.

„Wall Street Journal” trafił w samo sedno, przynajmniej według Claya.

Reporter zaczął od pytania o wiek. „Tylko trzydzieści jeden lat?” - powiedział zaskoczony i natychmiast zasypał go pytaniami o dotychczasowe do-

świadczenia, o firmę, i tak dalej. Dawid kontra Goliat: taki tytuł był o wiele czytelniejszy niż suche liczby czy dane laboratoryjne, i tak jego historia zaczęła być własnym życiem. Błyskawicznie przysłano fotografa i ku wielkiemu rozbawieniu obserwujących to wszystko kolegów, Clay przez chwilę mu pozował.

Tytuł artykułu w lewej szpalcie na pierwszej stronie krzyczał: **SÓLTODZIÓB KONTRA POTĘŻNY ACKERMAN**. Poniżej zamieszczono komputerową karykaturę uśmiechniętego Claya Cartera. W pierwszym akapicie napisano: „Jeszcze niecałe dwa miesiące temu waszyngtoński prawnik Clay

Carter był nikomu nieznanym i nisko opłacanym obrońcą publicznym, zmagającym się z wymiarem sprawiedliwości w sprawach karnych. Wczoraj, już jako właściciel kancelarii adwokackiej, złożył pozew o miliardowe odszkodowanie przeciwko trzeciej pod względem wielkości firmie farmaceutycznej w świecie, twierdząc, że jej najnowszy lek, dyloft, wprawdzie łagodzi cierpienia chorych na artretyzm, ale i powoduje powstawanie guzów w pęcherzu moczowym".

W artykule było sporo pytań z cyklu, jakim sposobem mecenas Carter tak szybko przeszedł z jednej strony barykady na drugą. A ponieważ Clay nie mógł wspomnieć o tarwanie ani o niczym, co było z tarvanem związa-ne, młóście wspomniał o szybkich ugodach, które zawarł dzięki znajomym z Urzędu Obrońcy Publicznego. Napisano również kilka słów o Ackermanie, o ich typowym pozerstwie - uważali, że gospodarkę kraju napędzają adwokaci od pozwów zbiorowych i prawnicy uganiający się za karetkami 116

pogotowia - ale większość artykułu poświęcono Clayowi i jego zdumiewającemu awansowi na jednego z czołowych ekspertów od masówek. Kilka miłych rzeczy napisano również o jego ojcu, „legendarnym waszyngtoń-

skim adwokacie", który „wypoczywał" teraz na Bahamach.

Glenda z UOP powiedziała, że mecenas Carter był „gorliwym obrońcą biednych"; za to eleganckie określenie Clay zamierzał postawić jej kolację w wytwornej restauracji. Prezes Krajowej Akademii Adwokackiej przyznał, że nigdy o nim nie słyszał, mimo to Jego osiągnięcia wywarły na nim wielkie wrażenie".

Profesor prawa z Yale lamentował, że jest to „kolejny przykład nadużycia systemu pozwów zbiorowych", podczas gdy profesor prawa z Harvardu twierdził, że jest to „doskonała egzemplifikacja prawidłowego wykorzystania systemu pozwów zbiorowych przeciwko skorumpowanym winowajcom".

- Wrzucić to na naszą stronę w Internecie - powiedział Clay, podając gazetę Jonaszowi. - Spodoba się klientom.

ROZDZIAŁ 18

Tequila Watson przyznał się do zamordowania Ramona Pumphreya i został skazany na dożywocie. Po dwudziestu latach odsiadki będzie mógł starać się o zwolnienie warunkowe, ale o tym „Post" nie wspomniał. Wspomniał za to, że jego ofiara była jedną z wielu zastrzelonych w serii zabójstw, które nawet tu, w mieście nawykłym do bezsensownej przemocy, wydawa-

ły się ofiarami dziwnie przypadkowymi. Policja nie potrafiła tego wyja-

śnić. Clay postanowił zadzwonić do Adelfy i sprawdzić, jak radzi sobie z nowym Syciem.

Był Tequili coś winien, chociaż nie bardzo wiedział co. Chciałby mu to wszystko jakoś zrekompensować, ale po prostu nie mógł. Tłumaczył sobie, że Tequila i tak spędziłby większość życia za kratkami, z tarvanem czy bez, lecz nie pomogło mu to odzyskać szacunku dla samego siebie.

Sprzedził się, po prostu i zwyczajnie. Wziął forszę i zataił prawdę.

Dwie strony dalej zobaczył kolejny artykuł i natychmiast zapomniał

o Tequili. Zdjęcie, na zdjęciu pulchna twarz i kask z monogramem: Bennett Van Horn na budowie. Oglądał plany z kimś, kogo przedstawiono jako głównego inżyniera Grupy BVH. Ich spółka wdała się w paskudny spór, którego przedmiotem była działka w pobliżu historycznego pola bitwy pod Chancellorsville, godzinę drogi na południe od Waszyngtonu. Bennett jak 117

zwykle zamierzał wybudować tam osiedle, koszarne zbiorowisko domów, bloków, sklepów, placów zabaw i kortów tenisowych - no i obowiązkowo staw - a wszystko to niecałe dwa kilometry od miejsca, gdzie zwiadowcy konfederatów zastrzelili generała Stonewalla Jacksona. Ekolodzy, adwokaci, historycy, Zieloni oraz ci z Towarzystwa Konfederatów dobyli miecza i właśnie siekali Bennetta na kawałki. Nic dziwnego, że „Post” chwalił

ich, nie pisząc nic dobrego o Van Hornie. Jednakże sporna działka była prywatną własnością jakichś podstarzałych farmerów i wszystko wskazywało na to, że prawo jest po stronie Buldożera, przynajmniej na razie.

W artykule wspomniano o innych polach bitewnych w Wirginii, które zostały zalane asfaltem i betonem. Walce z budowlańcami przewodziła organizacja zwana Towarzystwem Powierniczym Wojny Secesyjnej. Radcę prawnego towarzystwa przedstawiono jako radykała gotowego procesować się o zachowanie historycznych miejsc i pomników dla potomności. „Problem w tym - powiedział - że potrzeba na to pieniędzy”.

Clay namierzył go dwoma telefonami. Rozmawiał z nim półgodziny i odłożywszy słuchawkę, wypisał czek na sto tysięcy dolarów dla funduszu prawnego

Towarzystwa

Powierniczego

Wojny

Secesyjnej

w

Chancellorsville.

Panna Glick podała mu karteczkę, gdy przechodził koło jej biurka. Spojrzał na nazwisko dwa razy, wszedł do sali konferencyjnej, usiadł i wciąż

nie wierząc, że to prawda, wybrał numer.

- Z mecenasem Frenchem poproszę. - Na karteczce była adnotacja, że to coś pilnego.

- Kto mówi?

- Clay Carter z Waszyngtonu.

- Tak, pan mecenas czeka na pański telefon.

Clay nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktoś tak potężny, wpływowy i zajęty jak Patton French mógł czekać na jego telefon. French odezwał się już kilka sekund później.

- Jak się masz, Clay. Dzięki, że oddzwoniłeś - rzucił tak swobodnie, że zaskoczony Clay oniemiał. - Czytałeś „Journal”? Piękny artykuł, he?

Nieźle, jak na początkującego. Posłuchaj, przepraszam, że nie przywita-

łem się z tobą, kiedy byłeś w Nowym Orleanie. - Był to ten sam głos, który Clay słyszał z głośników w hotelu Royal Sonesta, tylko znacznie mniej spięty.

- Nie szkodzi. - Na zebranie Kręgu Adwokackiego przybyło dwustu prawników. Nie było żadnego powodu, żeby Clay spotykał się z Pattonem Frenchem, i żadnego powodu, żeby Patton French wiedział, że Clay w ogó-

le tam jest. Najwyraźniej musiał o niego wypytywać.

118

- Chciałbym się z tobą spotkać. Myślę, że moglibyśmy zrobić razem niezły interes. Wpadłem na ślad dyloftu dwa miesiące temu. Wyprzedziłeś mnie, ale ci z Ackermana mają forsę jak lodu.

Clay nie zamierzał wskakiwać mu do łóżka. Z drugiej strony metody Frencha zawierania wielomilionowych uгод z wielkimi firmami farmaceutycznymi były wprost legendarne.

- Możemy porozmawiać - odrzekł.

- Posłuchaj, właśnie lecę do Nowego Jorku. Może wpadłbym do Waszyngtonu i zabrał cię ze sobą? Mam nowego gulfstreama 5 i chcę się nim pochwalić. Zatrzymamy się na Manhattanie i zjemy pyszną kolację. Pogadamy o interesach. Wrócimy jutro wieczorem. Co ty na to?

- Wiesz, jestem trochę zajęty... - Clay doskonale pamiętał, jakie obrzydzenie ogarniało go w Nowym Orleanie, ilekroć French przechwalał się swoimi nowymi zabawkami. Nowy odrzutowiec, nowy jacht, zamek w Szkocji.

- Wierzę. Posłuchaj, ja też jestem zajęty. Wszyscy jesteśmy cholernie zajęci. Ale mogłaby to być najbardziej opłacalna wycieczka w twoim życiu. Nie odmawiaj, nie chcę o tym słyszeć. Za trzy godziny czekaj na mnie na lotnisku Reagana. Umowa stoi?

Nie licząc kilku telefonów i squasha wieczorem, Clay nie miał nic innego do roboty. Telefony w kancelarii dzwoniły non stop, ale on się tym nie zajmował. W Nowym Jorku nie był od kilkunastu lat.

- Dobra, czemu nie? - odparł, nie mogąc doczekać się przejażdżki gulfstreamem 5 i kolacji w eleganckiej restauracji.

- Mądre posunięcie, Clay. Mądre posunięcie.

W prywatnym terminalu na krajowym lotnisku Reagana roіło się od zabieganych biznesmenów i urzędników. Przy ladzie w recepcji stała ładna brunetka w krótkiej spódnicy, trzymając tabliczkę z ręcznie wypisanym nazwiskiem. Clay podszedł do niej i się przedstawił. Miała na imię Julia.

- Proszę za mną- powiedziała z idealnym uśmiechem.

Wyszli na płytę i wsiedli do furgonetki. Wokół stały lub kołowały dziesiątki learów, falconów, hawkerów, challengerów i citationów. Obsługa naziemna kierowała nimi z taką wprawą, że mijały się skrzydłami dosłownie o centymetry. Piskliwe wycie silników szarpało nerwy.

- Skąd lećcie? - spytał Clay.

- Z Biloxi - odrzekła Julia. - Firma mecenasa Frencha ma tam swoją siedzibę.

- Dwa tygodnie temu widziałem go na seminarium w Nowym Orleanie.

- Tak, byliśmy tam. Rzadko kiedy jesteśmy w domu.

- Dużo pracuje, prawda?

- Około stu godzin tygodniowo.

119

Zatrzymali się przed największym samolotem na płycie.

- To nasz - powiedziała Julia i wysiedli z furgonetki. Pilot chwycił torbę Claya i zniknął.

Patton French oczywiście telefonował. Gestem ręki zaprosił Claya na pokład. Julia wzięła jego marynarkę i spytała, czego się napije. Poprosił o wodę z sokiem cytrynowym.

Wnętrze samolotu zapierało dech w piersi. Film, który widział w Nowym Orleanie, miał się nijak do rzeczywistości. Wszędzie pachniało skórą, bardzo kosztowną skórą. Obito nią wszystkie fotele, sofy, zagłówki, pulpity, a nawet stoły; dominował błękit i brąz. Włączniki światła, pokręta i klamki były połączone. Elementy drewniane, ciemne i mocno wypolerowane, wykonano najpewniej z mahoniu. Był to luksusowy apartament w pięcio-gwiazdkowym hotelu na skrzydłach.

Clay miał dokładnie metr osiemdziesiąt wzrostu, mimo to nie dotykał

głową sufitu. Kabina pasażerska była długa, a na jej końcu mieściło się coś w rodzaju gabinetu. Siedział tam French, wciąż gadając przez telefon. Ba-rek i kuchnię urządzono tuż za kabiną pilotów. Nadeszła Julia z wodą.

- Proszę usiąść - powiedziała. - Zaraz będziemy kołować.

Gdy samolot drgnął, French gwałtownie przerwał rozmowę i Œwawym krokiem ruszył w stronę goŒcia. Zaatakował go mocnym uŒciskiem ręki, uŒmiechem i kolejnymi przeprosinami za to, Œe nie mieli okazji porozmawiać w Nowym Orleanie. Był trochę tęgawy, miał gęste, faliste włosy, ładną siwiznę i pięćdziesiąt pięć, na pewno jeszcze nie szeŒćdziesiąt lat. Z kaŒ-

dego poru jego skóry i z kaŒdego oddechu bił wigor i energia.

Usiedli naprzeciwko siebie przy jednym ze stolików.

- Ładna maszyna, co? - zaczął French, zataczając ręką szeroki łuk.

- Piękna.

- Masz juŒ samolot?

- Nie. - Clay poczuł się fatalnie. Nie miał samolotu. Co z niego za prawnik?

- Niedługo sobie kupisz, synu. Bez samolotu nie da się Œyć. Julio, daj mi kieliszek wódki. To juŒ czwarty. Nie kieliszek, tylko samolot. Cztery samoloty to dwunastu pilotów. I pięć takich jak Julia. Ładniutka jest, co?

- Owszem.

- DuŒe koszty ogólne, ale i duŒe dochody. Słyszałeś, o czym mówiłem w Nowym Orleanie?

- Tak. Bardzo mi się podobało. - Clay zełgał, choć niezupełnie. WyŒąpienie Frencha było ohydne, ale i zabawne, tudzieŒ pouczające.

- Nie znoszę gadać o forsie, ale musiałem grać pod publiczkkę. Wcześ-

niej czy później większość z tych facetów da mi dobrze zarobić. Wiesz, trzeba utrzymywać ich stale pod parą. Stworzyłem najlepszą firmę od masówek 120

w Stanach i bierzemy na celownik tylko tych największych. Jeśli pozywa się do sądu molocha takiego jak Ackerman Labs, trzeba mieć amunicję, muszą cię powaŒać. Forsy jest jak lodu. Ja próbuję tylko wyrównać szanse. Julia przyniosła wódkę, usiadła i zapięła pas.

- Masz ochotę na lunch? - spytał French. - Ugotuje ci, co zechcesz.

- Nie, dzięki. Nie jestem głodny.

French pociągnął długi łyk wódki, usiadł prosto, zamknął oczy i wydawało się, Œe się modli. Pomknęli przed siebie i wystartowali. Clay wykorzystał tę przerwę i ponownie rozejrzał się wokoło, podziwiając wnętrze samolotu. Było niemal nieprzyzwoicie luksusowe i bogate. CzterdzieŒci, czterdzieŒci pięć milionów dolarów za prywatny odrzutowiec! A według plotek, które słyŒzał w

Nowym Orleanie, Gulfstream nie mógł nadać z ich produkcją. Na nowy czekało się dwa lata!

Kilka minut później samolot wyrównał lot i Julia znikła w kuchni. French przerwał medytację, wypił kolejny łyk wódki.

- Czy to, co piszą w „Journalu”, to prawda? - spytał o wiele spokojniejszym głosem. Clay odniósł wrażenie, że facet lubi gwałtowne i drama-tyczne zmiany nastroju.

- Jak najbardziej - odparł.

- Na pierwszej stronie pisali o mnie tylko dwa razy, ale nic dobrego.

W sumie nie dziwię się, że nas nie lubią. Nikt nas nie lubi, o czym na pewno się przekonasz. Jak ktoś ma forszę, musi być zły. Ale przywykniesz.

Wszyscy przywykliśmy. Raz spotkałem twego ojca, wiesz? - Mówiąc, mru-

żył oczy i strzelał nimi na wszystkie strony, jakby nieustannie myślał co najmniej trzy zdania naprzód.

- Naprawdę? - Clay nie był pewny, czy mu wierzyć.

- Dwadzieścia lat temu pracowałem w Departamencie Sprawiedliwości.

Mieliśmy proces; chodziło o tereny zamieszkałe przez Indian. Indianie ściąg-nęli z Waszyngtonu Jarretta Cartera, i było po wojnie. Był bardzo dobry.

- Dziękuję-odrzekł z dumą Clay.

- Muszę ci powiedzieć, że ta twoja pułapka to prawdziwe arcydzieło.

Arcydzieło niezwykle. W większości przypadków wiadomość o wadliwym leku rozchodzi się bardzo powoli, w miarę jak przybywa oskarżających się pacjentów. Z lekarzami się nie dogadasz. Siedzą w kieszeni producentów i nie mają powodu, żeby wymachiwać czerwoną flagą. Poza tym w większości stanów pozywają ich do sądu za to, że przepisali ludziom wadliwy lek. Adwokaci wkraczają w to niespiesznie. Wuj Luke stwierdza nagle, że bez żadnego powodu siusia krwią. Siusia tak przez miesiąc, wreszcie idzie do lekarza w Pcimiu Dolnym. Lekarz bada go i każe odstawić ten cudowny lek. Wuj Luke może pójść do adwokata, ale nie musi. Zresztą ten adwokat to drobny adwokacina, taki od rozwodów i spisywania testamentów, więc 121

pewnie nie zorientowałby się nawet, że znalazł się złota. Dlatego wykrywanie wadliwych leków trwa cholernie długo. To, co zrobiłeś, jest naprawdę bardzo wyjątkowe.

Clay kiwał głową i słuchał. Na razie to mu wystarczało. French gadał

i to też mu wystarczało. Wyraźnie do czegoś zmierzał.

- Co znaczy, że musisz mieć dobrego informatora, kogoś stamtąd.

Patton zawiesił głos i zrobił króciutką pauzę, jakby czekał, aŜ Clay to potwierdzi. Ale Clay nie zareagował.

- Mam rozległą sieć informatorów i prawników od wybrzeŜa do wybrzeŜa. Nikt, dosłownie nikt z nich nie słyszał o dylofcie. Zwiertzyli coŝ dopiero kilka tygodni temu. Dwóch z mojej firmy zaczęło to rozpracowy-wać, ale nie starczyło im materiału na pozew. A wczoraj biorę do ręki gazetę i na pierwszej stronie widzę twoją uŝmiechniętą twarz. Wiem, jak się w to gra, Clay, wiem, Ŝe musisz tam kogoŝ mieć.

- Mam. Ale nie powiem kogo.

- Dobra. Teraz czuję się lepiej. Widziałem twoje ogłoszenie. Wiesz, trzymamy rękę na pulsie. Całkiem niezłe. Piętnastosekundówki są najsku-teczniejsze. Wiedziałeś o tym?

- Nie.

- Zaatakować ich szybko wczesnym rankiem i późnym wieczorem.

Krótki, makabryczny tekst i numer telefonu. Robiłem to setki razy. Ile po-zwów zdąŜyłeś zebrać?

- Trudno powiedzieć. Najpierw muszą zrobić badania. Ale telefony się urywają.

- Moje ogłoszenie leci od jutra. Mam sześciu ludzi od reklamy. Wyobra-

Ŝasz sobie? Sześciu speców od reklamy na pełnym etacie. I wcale nie są tani.

Nadeszła Julia z dwiema tacami. Na jednej były krewetki, na drugiej sery i róŜne wędliny: prosciutto, salami i coŝ, czego Clay nie rozpoznał.

- Przynieś nam butelkę białego chilijskiego - rzucił Patton. - Powinno się juŜ schłodzić. Lubisz wino?
-1 chwycił za ogon krewetkę.

- Lubię. Ale nie jestem znawcą.

- Uwielbiam wino. Mam tu sto butelek. - Kolejna krewetka. - Tak czy inaczej, naszym zdaniem moŜna by zebrać od pięćdziesięciu do stu tysięcy pozwów. Co o tym sądzisz?

- Sto tysięcy to chyba przesada - odrzekł ostroŜnie Clay.

- Ten Ackerman trochę mnie niepokoi. Wiesz, Ŝe dwa razy ich skarŜy-

łem?

- Nie.

- Dziesięć lat temu, kiedy mieli mnóstwo pieniędzy. Dwa razy zmie-niali dyrektora i przegięli z inwestycjami. Teraz mają miliard długu. Głupota. W latach dziewięćdziesiątych powszechna. Banki

szastały forszą na 122

akcje niskiego ryzyka, a wypuszczające je firmy próbowały kupić cały świat.

Ale Ackermanowi bankructwo nie grozi. Poza tym są ponoć dobrze ubezpieczeni. - French zarzucił przynętę i Clay postanowił ją połknąć.

- Na co najmniej trzysta milionów - wtrącił. - Poza tym mają pół mi liarda w gotówce ze sprzedaŝy dyloftu.

French uśmiechnął się i omal nie pociekła mu ślinka. Nie mógł i nawet nie próbował ukryć podziwu.

- Świetnie, synu. Cudownie. Te materiały są pewne?

- Absolutnie. Mamy ludzi, byłych pracowników Ackermana, którzy bez wahania puszcza farbę. Mamy dane laboratoryjne, których nie powinniśmy mieć. Ackerman nie pójdzie do sądu. Nie z dyloftem.

- Fantastyczne. - French zamknął oczy i chłonał te słowa jak gąbka.

Wyglądniały adwokat, któremu trafił się pierwszy porządny wypadek sa-mochodowy, nie byłby szczęśliwszy.

Julia rozlała wino do dwóch małych, kosztownych kieliszków. French powąchał je fachowo, niespiesznie ocenił, wreszcie wypił łyk. Mlasnął, kiwnął głową i ponownie nachylił się do przodu.

- Dreszcz, jaki przechodzi cię, kiedy przyłapujesz takiego giganta na czymś brudnym, jest lepszy niż seks, Clay, lepszy niż seks. To najprzyjemniejszy dreszczyk, jaki znam. Nakrywasz chciwych sukinsynów na tym, jak wypuszczają na rynek produkt, który robi krzywdę niewinnym ludziom, i jako prawnik dajesz im kopa w dupę. Po to ŝyję. Tak, pieniądze teŝ mnie kręca, ale pieniądze napływają po tym, jak ich przyłapiesz. ŝeby nie wiem ile forsy zgarnął, nigdy nie przestanę tego robić. Ludzie myślą, ŝe jestem zachłanny, bo mam tyle, ŝe do końca ŝycia mógłbym byczyć się na plaŝy.

Ale to nuda! Wolę już pracować sto godzin tygodniowo, polując na tych oszustów. To moje ŝycie.

Jego gorliwość była zaraźliwa. Twarz promieniała mu fanatyzmem.

Głośno wypuścił powietrze i spytał:

- Dobre wino?

- Nie. Smakuje jak nafta.

- Masz rację. Julia! Wylej to! Przynieś nam butelkę meursaulta, tego z wczorajszej dostawy.

Ale Julia najpierw przyniosła mu telefon.

- Muriel - powiedziała.

French chwycił aparat:

- Halo?

Julia nachyliła się i szepnęła:

- Muriel jest główną sekretarką, naszą matką przełożoną. Nie dodzwoni się do niego Sona, ale ona zawsze.

French trzasnął klapką telefonu.

123

- Wyłóżę ci mój plan - powiedział. - I obiecuję, że jeśli go zaakceptujesz, w krótkim czasie zgarniesz jeszcze więcej forsy.

- Dobra, słucham.

- Zbiorę tyle samo pozwów co ty. Otworzyłeś już drzwi, więc rzucą się nimi setki prawników. Gdybyśmy przenieśli pozwy z Waszyngtonu na mój teren w Missisipi, moglibyśmy, ty i ja, wszystko to kontrolować. Ackerman robiłby w spodnie ze strachu. Teraz też się boją, bo przyszpiliłeś ich tu, w Waszyngtonie, ale myślą sobie tak: To zwykły Sólodziób. Nigdy tego nie robił, nigdy nie miał masówki, to jego pierwsza sprawa, i tak dalej. Ale jeśli połą-

czysz swoje pozwy z moimi, jeśli zmontujemy jedną wielką zbiorówkę i przeniesiemy ją do Missisipi, Ackerman dostanie zawału i padnie na pysk.

Od wątpliwości i pytań Clayowi kręciło się w głowie.

- Mów dalej. – Nic więcej nie zdołał wykrztusić.

- Ty masz swoje pozwy, ja swoje. Połączymy je i kiedy na scenę wkroczą inni, pójdę do sędziego i poproszę go o ustanowienie adwokackiego komitetu nadzorczego. Robimy tak cały czas. Będę przewodniczącym. Ty członkiem, bo jako pierwszy złożyłeś pozew. Będziemy to wszystko organizowali i nadzorowali, chociaż z bandą bezczelnych, nadętych prawników nie jest łatwo. Ale mam doświadczenie. Dzięki komitetowi zyskamy władzę. I natychmiast zaczniemy negocjować z Ackermanem. Znam ich adwokatów. Jeśli twoje materiały są tak dobre, jak mówisz, będziemy napierali na szybką ugodę.

- Na jak szybką?

- Zależy od kilku czynników. Ile będzie pozwów. Kiedy je zdobędziemy. Ilu innych prawników skorzysta z okazji. I najważniejsze: jak poważne są skutki uboczne dyloftu.

- Niezbyt. Guzki są łagodne.

French zmarszczył czoło, słysząc złą nowinę, ale zaraz się rozchmurzył, dostrzegając i dobrą.

- To nawet lepiej. Cystoskopia.

- Tak. Za tysiąc dolarów.

- Jakie rokowania?

- Bardzo dobre. Wystarczy odstawić lek i życie wraca do normy, co dla niektórych artretyków nie jest zbyt przyjemne.

French powąchał wino, zakręcił kieliszkiem i wypił łyk.

- O wiele lepsze, nie uważasz?

- Fakt.

- W zeszłym roku byłem w Burgundii na degustacji wina. Przez cały tydzień wąchałem, smakowałem i wypluwałem. Bardzo miła wycieczka. - Po-gramy w zadumie, wypił kolejny łyk, niczego nie wypluwając, i uszeregował

w głowie kolejne trzy myśli. - Tak, to jeszcze lepiej - powtórzył. - Oczywiście dla naszych klientów, bo nie grozi im poważna choroba. I dla nas, bo Acker-124

man szybciej pójdzie na ugode. Najważniejsze to zdobyć pozwy. Im więcej ich zdobędziemy, tym lepiej. Więcej pozwów, większe honorarium.

- Rozumiem.

- Ile wydajesz na ogłoszenia?

- Dwa miliony.

- Nieźle, całkiem nieźle. - French chciałby go spytać, skąd taki Sóltoz wzięł dwa miliony zielonych na reklamę, ale to sobie odpuścił.

Silnik zwolnił obroty, pysk maszyny nieco opadł.

- Daleko jeszcze? - spytał Clay.

- Z Waszyngtonu leci się czterdzieści minut. Ten ptaszek wyciąga dziewięćset sześćdziesiąt na godzinę.

- Gdzie lądujemy?

- Na Teterboro w New Jersey. Lądują tam wszystkie prywatne maszyny.

- Pewnie dlatego nigdy o nim nie słyszałem.

- Twój samolot już do ciebie leci, Clay. Możesz mi zabrać wszystkie zabawki, tylko zostaw mi tę

maszynę. Musisz coś takiego mieć.

- Będę latał twoim.

- Zaczynij od małego leara. Można je kupić za dwa miliony od sztuki. Do tego dwóch pilotów po siedemdziesiąt pięć tysięcy każdy. Ale to tylko koszty ogólne. Bez samolotu ani rusz, sam się przekonasz.

Po raz pierwszy w Syciu ktoś doradzał Clayowi, jaki ma kupić odrzutowiec.

Julia zebrała tace i powiedziała, że za pięć minut lądują. Clay patrzył jak zahipnotyzowany na panoramę Manhattanu na wschodzie. French przysnął.

Wylądowali i pokolowali wzdłuż rzędu prywatnych terminali, gdzie parkowały dziesiątki eleganckich samolotów. Jedne właśnie obsługiwano, inne po prostu stały i czekały.

- Zobaczysz tu więcej prywatnych maszyn niż gdziekolwiek indziej na świecie - rzekł French, idąc za wzrokiem Claya. - Parkują tu wszyscy najwzniejsi z Manhattanu. Do centrum jest czterdzieści pięć minut. Jak chcesz naprawdę zaszpanować, kupujesz sobie helikopter i lecisz do miasta. Lot trwa tylko dziesięć minut.

- Mamy helikopter? - spytał Clay.

- Nie. Ale gdybym tu mieszkał, pewnie bym miał.

Wsiadli do limuzyny, która czekała dwa kroki od schodków. Piloci i Julia zostali na pokładzie. Musieli posprzątać i oczywiście schłodzić wino przed kolejnym lotem.

- Do Peninsula - rzucił French do kierowcy.

- Tak jest, proszę pana.

Wynajęta czy własna? Największy specjalista od pozwów zbiorowych w świecie nie korzystałby chyba z usług firmy przewozowej. Clay postanowił o to nie pytać. Co za różnica?

125

- Ciekawią mnie twoje ogłoszenia - powiedział French, gdy przebijali się przez zatłoczoną autostradę. - Kiedy zacząłeś je puszczać?

- W niedzielę wieczorem, w dziewięćdziesięciu strefach, od wybrzeża do wybrzeża.

- Jak zbieracie pozwy?

- Dziewięciu ludzi siedzi przy telefonach; siedmiu bez licencji, dwóch prawników. W poniedziałek odebraliśmy dwa tysiące telefonów, wczoraj trzy. Na naszą stronę internetową zagląda osiem tysięcy ludzi dziennie.

Osiem tysięcy to około tysiąca potencjalnych klientów.

- Ilu ich może być?

- Wszystkich? Według mojego informatora, który jak dotąd przekazywał mi bardzo dokładne dane, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pię-

ciu tysięcy.

- Chciałbym go poznać.

- Mojego informatora? Odpada.

Próbując pogodzić się z odmową, French zaczął wyłamywać sobie palce.

- Musimy ich zdobyć, Clay. Ja ruszam z ogłoszeniami jutro. Może podzielimy kraj na pół? Ty weźmiesz północ i wschód, ja południe i zachód. Łatwiej by było dotrzeć do mniejszych rynków, łatwiej prowadzić sprawę. Za kilka dni w telewizji wystąpi facet z Miami. Drugi siedzi w Kalifornii i daje głowę, że w tej chwili kopiuje twoje ogłoszenie. Zgoda, jesteśmy rekinami, zwykłymi sępami. Rozpoczął się wyścig, Clay. Mamy wielką przewagę, ale za nami pędzi rozjuszony stado.

- Robię, co mogę.

- Jaki masz budżet? - spytał French, jakby robili interesy od lat.

A co mi tam, pomyślał Clay. Siedząc ramię przy ramieniu na tylnym siedzeniu luksusowej limuzyny, czuł się jak jego stary wspólnik.

- Dwa miliony na ogłoszenia, dwa miliony na badanie moczu.

- Zrobmy tak - powiedział French, nie czyniąc najmniejszej przerwy w rozmowie. - Ty wydaj cztery miliony na ogłoszenia i zgarnij jak najwię-

cej tych cholernych pozwów. Ja wyłożę pieniądze na wszystkie badania, a kiedy dogadamy się z Ackermanem, zażądamy od nich zwrotu kosztów.

To część każdej umowy: firma musi pokryć koszty badań medycznych.

- Każde kosztuje trzysta dolarów.

- Wykiwali cię. Skrzyknę kilku techników i zrobimy to o wiele taniej.

Przypomniało mu to wydarzenia z wczesnego okresu kampanii przeciwko Chudemu Benowi. Kazał przebudować cztery greyhoundy i zrobił

z nich kliniki na kółkach: jeździły po całym kraju i badały pacjentów. Wjechali na most Waszyngtona i Clay słuchał ze słabnącym zainteresowaniem.

Po opowieści o Chudym Benie popłynęła kolejna.

126

Z apartamentu w Peninsula miał widok na Piątą Aleję. Bezpiecznie zamknięty na klucz, z dala od Pattona, podniósł słuchawkę i zaczął szukać Maxa Pace'a.

ROZDZIAŁ 19

Znalazł go za trzecim telefonem, ale Bóg raczy wiedzieć, gdzie Max tak naprawdę był. Nie miał stałego adresu i ostatnimi czasy wpadał do Waszyngtonu coraz rzadziej. ChociaŜ nigdy się do tego nie przyznał, pewnie gasił kolejny poŜar, chroniąc zbląkanego klienta przed serią paskudnych rozpraw sądowych. Nie przyznał się, ale wcale nie musiał. Clay go znał i wiedział, Ŝe jest rozchwytywany. Na rynku nie brakowało wadliwych produktów.

Był zaskoczony, Ŝe dźwięk jego głosu tak bardzo go ucieszył. Powiedział, gdzie jest, z kim i o czym rozmawiał. Pierwsze słowo Maxa ostatecznie przypieczętowało umowę z Frenchem.

- Genialne. Po prostu genialne.

- Znasz go?

- W tej branŜy wszyscy go znają. Nigdy nie robiłem z nim interesów, ale ten facet to legenda.

Clay przedstawił mu szczegóły propozycji Pattona. Pace szybko załapał w czym rzecz i zaczął myśleć z wyprzedzeniem.

- Jeśli złoŜycie drugi pozew w Biloxi, akcje Ackermana spadną jeszcze bardziej. JuŜ teraz firma się wije, bo cisną ją banki i udziałowcy. Cudowny plan. Idź na to.

- Dobra. Załatwione.

- I kup jutro „New York Timesa”. Zamieszczą sensacyjny artykuł o dylofcie. Opublikowano pierwsze wyniki badań medycznych. Są druzgoczące.

- Bomba.

Clay wziął piwo z lodówki - osiem dolarów za puszkę, ale kogo to obchodziło - i przez długi czas siedział przy oknie, obserwując gorączkowy ruch na Piątej Alei. To, Ŝe musiał całkowicie polegać na radach Maxa, wcale go nie zachwycało, ale po prostu nie miał się do kogo zwrócić. Bo nikt inny, nawet jego ojciec, nigdy nie otrzymał takiej propozycji. „Przenieśmy pięć tysięcy twoich pozwów do Biloxi, połączmy je z moimi pięcioma tysiącami i zamiast dwóch małych, zorganizujemy jedną wielką zbiorówkę: wyłoŜę milion na badania, ty podwoisz nakłady na ogłoszenia i zgarniemy czterdzie-

ści pięć procent plus koszty. Zbijemy fortunę. Co ty na to, Clay?"

W ciągu ostatniego miesiąca błyskawicznie zarobił pieniądze, o jakich mu się nawet nie śniło. Ale coraz częściej miał wraŜenie, Ŝe wydaje je jeszcze szybciej. Odwagi, myślał, to rzadka okazja. Odwagi! Atakuj, wykorzystaj szansę, rzuć kośćmi i będziesz obrzydliwie bogaty. Ale inny głos przestrzegał go przed pośpiechem: nie przepuść tych pieniędzy. Ukryj je, starczą ci do końca Ŝycia.

Przelał milion dolarów do banku na wyspach, nie po to, Ŝeby je ukryć, ale Ŝeby ich strzec. Postanowił ich nie tykać, nigdy, pod Ŝadnym pozorem. JeŜli dokona złego wyboru, jeŜli zaryzykuje i przegra, wciąż będzie miał pieniądze na plaŜowe Ŝycie. Wymknie się z miasta jak jego ojciec i juŜ nigdy nie wróci.

Milion dolarów na tajnym koncie było jego kompromisem.

Próbował dodzwonić się do kancelarii, ale wszystkie linie były zajęte -

dobry znak. Złapał Jonasza na komórce.

- Obłąd - mruknął skonany Jonasz. - Kompletny burdel.

- To dobrze.

- Przyjedź tu i pomóŜ!

- Jutro.

O wpół do ósmej Clay włączył telewizor i znalazł swoje ogłoszenie na kablówce. W Nowym Jorku brzmiało jeszcze bardziej złowieszczo.

Na kolację poszli do Montrachet, nie ze względu na jedzenie, które było bardzo dobre, ale ze względu na listę win, grubszą niŜ gdziekolwiek indziej w Nowym Jorku. French chciał spróbować kilku rodzajów czerwono-nego burgunda do cielęciny. Przyniesiono pięć butelek i pięć kieliszków.

Zostało niewiele miejsca na chleb i masło.

Omawiając kaŜdą butelkę z osobna, kelner od win i Patton zaczęli mó-

wić prawdziwą chińszczyznę. Claya szybko to znudziło. Wolałby piwo i hamburgera, chociaŜ czuł, Ŝe w niedalekiej przyszłości gwałtownie zmienią mu się gusty.

Gdy wino juŜ oddychało, French oznajmił:

- Dzwoniłem do kancelarii. Lecą ogłoszenia tego z Miami. Otworzył

dwa punkty przyjęć i spędza klientów jak bydło. Nazywa się Carlos Hernandez i jest bardzo, ale to bardzo dobry.

- Moi ludzie nie dają rady odbierać wszystkich telefonów - odparł Clay.

- To jak? Wchodzimy w to?

- Obgadajmy szczegóły.

French wyjął dokumenty.

- Umowa - powiedział. Podał ją Clayowi i sięgnął po pierwszą butelkę. - Streszczenie tego, o czym mówiliśmy.

Clay przeczytał ją uważnie i podpisał. Patton też, między jednym łykiem wina a drugim. Tak narodziła się ich spółka.

128

- Złożymy pozew już jutro - rzucił French. - Załatwię to zaraz po powrocie do Biloxi. Dwóch moich już nad tym siedzi. Gdy tylko złożę pozew, wycofasz swój z Waszyngtonu. Znam radcę prawnego Ackermana. Chyba mogę z nim pogadać. Jeśli firma zechce negocjować bezpośrednio z nami, z pominięciem adwokatów z zewnątrz, zaoszczędzi masę forsy i dają nam.

Poza tym takie posunięcie przyspieszyłoby sprawę. Jeśli dorwą się do tego ci z zewnątrz, stracimy pół roku.

- I sto milionów, tak?

- Coś koło tego. Mogą być nasze. - W kieszeni Frencha zadzwoniła ko-mórka. Wyjął ją jedną ręką, w drugiej trzymając kieliszek. - Przepraszam.

Rozmawiał o dylofcie z jakimś prawnikiem, kimś z Teksasu, najwyraź-

niej starym kumplem, który mówił jeszcze szybciej niż on. Przekomarzali się przyjaźnie, lecz Patton był czujny. Zatrzasnąwszy klapkę telefonu, mruknął:

- Niech to szlag!

- Konkurencja?

- I to poważna. Vic Brennan, znany prawnik z Houston, bardzo inteligentny i agresywny. Załapał się na dyloft i pyta o mój gryplan.

- Nie ma przy tobie szans.

- I dobrze o tym wie. Ale jutro zaczyna puszczać ogłoszenia: radio, telewizja, prasa, i tak dalej. Zgarnie kilka tysięcy pozwów. - French pocieszył się łykiem wina. - Wyścig się rozpoczął - dodał z uśmiechem. - Musimy zdobyć te pozwy.

- Będzie jeszcze gorzej - odrzekł Clay.

Patton miał w ustach wino i nie mógł mówić. „Czemu?” - spytał oczami.

- Mój informator twierdzi, że jutro rano „New York Times” opublikuje sensacyjny artykuł. Pierwszy oficjalny raport o skutkach ubocznych działania dyloftu.

Clay wybrał nieodpowiedni moment. French natychmiast zapomniał

o cieleninie, która pitrasila się jeszcze w kuchni. Zapomniał też o kosztownych winach na stole, chociaż w ciągu następnych trzech godzin zdołał wypić je wszystkie. Ale jaki specjalista od zbiorówek mógłby skupić się najedzenie i winie, kiedy za kilka godzin „New York Times” miał publicznie wyjawic nazwę wiadomej firmy i jej niebezpiecznego leku?

Dzwonił telefon, chociaż na dworze było jeszcze ciemno. Gdy Clay w końcu

zdołał skupić wzrok na zegarku, okazało się, że jest za kwadrans szósta.

- Wstawaj! - warknął French. - I otwórz drzwi. - Ledwie Clay zdążył

trzasnąć zasuwą, Patton pchnął je i wmaszerował do pokoju z gazetą i kubkiem kawy w ręku. - Niewiarygodne! - Rzucił gazetę na łóżko. - Nie możesz

na spać cały dzień, synu. Czytaj! - Był we frotowym szlafroku, który każdy gość dostawał tu w prezencie, i w białych kłapkach pod prysznic.

129

- Jeszcze nie ma szóstej.

- Od trzydziestu lat wstaję przed piątą. Klienci czekają, szkoda ich tracić.

Clay miał na sobie tylko bokserki. Pijąc kawę, Patton przeczytał artykuł jeszcze raz, w okularach na czubku płaskiego nosa.

Ani śladu kaca. Wina Claya znudziły, bo wszystkie smakowały tak samo, i w końcu poprosił o butelkę mineralnej. Ale French dzielnie walczył dalej, po-stanowiwszy, że ustali bezapelacyjnego zwycięzcę spośród pięciu burgundów, choć wiadomość o artykule trochę go rozkojarzyła i nie wkładał w to serca.

„Atlantic Journal of Medicine” donosił, że zażywanie dylofedamintu, znanego jako dyloft, powoduje powstawanie guzków w pęcherzu moczowym u sześciu procent pacjentów, którzy przyjmowali ten lek co najmniej od roku.

- Wzrosło - zauważył Clay. - Z pięciu do sześciu.

- Czy to nie cudowne?

- Nie, jeśli naleśysz do tych sześciu procent.

- Ale nie naleśę.

Niektórzy lekarze już odstawiali lek. Ackerman wydał mgliste oświadczenie, w którym wszystkiemu zaprzeczył, i jak zwykle zrzucił winę na chciwych prawników, chociaż wyglądało na to, że firma zaczyna brać ogon pod siebie. Federalny Urząd Śwyności i Leków niczego nie komentował.

Jakiś lekarz z Chicago gadał przez pół szpalty, jaki to dyloft jest wspaniały i jacy szczęśliwi są jego pacjenci. Dobrą wiadomością-jeśli można tak powiedzieć - było to, że guzki nie są złośliwe, a przynajmniej złośliwych jak dotąd nie wykryto. Czytając artykuł, Clay miał wrażenie, że Max Pace znał te dane już przed miesiącem.

Tylko w jednym akapicie wspomniano, że w poniedziałek złożono w Waszyngtonie zbiorowy pozew przeciwko producentowi dyloftu, lecz nie wymieniono nazwiska młodego prawnika, który to zrobił.

W poniedziałek rano akcje Ackermana kosztowały czterdzieści dwa i pół dolara. Na zamknięciu w środę spadły do trzydziestu dwóch i pół.

- Powinienem był sprzedać - wymamrotał French. - To makulatura. -

Clay zagryzł język i nie puścił pary z ust, dochowując tajemnicy, jednej z kilku w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Przeczytamy to jeszcze raz w samolocie - powiedział French. - Spadajmy stąd.

Gdy wszedł do kancelarii i próbował przywitać się z lecącymi z nóg kolegami, okazało się, że akcje spadły do dwudziestu ośmiu dolarów za sztukę. Otworzył giełdową stronę internetową i zaglądał na nią co piętna-

ście minut, licząc zyski. Na jednym froncie wydawał pieniądze jak szalony, dobrze chociaż, że zarabiał na drugim.

130

Pierwszy zajrzał do niego Jonasz.

- Siedzieliśmy tu do północy - powiedział. - Czysty obłąd.

- Będzie jeszcze gorzej. Podwajamy liczbę ogłoszeń.

- Już teraz się nie wyrabiamy.

- Wynajmij ludzi na zlecenie.

- Brakuje nam tych od komputerów, co najmniej dwóch. Nie nadają się do sumowania danych.

- Znajdziesz kogoś?

- MoŜe kogoś na zlecenie... Znam jednego faceta, moŜe dwóch, którzy mogliby wpaść wieczorem i pomóc.

- Őciągnij ich.

Jonasz był juŜ w progu, ale odwrócił się i zamknął drzwi.

- Posłuchaj, ale tak między nami, dobra?

Clay rozejrzał się wokoło i nie zobaczył nikogo więcej.

- No? Co jest?

- Posłuchaj, bystry z ciebie gość i w ogóle. Ale czy ty na pewno wiesz, co robisz? W Őyciu nie widziałem, Őeby ktoś tak szastał pieniędzmi. A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Martwisz się?

- Wszyscy się trochę martwimy. Mieliśmy wspaniały start. Chcemy tu zostać, pracować, mieć kupę zabawy i kosić szmal. Ale jeśli się mylisz i wy-lądujemy do góry brzuchem? To uczciwie postawione pytanie.

Clay obszedł biurko i przysiadł na rogu.

- Będę z tobą szczerzy. Myślę, Őe wiem, co robię, ale ponieważŜ nigdy dotąd tego nie robiłem, nie mogę być stuprocentowo pewny. To jedna wielka loteria. Jeśli wygram, zarobimy kupę pieniędzy. Jeśli przegram, kancelaria i tak się utrzyma. Po prostu nie będziemy bogaci.

- Przy okazji powiedz to innym, dobra?

- Dobra.

Lunch - dziesięciominutowa przerwa na kanapkę w sali konferencyjnej. Jonasz przyniósł najŐwieŐsze dane. Przez pierwsze trzy dni działania gorącej linii odebrali siedem tysięcy sto telefonów. Na stronę internetową zaglądało średnio osiem tysięcy osób dziennie. Broszury informacyjne i umowy wysyłano pocztą tak szybko, jak to było moŜliwe, ale i tak mieli opóźnienie. Clay kazał Jonaszowi wynająć dwóch informatyków na zlecenie. Paulette szukała trzech, czterech dodatkowych półlegalniaków do pracy w Siłowni. Panna Glick miała Őciągnąć ludzi do prowadzenia korespondencji, ilu się da.

Opowiedział im o spotkaniu z Pattonem Frenchem i wyjaśnił zasady nowej strategii działania. Pokazał kopię artykułu z „Timesa”; byli tak za-rŐnięci, Őe nic o nim nie wiedzieli.

- Wyścig się zaczął, panie i panowie - dodał, robiąc wszystko, żeby ich zmotywować. - Rekiny rzucają się na naszych klientów.

- To my jesteśmy rekinami - mruknęła Paulette.

Patton zadzwonił pod wieczór z wiadomością, że pozw uzupełniono o powodów z Missisipi i złożono w sądzie stanowym w Biloxi.

- Jesteśmy tam, gdzie chcieliśmy - powiedział.

- Jutro wycofam papiery z Waszyngtonu - odrzekł Clay z nadzieją, że nic na tym nie straci.

- Dasz cynk prasie?

- Nie zamierzałem... - Clay nie miał zielonego pojęcia, jak to się robi.

- Dobra, zostaw to mnie.

Pod koniec dnia za akcję Ackerman Labs płacono dwadzieścia sześć dolarów, dwadzieścia pięć centów i gdyby kupił teraz, miałby na papierze milion sześćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów zysku. Postanowił czekać.

Rano prasa opublikuje wiadomość o Biloxi i akcje spadną jeszcze bardziej.

O północy siedział przy biurku, gawędząc z pewnym dentelmenem z Seattle, który brał dyloft prawie od roku i był przerażony myślą o guzkach w pęcherzu. Clay doradził mu jak najszybszą wizytę u lekarza i badanie moczu. Podał mu adres ich strony internetowej i obiecał, że z samego rana wyśle mu broszurę informacyjną. Gdy się śgnali, facet prawie płakał.

ROZDZIAŁ 20

Za cudownym dyloftem włókł się coraz bardziej cuchnący ogon. Opublikowano dwie kolejne analizy medyczne, które wykazały, że ci z Ackermana szli w badaniach na skrót i pociągnęli za wszystkie sznurki, żeby lek zatwierdzono. Federalny Urząd żywności i Leków wycofał go w końcu z rynku.

Złe nowiny dla Ackermana były oczywiście cudownymi nowinami dla prawników i szaleństwo sięgnęło szczytu, gdy z pozwami zaczęli zgłaszać się spóźnialscy. Pacjenci zaszywający dyloft otrzymali oficjalne ostrzeżenie od Ackermana i od swoich lekarzy, a za tymi złowieszczymi listami niemal zawsze przychodziły równie złowieszcze listy od adwokatów. Adresowane do konkretnych pacjentów okazały się bardzo skuteczne. Niemal w każdej większej gazecie zamieszczano ogłoszenia. W telewizji reklamowało się coraz więcej gorących linii. Zagrożenie guzkami zmusiło dosłownie każdego pacjenta zaszywającego dyloft do skontaktowania się z adwokatem.

Patton French nigdy w życiu nie widział piękniejszej masówki. Ponieważ Clay i on wygrali wyścig do sądu w Biloxi, ich pozw zatwierdzono 132

jako pierwszy. Pozostali, ci, którzy chcieli wystąpić z pozwem zbiorowym, musieli do nich dołączyć,

za co adwokacki komitet nadzorczy pobierał dodatkową opłatę. Zaprzyjaźniony z Pattonem sędzia wyznaczył już jego pię-

cioosobowy skład. Weszli doń: French, Clay, Carlos Hernandez z Miami i dwóch prawników z Nowego Orleanu. Teoretycznie rzecz biorąc, komitet miał zorganizować i poprowadzić wielki, skomplikowany proces przeciwko Ackerman Labs. W rzeczywistości pięć zasiadających w nim osób przekładało papierki i próbowało utrzymać w ryzach ponad pięćdziesiąt tysięcy

cy klientów i reprezentujących ich adwokatów.

Klient zawsze mógł zrezygnować z pozwu zbiorowego i wystąpić przeciwko Ackermanowi z pozwem indywidualnym. W miarę jak prawnicy z całego kraju zawierali coraz więcej koalicji, coraz częściej dochodziło do nieuchronnych konfliktów. Jedni, rozczarowani warunkami pozwu z Biloxi, chcieli złożyć pozew własny. Inni nie lubili Pattona Frencha. Jeszcze inni woleliby proces w ich okręgu jurysdykcyjnym, licząc na większe odszkodowanie.

Ale French brał udział w niejednej bitwie. Mieszkając w samolocie, latając od wybrzeża do wybrzeża i spotykając się z kolegami po fachu, którzy

zgarniali pozwy setkami, utrzymywał koalicję w całości. W Biloxi dostaniemy więcej, obiecywał.

Codziennie rozmawiał przez telefon z radcą prawnym Ackermana, starym, doświadczonym wiarusem, który dwa razy próbował przejść na emeryturę, na co naczelny nie wyraził zgody. Postawił sprawę jasno: pogadajmy o ugodzie już teraz, bez ludzi z zewnątrz, bo dobrze wiecie, że sprawa do sądu nie trafi. Ci z Ackermana zaczęli go słuchać.

W połowie sierpnia zwołał szczyt na swoim wielkim ranczo pod Ketchum w Idaho. Uprzedził Claya, że jako członek adwokackiego komitetu nadzorczego po prostu musi tam być, poza tym, co równie ważne, jego kumple chcieli poznać młodego parweniusza, który jako pierwszy przyto-

żył Ackermanowi.

- I jeszcze coś - dodał. - Nie warto ich olewać, bo wbiją ci nóż w plecy.

- Przyjadę - obiecał Clay.

- Wyślę po ciebie samolot - zaproponował French.

- Nie, dzięki. Przyjadę sam.

Clay wyczarterował Leara 35, mały, elegancki samolocik wielkości jednej trzeciej Gulfstreama 5, ale ponieważ miał podróżować sam, większego nie potrzebował. Z pilotami spotkał się w prywatnym terminalu na lotnisku Reagana, gdzie próbował fraternizować się z innymi, o wiele starszymi od niego wamiakami, rozpaczliwie udając, że przejeżdża własnym samolotem to dla niego codzienność. Oczywiście, tylko ten samolot wyczarterował, ale na trzy dni maszyna należała wyłącznie do niego.

Gdy wystartowali, widział z góry jedynie Potomac i mauzoleum Lincolna, lecz wkrótce, już kilka sekund później, zobaczył całe śródmieście.

Tam był gmach jego kancelarii, a tam, nieco dalej, lecz w sumie bliźutko, gmach Urzędu Obróńcy Publicznego. Co by pomyślała teraz o nim Glenda, Jermaine i wszyscy ci, których zostawił na dole?

Co pomyślałaby o nim Rebeka?

Gdyby tylko wytrzymała jeszcze jeden miesiąc.

Miał tak mało czasu, żeby o niej pomyśleć.

Chmury; widok zniknął. Niebawem Waszyngton został daleko za nimi.

Clay Carter leciał na spotkanie z najbogatszymi prawnikami Ameryki, specjalistami od pozwów zbiorowych, z tymi, którzy mieli dość rozumu i krzepy, żeby występować przeciwko najpotężniejszym korporacjom.

I chcieli go poznać!

Lear był najmniejszą maszyną na lotnisku Ketchum-Sun Valley we Friedman w stanie Idaho. Gdy mijał po drodze przeróżne gulfstreamy i challengey, Clayowi przyszła do głowy idiotyczna myśl, że ten karzełek tu nie pasuje, że musi mieć coś większego. I natychmiast wyśmiał siebie w duchu: siedział w wybitej skórą kabinie maszyny za trzy miliony dolarów i zastanawiał się, czy nie powinien latać czymś większym! Dobrze, że mógł

jeszcze się śmiać. Co będzie, gdy śmiech ucichnie?

Zaparkowali obok znajomego samolotu, tego z napisem 000PZ na ogonie.

Zero, zero, zero, Pozew Zbiorowy, napowietrzny dom samego Pattona Frencha. Przytłaczał leara jak góra i przez sekundę Clay spoglądał z prawdziwą zazdrością na ten najwspanialszy, najbardziej luksusowy samolot na świecie.

Czekała na niego furgonetka z imitacją kowboja za kółkiem. Kowboj był

na szczęście małowówny, tak że przez całą drogę - jechali czterdzieści pięć minut - Clay z przyjemnością milczał. Coraz węższa szosa wiała się pod górę.

Ranczo Pattona było nowe i jak z pocztówki, co bynajmniej go nie zaskoczy-

ło. Dom miał tyle skrzydeł i poziomów, że zmieściłaby się w nim porządna kancelaria adwokacka. Kolejny kowboj wziął od Claya torbę.

- Mecenaz French czeka na tarasie - powiedział, jakby Clay był tu wiele razy.

Prawnicy rozmawiali o Szwajcarii, o swoich ulubionych kurortach narciarskich. Podchodząc bliżej, Clay przez chwilę im się przysłuchiwał. Pozostali czterej członkowie adwokackiego komitetu nadzorczego siedzieli w fotelach z widokiem na góry, paląc ciemne cygara i pociągając ze szklaneczek.

Gdy zdali sobie sprawę, że już tam jest, zerwali się na równe nogi, jakby do sali rozpraw wszedł sędzia. W ciągu pierwszych trzech minut entuzjastycznej, ożywionej rozmowy nazwano go człowiekiem błyskotliwym, bystrym, odważnym i - ten epitet przypadł mu do gustu najbardziej - wizjonerem.

134

- Musisz nam powiedzieć, jak dowiedziałeś się o dylofcie - zaczął

Carlos Hernandez.

- On nic nie powie - odparł French, przygotowując dla Claya jakąś straszliwą miksturę.

- E tam, może jednak powie - nie ustępował Wes Saulsberry, najnowszy przyjaciel Claya. Za kilka minut ten ostatni miał dowiedzieć się, że przed trzema laty Wes zarobił pół miliarda dolarów na ugodzie z wytwórcami produktów tytoniowych.

- Złożyłem przysięgę - odparł Clay.

Z Nowego Orleanu przyjechał Damon Didier, jeden z mówców, któ-

rych Clay widział na spotkaniu Kręgu Adwokackiego. Miał kamienną twarz i nieruchome, stalowe oczy, i już wtedy Clay zastanawiał się, jakim cudem nawiązuje kontakt z przysięgłymi. Wkrótce doniesiono mu, że zbił fortunę, gdy wypełniona studentami łódź zatoniła w wodach jeziora Pontchartrain.

Cóż za nieszczęście.

Potrzebowali odznak i medali, jak bohaterowie wojenni. Ten dali mi za wybuch tankowca, w którym zginęło dwadzieścia osób. Ten za chłopaków, którzy spalili się żywcem na platformie wiertniczej. Ten duży za udział w kampanii Chudego Bena. Ten za udział w wojnie z Wielkim Tytoniem. A ten za bitwę z Organizacją Zdrowia. Ponieważ Clay żadnego medalu nie miał, przynajmniej oficjalnie, po prostu słuchał. Przebiłby ich wszystkich opowieścią o tarwanie, ale musiał trzymać język za zębami.

Kamerdyner w eleganckiej koszuli a la Roy Rogers poinformował Frencha, że kolacja będzie za godzinę. Przeszli do salonu gier ze stołami do bilardu i wielkimi ekranami. Zastali tam kilkunastu mężczyzn, pijących, rozmawiających i grających.

- Pozostali spiskowcy - szepnął Hernandez do Claya.

Patton przedstawił go. Nazwiska, twarze i miasta, z których pochodzili - już

po chwili wszystko to zlało się ze sobą i wymieszało. Seattle, Houston, Topeka, Boston. I Effingham w Illinois. Wszyscy złośliwi hołd młodemu, „błyskotliwie-mu” prawnikowi, który zaszokował ich swoim śmiałym atakiem na dyloft.

- Widziałem to ogłoszenie już pierwszego dnia - mówił Bernie jakiś tam z Bostonu. - Nigdy w życiu nie słyszałem o dylofcie. Dzwonię na gorącą linię i gadam z jakimś miłym facetem. Mówię mu, że biorę ten przeklęty lek, podpuszczam go, no wiecie. Zaglądam na stronę internetową.

Absolutnie genialna sprawa. Wpadłem, myślę sobie, zarazili mnie. Trzy dni później założyłem swoją własną gorącą linię.

Wybuchli śmiechem, bo każdy z nich miał w zanadrzu podobną historię. Clayowi nie przyszło do głowy, że inni adwokaci mogli do nich dzwonić czy zaglądać na stronę internetową, żeby wy badać sprawę. Tylko dlaczego wcale go to nie zaskoczyło?

135

Gdy fala podziwu wreszcie minęła, Patton oznajmił, że przed kolacją, do której, nawiasem mówiąc, zostaną podane najprzedniejsze australijskie wina, muszą omówić kilka spraw. Clayowi już kręciło się w głowie po ku-bańskim cygarze i podwójnej wódce. Był tu zdecydowanie najmłodszy i pod każdym względem czuł się jak sółtodziób. Zwłaszcza jeśli chodziło o picie. Otaczało go grono wybitnych profesjonalistów.

Najmłodszy prawnik. Najmniejszy samolot. śadnych opowieści wojennych. Najsłabsza wątroba. Doszedł do wniosku, że pora dorosnąć.

Stłoczyli się wokół Frencha, który był takimi chwilami.

- Jak wiecie - zaczął - ostatnio dużo gadałem z Wicksem, radcą prawnym Ackermana. Powiem krótko: Ackerman pójdzie na ugodę, i to szybko.

Obrywają ze wszystkich stron i chcą się z tego wywinąć. Akcje spadły tak nisko, że jeszcze trochę i może ich ktoś przejąć. Sępy, w tym my, szykują się do ataku. Jeśli będą wiedzieć, ile zaśadamy za dyloft, spróbują zrestrukturyzować długi i może jakoś się utrzymają. Na pewno nie chcą długiego procesu na kilku frontach i stu werdyktów. Nie chcą też wyrzucać milionów na obrońców.

- Biedacy - mruknął któryś.

- W „Business Week” wspominali coś o plajcie - powiedział ktoś inny. - Grozili tym?

- Jeszcze nie. I chyba nie będą. Mają za dużo aktywów. Przeanalizowaliśmy ich sytuację finansową - rano poznacie szczegóły - i uważamy, że firma ma od dwóch do trzech miliardów na ewentualną ugodę.

- Ile dostaną z ubezpieczenia?

- Tylko trzysta milionów. Rok temu weszli na rynek z kosmetykami.

Otworzyli filię i teraz chcą za nią miliard, chociaż jest warta siedemset pięćdziesiąt milionów. Mogliby opchnąć ją za pięćset i mieliby gotówkę na zaspokojenie roszczeń naszych klientów.

Clay zauważył, że o klientach wspominało tu bardzo rzadko.

Sępy stłoczyły się jeszcze bardziej.

- Musimy ustalić dwie rzeczy - mówił Patton. - Po pierwsze, ilu jest potencjalnych klientów. Po drugie, ile dostaniemy za jeden pozew.

- Podsumujmy te, których już mamy - zaproponował ktoś z Teksasu. -

Ja mam tysiąc.

- Ja tysiąc osiemset - powiedział French. - Carlos?

- Dwa tysiące - odrzekł Hernandez i zaczął to wszystko zapisywać.

- Wes?

- Dziewięćset.

Prawnik z Topeki miał najmniej, bo tylko sześćset. Prowadził Hernandez, ale Patton zostawił najlepsze na sam koniec.

- Clay? - rzucił i wszyscy wyśleli słuch.

136

- Trzy tysiące dwieście - odrzekł Clay, z trudem zachowując kamienną twarz. Ale jego nowi przyjaciele byli z tej liczby bardzo zadowoleni.

Przynajmniej na to wyglądało.

- Zuch chłopak - rzucił któryś.

Clay podejrzewał, że pod tymi szerokimi uśmiechami i pochwałami kryją się twarze piekielnie zazdrosnych ludzi.

- Dwadzieścia cztery tysiące - podsumował szybko Hernandez.

- Możemy to spokojnie podwoić i wyjdzie nam prawie pięćdziesiąt tysięcy, tak jak mówili ci z Ackermana. Dwa miliardy na pięćdziesiąt tysięcy-

cy to czterdzieści tysięcy od sztuki. Jak na początek, całkiem nieźle.

Tymczasem Clay przeprowadził swoje obliczenia. Czterdzieści tysięcy dolarów razy trzy tysiące dwieście pozwów to ponad sto dwadzieścia milionów. Jedna trzecia ze stu dwudziestu milionów...

Mózg otępiał, zmiękły mu kolana.

- Czy firma wie, ile z tych spraw dotyczy guzków złośliwych? - spytał Bernie z Bostonu.

- Nie. Szacują, że około jednego procenta.

- To pięciuset klientów.

- Co najmniej milion dolarów za każdego.

- To kolejne pół miliarda.

- Milion od łebka? Chyba żartujesz.

- W Seattle dostałbym pięć.

- Tu chodzi o nierozmyślnie spowodowanie śmierci.

Każdy z nich miał swoje zdanie i wszyscy mówili naraz, co bynajmniej Claya nie zaskoczyło. French próbował przywrócić porządek.

- Panowie - powiedział. - Chodźmy coś zjeść.

Kolacja była katastrofą. Stół zrobiono z grubej, wypolerowanej na błysk drewnianej płyty wyciętej z jednego drzewa, wielkiego, majestatycznego klonu, który rósł spokojnie przez setki lat, dopóki nie upomniała się o niego bogata Ameryka. Mogło przy nim siedzieć co najmniej czterdzieści osób.

Siedziało tylko osiemnastu i na szczęście mieli wokoło dużo miejsca. W

przeciwnym razie mogliby się wzajemnie pozabijać.

W pomieszczeniu pełnym maksymalnie rozbuchanych ego, gdzie wszyscy byli największymi prawnikami pod słońcem, najobrzydliwszym gadułą był

Victor K. Brennan, głośny, zaciągający z Teksasa adwokat z Houston. Po trzecim czy czwartym kieliszku wina, w połowie grubego, soczystego steku, zaczął narzekać na niską wycenę pozwów. Miał czterdziestoletniego klienta, któ-

ry zarabiał krocie i dzięki dyloftowi miał teraz złośliwe guzki w pęcherzu.

- W Teksasie mógłbym dostać za niego dziesięć milionów i dwadzie-

ścia milionów odszkodowania - oświadczył z dumą.

Większość pozostałych się z nim zgodziła. Niektórzy go nawet przebili, twierdząc, że u siebie dostaliby jeszcze więcej. French twardo trzymał się teorii, że jeśli kilku dostanie dużo, reszcie

zostanie tyle co nic. Brennan się z nim nie zgadzał, ale nie potrafił przedstawić żadnych solidnych kontr-argumentów. Uważał, że Ackerman ma więcej gotówki, niż twierdzi.

Tu grupa się podzieliła, lecz granice podziału były tak płynne, przymierz tak nietrwałe, że Clay miał trudności z ustaleniem, kto jest za czym. French podważył twierdzenie Brennana, że nawiązka byłaby łatwa do uzyskania.

- Masz dokumenty, tak? - spytał Brennan.

- Clay je ma. Ackerman jeszcze o tym nie wie. Nie widzieliście ich.

I jeśli się wyłamiecie, nigdy ich nie zobaczycie.

No i widelce zawisły w powietrzu i w jadalni buchnął krzyk. Wrzeszczeli wszyscy naraz, cała siedemnastka (wyłączając Claya). Kelnerzy wyszli. Clay niemal widział, jak kulą się za stołami w kuchni. Brennan wyraż-

nie chciał się z kimś pośreć. Wes Saulsberry nie miał zamiaru ustępować.

W powietrzu coraz częściej fruwały przekleństwa. Pośród tego chaosu Clay spojrzął na drugi koniec stołu i zobaczył, jak Patton spokojnie podnosi kieliszek, pociąga łyk i z zamkniętymi oczami ocenia kolejny gatunek wina.

Ciekawe ile takich kłótni zaliczył? Pewnie ze sto. Clay odkroił kawałek steku.

Kiedy trochę ucichło, Bernie z Bostonu opowiedział kawał o katolickim księdzu i w jadali gruchnął śmiech. Przez pięć minut jedli i pili, ale zaraz potem Albert z Topeki zaproponował, żeby zmusić Ackermana do bankructwa. Robił to dwa razy z innymi firmami i osiągnął całkiem niezłe rezultaty.

Wykorzystując przepisy prawa upadłościowego, firmy puściły w trąbę banki oraz pozostałych wierzycieli, dzięki czemu więcej pieniędzy wpadało Alber-towi i tysiącom klientów. Ci, którzy byli propozycji przeciwni, wyrazili swoje obawy, Albert się obraził i doszło do kolejnej awantury.

Śarli się dosłownie o wszystko - znowu o dokumenty, o to, czy nie lepiej by było olać pozew zbiorowy i nalegać na proces, o obszary jurysdykcyjne, o fałszywe ogłoszenia, o sposoby zdobywania pozwów, o koszty, o honoraria. Clay siedział bez słowa ze ściśniętym łyżką. Pozostali ze smakiem pochłaniali steki, prowadząc po dwie, po trzy kłótnie naraz.

Doświadczenie, pomyślał Clay.

Po najdłuższej kolacji w jego życiu French sprowadził ich na dół, z powrotem do sali bilardowej, gdzie czekał koniak i cygara. Ci, którzy jeszcze przed paroma minutami obrzucali się wyzwiskami, pili teraz razem i śmiali się jak kumple ze studenckiego bractwa. Przy pierwszej okazji Clay wymknął się na korytarz i po wielu trudach znalazł swój pokój.

Występ Barry'ego i Harry'ego miał rozpocząć się o dziesiątej rano w sobotę, żeby wszyscy zdążyli już zwalczyć kaca i zjeść porządne śniadanie.

Patton zorganizował dla nich wypad na pstrągi i strzelanie do rzutków, ale propozycja nie skusiła ani jednego prawnika.

Barry i Harry mieli firmę w Nowym Jorku, która zajmowała się wy-

łącznie jednym: analizą stanu finansowego wyznaczonych firm. Mieli informatorów, dobre kontakty i potrafili obnażyć kryjącą się pod fałszem prawdę. Patton sprowadził ich na godzinną prezentację.

- Kosztują nas dwieście tysięcy - szepnął z dumą. - A ci z Ackermana wszystko nam zwrócą. Tylko to sobie wyobraź.

Występowali razem, Barry zmieniał wykresy, Harry wymachiwał wskaź-

nikiem - dwóch zawodowców na podium. Stali przodem do widowni w ma-

łym audytorium poniżej sali bilardowej. Kumple Frencha choć raz wzięli na wstrzymanie i zamilkli.

Ackerman był ubezpieczony na pięćset milionów: na trzysta od odpowiedzialności cywilnej, na dwieście z umowy reasekuracyjnej. Przepływ gotówki wewnątrz firmy był tak skomplikowany, że Harry i Barry musieli mówić jednocześnie. Liczby i procenty zalały wszystkich obecnych w audytorium.

Wspomnieli o dziale kosmetycznym Ackermana, który w pierwszym podejściu mógłby pójść za sześćset milionów. W Meksyku firma miała fabrykę wyrobów plastikowych, którą chciała sprzedać za dwieście. Strukturę zadłużenia wyjaśniali piętnaście minut.

Byli również prawnikami, dlatego z bardzo dużym prawdopodobień-

stwem potrafili przewidzieć reakcję firmy na klęskę w rodzaju dyloftu. Ich zdaniem Ackerman postąpiłby mądrze, układając się szybko, lecz etapami.

- Klasyczny przekładaniec - rzucił Harry.

Clay był pewien, że jest jedyną osobą w audytorium, która nie ma zielonego pojęcia, co znaczy przekładaniec.

- Etap pierwszy - kontynuował Harry, litościwie wyjaśniając, o co chodzi. - Dwa miliardy dla powodów z grupy pierwszej.

- Naszym zdaniem mogliby to załatwić w półtora miesiąca - wtrącił

Barry.

- Etap drugi. Pół miliarda dla powodów z grupy drugiej, tych ze złośliwymi guzkami, którzy prześyją.

- I etap trzeci. Odszkodowania dla rodzin tych, którzy umrą. Ten trwałby około pięciu lat.

- Uważamy, że Ackerman jest w stanie wyłożyć od dwóch i pół do trzech miliardów do końca przyszłego roku i kolejne pół miliarda w ciągu najbliższych pięciu lat.

- Jeśli zażądacie więcej, grozi wam rozdział jedenasty ustawy o prawie upadłościowym.

- Czego w tym przypadku nie doradzamy. Mają zbyt dużo wierzycieli, zwłaszcza banków.

139

- Poza tym bankructwo zakreśliłoby kurek z gotówką. Dopracowanie porządnej ugody trwałoby od trzech do pięciu lat.

Oczywiście kumple Frencha chcieli się trochę pokłócić. Znamstwem finansów szczególnie chciał się popisać Vincent z Pittsburgha, ale Harry i Barry szybko go usadzili. Po godzinnym występie poszli na ryby.

Ich miejsce zajął Patton. Wyczerpano wszystkie argumenty. Sprzeczki ustały. Nadeszła pora zatwierdzić konkretny plan.

Krok pierwszy polegał na zebraniu maksymalnej ilości pozwów. Każ-

dy dla siebie. Bez sądnych ograniczeń. Ponieważ mieli mniej więcej połowę, druga połowa wciąż była na rynku. Trzeba ją znaleźć. Trzeba dopaść drobnych adwokatów z dwudziestoma, trzydziestoma pozwami i wciągnąć ich do spisku. Trzeba zrobić wszystko, żeby zebrać te przekłete pozwy.

Krok drugi: konferencja z Ackermanem za dwa miesiące. Adwokacki komitet nadzorczy ustali harmonogram i rozesłał zawiadomienia.

Krok trzeci: wspólnym wysiłkiem należało zrobić co tylko możliwe, żeby utrzymać koalicję. W liczbie siła. Ci, którzy zechcą wypisać się z masówki i złożyć pozew indywidualnie, nie będą mieli dostępu do zabójczych dla Ackermana dokumentów. Ot tak, po prostu. Gra jest twarda, ale cóż, na tym to przecież polega.

Każdy z obecnych przeciwko czemuś protestował, jednak koalicja się utrzymała. Wyglądało na to, że ugoda w sprawie dyloftu będzie najszybszą ugodą historii pozwów zbiorowych. Prawnicy wietrzyli grube pieniądze.

ROZDZIAŁ 21

Kolejną reorganizację młodej firmy Claya przeprowadzono równie chaotycznie jak poprzednie i z tych samych powodów: za dużo klientów, za dużo papierków, za mało ludzi, niejasne zależności słuśbowe i bardzo nie-pewny system zarządzania wynikający z faktu, że nikt z nich niczym jak dotąd nie zarządzał, może z wyjątkiem panny Glick. Trzy dni po powrocie z Ketchum dopadli go w gabinecie Paulette i Jonasz z długą listą najbardziej palących problemów. W powietrzu pachniało buntem. Nerwy mieli zszarpane, a zmęczenie jeszcze bardziej pogarszało sytuację.

Według najświeższych danych, kancelaria miała trzy tysiące trzysta dwadzieścia pozwów, a ponieważ były to pozwycy nowe, wymagały natychmiastowej uwagi. Nie licząc Paulette, która niejako automatycznie objęła funkcję kierowniczkic, Jonasz, który spędzał po dziesięć godzin dziennie przy komputerze, no i oczywiście Claya, który był szefem, udzielał wywiadów i jeździł do Idaho, firma zatrudniała obecnie dwóch prawników i dzie-140

sięciu adwokatów bez licencji, z których Saden - z wyjątkiem Rodneya -

nie miał praktycznie doświadczenia zawodowego.

- Nie potrafię odróżnić dobrego od złego - powiedziała Paulette. - Jest za wcześnie.

Oceniała, że każdy adwokat bez licencji da radę załatwić od stu do dwustu pozwów.

- Klienci są przerażeni - mówiła. - Są przerażeni, bo mają guzki. Są przerażeni, bo o dylofcie trąbi cała prasa. Cholera, są przerażeni, bo napę-

dziliśmy im strachu.

- Chcą z nami pogadać - wpadł jej w słowo Jonasz. -1 chcą pogadać z adwokatem, a nie z rozgorączkowanym półlegalniakiem przy taśmocią-

gu. Boję się, że jeszcze trochę i zaczniemy ich tracić.

- Nie zaczniemy - odparł Clay, myśląc o rekinach, których poznał w Idaho, i o tym, z jaką radością zgarnęliby wszystkich niezadowolonych klientów.

- Toniemy w papierach - powiedziała Paulette, przejmując pałeczkę od Jonasz a i nie zwracając uwagi na Claya. - Każde lekarskie badanie wstępne trzeba przeanalizować i zweryfikować. Naszym zdaniem około czterystu klientów musi poddać się kolejnym testom. To mogą być poważne przypadki, niewykluczone, że ludzie ci umierają. Ktoś musi to wszystko skoordynować, porozmawiać z lekarzami, a my mamy to w nosie.

- Dobra, słucham - odrzekł Clay. - Ilu prawników potrzebujemy?

Paulette posłała Jonaszowi zmęczone spojrzenie. Nie mieli pojęcia.

- Dziesięciu? - strzeliła.

- Co najmniej - poparł ją Jonasz. -1 to tylko na teraz. Potem pewnie jeszcze więcej.

- Zwiększamy liczbę ogłoszeń - powiedział Clay.

Zapadła długa cisza. Paulette i Jonasz próbowali to przetrwać. Clay opowiedział im o najważniejszych ustaleniach z Ketchum, ale nie wchodził w szczegóły. Zapewnił ich, że już niebawem każdy pozew zaprocentuje dużym zyskiem, jednak o strategii zawierania ugod nie wspomniął ani słowem. Długi język, długi proces, ostrzegął go French. Niesprawdzony personel

lepiej utrzymywać w niewiedzy.

Kancelaria przy tej samej ulicy właśnie wymówiła pracę trzydziestu pięciu adwokatom. Gospodarka siadała, przychody spadały, mówiło się o fuzji; bez względu na prawdziwe powody, historia natychmiast trafiła do gazet, ponieważ waszyngtoński rynek pracy był odporny na wszelkiego rodzaju wstrząsy. Zwolnienia? Zwolnienia wśród prawników? W stolicy?

Paulette zaproponowała, żeby kilku z nich zaangażować na roczną umowę bez obietnicy awansu. Clay zgłosił się na ochotnika. Miał do nich zadzwonić już nazajutrz, z samego rana. Miał również załatwić lokal i meble.

141

Jonasz wpadł na dość niezwykły pomysł zatrudnienia lekarza, kogoś, kto przez rok koordynowałby przebieg badań i zbierał dowody medyczne.

- Za sto tysięcy rocznie moglibyśmy mieć faceta świeżo po dyplomie -
mówił. - Bez żadnego doświadczenia, ale po cholere nam doświadczony?

Przekładałby papiery, a nie operował.

- Załatw to - polecił Clay.

Kolejnym punktem na liście Jonasza była sprawa strony internetowej.

Dzięki ogłoszeniom telewizyjnym stała się bardzo popularna, problem w tym, że potrzebowali kogoś, kto by ją na bieżąco obsługiwał. Poza tym wymagała niemal cotygodniowej aktualizacji, trzeba było umieszczać na niej najświeższe wiadomości o losach pozwu i kolejne - równie złe jak poprzednio - wiadomości o dylofcie.

- Ci ludzie rozpaczliwie poszukują informacji, Clay.

Dla tych, którzy nie korzystali z Internetu, a według Paulette, zaliczała się do tej grupy ponad połowa klientów, najważniejsza była broszura.

- Potrzebujemy pełnoetatowego pracownika do jej redagowania i rozsyłania - twierdziła.

- Dasz radę kogoś znaleźć? - spytał Clay.

- Chyba tak.

- To znajdź.

Paulette zerknęła na Jonasza, jakby to on miał dopowiedzieć resztę.

Jonasz rzucił notatnik na biurko i wyłamał palce.

- Clay, wydajemy tu olbrzymie pieniądze. Na pewno wiesz, co robisz?

- Na pewno nie, ale chyba tak. Zaufajcie mi, dobra? Chcemy zarobić duże pieniądze. Ale żeby je zarobić, trzeba trochę wydać.

- I ty te pieniądze masz?

- Mam.

Umówili się na kielicha późnym wieczorem w barze w Georgetown, o rzut kamieniem od domu Claya. Max Pace to przyjeżdżał do Waszyngtonu, to wyjeżdżał i jak zwykle bardzo enigmatycznie wspominał o posarach, które właśnie gasił, i o tym, gdzie właściwie bywał. Rozjaśnił swoją garderobę i teraz ubierał się na brązowo. Na spotkanie przyszedł w brązowych szpiczastych butach ze skóry węża i w brązowej zamszowej marynarce. Część przebrania, pomyślał Clay. W połowie pierwszego piwa Max wrócił do sprawy dyloftu i stało się jasne, że projekt, nad którym obecnie pracował, ma coś wspólnego z Ackerman Labs.

Clay, ze swadą świeżo upieczonego adwokata procesowego, opowiedział mu barwnie o wyprawie na ranczo Pattona Frencha, o hienach, które tam poznał, o swarliwej trzygodzinnej kolacji, o pijaństwie, o zastraszonych 142

kłótniach, o Barrym i Harrym. Bez wahania mówił o wszystkich szczegó-

łach, ponieważ Pace wiedział więcej niż ktokolwiek inny.

- Tak, słyszałem o Barrym i Harrym - odrzekł, jakby mówili o typach z przestępczego świata.

- Znają się na rzeczy, ale za dwieście tysięcy od numeru chyba powinni.

Clay opowiedział mu również o Carlosie Hernandezie, Wesie Saulsberrym i Damonie Didierze, swoich nowych kumplach z adwokackiego komitetu nadzorczego. Pace słyszał o nich wszystkich.

Przy drugim piwie spytał:

- Sprzedałeś akcje Ackermana, tak? - Rozejrzał się wokoło, ale nikt ich nie podsłuchiwał. Siedzieli w studenckim barze, a wieczór był spokojny.

- Sto tysięcy po czterdziestu dwa i pół - odrzekł z dumą Clay.

- Dzisiaj na zamknięciu szły po dwadzieścia trzy.

- Wiem. Codziennie sprawdzam.

- Pora je odkupić. Jutro z samego rana.

- Coś się kroi?

- Tak. Skoro już o tym mówimy, kup, ile możesz po dwadzieścia trzy i czekaj.

- Na co?

- Cena się podwoi.

Sześć godzin później, a więc przed wschodem słońca, był już w kancelarii, przygotowując się do kolejnego szalonego dnia i niecierpliwie czekając na otwarcie giełdy. Lista spraw do załatwienia miała dwie strony, lecz najważniejszym zadaniem było natychmiastowe zaangażowanie dziesięciu nowych prawników i znalezienie pomieszczenia, w którym można by ich ulokować. Rzecz była praktycznie niewykonalna, ale nie miał wyboru; o pół

do ósmej zadzwonił do pośrednika i wyciągnął go spod prysznic. O pół do dziewiątej przeprowadził dziesięciominutową rozmowę ze świeżo zwolnionym młodym prawnikiem, jakimś Oscarem Mulrooneyem. Biedak, był prymusem w Yale. Zwerbowano go do wielkiej firmy za wielkie pieniądze, a potem wyrzucono na bruk, bo firmę szlag trafił. Od dwóch miesięcy był samotny i rozpaczliwie potrzebował pracy. Clay zaangażował go na poczekaniu za siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie. Mulrooney miał czterech kumpli, te

z Yale, którzy podobnie jak on szukali roboty. Jasne, dawaj ich tu.

O dziesiątej zadzwonił do swego maklera. Gdy okazało się, że na akcjach Ackermana zarobił na czysto milion dziewięćset tysięcy z małym hakiem, kazał mu zainwestować cały zysk w dwieście tysięcy akcji po dwadzieścia trzy dolary za sztukę. Przez cały rano obserwował kurs w Internecie. Kurs ani drgnął.

W południe przyszedł Oscar Mulrooney z kolegami, chętnymi do pracy jak harcerze na biwaku. Clay zaangażował ich i przydzielił im zadania: 143

wypożyczenie mebli, podłączenie telefonów, załatwienie wszystkiego, co było niezbędne, żeby mogli rozpocząć karierę wyrobników od pozwów zbiorowych. Oscar miał też poszukać pięciu kolejnych prawników, a ci znaleźć pomieszczenie, podłączyć telefony i tak dalej, i tak dalej. Narodziła się grupa z Yale.

O siedemnastej czasu wschodnioamerykańskiego Philo Products oznajmiła, że kupuje pozostałe akcje Ackermana po pięćdziesiąt dolarów za sztukę: doszło do fuzji za czternaście miliardów dolarów. Clay obserwował ten dramat na ekranie wielkiego telewizora w sali konferencyjnej - samotnie, bo wszyscy pozostali odbierali te przekłete telefony. Wiadomość o fuzji wyparła z dzienników wszystkie inne wiadomości. CNN wysłało reporterów do siedziby Ackermana w White Plains; czatowali przed głównym wejściem jak sępy z nadzieją, że dyrektor nękanej kłopotami firmy wyjdzie do nich i zacznie łkać przed kamerami.

Niekończący się sznur ekspertów i analityków przedstawiał jedną bezpodstawną opinię po drugiej. Często wspomniano o dylofcie. Chociaż

Ackermanem od lat zarządzano źle, nie ulegało wątpliwości, że wykończył

ich właśnie dyloft.

Czy to Philo była producentem tarvanu? Klientem Pace'a? Czy Claya podstępnie wciągnięto w grę, której celem była fuzja za czternaście miliardów dolarów? I - to niepokoiło go najbardziej - jaki wpływ będzie miała ta fuzja na przyszłość Ackermana i dyloftu? ChociaŜ obliczanie zysku z kup-na akcji było niezwykle ekscytujące, musiał zadać sobie pytanie, czy oznacza to równieŜ koniec marzeń o ich pozwie.

Tego nie wiedział i zdawał sobie sprawę, Őe najpewniej się nie dowie.

Był małym pionkiem w grze między dwiema gigantycznymi korporacjami.

Ackerman ma duŜe aktywa, powtarzał sobie w duchu. I wypuścił na rynek bardzo szkodliwy produkt, który zrobił krzywdę wielu ludziom. Sprawiedliwość zwycięŜy.

Patton French zadzwonił do niego z samolotu - był gdzieś między Florydą a Teksasem - i poprosił go, Őeby przez godzinę nie ruszał się z miejsca. Organizował pilną konferencję telefoniczną adwokackiego komitetu nadzorczego. Jego sekretarka juŜ wydzwaniała do pozostałych.

Godzinę później przekręcił do niego z Beaumont, gdzie nazajutrz miał

spotkanie z adwokatami od cholesterolu, którzy prosili go o pomoc; czeka-

ła go góra pieniędzy, ale - wracając do tematu - za nic nie mógł namierzyć pozostałych członków komitetu. W Nowym Jorku rozmawiał juŜ z Barrym i Harrym, którzy nie martwili się przejęciem Ackermana.

- Mają dwanaście milionów własnych akcji wartych netto co najmniej pięćdziesiąt dolarów za sztukę, a kiedy się to wszystko przetoczy, moŜe 144

nawet więcej. Niedawno kupili sześć milionów akcji zwykłych. Poza tym fuzję musi zatwierdzić rząd, a rząd wymaga zwykle, Őeby najpierw uporządkować wszystkie sprawy prawne. I jeszcze jedno: Philo zawsze unika-

ła sądów. Pójdzie na ugodę szybko i po cichu.

Tarvan, pomyślał Clay. Na pewno.

- W sumie to dobra wiadomość - orzekł Patton na tle szumiącego faksu. Z pewnością chodził tam i z powrotem po pokładzie gulfstreama, czekając na kolejny start. - Odezwę się - rzucił i juŜ go nie było.

ROZDZIAŁ 22

Rex Crittle chciał go ochrzanić, zrobić mu wykład i doksztąpić - pragnął

teŜ, Őeby Clay jakoś go uspokoił - ale jego klient, który siedział po drugiej stronie biurka, zdawał się zupełnie nieporuszony liczbami.

- Pańska firma działa ledwie od pół roku - mówił, spoglądając przez okulary na stertę leżących przed nim zestawień. Oto dowody! Miał ewidentne dowody, że małe kancelarię Claya Cartera II kieruje banda idiotów! - Koszty ogólne były początkowo imponująco skromne. Siedemdziesiąt pięć tysięcy miesięcznie, trzech adwokatów, jeden adwokat bez licencji, sekretarka, dobry punkt, ładny lokal. Teraz wydaje pan miesięcznie pół

miliona i z każdym dniem ta kwota rośnie.

- Trzeba wydać, żeby zarobić - odparł Clay, pijąc kawę i rozkoszując się jego zakłopotaniem. Dyskomfort to dobry znak, znak, że księgowy nie sypia przez wydatki częściej niż właściciel firmy.

- Tak, ale nie macie żadnych dochodów - zauważył ostrożnie Crittle. -

żadnych, od trzech miesięcy.

- To był dobry rok.

- O tak, za piętnaście milionów dolarów na pewno cudowny. Sęk w tym, że te miliony wyparowują. W zeszłym miesiącu wydał pan czternaście tysięcy na wynajem samolotu.

- Skoro już o tym mowa, zamierzam kupić sobie samolot. Chciałbym, żeby mnie pan podliczył.

- Właśnie podliczam. Byłby to niczym nieuzasadniony zakup.

- Nie w tym problem. Pytam, czy mnie na ten zakup stać.

- Nie, nie stać pana.

- Spokojnie, Rex. Pieniądze są już w drodze.

- Przypuszczam, że mówi pan o sprawie dyloftu, tak? Cztery miliony na ogłoszenia. Trzy tysiące miesięcznie na stronę internetową. Trzy tysiące na broszurę. Ci wszyscy półlegalni z Manassas, ci wszyscy prawnicy...

145

- Myślę, że pytanie powinno brzmieć inaczej. Co mi się bardziej opłaca? Wziąć w leasing czy po prostu kupić?

- Co?

- Gulfstreama.

- Co to jest gulfstream?

- Najwspanialszy samolot na świecie.

- Co pan będzie z nim robił?

- Latał.

- Ale dlaczego uważa pan, że ten gulfstream jest panu niezbędny?

- Bo jest ulubionym samolotem największych specjalistów od pozwów zbiorowych.

- Aha, no to wszystko jasne.

- Wiedziałem, że mnie pan zrozumie.

- Ile ten gulfstream kosztuje?

- Czterdzieści, czterdzieści pięć milionów.

- Z przykrością donoszę, że takich pieniędzy pan nie ma.

- Słusznie. Cóż, w takim razie wezmę go w leasing.

Crittle zdjął okulary i rozmasował sobie długi, kościsty nos, jakby powstało tam ognisko silnego bólu głowy.

- Niech mnie pan posłucha, Clay. Jestem tylko zwykłym księgowym.

Ale nie wiem, czy ktoś inny doradził panu, żeby pan trochę zwolnił. Spokojnie, kolego. Zbił pan fortunę, niech się pan nią cieszy. Co dalej? Jacht?

- Tak.

- Poważnie?

- Tak.

- Myślałem, że nie lubi pan łodzi.

- Bo nie lubię. Kupię dla ojca. Czy mogę odpisać sobie koszty amortyzacyjne?

- Za jacht? Nie.

- Chyba jednak mogę.

- Jak?

- Kiedy nie będę pływał, wypuszczę go w czarter.

Crittle skończył masować sobie nos i włożył okulary.

- Cóż, to pańskie pieniądze, Clay.

Spotkali się w Nowym Jorku, na neutralnym terenie, w obskurnej sali starego hotelu niedaleko Central Parku, w ostatnim miejscu, które podejrzewano by o zaszczyt goszczenia tak ważnego grona. Po jednej stronie stołu siedzieli członkowie adwokackiego komitetu nadzorczego, cała piątka, łącznie z Clayem Carterem, który czuł się tam jak ryba na piasku, za 146

nimi zaś czuwali wszelkiego rodzaju asystenci, współpracownicy i gońcy zatrudnieni przez mecenasa Pattona Frencha. Po drugiej stronie siedział

zespół Ackermana, kierowany przez Cala Wicksa, wybitnego fachowca i starego weterana, otoczonego taką samą liczbą pomocników.

Tydzień wcześniej rząd zatwierdził fuzję z Philo Products i oficjalną cenę akcji - pięćdziesiąt trzy dolary za sztukę- co oznaczało dla Claya kolejny zysk rządu sześciu milionów dolarów; połowę tej kwoty przelał na swoje tajne konto na wyspach z postanowieniem, że nigdy jej nie tknie.

Tak więc szacowna firma, założona przed stu laty przez braci Ackermanów, miała zostać pochłonięta przez Philo. firmę o dochodach o połowę mniejszych, lecz i o znacznie mniejszym zadłużeniu; tudzież

znacznie lepiej zarządzaną.

Siadając, rozkładając na stole dokumenty i próbując wmówić sobie, że tak, do diabła, naprawdę do tego grona pasuje, zauważył, że kilka osób z drugiej strony stołu zerka na niego z surową miną i marsowym czołem.

Nareszcie na własne oczy zobaczyli młodego Słotodzioba z Waszyngtonu, który wpędził ich w koszmar dyloftu.

Patton French miał od groma pomagierów, ale ich nie potrzebował. Już

od pierwszego posiedzenia zdecydowanie objął dowództwo i pozostali niebawem zamilkli, wszyscy z wyjątkiem Wicksa, który odzywał się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Przez cały ranek ustalali liczbę pozwów.

Koalicja z Biloxi miała ich trzydzieści sześć tysięcy siedemset. Grupa re-negatów z Georgii zebrała pięć tysięcy dwieście i groziła złożeniem odrębnego pozwu zbiorowego. French był przekonany, że ich od tego odwiedzie.

Kilku innych adwokatów też wyłamało się z sojuszu i zamierzało złożyć indywidualne pozwy na swoim terenie, ale Patton się nimi nie przejmował.

Nie mieli żadnych obciążających dokumentów i było mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek je zdobyli.

Liczby płynęły jak rzeka i Clay wkrótce się nimi znudził. Jedyne ważne-

na liczbą było pięć tysięcy trzysta osiemdziesiąt, bo tyle miał pozwów.

Zdobyl ich najwięcej, chociaŝ Patton teŝ wypadł wspaniale, zgarniając nieco ponad pięć tysięcy.

Po trzech godzinach nieustannego odwoływania się do statystyki zgo-dzili się na godzinną przerwę na lunch. Członkowie adwokackiego komitetu nadzorczego poszli na górę, gdzie zjedli kanapki i wypili wodę mineralną. French natychmiast zawisł na telefonie, to rozmawiając, to na kogoś wrzeszcząc. Wes Saulsberry chciał zaczerpnąć świeżego powietrza i zaprosił Claya na krótki spacer. Szli Piątą Aleją wzdłuŝ parku. Była połowa listo-pada i chłodny, rzeŝki wiatr zaŝciewał jezdnię liŝmi. Najcudowniejsza pora roku w Nowym Jorku.

147

- Uwielbiam tu przyjeŝdŝać i stąd wyjeŝdŝać - powiedział

Saulsberry. - W Nowym Orleanie jest teraz prawie trzydzieŝci stopni w cieniu, a wilgotnoŝć sięga dziewięćdziesięciu procent.

Clay tylko słuchał. Był za bardzo podniecony chwilą. Za kilka godzin mieli zawrzeć ugodę: czekało go gigantyczne honorarium, czekała go cał-

kowita wolnoŝć, swoboda i bogactwo.

- Ile ty masz lat, Clay? - spytał Wes.

- Trzydzieŝci jeden.

- Kiedy miałem trzydzieŝci jeden lat, zarobiłem z wspólnikiem górę pieniędzy na eksplozji tankowca. Potworna sprawa, spaliło się dwunastu ludzi. Zgarnęliśmy dwadzieŝcia osiem milionów i podzieliliśmy się równo po połowie. Wspólnik wziął czternaŝcie milionów i się wycofał. Ja zainwestowałem wszystko w siebie. Stworzyłem kancelarię, zatrudniłem oddanych pracy adwokatów, naprawdę utalentowanych ludzi, którzy kochają to, co robią. Zbudowałem siedzibę w Nowym Orleanie, nieustannie angaŝowa-

łem najlepszych, jakich tylko mogłem znaleźć. Dzisiaj zatrudniam dziewięćdziesięciu prawników i w ciągu ostatnich dziesięciu lat zarobiliŝmy osiemset milionów dolarów. A mój dawny wspólnik? Smutna sprawa. W

wieku trzydziestu trzech lat człowiek się nie wycofuje, to nienormalne.

Większoŝć pieniędzy przepuŝcił. Zaliczył trzy nieudane małŝeństwa. Wpadł

w sidła hazardu. Dwa lata temu zaangaŝowałem go jako adwokata bez licencji za szeŝćdziesiąt tysięcy rocznie, ale nie jest tego wart.

- Nie zamierzam się wycofywać - odrzekł Clay. Oczywiście zełgał.

- I słusznie. Wkrótce zarobisz masę forsy i całkowicie na to zasługujesz. Kup sobie samolot, kup jacht, dom na plaży, mieszkanie w Aspen, kup to, o czym marzysz. Ale najwięcej pieniędzy zainwestuj w firmę. Przyjmij tę radę od kogoś, kto przez to przeszedł.

- Dzięki.

Skręcili w Siedemdziesiątą Trzecią i ruszyli na wschód. Saulsberry jeszcze nie skończył.

- Miałeś kiedyś do czynienia z pozwami przeciwko wytwórcom farb ołowiowych?

- Nie.

- Nie są tak głośne jak sprawy przeciwko producentom leków, za to bardzo lukratywne. Zacząłem je prowadzić dziesięć lat temu. Naszymi klientami są szkoły, kościoły, szpitale i budynki publiczne, których ściany po-malowano tą farbą. Jest bardzo niebezpieczna. Zaskarżyliśmy kilku producentów, z kilkoma zawarliśmy ugody. Jak dotąd na dwa miliardy. W trakcie zbierania dowodów przeciwko jednej z firm natknąłem się na potencjalną masówkę, która mogłaby cię zainteresować. Nie mogę jej wziąć ze wzglę-

du na konflikt interesów.

148

- Tak? To ciekawe.

- Firma mieści się w Reedsburgu w Pensylwanii i wytwarza zaprawę murarską używaną do budowy domów. Niby nic, tymczasem to prawdziwa żyła złota. Wygląda na to, że mają z tą zaprawą kłopoty. Wypuścili wadliwą partię. Po trzech latach zaczyna się kruszyć i puszczać. Kiedy puszcza.

ze ścian wypadają cegły. Rzecz dotyczy tylko rejonu Baltimore, około dwóch tysięcy domów. I zaczyna być o niej głośno.

- Jakie są straty?

-

Naprawa jednego domu kosztuje około piętnastu tysięcy.

Piętnaście tysięcy razy dwa tysiące. Potrącić z tego jedną trzecią i wychodzi dziesięć milionów. Dla adwokata. Clay liczył coraz szybciej.

- Łatwo to będzie udowodnić - dodał Saulsberry. - Firma wie, że spar-taczyła. Ugoda nie powinna nastroczać sądnych problemów.

- Chciałbym się temu przyjrzeć.

- Podałem ci akta. ale proszę o całkowitą dyskrecję.

- Chcesz coś z tego mieć?

- Nie. To moje podziękowanie za dyloft. No i oczywiście jeśli kiedyś bę-

dziesz mógł mi się odwdzięczyć, byłbym bardzo zobowiązany. Niektórzy z nas tak właśnie pracują, Clay. Do naszego bractwa naleŜy mnóstwo podrzynaczy gardeł i egomaniaków, ale kilku z nas szczerze troszczy się o przyjaciół.

Póŕnym popołudniem Ackerman zgodził się na minimum sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów dla kaŜdego powoda z grupy pierwszej, czyli dla pacjenta z łagodnymi guzkami, które moŜna usunąć podczas stosunkowo pro-stego zabiegu chirurgicznego; Ackerman miał równieŜ pokryć koszty tych zabiegów. W grupie tej znajdowało się około czterdziestu tysięcy klientów i ludzie ci mieli otrzymać pieniądze natychmiast. Wiele sporów wywołała kwestia metody kwalifikowania do ugody. ZaŜarta kłótnia wybuchła, gdy poruszono sprawę honorariów adwokackich. Jak większość prawników, Clay zawarł umowę, która gwarantowała mu jedną trzecią uzyskanego odszkodowania, ale w tego rodzaju ugodach honorarium było zwykle niŜsze. Zapropo-nowano bardzo skomplikowaną formułę i French zawzięcie się o nią wykló-

cał. Ostatecznie chodziło o jego własne pieniądze. Ackerman zgodził się w końcu na dwadzieścia osiem procent od klientów z grupy pierwszej.

Do grupy drugiej naleŜeli ci z guzkami złośliwymi. PoniewaŜ ich le-czenie miało potrwać wiele miesięcy, a nawet lat, ustalono, Őe w tym przypadku odszkodowanie pozostanie kwestią otwartą. Według Barry'ego i Harry'ego oznaczało to najwyraźniej, Őe Philo Products potajemnie zasila Ackermana dodatkową gotówką. Za reprezentowanie klientów z grupy drugiej adwokaci mieli otrzymać dwadzieścia pięć procent, chociaŜ Clay nie bardzo wiedział dlaczego. French strzelał liczbami stanowczo za szybko.

149

Do grupy trzeciej miały naleŜeć rodziny tych z grupy drugiej, którzy umrą. PoniewaŜ jak dotąd nikt po zaŜyciu dyloftu nie umarł, tu teŜ nie ustalono konkretnego odszkodowania. Honorarium adwokackie wynosiło dwadzieścia dwa procent.

Posiedzenie zamknięto o siódmej z zamiarem kontynuowania negocjacji nazajutrz, kiedy to chciano dopracować szczegóły ugody dla klientów z grupy drugiej i trzeciej. W windzie French podał Clayowi jakiś wydruk.

- Nieźle jak na jeden dzień pracy - powiedział z uśmiechem. Było to ze stawienie pozwów i spodziewanych honorariów Claya, łącznie z siedmioprocentową dopłatą za udział w pracach adwokackiego komitetu nadzorczego.

Honorarium za reprezentowanie klientów z grupy pierwszej wynosiło sto sześć milionów dolarów.

Gdy w końcu został sam, stanął przy oknie w swoim pokoju i popatrzył

na zapadający nad parkiem zmierzch. Tarvan najwyraźniej nie zahartował

go i nie przygotował na tak silny wstrząs. Był odrętwiały, odebrało mu mowę.

Sterczał nieruchomo przy oknie, a w jego przeładowanym mózgu kłębiło się od chaotycznych myśli. Wypił dwie czyste whisky z barku, ale nie poczuł absolutnie nic.

Wciąż stojąc przy oknie, zadzwonił do Paulette, która podniosła słuchawkę już po pierwszym sygnale.

- Mów - rzuciła, rozpoznawszy jego głos.

- Koniec pierwszej rundy - powiedział.

- Mów, nie owijaj niczego w bawełnę!

- Właśnie zarobiłaś dziesięć milionów dolarów.- Chociaś słowa te wypłynęły z jego ust, czuł się tak, jakby wypowiedział je ktoś inny.

- Nie okłamuj mnie, Clay... - zamilkła.

- Nie kłamię. To prawda.

Chwila ciszy i Paulette się rozplakała. Clay usiadł na brzegu łóżka i przez moment też miał ochotę zapłakać.

- O Boże! O Boże! - powiedziała Paulette i znowu zamilkła.

- Zadzwoń do ciebie za parę minut - szepnął Clay.

Jonasz był jeszcze w pracy. Zaczął krzyczeć, potem upuścił

słuchawkę i popędził po Rodneya. Clay słyszał, jak rozmawiają.

Trzasnęły drzwi.

- Tak?

- Rodney? Zarobiłeś dziesięć milionów dolarów - powiedział po raz trzeci Clay, wiedząc, że już nigdy w życiu nie odegra roli Świętego Miko-

łaja, który rozdawałby tak hojne prezenty.

- Boże, Boże, Boże... - wychrypiął Rodney. W tle wrzeszczał Jonasz.

- Trudno w to uwierzyć, co? - dodał Clay. Przed oczami mignął mu obraz Rodneya siedzącego przy biurku w UOP. Wszędzie sterty dokumen-

tów, zdjęcia Sony i dzieci na ścianie. Dobry, uczciwy ojciec rodziny harują-

cy za niską pensję.

Co powie Sonie, gdy zaraz do niej zadzwoni?

Jonasz podniósł słuchawkę drugiego aparatu i przez chwilę rozmawiali o negocjacjach z Ackermanem - kto ich reprezentował, gdzie się to wszystko odbyło, jak szło. Mogliby tak gadać w nieskończoność, ale Clay obiecał

przekręcić do Paulette.

Przekazawszy nowinę, długo siedział na łóżku. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że nie ma już do kogo zadzwonić. Wyobraził sobie Reбекę i nagle usłyszał jej głos, nagle poczuł dotyk jej ciała. Mogliby kupić dom w Toskanii, na Hawajach, gdzie tylko by chciała. Mogliby żyć tam szczęśliwie z tużinami dzieci i bez teściów, z nianiami, pokojówkami, kucharkami, a nawet z kamerdynerem. Dwa razy w roku wysyłałby ją własnym samolotem do Stanów, żeby mogła pośreć się z rodzicami.

A może wiedząc, że rodzina wzbogaciła się o sto milionów dolarów i mieszkając na tyle blisko, żeby mogliby się tym pochwalić, Van Hornowie nie byłiby tacy straszni?

Zacisnął zęby i wybrał jej numer. Była środa, a w środę nic specjalnego się w klubie nie działo. Czuł, że ją zastanie. Odebrała po trzecim sygnale.

- Halo?

Na dźwięk jej głosu zrobiło mu się słabo.

- Cześć. Mówi Clay - rzucił z udawaną obojętnością. Chociaż przez pół roku nie zamienili ze sobą ani słowa, pierwsze lody natychmiast pękły.

- Witaj, o nieznajomy - powiedziała. Całkiem serdecznie.

- Jak się masz?

- Dobrze. Jestem jak zwykle zajęta. A ty?

- Ja też. Siedzę w Nowym Jorku, załatwiam sprawy.

- Słyszałam, że dobrze ci się wiedzie.

Małe niedomówienie.

- Nieźle. Nie narzekam. Wciąż pracujesz?

- Jeszcze tylko sześć dni.

- Rzucasz?

- Tak. Wiesz, wychodzę za mąż,
- Słyszałem. Kiedy?
- Dwudziestego grudnia.
- Nie dostałem zaproszenia na ślub.
- Bo ci nie wysłałam. Nie sądziłam, że zechcesz przyjść.
- I słusznie. Na pewno chcesz za niego wyjść?
- Porozmawiajmy o czymś innym.
- Chyba nie mamy o czym.

151

- Spotykasz się z kimś?
- Kobiety uganiają się za mną po całym mieście. Gdzie go poznałaś?
- I kupiłeś dom w Georgetown?
- Stare wieści. - Ale ucieszył się, że o tym wie. Może jednak to, że odniósł sukces, nie jest jej obojętne. - Ten facet to glista.
- Przestań, Clay, bądźmy dla siebie mili.
- To glista i dobrze o tym wiesz.
- Odkładałam słuchawkę.
- Nie wychodź za niego, Rebeko. Krążą plotki, że jest gejem.
- Glista i gej. Co jeszcze? Wyrzuć to z siebie, lepiej się poczujesz.
- Nie rób tego, Rebeko. Twoi starzy poślą go sywcem. A wasze dzieci będą wyglądały jak on. Jak małe glisty.

Przerwała połączenie.

Clay wyciągnął się na łóżku i wciąż słysząc jej głos, patrzył w sufit, wstrząśnięty tym, że tak bardzo za nią tęskni. Głośny dzwonek telefonu przestraszył go i wyrwał z zamyślenia. Z dołu dzwonił Patton French; czekała na nich limuzyna. I trzygodzinna kolacja z winem. Cóż, ktoś musiał to robić.

Wszyscy uczestnicy poprzysięgli, że dotrzymają tajemnicy. Adwokaci podpisali grube pliki dokumentów, w których zobowiązywali się, że szczegóły negocjacji oraz warunki ugody zatrzymają wyłącznie dla siebie. Zanim rozjechali się do domów, Patton French powiedział:

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin wszystko będzie w prasie. Philo da im cynk i akcje podskoczą.

Pierwszy artykuł ukazał się już nazajutrz rano w „Wall Street Journal”; oczywiście całą winę zrzucono na adwokatów. SPECJALIŚCI OD POZWÓW

ZBIOROWYCH WYMUSZAJĄ SZYBKĄ UGODĘ, krzyczał nagłówek. Źró-

dła, choć anonimowe, były bardzo dobrze poinformowane. A szczegóły niezwykle dokładne. Pierwsza runda rozmów: dwa i pół miliarda dolarów na ugody natychmiastowe, półtora miliarda jako rezerwa na poważniejsze przypadki.

Na otwarciu akcje Philo Products kosztowały osiemdziesiąt dwa dolary za sztukę, ale szybko skoczyły do osiemdziesięciu pięciu. Pewien analityk giełdowy powiedział, że inwestorzy z ulgą przyjęli wiadomość o ugodzie.

Dzięki temu firma będzie panowała nad kosztami spraw prawnych. Nie grożą jej długotrwałe procesy. Ani szalone, z palca wysane werdykty.

Adwoka-

152

ci zostali okiełznani. Anonimowy przedstawiciel Philo uważał, że jest to ich zwycięstwo. Clay śledził wiadomości na ekranie telewizora w gabinecie.

I odbierał telefony od dziennikarzy. O jedenastej przyszedł reporter z

„Wall Street Journal”. Już podczas rozmowy wstępnej okazało się, że wie o ugodzie tyle samo co on.

- Takich rzeczy nie da się ukryć - powiedział. - Wiedzieliśmy, w któ-

rym hotelu się zaszyliście.

Prywatnie Clay odpowiedział na wszystkie pytania. Oficjalnie zaś oświadczył, że nie będzie niczego komentował. Rzucił mu za to garść szczegółów o sobie, o swojej młodej, prężnej firmie, o swoim szybkim, bo trwającym ledwie kilka miesięcy awansie z nizin UOP na milionowe wyspy okupowane przez najbogatszych ekspertów od pozwów zbiorowych. I tak dalej, i tak dalej. Widział już, do czego tamten zmierza, i czuł, że artykuł

będzie prawdziwą sensacją.

Nazajutrz, jeszcze przed wschodem słońca, przeczytał go w Internecie.

Była tam jego twarz, jedna z tych ohydnych karykatur, z których słyęła gazeta, a tuŃ nad nią nagłówek: KRÓL POZWÓW ZBIOROWYCH. OD 40 000

do 100 000 000 DOLARÓW W PÓŁ ROKU. A pod spodem dopisek: TRZEBA KOCHAĆ PRAWO!

Artykuł był bardzo długi i tylko o nim. O jego pochodzeniu, o spędzonym w Waszyngtonie dziecięństwie, o jego ojcu i o studiach w szkole prawniczej w Georgetown. Cytowano w nim pochlebne wypowiedzi Glendy i Jermaine'a z UOP, zamieszczono komentarz profesora, o którym Clay zdaŃył juŃ dawno zapomnieć, oraz krótką historię sprawy dyloftu.

JednakŃ najlepszym kąskiem była długa rozmowa z Pattonem Frenchem, w której ten „słynny adwokat i specjalista od pozwów zbiorowych”

opisywał

Claya

Cartera

jako

„najjaŃniejszą

młodą

gwiazdę”,

„nieustraszonego prawnika” i „nową siłę, z którą trzeba się liczyć”.

„Korporacyjna Ameryka powinna drŃeć na dźwięk jego nazwiska”, kontynuował z patosem. „Nie ulega wątpliwości, Ńe Clay jest naszym nowym królem”.

Clay przeczytał artykuł dwa razy i wysłał go e-mailem Rebecce z dopi-skiem: „Rebeko, zaczekaj. Proszę Cię. Clay”. I na adres domowy, i do pracy, a po namyśle usunął dopisek i przefaksował artykuł takŃ na adres firmy Bennetta. Ńlub miał być juŃ za miesiąc.

Gdy w końcu dotarł do kancelarii, panna Glick wręczyła mu plik e-maili - połowa z nich nadeszła od starych kumpli ze szkoły prawniczej, którzy prosili go Ńartem o poŃyczkę, połowa od wszelkiej maści dziennikarzy. W biurze panował chaos. Paulette, Jonasz i Rodney wciąŃ nie mogli dojść do siebie, snuli się jak duchy. Wszyscy klienci chcieli pieniędzy juŃ

zaraz.

Na szczęście uratowała ich grupa z Yale pod kierownictwem błyskotliwego Oscara Mulrooneya, która stanęła na wysokości zadania i ułożyła plan przetrwania do chwili wypłat. Clay przeniósł Mulrooneya do gabinetu na piętrze, podwoił mu pensję i zostawił go z całym tym burdelem.

Musiał odpocząć.

Ponieważ Departament Sprawiedliwości po cichu odebrał mu paszport.

Jarrett Carter miał dość ograniczoną możliwość ruchu. Nie wiedział, czy może wrócić do Stanów, i przez sześć lat ani razu nie próbował. To, że dzięki znajomkom udało mu się uniknąć oskarżenia i zwiac z kraju, miało wiele minusów.

- Lepiej trzymajmy się Bahamów - powiedział przez telefon.

Wystartowali z Abaco cessną citation V, kolejną zabawką, którą Clay niedawno odkrył, i wzięli kurs na Nassau. Czekał ich półgodzinny lot. Jarrett odczekał, aś oderwają się od ziemi, i powiedział:

- Dobra, wal. - Pił już piwo. W wystrzępionych dżinsowych szortach, sandałach i w starej rybackiej czapce wyglądał jak prawdziwy wygnaniec, banita prowadzący na wyspach życie pirata.

Clay też otworzył sobie piwo i zaczął opowiadać o wszystkim, od tarvanu poczynając, na dylofcie kończąc. Jarrett słyszał o sukcesach syna, ale nigdy nie czytał gazet i robił, co mógł, żeby nie zaprzętać sobie głowy wiadomościami z kraju. Kolejne piwo, i spróbował przetrwać myśl o pięciu tysiącach klientów naraz.

Sto milionów dolarów zamknęło mu oczy. Pobladł, a przynajmniej lekko wypłowiał, a jego czoło pokryło się grubymi, skórzastymi zmarszczkami. Pokręcił głową, pociągnął z puszki i parsknął śmiechem.

Clay opowiadał dalej, chcąc skończyć, zanim wylądują.

- I co ty z tą forszą robisz? - spytał wciąż wstrząśnięty Jarrett.

- Wydaję. Jak szalony.

Na lotnisku złapali taksówkę, szarego cadillaca rocznik siedemdziesiąt cztery, z kierowcą, który ćmił trawkę. Dowiózł ich cało do hotelu i kasyna Sunset na Paradise Island, naprzeciwko portu w Nassau.

Jarrett natychmiast poszedł zagrać w blackjacksa z pięcioma tysiącami dolarów od syna, Clay zaś na basem i po krem. Chciał się poopalać i popatrzeć na dziewczyny w bikini.

Katamaran miał prawie dziewiętnaście metrów długości i wyszedł spod ręki budowniczego najlepszych jachtów z Fort Lauderdale. Jego kapitanem i sprzedawcą w jednej osobie był stary, gderliwy Angol nazwiskiem Maltbee, jego pokładowym zaś chudy młodzik z Bahamów. Maltbee zrędził i narzekał, dopóki nie wypłynęli na zatokę. Zmierzali w kierunku połu-154

dniowego skraju kanału: czekało ich pół dnia przepięknego słońca i spokojnego morza oraz próbny rejs łodzią, dzięki której Jarrett mógł zarobić prawdziwe pieniądze.

Gdy wyłączono silnik i postawiono Sagle, Clay zszedł na dół, żeby zajrzeć do kabin. Katamaran miał jakoby pomieścić osiem osób i dwuosobową załogę. Wszędzie panowała ciasnota, ale wszystko tu było jakby pomniejszone. W kabinie prysznicowej nikt nie dałby rady się odwrócić. Kapitańska sypialnia zmieściłaby się w jego najmniejszej kajumie. Nie ma to jak Sycie na łodzi.

Jarrett twierdził, że na łowieniu ryb nie sposób zarobić. Klienci trafiali się sporadycznie, żeby mieć jakiś dochód, musiałyby wypływać w morze dzień w dzień, czego by nie wytrzymał, bo to piekielna harówka. Pokładowcy nie chcą pracować. Napiwki są za niskie. Większość klientów jest do zniesienia, ale zawsze trafi się ktoś, kto załazi mu za skórę. Pływał od pię-

ciu lat i zaczynał mieć tego dość.

Prawdziwe pieniądze zarabiał się, wynajmując łódź małym grupom dzielnych facetów, którzy chcieli pracować, a nie leniuchować. Takim niby-Seglarzom. Bierze się krykę, rzecz jasną własną, najlepiej niezastawioną, i płynie w miesięczny rejs po Karaibach. Jarrett miał kumpla z Freeport, który pływał tak od lat, w dodatku dwiema łodziami, i zgarniał kupę szmalu. Klienci sami wyznaczali kurs, ustalali harmonogram, wybierali menu i alkohole, po czym wypływali z kapitanem i pierwszym oficerem na cały miesiąc.

- Dziesięć tysięcy dolarów tygodniowo - mówił. - Seglujesz donikąd, cieszysz się wiatrem, słońcem i morzem. Nie to co tu. Tu, jak nie złapiesz wielkiego marlina, wszyscy dostają szału.

Gdy Clay wyszedł z kabiny, ojciec stał za sterem jak stary wilk morski, który Segluje takimi jachtami od lat. Clay wyciągnął się na pokładzie.

Złapali wiatr i przecinając gładką taflę wody, pomknęli na wschód.

Nassau rozmyło się w oddali. Clay ściągnął spodnie i posmarował się kremem; już miał uciąć sobie drzemkę, gdy zaszedł go od tyłu Maltbee.

- Ojciec mówi, że to pan trzyma kasę. - Oczy miał ukryte za grubymi, ciemnymi okularami.

- Chyba tak.

- Taka łódź kosztuje cztery miliony. To praktycznie nówka, jedna z naszych najlepszych. Zbudowałem ją dla pewnego programisty, który wydawał forszę szybciej, niż ją zarabiał. Śalonna z nich banda. Tak czy inaczej, zostaliśmy na łodzi. Rynek siadł. Dlatego puścimy ją za trzy miliony, za co powinni oskarżyć pana o złodziejstwo. Jeśli założysz pan na Bahamach towarzystwo czarterowe, będzie pan mógł skorzystać z różnych sztuczek podatkowych. Nie znam się na tym, ale w Nassau mamy prawnika, który odwała za nas całą papierkową robotę. Pod warunkiem że jest trzeźwy.

- To dlaczego jest pan trzeźwy?

Cha, cha, cha. Obydwaj roześmiali się sztucznie.

- A co z odpisami amortyzacyjnymi?

- Z tym jest ciężko, dość ciężko, ale od czego są prawnicy? Ja jestem tylko Seglarzem. Myślę, że ojcu łódź się podoba. Są teraz bardzo modne, wszędzie, od Bermudów po Amerykę Południową. Na pewno na niej zarobi.

Tako rzecz sprzedawca, w dodatku kiepski. Skoro Clay miał kupić dla ojca łódź, jego jedynym marzeniem było to, żeby nie stała się workiem bez dna i żeby wydatek się kiedyś zwrócił. Maltbee znikł równie szybko, jak się pojawił.

Trzy dni później podpisali umowę na dwa miliony dziewięćset tysięcy dolarów. Prawnik, który podczas dwóch rozmów, jakie odbyli, rzeczywi-

ście nie był całkiem trzeźwy, założył towarzystwo czarterowe. Jego jedynym właścicielem został Carter senior. Katamaran był darem syna dla ojca, kapitałem, który miał zniknąć wśród wysp, jak zniknął wśród nich Jarrett.

Podczas kolacji w spelunie pełnej samych Amerykanów - handlarz) narkotykami, oszustów podatkowych i tych, co zwiali ze Stanów, żeby nie płacić alimentów - łupiąc krabowe nóżki, Clay zadał mu w końcu pytanie, które chciał mu zadać już od dawna.

- Jest jakaś szansa, żebyś wrócił do Stanów?

- POCO?

- żeby praktykować prawo. Zostać moim wspólnikiem. Procesować się i pracować jak za dawnych czasów.

Jarrett tylko się uśmiechnął. Ojciec i syn razem, jako wspólnicy. Sama myśl, że Clay pragnął jego powrotu; do kancelarii, do czegoś powszechnie szanowanego. .. Chłopak był pod czarną chmurą, którą on, Jarrett, nad nim rozpostarł.

Ale zważywszy jego ostatnie sukcesy, chmura ta wyraźnie się kurczyła.

- Wątpię, Clay. Oddałem licencję i przyrzekłem trzymać się od tego z daleka.

- Ale chciałbyś wrócić?

- Może tylko po to, żeby oczyścić swoje imię, ale nigdy po to, żeby znowu praktykować prawo. Mam za ciężki bagaż, za wielu starych wrogów. I szósty krzyżyk na karku. Za późno zaczynać wszystko od początku.

- Co chcesz robić za dziesięć lat?

- Ja tak nie myślę, synu. Mam gdzieś kalendarze, harmonogramy i listy rzeczy do zrobienia. Wyznaczanie sobie celów to głupi amerykański zwyczaj. Nie, to nie dla mnie. Ja Źyję z dnia na dzień. Czasem pomyślę, co będę robił pojutrze, to wszystko. Planowanie przyszłości jest idiotyzmem.

- Przepraszam, Źe spytałem.

- Źyj chwilą, Clay. Jutro samo się o siebie zatroszczy. Zresztą wygląda na to, Źe masz co robić.

156

- Dzięki pieniądzom.

- Nie przepuść ich, synu. Wiem. Źe to pozornie niemoŹliwe, ale zobaczysz, będziesz zaskoczony. Zewsząd pojawią się nowi przyjaciele. Kobiety będą spadać z nieba.

- Kiedy?

- Poczekaj. Kiedyś czytałem pewną ksiąŹkę, *Złoto głupców* czy jakoś tak. Opowieści o idiotach, którzy przepuścili wielkie fortuny. Fascynująca rzecz. Przeczytaj.

- Chyba raczej nie.

Jarrett wrzucił sobie do ust krewetkę i zmienił temat.

- Zamierzasz pomóc matce?

- Nie przypuszczam. Ona nie potrzebuje pomocy. Ma bogatego męŹa.

Nie pamiętasz?

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałeś?

- Jedenaście lat temu. Czemu cię to obchodzi?

- Po prostu jestem ciekaw. To dziwne. Źenisz się, Źyjesz z kobietą przez dwadzieścia pięć lat i czasami zastanawiasz się, co teraz robi.

- Pogadajmy o czymś innym.

- O Rebecce?

- Poproszę o kolejne pytanie.

- Chodźmy pograć w kości. Jestem do przodu na cztery tysiące.

Otrzymawszy grubą kopertę z kancelarii J. Claya Cartera II, pan Ted Worley z Upper Marlboro w Marylandzie natychmiast ją otworzył. Ted uwaŹnie śledził wszystkie doniesienia o ugodzie z Ackermanem. Z religij-nym wprost namaszczeniem wchodził na stronę internetową dyloftu, czekając

na znak, że oto nadszedł wreszcie czas odebrać odszkodowanie. List brzmiał następująco: *Szanowny Panie,*

proszę przyjąć nasze gratulacje. Pański pozew przeciwko firmie Ackerman Labs

został rozstrzygnięty w sądzie okręgowym południowego okręgu stanu Missisipi. Jako powodowi z grupy pierwszej, przyznano Panu 62 000 \$. Zgodnie z umową, którą zawarł

Pan z kancelarią J. Claya Cartera II, z kwoty tej potrącono 28% za usługi adwokackie. Sąd zatwierdził również potrącenie 1400 \$ na koszty prawne. Na skutek powyższego otrzymuje Pan 43 240 \$ netto.

Proszę podpisać załączone formularze i niezwłocznie odesłać je do nas w zaklejonej kopercie.

Z poważaniem Oscar

Mulrooney, adwokat

157

- Za każdym razem ktoś inny, cholera - mruknął pan Worley, przerzucając kartki. Było tam postanowienie sądu zatwierdzające ugodę, list do wszystkich powodów oraz wiele innych dokumentów. Nagle Ted stwierdził, że nie ma ochoty ich czytać.

Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów! I to miało być to olbrzymie odszkodowanie od tego szemranego farmaceutycznego giganta, który świadomie wypuścił na rynek lek powodujący powstawanie guzków w pęcherzu moczowym? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzie-

ści za tyle miesięcy strachu, stresu i niepewności co do tego, czy będzie się żyło, czy się umrze? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów za to, że wsadzano mu w penis rurkę ze skalpelem i mikroskopem, żeby jeden po drugim usunąć cztery narośle z pęcherza i wyciągnąć je po kawałku przez ten sam penis? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzie-

ści dolarów za to, że przez trzy dni sikał krwią i jakimiś grudkami?

Aż się skrzywił na to wspomnienie.

Dzwonił sześć razy, zostawił sześć pilnych wiadomości, czekał sześć godzin, zanim Mulrooney oddzwonił.

- Kim pan, do diabła, jest? - zaczął przyjaźnie pan Worley.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni Oscar Mulrooney stał się ekspertem od tego rodzaju telefonów. Wyjaśnił, że jest adwokatem odpowiedzialnym za jego pozew.

- Ta ugoda to jakiś śart! - wykrzyknął pan Worley. - Czterdzieści trzy tysiące dolarów to czyste złodziejstwo.

- Szanowny panie, pańska ugoda opiewa na sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów - odparł Oscar.

- Tak, synu, ale dostaję tylko czterdzieści trzy.

- Nie, dostaje pan sześćdziesiąt dwa. Jedną trzecią tej kwoty zgodził

się pan zapłacić adwokatowi, bez którego nie dostałby pan nic. Sąd zmniejszył jego honorarium do dwudziestu ośmiu procent. Większość adwokatów pobiera czterdzieści pięć, a nawet pięćdziesiąt.

- To mam szczęście, co? Nie, ja tego nie przyjmę.

Na co Oscar wyrecytował krótkie, dobrze przećwiczone wyjaśnienie, w któ-

rym stwierdził, że nie plajtując, Ackerman Labs mogło zapłacić tylko tyle, a gdyby zbankrutowało, pan Worley dostałby jeszcze mniej albo w ogóle nic.

- Świetnie - odparł Ted. - Aleja tych pieniędzy nie przyjmuję.

- Nie ma pan wyboru.

- Akurat.

- Proszę zajrzeć do umowy. Paragraf ósmy na stronie jedenastej mówi o tak zwanej preautoryzacji. Proszę go przeczytać i zrozumie pan, że upoważnił pan naszą kancelarię do akceptacji każdej kwoty powyżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

158

- Tak, pamiętam, ale powiedziano mi, że to tylko kwota wyjściowa.

Spodziewałem się o wiele wyższej.

- Ugoda została już zatwierdzona przez sąd. Tak działa system po-zwów zbiorowych. Jeśli nie podpisze pan dokumentów, pieniądze zostaną w puli i otrzyma je ktoś inny.

- Jesteście oszustami, bandą oszustów. Nie wiem, kto jest gorszy: firma, która wypuściła ten lek, czy mój własny adwokat, który mnie oszukał.

- Przykro nam, że tak pan to odbiera.

- Wcale nie jest wam przykro. W gazetach piszą, że zarobiliście sto milionów. Złodzieje!

Pan Worley trzasnął słuchawką i cisnął dokumentami na drugi koniec kuchni.

ROZDZIAŁ 24

Na okładce grudniowego numeru „Capitol Magazine” widniało zdjęcie Claya siedzącego na rogu biurka w pięknie urządzonej gabinecie; przystojny, opalony, w garniturze od Armaniego, wyglądał

nader atrakcyjnie. Była to dokonana w ostatniej chwili podmianka fotoreportaŜu zatytułowanego „BoŜe Narodzenie nad Potomakiem”, corocznej gali zdjęciowej, podczas której starzy, bogaci senatorowie oraz ich najnowsze Ŝony otwierali na ościeŜ podwoje swoich nowych waszyngtońskich willi, Ŝeby pochwalić się nimi Ŝwiatu. JednakŜe w tym numerze senator, jego maŜonka, ich dom, koty i ulubione przepisy zostały zepchnięte na którąś ze Ŝrodkowych stron, poniewaŜ Waszyngton zawsze był miastem, gdzie przede wszystkim liczą się pieniądze i władza.

Jak często trafiała się redaktorom niewiarygodna historia o młodym, biednym prawniku, który tak szybko się wzbogacił?

Był tam Clay na tarasie z wypoŜyczonym od Rodneya psem, Clay przed ławą przysięgłych w pustej sali rozpraw, w pozie adwokata, który codziennie uzyskuje olbrzymie odszkodowania od tych złych, wreszcie Clay myjący swego nowego porsche. Wyznał, Ŝe jego pasją jest Ŝeglarstwo, no i proszę, było tam równieŜ zdjęcie jego jachtu cumującego w porcie na Bahamach.

Nie, w tej chwili z nikim nie romansował i natychmiast okrzyknięto go jedną z najlepszych partii w mieście.

Na ostatnich stronach były zdjęcia panien młodych oraz ogłoszenia zaręczynowe i Ŝlubne. KaŜda debutantka, kaŜda uczennica prywatnej szkoły i kaŜda przedstawicielka metropolitalnej socjety, zrzeszonej w podmiejskich klubach, marzyła o chwili, gdy jej podobizna trafi na karty „Capitol 159

Magazine”.

Im

większa

fotografia,

tym

waŜniejsza

rodzina.

Najambitniejsze matki brały linijkę, mierzyły zdjęcie córki, porównywały jego wymiary z wymiarami zdjęcia rywalek, po czym chwaliły się lub gniewały na siebie przez wiele lat.

Była tam równieŜ Rebeka, olśniewająca, na wiklinowej ławce w jakimś ogrodzie - urocze zdjęcie, zepsute gębą pana młodego i przyszłego męŜa, szanownego Jasona Shuberta Myersa IV, który tulił się do niej i najwyraźniej lubił pozować. Ŝlubny są dla panien, a nie dla panów młodych. Po cholere go tam wepchnęli?

Bennett i Barbara musieli pociągnąć za odpowiednie sznurki, bo ogłoszenie Rebeki było drugie pod względem wielkości spośród co najmniej tuzina. Sześć stron dalej zamieszczono całostronicową reklamę Grupy BVH.

Łapówka.

Clay rozkoszował się nieszczęściem, jakie czasopismo sprowadziło na dom Van Hornów. Ślub ich córki, wielkie wydarzenie towarzyskie, na które Bennett i Barb wyrzucili mnóstwo pieniędzy, Œeby zaimponować Œwiatu, zostało zepchnięte w cień przez ich Nemezys. Ile jeszcze razy ślubne ogłoszenie córki mogło trafić na łamy „Capitol Magazine”? Jak bardzo musieli się starać, Œeby redaktorzy odpowiednio je wyeksponowali? I wszystko na nic, bo przyćmił ich Clay.

A był to dopiero początek.

Jonasz zdąŜył juŜ oznajmić, Œe prawdopodobnie się wycofa. Spędził

dziesięć dni na Antigui nie zjedna, lecz z dwiema dziewczynami i po powrocie do nękanego ŒnieŜną zamiecią Waszyngtonu wyznał Clayowi, Œe mentalnie i psychicznie nie jest w stanie dłuŜej praktykować prawa. Œe wiêcej tego wszystkiego nie znieŒie. Jego kariera adwokacka dobiegła koŒ-

ca. Ciągnie go morze. Znalazł sobie dziewczynę, która uwielbia Œeglować, a poniewaŜ jej maŒeŒstwo właŒnie się rozlatywało, ona teŜ potrzebuje dłuŜ-

szego wypoczynku na morzu. Jonasz pochodził z Annapolis i w przeciwieŒ-

stwie do Claya Œeglował od urodzenia.

- Potrzebujê jakiejŒ laski, najlepiej blondynki - powiedział Clay, sia dajac na krzeŒle naprzeciwko jego biurka.

Drzwi były zamkniête na klucz. Minęła szosta i Jonasz otworzył pierwszà butelkê piwa. Zawarli niepisana umowê, Œe przed szostà nie będzie Œadnego alkoholu. W przeciwnym razie piŒby juŜ od lunchu.

- Najlepsza partia w Waszyngtonie ma kłopoty z towarem?

- Wyszedłem z wprawy. Jadê na ślub Rebeki i muszê mieć dziewczynę, która przyćmi wszystkie pozostałe.

- CoŒ piêknego. - Jonasz wybuchnàł Œmiechem i siêgnàł do szuflady.

160

Prowadził rejestr kobiet - tylko on był do tego zdolny. Pogrzebał w papierach, wreszcie znalazł to, czego szukał. Rzucił na biurko złoŜonà gazetê.

Była w niej reklama działu z damskà bieliznà jakiegoŒ domu towarowego.

Młoda, wspaniała bogini nie miała na sobie praktycznie nic od pasa w dół, a piersi zasłaniała skrzyŜowanymi rękami. Clay zauwaŜył to zdjecie juŜ

dawno temu, gdy tylko się ukazało. Gazeta była sprzed czterech miesięcy.

- Znasz ją?

- No jasne. Myślałeś, że kręcą mnie ogłoszenia z majtkami?

- Wcale by mnie to nie zaskoczyło.

- Ma na imię Ridley. Przynajmniej pod tym imieniem ją znają.

- Mieszka tu? - Clay nie mógł oderwać wzroku od oszałamiającej seks-bomby, którą trzymał w rękach.

- Jest Gruzinką.

- Kim?

- Gruzinką, pochodzi z Rosji. Przyjechała tu na wymianę jako studentka i już nie wróciła.

- Wygląda na osiemnaście lat.

- Ma dwadzieścia kilka.

- Wysoka?

- Metr siedemdziesiąt pięć.

- Na tym zdjęciu same nogi mają metr pięćdziesiąt.

- To źle?

Z udawaną nonszalancją Clay rzucił gazetę na biurko.

- Dobra, a minusy?

- Są. Mówią, że jest bi.

- Bi?

- Podobno lubi i chłopców, i dziewczyny.

- Ups!

- Brak potwierdzenia, ale wśród modelek to normalka. Zresztą może to tylko plotki.

- Nie umawiałeś się z nią?

- Nie. To przyjaciółka przyjaciółki. Jest na mojej liście. Czekałem na ostateczne potwierdzenie.

Spróbuj. Jeśli ci się nie spodoba, znajdziemy inną.

- Mógłbyś do niej zadzwonić?

- Jasne, nie ma sprawy. Jesteś najbardziej wziętym kawalerem w Waszyngtonie, nowym królem masówek, nie będzie żadnego problemu. Swoją drogą ciekawe, czy w Gruzji wiedzą, co to jest pozew zbiorowy.

- Jeśli mają fart, to nie. Przekręć do niej.

Umówili się na kolację w restauracji miesiąca, japońskiej knajpce od-wiedzanej przez młodych i bogatych. W rzeczywistości Ridley wyglądała 161

jeszcze piękniej niż na zdjęciu. Gdy prowadzono ich do stolika pośrodku sali, wszyscy faceci odwracali głowy i wyciągali szyje. Gwałtownie usta-wały rozmowy. Tłoczyli się wokół nich kelnerzy. Mówiła płynną angielszczyzną z leciuteńkim egzotycznym akcentem, który tylko dodawał jej seksapilu, choć wcale tego potrzebowała.

Leżałyby na niej wspaniale najgorsze ciuchy z pchlego targu. Celowo ubierała się skromnie, żeby ubranie nie rywalizowało z blond włosami, błę-

kitnymi oczami, wprost doskonałą figurą.

Tak naprawdę nazywała się Ridal Petashnakol i musiała to dwa razy przesyłabizować, bo Clay miał wyraźne trudności z wymową. Na szczęście modelkom, podobnie jak piłkarzom, wystarczy tylko samo imię, dlatego mówiono do niej po prostu Ridley. Nie piła alkoholu i poprosiła o sok Śurawinowy. Clay miał nadzieję, że nie zamówi na kolację talerza surowych marchewek.

Ona miała urodę, on pieniądze, a ponieważ nie mogli rozmawiać ani o jednym, ani o drugim, rzucili się na głęboką wodę i przez kilka minut szukali bezpiecznego tematu. Była Gruzinką, nie Rosjanką, i nie interesowała jej ani polityka, ani terroryzm, ani futbol. Z to, ach, te filmy! Kochała filmy i widziała chyba wszystkie. Nawet straszliwe knoty, których nikt nie chciał oglądać.

Uwielbiała każdy, który zrobił klapę, i Clay zaczynał nabierać wątpliwości.

To tylko głupia laska, myślał. Kolacja, wesele Rebeki, i odejście w niepamięć.

Mówiła pięcioma językami, ale ponieważ większość z nich była językami wschodnioeuropejskimi, na pewno nie dopomogły jej w karierze. Ku jego wielkiej uldze, zamówiła pierwsze danie, drugie danie i deser. Rozmowa nie była łatwa, ale oboje usilnie próbowali ją podtrzymać. Tak bardzo się różnili. Jako prawnik chciałby dokładnie przepytac świadka: prawdziwe nazwisko, wiek, grupa krwi, zawód ojca, pensja, stan cywilny, zainteresowania seksualne - czy to prawda, że jesteś bi? Ale zdołał się ja-koś powstrzymać i nie wnikał w temat. Zadał dwa, trzy podchwytliwe pytania i nie uzyskawszy żadnej konkretnej odpowiedzi, wrócił do filmów.

Znała wszystkich dwudziestoletnich aktorów klasy B i wiedziała, którzy z nich mają w tej chwili romans - cholernie nudne, ale pewnie ciekawsze niż

banda prawników przechwalających się wygranymi procesami czy ugodami z firmą zatruwającą ściekami rzekę.

Clay pił wino i szybko się odpręŜył. Czerwony burgund. Patton French byłby z niego dumny. Gdyby tylko widzieli go teraz kumple od masówek.

On i piękna Barbie.

Jedynym minusem były te paskudne pogłoski. Nie, to niemoŜliwe, Őeby leciała na dziewczyny. Była zbyt doskonała, zbyt nieskazitelna, zbyt pocią-

162

gająca dla płci przeciwnej. Őona cud, ucieleśnienie marzeń kaŜdego faceta!

Mimo to było w niej coś podejrzanego. Gdy szok wywołany jej urodą mi-nał, a trwało to co najmniej dwie godziny, które musiał zapić całą butelką wina, zdał sobie sprawę, Őe w dalszym ciągu nic o niej nie wie. Albo była zupełnie pusta, albo dobrze się pilnowała.

Przy deserze, czekoladowym musie, którym się tylko bawiła, zaprosił

ją na przyjęcie. Wyznał, Őe panna młoda jest jego byłą narzeczoną, ale zeł-

gał, mówiąc, Őe są teraz w bardzo przyjacielskich stosunkach. Ridley wzruszyła ramionami, jakby wolała iść do kina.

- Czemu nie? - odrzekła.

WjeŜdŜając na podjazd przed klubem Potomac, doznał silnego wstrząsu.

Od jego ostatniej wizyty w tym przeklętym miejscu, od pełnej udręki kolacji z rodzicami Rebeki, upłynęło ponad siedem miesięcy. Wtedy musiał ukrywać swoją starą hondę za kortami tenisowymi. Teraz mógł pochwalić się nowiuteńkim porsche carrerą. Wtedy ucieka! przed parkingowym, Őeby zaoszczędzić kilka dolarów. Teraz dał mu suty napiwek. Wtedy był sam i przeraŜała go perspektywa kilku godzin z Van Hornami. Teraz miał u boku prze-pyszna Ridley, która trzymała go pod rękę i krzyŜowała nogi w taki sposób, Őe przez długie rozcięcie w jej sukni widać było talię; i bez względu na to, gdzie byli teraz jej rodzice, na pewno nie wtręcali się w Őycie córki. Wtedy czuł się tu jak intruz na uświęconej ziemi. Teraz, gdyby tylko zechciał wypisać odpowiedni czek. z miejsca przyjęto by go do klubu.

- Weselne przyjęcie Van Hornów - rzucił do ochroniarza, który bez szemrania wpuścił ich do środka.

Spóźnili się godzinę i trafili na idealny moment. Sala była nabita, grała rhytmdbluesowa orkiestra.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła w drzwiach Ridley. - Nikogo tu nie znam.

- Spokojnie - odrzekł. Bynajmniej nie zamierzał jej zostawiać i chociaŜ udawał, Őe jest inaczej, on

teS nikogo tu nie znał.

Natychmiast odwróciły się w ich stronę wszystkie głowy. Opadły szczęki. MęŜczyźni byli juŜ po paru głębszych i bezwstydnie się na nią gapili.

- Się masz. Clay!

Clay spojrział w lewo i zobaczył uśmiechniętą twarz Randy'ego Spina, kolegi ze studiów, który pracował teraz w wielkiej firmie prawniczej i w normalnych okolicznościach nigdy by do niego nie zagadał. Gdyby spotkali się przypadkowo na ulicy, nie zwalniając kroku, rzuciłby moŜe: „Jak leci?“, ale przenigdy nie zrobiłby tego w zatłoczonym klubie, zwłaszcza wśród tyłu grubych ryb.

163

Tymczasem proszę! Wyciągał do niego rękę, jednocześnie pokazując Ridley wszystkie zęby. Naparł na nich tłumek gapiów. Spino momentalnie przejął inicjatywę, przedstawiając swych dobrych, starych przyjaciół

dobremu, staremu przyjacielowi Clayowi Carterowi i Ridley bez nazwiska. Ridley jeszcze mocniej ścisnęła go za łokieć. Chcieli się z nią przywitać wszyscy chłopcy.

ŝeby to zrobić, musieli najpierw zagadać do niego, więc nie minęło kilka sekund, jak ktoś krzyknął:

- Clay, gratulacje za Ackermana!

Clay nigdy dotąd faceta nie widział. ZałoŜył, ŝe to jakiś adwokat, pewnie z duŜej, waŜnej firmy, firmy, która reprezentowała wielkie koorporacje w rodzaju Ackerman Labs, i zanim tamten skończył mówić, wiedział juŜ.

ŝe pod tą fałszywą pochwałą kryje się czysta zazdrość. No i chęć pogapienia się z bliska na Ridley.

- Dzięki - odrzekł. Ot, kolejny dzień w biurze.

- Sto milionów. Jezu! - Ta twarz teŜ naleŜała do kogoś, kogo nie znał, i kto wyglądał na pijanego.

- Cóż, połowę zjedzą podatki. - Kto by wyŜył za marne pięćdziesiąt milionów?

Tłum wybuchnął śmiechem, jakby Clay opowiedział najprzedniejszy dowcip pod słońcem. Otoczyło ich jeszcze więcej ludzi, samych męŜczyzn, a wszyscy centymetr po centymetrze przysuwali się do oszałamiającej blondynki, która wydawała się jakby znajoma. Pewnie jej nie rozpoznawali w pełnym kolorze i w ubraniu.

- Reprezentujemy Philo - rzucił ktoś sztywno i zasadniczo. - Ten ba-

łagan z dyloftem... w ŝyciu nie cieszyliśmy się tak z ŝadnej ugody. - Na dolegliwość tę cierpiała większość waszyngtońskich adwokatów. PoniewaŜ niemal kaŜdej międzynarodowej korporacji

doradzał ktoś ze stolicy -

choćby tylko dla picu, żeby korporacja mogła się tym pochwalić - każdy zatarg czy transakcja odbijała się głośnym echem wśród tutejszych prawników. W Tajlandii wylatuje w powietrze rafineria i adwokat mówi: „Tak.

reprezentujemy Exxon". Film robi klapę. „Reprezentujemy Disneya”. Z powodu awarii samochodu ginie pięć osób. „Tak, wiem, mamy Forda". Clay słyszał to tak często, że robiło mu się niedobrze.

A ja mam Ridley, więc trzymajcie łapy przy sobie.

Ze sceny coś ogłaszano i w sali trochę przycichło. Taniec. Państwo młodzi. Potem panna młoda z ojcem, pan młody z teściową i tak dalej. Wokół parkietu zgromadził się tłum gości. Orkiestra zagrała *Smoke Gets in Your Eyes*.

- Jest bardzo piękna - szepnęła mu do ucha Ridley. Rzeczywiście była.

I tańczyła z Jasonem Myersem, który - choć pięć centymetrów niższy -

wydawał się dla niej jedyną osobą na świecie. Uśmiechnięta i rozpromie-

niona, wirowała powoli po parkiecie; musiała sama wykonać całą robotę, bo pan młody tańczył sztywno jak kołek.

Clay miał ochotę zaatakować, przebić się przez tłum i dać mu w mordę.

Uratować swoją dziewczynę, uciec z nią i zastrzelić jej matkę, gdyby zdo-

łała ich jakoś odszukać.

- Ty wciąż ją kochasz, prawda? - szepnęła Ridley.

- Nie, już nie - odszepnął.

- Kochasz. Przecież widzę.

- Nie.

Wieczorem para młoda miała gdzieś wyjechać i skonsumować małżeń-

stwo, chociaż znając intymne potrzeby Rebeki, wiedział, że jest już po her-bacie. Pewnie wszystkiego już tę glistę nauczyła. Farciarz. On nauczył ją.

a ona tego wypierdka. To niesprawiedliwe.

Patrzył na nich i bolało go serce. Po cholere tu przyjechał? żeby ostatecznie to wszystko zakończyć. żeby się z nią pośegnać. Ale chciał też. żeby Rebeka zobaczyła go z Ridley, żeby wiedziała, że

radzi sobie i wcale nie tęskni.

Bennett na parkiecie sprawiał przykre wrażenie. Najwyraźniej wyznawał teorię większości białych, że najlepiej tańczy się w miejscu, nie poruszając stopami, a kiedy spróbował potrząsnąć tyłkiem, orkiestra parsknęła śmiechem. Policzki miał już czerwone od nadmiaru chivasa.

Teraz Jason Myers tańczył z Barbarą Van Horn, która - przynajmniej na to wyglądało - zaliczyła kolejną operację plastyczną, pewnie już ze zniszczeniem.

Wbiła się w suknię, która, choć ładna, była dwa rozmiary za mała, dlatego we wszystkich najbardziej nieodpowiednich miejscach wystawały jej fałdy tłuszczu, grożąc nagłą ekspozycją i wywołaniem mdłości wśród zgromadzonych. Do twarzy przykleiła sobie najbardziej sztuczny uśmiech, na jaki było ją stać - ani jednej zmarszczki, wszystko dzięki nadmiarowi silikonu - a ponieważ Myers też szczerzył do niej zęby, wyglądali jak para najlepszych przyjaciół, którzy postanowili nie rozstawać się do końca życia. Barbara już wbiła mu nos w plecy, a on był za głupi, żeby to zauważyć. Niestety, ona też

chyba tego nie widziała. Wynikało to z samej natury rzeczy.

- Można prosić? - spytał ktoś Ridley.

- Spadaj - mruknął Clay i poprowadził ją na parkiet, w tłum rozkołysanych par. Jeśli stojąca nieruchomo Ridley mogła uchodzić za dzieło sztuki, Ridley w ruchu była skarbem narodowym. Poruszała się z wdziękiem i wrodzonym poczuciem rytmu, a jej wysoko rozcięta, nisko wydekoltowana suknia odsłaniała najbardziej apetyczne fragmenty ciała. Mężczyźni zbijali się w grupki. Patrzyli.

Patrzyła również Rebeka. Zrobiła sobie przerwę na pogawędkę z gośćmi,

mi, spostrzegła zamieszanie i zobaczyła Claya tańczącego z szalową blondynką. Ona też doznała wstrząsu, ale z innych powodów. Porozmawiała 165

jeszcze trochę i weszła na parkiet. Skończył się jeden numer, rozpoczął

drugi, wolny - Rebeka stanęła między nimi.

- Cześć, Clay - powiedziała, ignorując jego partnerkę. - Zatańczysz?

- Oczywiście - odrzekł. Ridley wzruszyła ramionami i odeszła. Została sama, ale już sekundę później naparł na nią zwarty tłum mężczyzn.

Wybrała najwyższego i zaczęła pulsować.

- Nie pamiętam, żeby cię zapraszała - powiedziała Rebeka z ręką na jego ramieniu.

- Chcesz, żeby wyszedł? - Przyciągnął ją bliżej, ale obszerna suknia uniemożliwiała kontakt, jakiego by pragnął.

- Ludzie patrzą - odrzekła z uśmiechem pod publiczność. - Po co tu przyszedłeś?

- żeby oblać twój ślub. I przypatrzeć się twemu nowemu chłopczkowi.

- Nie bądź wstrętny. Jesteś po prostu zazdrosny.

- Nie, to coś więcej. Mam ochotę skrócić mu kark.

- Skąd wytrzasnąłeś tę lalkę?

- I kto tu jest zazdrosny?

- Ja.

- Nie martw się, w łóŜku nie sięga ci do pięt. - Po zastanowieniu doszedł do wniosku, Ŝe moŜe by chciała. Wszystko jedno.

- Jason jest całkiem niezły.

- Nie chcę tego słuchać. Tylko nie zajdź w ciążę, dobrze?

- Nie twój interes.

- Owszem, mój, jak najbardziej.

TuŜ obok nich przemknęła Ridley ze swoim absztyfikantem. Po raz pierwszy Clay mógł dobrze przyjrzeć się jej od tyłu, od tyłu prawie całkowicie odsłoniętego, poniewaŜ suknia kończyła się tuŜ - bardzo małe tuŜ - poniŜej okrągłych, idealnie ukształtowanych pośladków. Rebeka teŜ to zauwaŜyła.

- Płacisz jej? - spytała.

- Jeszcze nie.

- Nieletnia?

- O nie, bardzo dorosła. Powiedz, Ŝe wciąŜ mnie kochasz.

- Nie kocham.

- Kłamiesz.

- Lepiej by było, gdybyś z nią wyszedł.

- Naturalnie, to twoje przyjęcie. Nie chcę ci go psuć.

- Tylko po to przyszedłeś. - Odsunęła się lekko, ale tańczyła dalej.

- Zaczekaj jeszcze rok. Za rok będę miał dwieście milionów. Wskoczył do mojego odrzutowca,

wyrwiemy się z tej dziury i resztę Śycia spę-

dzimy na jachcie. Twój starzy nigdy nas nie znajdą.

Znieruchomiała.

166

- Do widzenia, Clay.

- Będę czekał - powiedział i w tym samym momencie wpadł na niego Bennett.

- Przepraszam - mruknął i uratował córkę, odciągając ją na drugi koniec parkietu.

Przed Clayem wyrosła Barbara. Wzięła go za rękę i błysnęła zębami w sztucznym uśmiechu.

- Nie róbmy sceny - syknęła, nie poruszając ustami. Zaczęli się sztywno poruszać, ale chyba nikt nie mógł pomyśleć, że tańczą.

- Jak się pani miewa, pani Van Horn? - Clay czuł się jak w uścisku Śmii.

- Miałam się świetnie, dopóki nie zobaczyłam ciebie. Jestem pewna, że nikt cię tu nie zapraszał.

- Właśnie wychodziłem.

- To dobrze. Nie chciałabym wzywać ochrony.

- To nie będzie konieczne.

- Proszę, nie psuj jej tego dnia.

- Już powiedziałem, zaraz wychodzę.

Muzyka umilkła i Clay wreszcie się wyrwał. Wokół Ridley wyrósł tłumek mężczyzn, ale on szybko ją zgarnął. Przeszli na tył sali, do baru, który przyciągał więcej wielbicieli niż orkiestra. Clay wziął piwo i już zamierzał

wyść, gdy otoczyła ich kolejna grupa wielbicieli. Prawnicy chcieli pogadać z nim o rozkoszach masówek i pocierać się o Ridley.

Kilka minut trwała idiotyczna rozmowa o niczym z ludźmi, których nie znosił. Podszedł krępy facet w wypożyczonym smokingu.

- Jestem z ochrony - szepnął. Miał przyjazną twarz i wyglądał na do-

świadczony zawodowca.

- Już wychodzę - odszepnął Clay.

Wyrzucony z przyjęcia ślubnego Van Hornów. Wyproszony ze słynnego klubu. Wracając do domu z owiniętą wokół niego Ridley, uznał, że już

dawno nie przeżył wspanialszej chwili.

ROZDZIAŁ 25

ogłoszeniu informowano, że nowożeńcy spędzą miesiąc miodowy w Meksyku. Clay też postanowił wyjechać. Jeśli któreś z nich zasługiwało na miesięczny urlop na wyspach, tym kimś był na pewno on.

Jego prężna dotąd grupa straciła impet. Może podzielał tak na nich okres urlopowy, może pieniądze. Tak czy inaczej, Jonasz, Paulette i Rodney spę-

dziali w firmie coraz mniej czasu.

167

On też. W kancelarii panowało napięcie i nieustannie dochodziło do konfliktów. Tylu klientów było niezadowolonych z nędznego odszkodowania. Prowadzenie korespondencji było okrutną grą. Unikanie telefonów stało się sportem. Kilku klientów odszukało kancelarię i zaatakowało pannę Glick.

Śądając natychmiastowej rozmowy z mecenasem Carterem, który właśnie -

tak się zwykle składało - prowadził wielki proces gdzieś daleko od Waszyngtonu. Tak naprawdę ukrywał się za zamkniętymi drzwiami gabinetu, gdzie przeczekiwał kolejną burzę. Po którymś z wyjątkowo ciężkich dni zadzwonił do Frencha z prośbą o radę.

- Weź się w garść, chłopcze - powiedział Patton. - To część naszej pracy. Zarabiasz na masówkach kupę forsy, to tylko jeden z minusów całej imprezy. Trzeba mieć grubą skórę.

Najgrubszą skórę w firmie miał Oscar Mulrooney, który nieustannie zadziwiał Claya swymi zdolnościami organizacyjnymi i ambicją. Pracował

piętnaście godzin na dobę i pilnował, żeby grupa z Yale jak najszybciej ściągała pieniądze z dyloftu. Chętnie podejmował się każdego niewdzięcznego zadania. Ponieważ Jonasz nie ukrywał, że chce opłynąć świat, ponieważ Paulette coraz częściej napomykała o rocznym wyjeździe do Afryki, gdzie zamierzała studiować sztukę, i ponieważ Rodney mglście wspominał, że chce to wszystko rzucić, było oczywiste, że na samej górze niebawem powstanie wakat.

Równie oczywiste było to, że Mulrooney chciałby zostać współnikiem albo mieć przynajmniej udział w zyskach. Wytrwale analizował pozwy zbiorowe przeciwko producentowi Chudego Bena, szkodliwej pigułki na oty-

łość, i był przekonany, że mimo czterech lat nieustannych ogłoszeń jest jeszcze na rynku około dziesięciu tysięcy „wolnych” klientów.

W grupie z Yale pracowało obecnie jedenastu adwokatów, z których siedmiu naprawdę ukończyło Yale. Siłownia rozrosła się do dwunastu adwokatów bez licencji, po uszy zawałonych aktami i dokumentami. Clay bez wahania zostawił kancelarię pod opieką Mulrooneya. Miało go nie być

ledwie kilka tygodni i był pewien, że kiedy wróci, zostanie w niej większy porządek niż teraz.

Bo że Narodzenie. Próbował je zignorować, choć przychodziło mu to z trudem. Ojciec był daleko. Rebeka zawsze starała się wciągnąć go w to, co robili Van Hornowie, ale chociaż doceniał jej wysiłki, stwierdził, że siedzenie w pustym domu, picie taniego wińsk i oglądanie starych filmów w Wigilię jest o wiele lepsze niż otwieranie prezentów z jej rodzicami.

Humoru nie poprawiłby mu nawet najwspanialszy podarek.

Rodzice jego Gruzinki wciąż mieszkali w Gruzji i nie zamierzali się stamtąd ruszać. Początkowo Ridley stanowczo twierdziła, że nie da rady

zmienić harmonogramu występów na wybiegu i wyjechać z miasta aż na kilka tygodni. Jednakże determinacja, z jaką próbowała to zrobić, podnosi-

ła go na duchu. Naprawdę chciała polecieć na wyspy i pobaraszkować z nim na plaży. W końcu powiedziała klientowi: „Śmiało, wyrzuc mnie pan z pracy”. Miała to gdzieś.

Była to jej pierwsza wyprawa prywatnym samolotem. Na tyle sposobów chciał jej zaimponować. Non stop z Waszyngtonu do Saint Lucia -

cztery godziny i milion kilometrów. Gdy odlatywali, w stolicy było szaro i zimno, gdy wysiadali, z nieba lał się śnieg. Na odprawie paszportowej nikt na nich nawet nie spojrzał, a raczej na niego. Wszyscy faceci odwracali się, żeby popatrzeć na nią. To dziwne, ale zaczynał się do tego przyzwyczajać.

A Ridley po prostu nie zwracała na nich uwagi. Znała to od tak dawna, że wszystkich ignorowała, co tylko pogarszało samopoczucie gapiów. Taka piękna kobieta, tak doskonała od czubka głowy po palce u stóp, jednocześnie-

nie taka wyniosła i nieosiągalna.

Wsiedli do małego samolotu komunikacji miejscowej, żeby odbyć piętnastominutowy lot na Mustique, ekskluzywną wyspę należąca do słynnych i bogatych, wyspę, gdzie było wszystko oprócz pasa startowego dla odrzutowców. Gwiazdorzy rocka, aktorki i miliarderzy mieli tam swoje domy.

Ich dom należał kiedyś do księcia, który sprzedał go jakiemuś dzianemu specowi od Internetu; ten bywał tu rzadko i często go wynajmował.

Wyspa była górą otoczoną spokojnymi wodami Karaibów. Z wysoko-

ści dziewięciuset metrów wyglądała jak ciemnozielone zdjęcie z egzotycznej pocztówki. Gdy gwałtownie schodzili w dół, żeby trafić na krótki, prawie niewidoczny pas startowy, Ridley tuliła się do niego i kurczowo ścisnęła go za rękę. Pilot miał na głowie słomkowy kapelusz i wylądowałby tam nawet z przepaską na oczach.

Szeroko uśmiechnięty Marshall, szofer i kamerdyner w jednej osobie, czekał na nich w otwartym

dłonie. Wrzucili torby na tylne siedzenie i krętą drogą ruszyli pod górę. Śladnych hoteli, śladnych budynków mieszkalnych, śladnych turystów, śladnego ruchu. Przez dziesięć minut nie widzieli ani jednego pojazdu. Ich dom stał na zboczu góry, tak jak zapowiadał Marshall, chociaż nie była to góra, tylko zwykłe wzgórze. Ale widok zapierał

dech w piersi: sześćdziesięciometrowej wysokości urwisko i bezkresny ocean. Na horyzoncie ani jednej wyspy, ani jednej łodzi. Wokoło ani jednego człowieka.

W domu były cztery czy nawet pięć sypialni - Clay stracił rachubę -

połączonych z salonem wykładanymi terakotą korytarzami. Zamówili lunch; mogli sobie zażyczyć, co chcieli, bo był tam pełnoetatowy kucharz. I ogrodnik, i dwóch dozorców, i kelner. Pięcioosobowy personel -plus Marshall -

a wszyscy mieszkali gdzieś na terenie posesji.

169

Zanim Clay zdążył się rozpakować, Ridley zrzuciła z siebie ubranie i wskoczyła do basenu. Gdyby nie skąpe, prawie zupełnie niewidoczne strin-gi, byłaby zupełnie naga. Clayowi, który myślał, że się już przyzwyczał do jej widoku, ponownie zawirowało w głowie.

Do lunchu się ubrała. Świeże owoce morza, jakby inaczej: krewetki i ostrygi z grilla. Dwa piwa i Clay ruszył chwiejnie do hamaku na długą sjęstę. Nazajutrz była Wigilia, a on miał to gdzieś. Rebeka tuliła się do Jasona w jakimś nędznym meksykańskim hoteliku.

A on miał to gdzieś.

Drugiego dnia świąt przyjechał Max Pace ze swoją flamą. Waleria była silną, bardzo męską kobietą o szerokich ramionach, twarzy bez śladu makijażu i niechętnym uśmiechu. Max należał do mężczyzn bardzo przystojnych, a w niej nie było dosłownie nic atrakcyjnego. Clay miał nadzieję, że nad basenem niczego z siebie nie zdejmie. Gdy ścisnął jej rękę, poczuł zgrubiałe odciski. Cóż, Ridley nie da się przynajmniej skusić.

Pace szybko przebrał się w szorty i poszedł na basen. Waleria włożyła traperki i spytała o piesze trasy wycieczkowe. Marshall powiedział, że nic o takich trasach nie wie, co oczywiście bardzo ją rozczarowało. Ale poszła i tak, żeby poszukać jakichś skał do wspinaczki. Ridley znikła w salonie, gdzie czekała na nią sterta kaset wideo z filmami.

Ponieważ Max był człowiekiem znikąd, nie mieli o czym rozmawiać.

Przynajmniej początkowo. Wkrótce okazało się, że przyjechał tu z czymś ważnym.

- Pogadajmy o interesach - powiedział, gdy już przesnął się na słońcu.

Przeszli do barku i Marshall podał drinki.

- Jest kolejny lek - rzucił Pace i oczami wyobraźni Clay natychmiast ujrzał górę pieniędzy. - DuŜa sprawa.

- Znowu się zaczyna.

- Ale tym razem plan jest trochę inny. Chcę coś z tego mieć.

- Dla kogo pracujesz?

- Dla siebie. I dla ciebie. Odpalisz mi jedną czwartą honorarium.

- Ile moŜna na tym zarobić?

- Więcej niŜ na dylofcie.

- W takim razie masz jedną czwartą. Jeśli chcesz, nawet więcej. - Jak mógł odmówić, skoro wyprali razem tyle brudów?

- Nie jedna czwarta wystarczy. - Max wyciągnął rękę. Umowa została zawarta.

- Dobra, wal.

- Jest taki lek hormonalny; nazywa się maxatil. Bierze go co najmniej cztery miliony kobiet w trakcie i po menopauzie w wieku od czterdziestu

pięciu do siedemdziesięciu pięciu lat. Wszedł na rynek pięć lat temu jako kolejny cudowny lek. Łagodzi uderzenia gorąca oraz inne objawy menopauzy. Bardzo skuteczny. Ma teŜ wzmacniać kości, zmniejszać napięcie i ryzyko choroby serca. Producentem jest Goffman.

- Goffman? Ten od Ŝyletek i płynu do płukania ust?

- Ten sam. W zeszłym roku mieli dwadzieścia jeden miliardów obrotu.

Akcje najpewniejsze z pewnych. Mało długów, rozsądny zarząd. Amerykań-

ska tradycja. Ale z maxatilem się pospieszyli. Typowa sprawa: perspektywa olbrzymich zysków, lek zdawał się bezpieczny. Przepchnęli go przez Federalny Urząd Ŝywności i Leków i przez kilka lat wszyscy byli zadowoleni.

Lekarze ten lek uwielbiali. Kobiety za nim szaleją, bo potrafi zdziałać cuda.

- Ale...?

- Ale pojawiły się problemy. Wielkie problemy. Naukowa komisja rzą-

dowa przez cztery lata regularnie kontrolowała dwadzieścia tysięcy kobiet, które przyjmowały maxatil. Raport jest juŜ gotowy i ma się ukazać za kilka tygodni. Wyniki badań są druzgoczące. U

niektórych pacjentek lek zwiększa ryzyko raka piersi, zawału serca i udaru mózgu.

- U niektórych? To znaczy, u ilu?

- U około ośmiu procent.

- Kto wie o tym raporcie?

- Garstka ludzi. Mam kopię.

- Tak myślałem. - Clay pociągnął z butelki i poszukał wzrokiem Mar-shalla. Serce zabiło mu szybciej. Mustique go nagle znudziła.

- Paru adwokatów już się przyczaiło, lecz nie znają jeszcze wyników badań - mówił dalej Pace. - W Arizonie wniesiono pozew, ale nie zbiorowy.

- To znaczy?

- Zwyczajny, staromodny.

- Nuda.

- Niezupełnie. Wniósł go niejaki Dale Mooneyham z Tucson. Facet słynie z tego, że nie bierze masówek i nigdy nie przegrywa. Będzie pierwszy.

Może wycisnąć z przysięgłych olbrzymie odszkodowanie. Ale najważniejsze to złożyć pierwszy pozew zbiorowy. Nauczyłeś się tego od Frencha.

- Da się zrobić - odrzekł Clay, jakby załatwiał takie sprawy od lat.

- I trzeba to zrobić samemu, bez Frencha i tych oszustów. Złóżysz pozew w Waszyngtonie i zasypiesz rynek ogłoszeniami. To duża rzecz.

- Tak jak dyloft.

- Z tym że teraz ty będziesz tym wszystkim kierował. Ja pozostanę w tle. Będę pociągał za sznurki i odwalał brudną robotę. Znam mnóstwo podejrzanych typów, którzy mogą się przydać. Złóżysz pozew, a jak ci z Goffmana zobaczą twoje nazwisko, uciekną gdzie pieprz rośnie.

- Szybka ugoda?

171

- Pewnie nie tak szybka jak z dyloftem, ale dyloft był wyjątkiem. Musisz odrobić lekcje. Zebrać odpowiednie dowody, zaangażować biegłych, oskarżyć lekarzy, którzy przepisywali lek, stanowczo domagać się procesu.

Musisz przekonać Goffmana, że ugoda cię nie interesuje, że chcesz procesu, wielkiego, spektakularnego procesu na swoim terenie.

- A minusy? - spytał ostrośnie Clay.

- Nie widzę żadnych, oprócz tego, że będziesz musiał wydać miliony na ogłoszenia i przygotowania.

- Nie ma problemu.

- Nabierasz w tym wprawy.

- To tylko wierzchołek góry lodowej.

- Chciałbym milion dolarów zaliczki. Na poczet przyszłego honorarium. - Pace pociągnął łyk. - Wciąż porządkuję zaległe sprawy.

Max chciał pieniędzy i Clay uznał, że to dziwne. Ale ponieważ mieli grać o tak wysoką stawkę, ponieważ łączyła ich tajemnica tarvanu, nie mógł

odmówić.

- Zgoda - odparł.

Leżeli w hamakach, gdy wróciła Waleria. Była złana potem, ale chyba trochę bardziej odprężona. Rozebrała się do naga i wskoczyła do basenu.

- Kalifornijka - powiedział cicho Pace.

- To coś poważnego? - spytał ostrośnie Clay.

- Schodzimy się i rozchodzimy od wielu lat.

Clay nie drażył tematu.

Kalifornijka zażywała obiadu bez mięsa, bez ryby, bez kurczaka, bez jajek i bez sera. Alkohol te nie pijała. Pozostali zjedli miecznika z grilla.

Zjedli szybko, bo Ridley chciała uciec do swego pokoju, a Clay od Walerii.

Siedzieli u nich dwa dni, co najmniej jeden dzień za długo. Celem wizyty były wyłącznie interesy, a ponieważ dobili targu, Max był gotów do wyjazdu. Clay patrzył za nimi, gdy odjeżdżali; Marshall prowadził wyjątkowo szybko.

- Spodziewasz się jeszcze kogoś? - spytała Ridley.

- Nie, mam dość - odrzekł Clay.

- To dobrze.

Pod koniec roku zwolniło się całe trzecie piętro gmachu. Clay wynajął

połowę, żeby skonsolidować działania firmy. Ściągnął z Siłowni dwunastu 172

półlegalniaków i pięć sekretarek; grupa z Yale, która przez cały ten czas pracowała na wygnaniu, też została przeniesiona na Connecticut Avenue, do krainy wysokich czynszów, gdzie chłopcy poczuli się jak w domu. Clay chciał mieć wszystkich pod jednym dachem, w zasięgu ręki, ponieważ zamierzał zaprząć ich do kieratu.

Nowy rok rozpoczął od ustalenia i wprowadzenia w życie morderczego harmonogramu dnia: śniadanie o szóstej rano, już w kancelarii, lunch, a czasami i kolacja przy biurku. Wychodził zwykle o ósmej albo o dziewiątej wieczorem, dając pozostałym do zrozumienia, że tego samego oczekuje od tych, którzy chcą z nim pracować.

Jonasz nie chciał. Odszedł w połowie stycznia. Zwolnił gabinet po szybkim pośnięciu. Czekał na niego jacht. Nie dzwoń. Wyślij forszę na konto w banku na Arubie, i tyle.

Oscar Mulrooney wymierzył jego gabinet, zanim jeszcze stanął w drzwiach.

Pomieszczenie było większe i miało lepszy widok, nie wspominając już o tym.

Że znajdowało się bliżej gabinetu Claya. Oscar wyczuwał pieniądze, duże zarobki. Na dyłoft się nie załapał i postanowił, że następnej okazji nie przepuści. On i jego kumple z Yale zdążyli już zapomnieć o prawie korporacyjnym, które do niedawna czcili, i chcieli teraz zbić fortunę na masówkach.

Czy to nie lepsze niż zabawa w zwykłego adwokata i ściganie karetek pogotowia? Dla prawników z wielkich, szacownych firm nie było nic bardziej uwłaczającego. Pozwy zbiorowe nie miały nic wspólnego z praktykowaniem prawa. Były szelmowską formą robienia interesów.

Podstarzały Grek, który poślubił Paulette Tullos tylko po to, żeby ją zaraz zostawić, musiał zwierzyć, że Sona zgarnęła kupę szmalu. Przyjechał do Waszyngtonu, zaczął do niej wydzwaniać i zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce. Gdy Paulette usłyszała jego głos, uciekła z domu i poleciała do Londynu, gdzie całe święta spędziła w ukryciu. Przysłała Clayowi kilkanaście e-maili, opisując swoją kłopotliwą sytuację i udzielając mu dokładnych wskazówek co do sposobu przeprowadzenia rozwodu.

Po powrocie z Mustique Clay złożył w sądzie odpowiednie dokumenty, ale Grek przepadł jak kamień w wodę. I Grek, i Paulette. Wreszcie zadzwoniła do niego i powiedziała, że za kilka miesięcy może wróci. A może nie.

- Przepraszam, Clay, ale nie chcę już pracować.

Tak więc jego powiernikiem i nieoficjalnym współnikiem z wielkimi ambicjami został Mulrooney. On i jego grupa nieustannie śledzili zmieniają-

ca się sytuację na rynku pozwów zbiorowych. Uczyli się przepisów i studio-wali procedury. Czytali mądre naukowe artykuły i opowieści wojenne zaprawionych w boju adwokatów. W Internecie było mnóstwo ciekawych stron: jedna z nich zamieszczała spis jakoby wszystkich toczących się aktualnie 173

w Stanach masówek, w sumie jedenaście tysięcy spraw. Inna szczegółowo wyjaśniała, jak przystąpić do pozwu zbiorowego i otrzymać odszkodowanie.

Jeszcze inna specjalizowała się w pozwach związanych ze zdrowiem kobiety, kolejna ze zdrowiem męszczyzny. Kilkanaście stron poświęcono Chudemu Benowi, kilkanaście innym procesom tytoniowym. Nigdy dotąd nie zmobilizowano tylu wspartych olbrzymimi pieniędzmi zasobów intelektualnych i nie wymierzono ich w wytwórców wadliwych produktów.

Mulrooney opracował plan. Ponieważ złoŝono juŝ tyle pozwów, firma mogła poświęcić pieniądze na werbowanie nowych klientów. Clay miał

pieniądze na reklamę i marketing, mogli więc załapać się na najbardziej lukratywne masówki i ŝciągnąć kupę „wolnych” klientów. Podobnie jak z dyloftem, kaŝda zatwierdzona ugoda pozostawała otwarta przez kilka lat.

ŝeby spóŝnialscy mogli odebrać to, co im się słusznie naleŝało. Kancelaria Claya mogłaby po prostu windować się na plecach innych specjalistów od masówek, zbierać resztki, ale resztki za tęgi szmal. Podał przykład Chudego Bena. Według najlepszych ocen, liczba potencjalnych powodów sięgała trzystu tysięcy, w tym około stu tysięcy powodów jeszcze niezidentyfikowanych i niezwerbowanych. Ugodę zatwierdzono, producent Chudego Bena wyłóŝył miliardy. Powód musiał się po prostu zarejestrować, udowodnić, ŝe zaŝywał lek, i odebrać pieniądze.

Niczym generał wysyłający ŝołnierzy na z góry upatrzone pozycje, Clay przydzielił do sprawy Chudego Bena dwóch prawników i jednego adwokata bez licencji. Mniej niŝ chciał Mulrooney, ale on miał większe plany.

Wypowiadał wojnę maxatilowi, przygotowywał własny pozew. Rządowy raport, jeszcze nieopublikowany i najwyraźniej skradziony przez Pace'a, miał sto czterdzieści stron. Clay przeczytał go dwa razy, zanim przekazał

Mulrooneyowi.

Pewnego śnieŝnego dnia pod koniec stycznia pracowali nad nim do północy, po czym zaczęli układać szczegółowy plan ataku. Clay przydzielił

do tej sprawy Mulrooneya, dwóch adwokatów bez licencji i trzy sekretarki.

O drugiej nad ranem, gdy za oknami kancelarii wciąż sypał gęsty śnieg, Mulrooney powiedział, ŝe musi omówić z nim coś nieprzyjemnego.

- Potrzeba nam więcej pieniędzy - zaczął.

- Ile? - spytał Clay.

- Jest nas teraz trzynastu, wszyscy z dużych firm. gdzie nieźle nam się wiodło. Dziesięciu jest Sonatych, większość ma dzieci. Dopada nas stres, Clay. Dałeś nam roczną umowę na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i wierz mi, z radością ją przyjęliśmy. Nie wiesz, jak to jest. Kończysz Yale albo inną renomowaną uczelnię, podkupuje cię wielka, bogata firma, Śenisz się i nagle wylatujesz na bruk. Twoje ego szlag trafia.

- Rozumiem.

174

- Podwoiłeś mi pensję i nie wiesz nawet, jak bardzo to doceniam. Ale reszta z trudem wiąże koniec z końcem. A to dumni ludzie.

- Ile?

- Nie chciałbym ich stracić. Są świetni. Zaharowują się na śmierć.

- Zróbmy tak. Ostatnio jestem bardzo hojny. Proponuję wam nową umowę na dwieście tysięcy rocznie. Ale chcę, Śebyście pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kroci się coś dużego, większego niż w ze-szłym roku. Dacie z siebie wszystko i dostaniecie premię. Dużą premię.

Uwielbiam premie, z oczywistych powodów. Umowa stoi?

- Jasne, szefie.

Za bardzo padało, Śeby wsiąść do samochodu, więc kontynuowali maraton. Clay miał już wstępny raport na temat spółki z Reedsburga w Pensylwanii, tej od wadliwego cementu. Wes Saulsberry przekazał mu tajne akta, o których wspomniał w Nowym Jorku. Cement nie był równie ekscytujący, jak guzki w pęcherzu moczowym, zatory czy przepuszczające zastawki sercowe, ale pieniądze miały ten sam zielony kolor. Postanowili przygotować pozew, ściągnąć klientów i przydzielili do tej sprawy dwóch prawników oraz jednego adwokata bez licencji.

Przesiedzieli tak równo dziesięć godzin, pijąc kawę, jedząc czerstwe bajgle, patrząc, jak śnieżyca przechodzi w zamieć, snując plany na najbliż-

szy rok. Zaczęli od zwykłej wymiany myśli, ale nasiadówka szybko przekształciła się w coś znacznie ważniejszego. Rodziła się nowa firma, firma z poczuciem celu i przyszłego kształtu.

Potrzebował go sam prezydent! Chociaś wybory miały odbyć się dopiero za dwa lata, jego wrogowie już zbierali pieniądze. Od chwili gdy jako Śóltodziób zasiadł w Senacie, zawsze popierał adwokatów. Ba! - kiedyś sam praktykował prawo, nie szkodzi, Śe w małym miasteczku; wciąż był

z tego bardzo dumny i potrzebował pomocy Claya, Śeby odeprzeć ataki samolubnych przedstawicieli wielkiego biznesu. Śeby go osobiście poznać, skorzystał z pośrednictwa czegoś, co nazywano prezydenckim komitetem doradczym, starannie wybranej grupy bogatych, wpływowych adwokatów i

biznesmenów, którzy dysponowali wielkimi pieniędzmi i mieli czas na gadanie o różnych sprawach.

Wrogowie planowali kolejny zmasowany atak pod kryptonimem Natych-miastowa Reforma Systemu Pozwów Zbiorowych. Chcieli wprowadzić ohydne ograniczenia na wysokość wszelkiego rodzaju odszkodowań, w tym odszkodowań za straty moralne. Chcieli rozmontować system, który przez tyle lat tak dobrze im służył. Chcieli uniemożliwić zaskarżanie lekarzy.

Prezydent będzie jak zwykle twardo obstawał przy swoim, ale potrzebował pomocy. Elegancki, zdobny w złoto trzystronicowy list kończył się 175

prośbą o pieniądze, im więcej, tym lepiej. Clay zadzwonił do Pattona Frencha i dziwnym zbiegiem okoliczności zastał go w siedzibie firmy w Biloxi.

Patton był jak zwykle opryskliwy.

- To wypisz ten cholerny czek, i już - warknął.

Clay zaczął wydzwaniać do szefa prezydenckiego komitetu, szef komitetu wielokrotnie wydzwaniał do niego. Później Clay nie pamiętał już, ile zamierzał im dać, ale na pewno nie było to dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które w końcu dał. Kurier odebrał czek i dostarczył go do Białego Domu. Cztery godziny później inny kurier przywiózł małą kopertę z od-ręcznym podziękowaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Drogi Clay,

mam właśnie naradę gabinetu (próbuję nie zasnąć), w przeciwnym razie natychmiast bym zadzwonił. Dziękuję ci za wsparcie.

Zjedźmy razem kolację i poznajmy się bliżej.

I prezydencki podpis.

Fajnie, ale za ćwierć miliona dolarów nie spodziewał się niczego innego. Nazajutrz kolejny kurier przywiózł grube zaproszenie z Białego Domu.

Na kopercie przystawiono stempel: PROSIMY O PILNĄ ODPOWIEDŹ. Clay wraz z osobą towarzyszącą został i zaproszeni na uroczystą kolację na cześć prezydenta Argentyny. Obowiązywał czarny krawat, jakby inaczej. RSVP, i to natychmiast, ponieważ kolacja była już za cztery dni. To zadziwiające, co ćwierć miliona dolarów może zdziałać w Waszyngtonie.

Ridley potrzebowała oczywiście nowej sukni, a ponieważ to on za nią płacił, wybrali się razem po zakupy. Zrobił to chętnie i bez szemrania bo chciał

mieć wpływ na jej wybór. Gdyby puścił ją samą, mogłaby zaszokować Argentyńczyków i wszystkich pozostałych prześwitującą bluzką i sięgającymi talii rozcięciami. O nie, moja droga: najpierw to obejrzę, a dopiero potem kupię.

Ale Ridley zaskoczyła go wyjątkową skromnością i oszczędnością.

Wszystko leżało na niej jak ulał; ostatecznie była modelką, chociaż pracowała coraz rzadziej. W końcu zdecydowała się na zabójczą, ale prostą czerwoną sukienkę, odsłaniającą znacznie mniej niż te, które zazwyczaj nosiła.

Tylko trzy tysiące dolarów, prawdziwa okazja. Do tego buciki, sznur ma-

łych pereł, złota bransoletka z diamentem - wszystkie poniesione straty zamknęły się w kwocie piętnastu tysięcy dolarów.

Gdy siedzieli w limuzynie przed Białym Domem i czekali, a tłum wartowników przeszuka samochody stojące przed nimi, Ridley powiedziała:

- Nie wierzę, że tu jestem. Ja, biedna dziewczyna z Gruzji, w Białym Domu. - Tuliła się do jego prawego ramienia. Ilekroć była zdenerwowana, mówiła z silniejszym obcym akcentem.

Jego ręka spoczywała na jej lewym udzie.

176

- Fakt, trudno w to uwierzyć - odrzekł podniecony tak jak ona.

Gdy wysiedli pod markizą przed wschodnim skrzydłem, żołnierz piechoty morskiej w galowym mundurze podał jej ramię i poprowadził ich do Pokoju Wschodniego, gdzie goście czekali przy drinku. Clay siedział za nimi.

obserwując jej pośladki i rozkoszując się każdą sekundą tego jak fascynującego zajęcia. żołnierz niechętnie zostawił Ridley i wrócił po kolejną damę. Fotograf zrobił im zdjęcie.

Podeszli do pierwszej grupki i przedstawili się ludziom, których widzieli pierwszy i ostatni raz w Syciu. Podano kolację. Goście weszli do jadalni, gdzie piętnaście stołów na dziesięć osób każdy zastawiono największą ilością porcelany, srebra i kryształów, jaką zdołano zebrać w jednym miejscu. Gości rozsadzono w taki sposób, że Saden nie siedział ze swoją towarzyszką lub towarzyszem. Clay odprowadził Ridley do stołu, pomógł

jej usiąść, poklepał ją po policzku i rzucił:

- Powodzenia.

Posłała mu uśmiech zawodowej modelki, piękny i pewny siebie, ale wiedział, że jest w tej chwili tylko małą, przerażoną dziewczynką z dalekiej Gruzji. Zanim zdążył zrobić cztery kroki, zaatakowało ją dwóch sąsiadów, przedstawiając się wylewnie i ściskając jej rękę.

Claya czekał długi wieczór. Po swojej prawej stronie miał królową manhattańskiej socjety, stare, wyschnięte na wiór babsko o pomarszczonej jak rodzynek twarzy, która odchudzała się tak długo, że wyglądała jak chodzący trup. Była głucha i zamiast mówić, krzyczała. Po lewej siedziała córka

potentata handlowego ze środkowego zachodu, która chodziła z prezydentem do college'u. Clay skupił uwagę na tej ostatniej, lecz po pięciu minutach wytęŝonych wysiłków stwierdził, Ŝe nie ma nic do powiedzenia.

Wskazówki zegara znieruchomiały.

Siedział tyłem do Ridley; nie wiedział, jak dziewczyna sobie radzi.

Przemówił prezydent, podano kolację. Śpiewakowi operowemu po drugiej stronie stołu wino uderzyło do głowy i facet zaczął opowiadać świń-

skie kawały. Mówił głośno, zaciągał jak góral i najwyraźniej nie miał Ŝadnych oporów przed uŝywaniem wulgaryzmów w mieszanym towarzystwie, tym bardziej w Białym Domu.

Trzy godziny później Clay wstał i poŝegnał się ze swymi nowymi, cudownymi przyjaciółmi. Kolacja dobiegła końca; w Pokoju Wschodnim orkiestra stroiła instrumenty. Clay chwycił Ridley za rękę i ruszył w tamtą stronę. Kilka minut przed północą, gdy pozostało juŝ tylko kilkudziesięciu gości, do najzagorzalszych tancerzy dołączył prezydent z pierwszą damą.

Zdawało się, Ŝe spotkanie z mecenasem Carterem sprawia mu prawdziwą przyjemność.

177

- Czytałem o tobie w prasie, synu - powiedział. - Dobra robota.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Kim jest ta cizia?

- To moja przyjaciółka. - ..Cizia". Ciekawe, co powiedziałyby na to feministki.

- Mogę z nią zatańczyć?

- Aleŝ oczywiście, panie prezydencie.

I tak panna Ridal Petashnakol, dwudziestoczteroletnia była studentka z Gruzji, dostąpiła niebywałego zaszczytu: przez kilka minut ścisłał ją, przy-tulał i obmacywał sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 27

Na nowego gulfstreama 5 musiałby czekać minimum dwa lata bez dwóch miesięcy, moŝliwe, Ŝe dłuŝej, ale największym problemem nie było czekanie. Samolot kosztował obecnie czterdzieści cztery miliony dolarów, oczywiście w pełni wyposaŝony, taki z najnowszymi gadŝetami i zabawkami. Cena była po prostu za wysoka, chociaŝ bardzo go kusiło.

Dealer wyjaśnił, Ŝe najwięcej „piątek" kupują wielkie korporacje, wielomiliardowe holdingi, które zamawiają po dwie, po trzy maszyny i niemal stale utrzymują je w powietrzu. Dlatego jemu,

klientowi indywidualnemu, doradzał wzięcie w leasing samolotu nieco starszego, powiedzmy na pół roku, żeby sprawdzić, czy dany model na pewno mu odpowiada. Potem mógłby go kupić z potrąceniem dziewięćdziesięciu procent tego, co już zapłacił.

Tak się przypadkiem złożyło, że dealer miał maszynę w sam raz dla niego. Był to G-4 SP (Special Performance) z 1988, samolot, który jedna z pięciuset najbogatszych firm w kraju wymieniła ostatnio na nowego gulfstreama 5. Gdy Clay zobaczył tę maszynę pierwszy raz, drgnęło mu serce i gwałtownie przyspieszył puls. Stała majestatycznie przed hangarem na lotnisku Reagana. Śnieżnobiała, pomalowana w gustowne błękitne pasy.

Paryż w sześć godzin. Londyn w pięć.

Wszedł z dealerem na pokład. Jeśli samolot był o kilka centymetrów krótszy od samolotu Frencha, zupełnie tego nie zauważył. Wszędzie skóra, mahoń i mosiężne wykończenia. W ogonie kuchnia, bar i toaleta. W kabinie najnowocześniejsza awionika. Sofa się rozkładała i przez sekundę po-myślał o Ridley, o tym, jak leżał tam razem na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Wyrafinowane stereo, wideo i system telefoniczny. Faks, komputer, dostęp do Internetu.

178

Samolot robił wrażenie zupełnie nowego; właśnie przeszedł remont-odmalowano mu kadłub i odnowiono wnętrze. Przyparty do muru dealer powiedział:

- Sprzedam go panu za trzydzieści milionów.

Usiedli przy stoliku, żeby dobić targu. Pomysł leasingu powoli wyparował.

Clay miał tak duże dochody, że bez trudu mógłby uzyskać korzystny pakiet finansowy. Jego hipoteka, ledwie trzysta tysięcy dolarów miesięcznie, była niewiele wyższa od rat leasingowych. I gdyby kiedyś zechciał wymienić maszynę na lepszą, dealer odkupiłby ją po najwyższej cenie dla tego rocznika.

Utrzymanie pilotów kosztowałoby dwieście tysięcy rocznie, łącznie z premiami, szkoleniem, ze wszystkim. Clay mógłby również oddać samolot w dzierżawę.

- W zależności od tego, jak często by go pan używał, na czarterach mógłby pan wyciągnąć do miliona rocznie - powiedział dealer, szykując się do zadania decydującego ciosu. - Pokryłoby to koszty utrzymania pilotów, wynajem hangaru i konserwację maszyny.

- Jak pan myśli, ile godzin rocznie bym wylatał? - spytał Clay; w głowie kręciło mu się od pomysłów.

- Sprzedałem prawnikom dużo samolotów - odparł tamten, sięgając po odpowiednie statystyki. - Maksimum trzysta rocznie. A wyczarterować mógłby go pan na sześćset.

Kurczę, pomyślał Clay. Na tym naprawdę można nieźle zarobić.

Wewnętrzny głos doradzał mu ostrożność, ale po co czekać? Jedynymi ludźmi, którzy mieli na tym polu jakieś doświadczenie, byli jego kumple od masówek, a każdy z nich powiedziałby natychmiast: „Nie masz jeszcze samolotu? To kup!”

No i Clay kupił.

Dzięki rekordowym dochodom ze sprzedaży, w czwartym kwartale Goffman zarobił więcej niż przed rokiem. Jego akcje kosztowały sześć-

dziesiąt pięć dolarów i stały najwyższe od dwóch lat. Z początkiem stycznia firma rozpoczęła niezwykłą kampanię, promując nie konkretny produkt, lecz samą siebie. „Goffman zawsze był i będzie” - tak brzmiało ich hasło, a każda reklama telewizyjna była montażem króciutkich minireklam pro-pagujących powszechnie znane produkty, które od lat strzegły Amerykę i przynosiły jej ulgę w cierpieniu: matka opatrująca bandażem ranę synka; golący się i rozkoszujący się goleniem przystojniak, obowiązkowo o pła-skim brzuchu; siwowłosa para na plaży, szczęśliwa, bo wolna od hemoroidów; cierpiący męki biegacz, który sięga po środki przeciwbólowe. I tak dalej, i tak dalej. Lista godnych zaufania produktów była długa.

179

Mulrooney obserwował Goffmana uważnie jak analityk giełdowy i był

przekonany, że kampania ma na celu tylko jedno: przygotować inwestorów i konsumentów na wstrząs związany z prawdą o maxatilu. Z jego badań wynikało, że firma nigdy dotąd nie przeprowadzała kampanii reklamowej tylko dla podniesienia dobrego samopoczucia. Należała do pięciu najczęściej ogłaszających się spółek w kraju, ale zawsze inwestowała w konkretny produkt i zawsze osiągała znakomite rezultaty.

Jego opinię podzielał Max Pace, który zamieszkał w hotelu Hay-Adams.

Clay wpadł do niego na późną kolację; zjedli oczywiście w pokoju. Pace był

spięty i nie mógł się już doczekać, kiedy zaatakują Goffmana. Przeczytał najnowszą wersję pozwu. Czytając, jak zwykle wypisywał uwagi na marginesie.

- Jaki masz gryplan? - spytał, nie zwracając uwagi na wino i jedzenie.

Clay zwracał uwagę i na jedno, i na drugie.

- Ogłoszenia pójdą od ósmej rano - odrzekł z ustami pełnymi cielęciny. - W osiemdziesięciu strefach, od wybrzeża do wybrzeża. Gorąca linia jest gotowa. Strona internetowa też. Moja mała firma czeka tylko na znak.

O dziesiątej pojedę do sądu i osobiście złożę pozew.

- Nieźle.

- JuŜ to przerabialiśmy. Kancelaria adwokacka J. Claya Cartera II to maszyna do masówek, bardzo państwu dziękuję.

- Twoi nowi kumple nic nie wiedzą?

- Jasne. Po co miałbym im mówić? Poszliśmy do łóŜka z dyloftem, ale French i oni to konkurencja. Zaszokowałem ich wtedy, zaszokuję i teraz.

Nie mogę się juŜ doczekać.

- Pamiętaj, Ŝe to nie dyloft. Miałeś fart, bo zaskoczyłeś ich w złym momencie. Goffman tak łatwo się nie da.

Pace rzucił pozew na toaletkę i wreszcie usiadł, Ŝeby coś zjeść.

- Ale wypuścili na rynek wadliwy lek - odparł Clay. - A z wadliwym lekiem do sądu się nie idzie.

- Z pozwem zbiorowym nie. Ale według moich źródeł, Goffman moŜe pójść na proces we Flagstaff, przeciwko pojedynczemu powodowi.

- Mooneyham?

- Tak. Jeśli wygra, Goffman szybciej zawrze ugodę. Jeśli przegra, czeka nas długa walka.

- Mówiłeś, Ŝe Mooneyham nigdy nie przegrywa.

- Fakt, nie przegrał od dwudziestu lat. Przysięgli go uwielbiają. Nosi kowbojskie kapelusze, zamszowe marynarki, czerwone buty i tak dalej.

Zabytek z czasów, kiedy adwokaci naprawdę występowali w sądzie. Ciekawy typ. Powinieneś go poznać. Warto się tam przejechać.

- Wpiszę go na listę. - Jasne. W hangarze niecierpliwie czekał

gulfstream.

180

Zadzwonił telefon i Max spędził pięć minut na przyciszonej rozmowie w drugim końcu pokoju.

- Waleria - mruknął, wróciwszy do stolika. Clayowi stanęło przed oczami bezpłciowe stworzenie Ŝujące marchewkę. Biedny Max. Stać go na coś lepszego.

Przespał się w kancelarii. Za salą konferencyjną kazał dobudować małą sypialnię i łazienkę. Często siedział przy biurku do późnej nocy.

Szedł spać. wstawał, brał szybki prysznic i juŜ o szóstej wracał do pracy.

Jego nawyki obrosły legendą nie tylko w firmie, ale i w całym mieście.

Najwięcej plotek w kręgach prawniczych krążyło właśnie o nim, przynajmniej chwilowo, a w barach i na przyjęciach jego szesnastogodzinny dzień pracy wydłużał się często do osiemnasto- czy nawet dwudziestogodzinnego.

Właściwie dlaczego nie miałyby pracować przez całą dobę? Skończył

dopiero trzydzieści dwa lata, był kawalerem i nie miał żadnych poważnych zobowiązań, które zabierałyby czas. Dzięki szczęściu i odrobinie talentu trafiła mu się niepowtarzalna okazja, okazja, żeby, podobnie jak garstka innych, odnieść sukces. Przez kilka lat wypruć z siebie flaki, a potem rzucić to wszystko w cholerę i spędzić resztę życia na zabawie - dlaczego nie miałyby tego zrobić?

Tuż po szóstej przyszedł Mulrooney, już po czterech kubkach kawy i z setką świeżych pomysłów.

- Atakujemy? - spytał, wpadając do gabinetu.

- Atakujemy!

- Skopmy im tyłek!

O siódmej w kancelarii zaroilo się od prawników i półlegalniaków.

Wszyscy obserwowali wskazówki zegara, czekając na rozpoczęcie inwazji. Między gabinetami biegały sekretarki, roznosząc kawę i bajgle. O

ósmej stłoczyli się w sali konferencyjnej, gdzie stał wielki telewizor.

Pierwsze ogłoszenie poszło w waszyngtońskiej stacji ABC.

Atrakcyjna kobieta po sześćdziesiątce; krótkie, siwe, elegancko ostrzyżone włosy, modne okulary. Siedzi przy kuchennym stole, spoglądając ze smutkiem w okno. Głos spikera (nader złowieszczy): „Jeśli brałaś lek hormonalny maxatil, grozi ci rak piersi, choroba serca i udar mózgu”. Zbliżenie rąk kobiety, potem buteleczki z napisem MAXATIL na etykietce (większej grozy

nie

wywołałaby

trupia

czaszka

i

skrzyżowane

piszczele). Głos spikera: „Natychmiast skontaktuj się z lekarzem. Maxatil może poważnie zagrażać twojemu zdrowiu”.

Zbliżenie twarzy kobiety, jeszcze smutniejszej niż przedtem, potem jej wilgotnych oczu. I znowu głos spikera: „Więcej informacji znajdziesz

181

pod tym numerem”. Na dole ekranu migocze numer gorącej linii. Kobieta zdejmuje okulary i ociera spływającą po policzku łzę. Koniec.

Klaskali i krzyczeli tak głośno, jakby kurier miał przynieść pieniądze już jutro. Clay odesłał ich do telefonów. Rozdzwoniły się już kilka minut później. Punktualnie o dziewiątej, zgodnie z harmonogramem, kopie pozwu zostały przefaksowane do gazet i na giełdę. Clay zadzwonił do swego starego kumpla z „Wall Street Journal” i dał mu cynk. Powiedział, że za parę dni mógłby udzielić wywiadu.

Na otwarciu akcje Goffmana kosztowały sześćdziesiąt pięć dolarów i dwadzieścia pięć centów, ale na wieść o pozwie szybko zaczęły spadać.

W sądzie Clay dał się sfotografować jakiemuś reporterowi.

W południe akcje kosztowały już sześćdziesiąt jeden dolarów. Firma pośpiesznie wydała oświadczenie dla prasy, w którym kategorycznie odrzucała wszystkie absurdalne zarzuty przedstawione w pozwie, zapewniając, że będzie zawzięcie broniła swego dobrego imienia.

Podczas lunchu zadzwonił Patton French. Clay jadł kanapkę, stojąc za biurkiem i patrząc, jak narasta sterta wiadomości telefonicznych.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - zaczął podejrzliwie French.

- Jezu, ja też. Jak się masz, Patton?

- Świetnie. Przyjrzelśmy się maxatilowi pół roku temu. Postanowili-

śmy go sobie odpuścić. Trudno udowodnić, że powoduje raka.

Clay upuścił kanapkę i stracił oddech. Patton French zrezygnował z masówki? Z pozwu zbiorowego przeciwko jednej z najbogatszych korporacji w Stanach Zjednoczonych? Zdał sobie sprawę, że nic nie mówią, że zaległa boleśnie niezręczna cisza.

- Coś, my widzimy to inaczej. - Sięgnął do tyłu, wymacał fotel i w końcu

usiadł.

- Wszyscy go sobie odpuścili, dopiero ty uderzyłeś. Wszyscy: Saulsberry, Didier, Carlos z Miami. Facet z Chicago zebrał kilka pozwów, ale jeszcze ich nie złożył. Nie wiem, może masz rację.

Pewnie coś przeoczyliśmy, i tyle.

French badał grunt.

- Mamy na nich coś ekstra. - Raport rządowy! To jest to! On go miał, a French nie. Clay wziął głęboki oddech i krew ponownie zaczęła krążyć mu w żyłach.

- Porządnie się przygotuj. Ci faceci są bardzo dobrzy. Stary Wiek i chłopcy od Ackermana to przy nich harcerzyki.

- Patton, mówisz tak, jakbyś się bał. Jestem zaskoczony.

- Nie, ja się nie boję. Ale jeśli w twojej teorii jest jakaś luka, zjedzą cię Śwycem. I nie myśl nawet o szybkiej ugodzie.

- Chcesz w to wejść?

182

- Nie. Ten cały maxatil nie podobał mi się pół roku temu, nie podoba mi się i teraz. Poza tym mam za dużo spraw na karku. Powodzenia.

Clay zamknął drzwi na klucz. Podszedł do okna, stał tam co najmniej pięć minut, wreszcie poczuł, że koszula lepi mu się do pleców. Dotknął

czoła. Było złane potem.

ROZDZIAŁ 28

Nagłówek w „Daily Profit” krzychał: NĘDZNE STO MILIONÓW TO ZA MAŁO. Potem było jeszcze gorzej. W pierwszym akapicie napisali o „niepowodnym” pozwie złożonym poprzedniego dnia w Waszyngtonie przeciwko Goffmanowi, jednemu z najlepszych i najsłynniejszych twórców dóbr konsumpcyjnych w Ameryce. Dzięki ich cudownemu leкови, maxatilowi, niezliczone rzesze kobiet łagodnie przeżyły koszmara menopauzy, a teraz atakują ich te same sępy, które doprowadziły do bankructwa A.H. Robinsa, Johna Manville'a, Owens-Illinois i praktycznie cały przemysł azbestowy w Stanach.

Artykuł nabrał tempa, gdy wzięli na celownik sępa numer jeden, Claya Cartera, młodego, aroganckiego waleśniaka, który, według ich źródeł, nigdy w Śwyciu nie stawał przed ławą przysięgłych. Mimo to w zeszłym roku zarobił sto milionów dolarów na loterii pozwów zbiorowych. Dziennikarz miał najwyraź-

niej cały tabun zaufanych informatorów. Pierwszym był wysoki urzędnik z Amerykańskiej Izby Handlowej, który skrytykował pozwy zbiorowe w ogólności i adwokatów w szczególności.

„Clayowie Carterowie tego świata - mówił -

zachęcają innych do składania naciąganych pozwów. Mamy w Ameryce milion adwokatów. Jeśli

adwokat zupełnie nieznan, taki jak choćby pan Carter, może zarobić tak dużo i tak szybko, Sądna porządna spółka nie może czuć się bezpiecznie". Profesor prawa, o którym Clay nigdy w Syciu nie słyszał, powiedział: „Ci ludzie są bezwzględni. Ich zachłanność nie zna granic i dlatego zaduszą w końcu kurę, która znosi złote jajka". Napuszony kongresman z Connecticut wstrzelił się w moment, żeby wezwać do natychmiastowego zatwierdzenia ustawy o reformie systemu pozwów zbiorowych, której był autorem. Niebawem odbędzie się posiedzenie podkomisji i niewykluczone, że mecenas Carter będzie musiał złożyć zeznania przed Kongresem.

Anonimowy informator z Goffmana oznajmił, że firma będzie się wytrwale broniła, że nie ustąpi pod presją szantażu i ze względu na skandaliczny charakter tego nieodpowiedzialnego pozwu, w odpowiednim czasie zwróci kosztów sądowych i wydatków na usługi adwokackie.

183

Akcje firmy spadły o jedenaście procent, straty inwestorów sięgnęły dwóch miliardów dolarów. „Dlaczego udziałowcy Goffmana nie pozywają do sądu ludzi takich jak Clay Carter?" - pytał profesor z nieznanej szkoły prawniczej.

Trudno to było czytać, lecz jeszcze trudniej zignorować. Wstępniak z

„Investment Timesa" wzywał Kongres do dokładnego przeanalizowania reformy systemu pozwów zbiorowych. Oni też podkreślali, że młody Carter zbił olbrzymią fortunę w niecały rok. Był „tyranem i zakałą", a jego nieuczciwie zdobyte pieniądze - tak twierdzili - na pewno zainspirują innych ulicznych adwokatów do zaskarżenia kogo popadnie.

„Tyran i zakała" - określenie to krążyło po kancelarii przez kilka dni, tymczasowo zastępując „króla". Clay uśmiechał się tylko i zachowywał tak, jakby przynosiło mu zaszczyt. „Jeszcze rok temu nikt o mnie nie słyszał -

powiadał z dumą. - A teraz mówią o mnie wszyscy". Ale za zamkniętymi drzwiami gabinetu czuł się nieswojo i coraz częściej nachodziły go wątpliwości, czy nie pospieszył się zbyt z pozwaniem Goffmana. Najbardziej niepokoiło go to, że jego kumple od masówek nie walił drzwiami i oknami, żeby do niego dołączyć. Dobijała go również zła prasa. Jak dotąd nikt nie stanął w jego obronie. Pace zniknął i chociaż nie było w tym niczego niezwykłego, Clay wolałby, żeby akurat teraz nie zniknął.

Sześć dni po złożeniu pozwu Max zadzwonił z Kalifornii.

- Jutro wielki dzień - zaczął.

- Pokrzep mnie czymś. Raport rządowy?

- Nie mogę powiedzieć. I nie dzwoń do mnie. Ktoś może podsłuchiwać. Wszystko wyjaśnię ci po powrocie. Potem.

Ktoś może podsłuchiwać? Kogo? Claya czy jego? I kto, jeśli łaska?

Kolejna noc z głowy.

Siedmioletnie badania Amerykańskiej Rady do spraw Starzenia obejmowały początkowo dwadzieścia tysięcy kobiet w wieku czterdziestu pięciu i siedemdziesięciu pięciu lat. Grupę tę podzielono na dwie równe części, na kobiety, które przyjmowały) ' maxatil, i kobiety, którym podawano placebo.

Ale ponieważ wyniki były katastrofalne, już po czterech latach projekt zarzucono. U niepokojącej liczby badanych naukowcy stwierdzili podwyższone ryzyko raka piersi, chorób serca i udaru mózgu. U kobiet przyjmujących maxatil ryzyko wystąpienia raka piersi podskoczyło aż o trzydzieści trzy, zawału serca o dwadzieścia jeden, a udaru mózgu o dwadzieścia procent.

Przewidywano, że na każde sto tysięcy kobiet, które przyjmowały maxatil przez cztery lub więcej lat, czterysta zachoruje na raka piersi, trzysta na serce, a trzysta dostanie udaru mózgu, od łagodnego poczynając, na silnym kończąc.

184

Nazajutrz rano raport został opublikowany. Akcje Goffmana ponownie spadły, tym razem do pięćdziesięciu jeden dolarów. Clay i Mulrooney przesiedzieli całe popołudnie, śledząc strony internetowe, pstrykając pilotem telewizyjnym i czekając na wiadomość od Goffmana. Nie nadeszła żadna. Dziennikarze, którzy obsmarowali Claya za wniesienie pozwu, nie zadzwonili, żeby spytać o jego reakcję. O raporcie wspomnieli nazajutrz, bardzo ogólnikowo.

Suche omówienie wyników badań zamieścił również „Post”, ale nie wymienił

żadnych nazwisk. Clay czuł się zrehabilitowany, lecz zignorowany. Miał tyle do powiedzenia swoim krytykom, lecz nikt nie chciał go słuchać.

Pocieszała go jedynie lawina telefonów od pacjentek przyjmujących maxatil.

Gulfstream musiał wreszcie dokądś polecieć. Od ośmiu dni stał w hangarze i Clay miał coraz większą ochotę na jakąś wyprawę. W końcu załadował

na pokład Ridley i ruszył na zachód, najpierw do Las Vegas. chociaż nikt z kancelarii nie wiedział, że zamierza się tam zatrzymać. Oficjalnie poleciał

w podróż służbową, podróż bardzo ważną. Miał spotkanie z wielkim Dalem Mooneyhamem w Tucson; chciał porozmawiać z nim o maxatilu.

Dwie noce spędzili w Vegas, w hotelu z prawdziwymi gepardami i panterami w sztucznym zwierzyńcu przed głównym wejściem. Clay przegrał

trzydzieści tysięcy dolarów w blackjacka, Ridley wydała dwadzieścia pięć tysięcy na ubrania w butikach, od których roziło się w hotelowym atrium.

Potem Gulfstream uciekł do Tucson.

Mott & Mooneyham przerobili starą stację kolejową w centrum miasta na swojsko zapuszczoną kancelarię. Hol, niegdyś poczekalnia, był długim, wysoko sklepionym pomieszczeniem - na jego przeciwległych końcach siedziały dwie sekretarki, jakby musiano je rozdzielić, żeby się nie pośarły.

Po bliższym zbadaniu okazało się, że nie są do tego zdolne: obie były dobrze po siedemdziesiątce i były kaśda w swoim własnym świecie. W poczekalni urządzono swoiste muzeum, wystawę przedmiotów, które Dale Mooneyham demonstrował przysięgłym w sądzie. W wysokiej, przeszklonej szafce stał gazowy grzejnik łazienkowy, a na mosiężnej tabliczce na drzwiach wyryto nazwę sprawy i wysokość uzyskanego odszkodowania: 4 500 000 dolarów, 3 października 1988, hrabstwo Stone, Arkansas. Stał

tam również uszkodzony trójkołowiec, który kosztował Hondę trzy miliony dolarów, i tania strzelba myśliwska, która rozsierdziła teksaskich przysięgłych do tego stopnia, że przyznali powodowi jedenaście milionów dolarów odszkodowania. Dziesiątki przedmiotów i urządzeń: kosiarka do trawy, wypalony wrak toyoty celiki, wiertarka pionowa, wadliwa kamizelka ratunkowa, połamana drabina. Na ścianach wisiały wycinki prasowe i duże zdjęcia 185

przedstawiające Mooneyhama wręczającego czeki pokrzywdzonym klientom. Clay był sam - Ridley poszła na zakupy - i chodził od eksponatu do eksponatu, zafascynowany osiągnięciami adwokata, nie zdając sobie sprawy, że ten kazał mu czekać blisko godzinę.

W końcu asystentka wprowadziła go do szerokiego korytarza z mnó-

stwem drzwi, za którymi urządzono przestronne gabinety. Wszystkie ściany obwieszono powiększonymi nagłówkami gazet i wycinkami prasowymi opowiadającymi o ekscytujących zwycięstwach słynnego adwokata. Mott, kimkolwiek był, chyba zupełnie się tu nie liczył. Na papierze firmowym widniały nazwiska tylko czterech innych prawników.

Dale Mooneyham siedział za biurkiem i gdy Clay wszedł - asystentka nawet go nie zapowiedziała, więc czuł się jak włóczęga - ledwo raczył

wstać. Uścisk ręki był chłodny i wymuszony. Clay natychmiast wyczuł, że nie jest tu mile widziany i bardzo go to skonsternowało. Mooneyham miał

co najmniej siedemdziesiąt lat, był wysokim, krzepkim mężczyzną o szerokich barach, okazałym brzuchu i zapuchniętych oczach pijaka. Niebieskie dżinsy, jarmarczne czerwone buty, wymięta kowbojska koszula, no i oczywiście brak krawata. Farbował sobie włosy na czarno, ale najwyraźniej dawno tego nie robił, bo skronie miał siwe, a górę ciemną i przylizaną zbyt dużą ilością brylantyny.

- Ładne biuro - zaczął Clay, próbując rozładować atmosferę. - Nie-spotykane.

- Kupiłem tę stację czterdzieści lat temu - odrzekł Mooneyham. - Za pięć tysięcy dolarów.

- Ma pan w holu piękną kolekcję pamiątek.

- Jakoś sobie radzę, synu. Od dwudziestu jeden lat nie przegrałem ani jednego procesu. Pewnie kiedyś przegram, przynajmniej tak mówią moi przeciwnicy.

Clay rozejrzał się, próbując usiąść swobodniej w stareńkim skórzanym fotelu. Gabinet był co najmniej pięć razy większy od jego gabinetu, ozdobiony głowami wypchanych zwierząt, które śledziły ze ścian każdy jego ruch. Nigdzie nie dzwoniły telefony, nigdzie nie klekotały faksy. Nie było nawet komputera.

- Przyjechałem porozmawiać o maxatilu - powiedział w końcu, czując, że lada chwila może zostać wyproszony.

Wahanie, brak jakiejkolwiek reakcji, nie licząc ruchu małych ciemnych oczu.

- Szkodliwy lek. - Mooneyham powiedział to tak, jakby Clay nie miał

o tym zielonego pojęcia. - Pięć miesięcy temu złożyłem pozew we Flagstaff. Mamy tu szybką ścieżkę procesową, więc wczesną jesienią wszystko

powinno się rozstrzygnąć. W przeciwieństwie do was nie składam pozwu, 186

dopóki nie przeanalizuję materiałów i dokładnie nie rozpoznam sprawy.

Idę do sądu dopiero wtedy, kiedy jestem gotowy. Rób tak, a przeciwnik nie będzie miał z tobą szans. Napisałem książkę o przygotowaniach przedprocesowych. Ciągłe do niej wracam. Powinien ją pan przeczytać. I co teraz? - pomyślał Clay. Mam wyjść?

- Kim jest pański klient?

- Klientka. Mam tylko jedną. Pozwy zbiorowe są oszustwem, a przynajmniej oszustwem jest sposób, w jaki pan i pańscy koledzy je załatwiają. Są jednym wielkim przekreśleniem, nabijaniem ludzi w butelkę, loterią zachłanności, która kiedyś robi nam wszystkim krzywdę. Ta nieokiełzana-pazerność pchnie wahadło w drugą stronę. Nadejdzie czas reform, gruntownych reform. Wypadniecie z interesu, ale będziecie mieli to gdzieś, bo zdążyliście się już nachapać. Skrzywdzeni zostaną przyszli powodowie, biedni maluczcy, którzy nie będą mogli pozwać do sądu wytwórców wadliwych produktów, bo wy, panowie, wypaczyliście nasze prawo.

- Pytałem tylko o tę klientkę...

- Ma sześćdziesiąt sześć lat, jest biała, niepaląca. Brała maxatil przez cztery lata. Poznałem ją rok temu. My się tu nie spieszymy. Zanim zaczniemy strzelać, dobrze oglądamy broń.

Clay zamierzał porozmawiać z nim o wielkich rzeczach, o wielkich pomysłach, na przykład o liczbie potencjalnych klientów, o tym, czego Mooneyham oczekiwał od Goffmana, o biegłych, których zamierzał powo-

łać. Tymczasem wyglądało na to, że zaraz będzie musiał wyjść.

- Nie chce pan ugody? - spytał z udawanym przejęciem.

- Ja się nie układam, synu. Z góry uprzedzam o tym wszystkich klientów. Biorę najwyżej trzy starannie wyselekcjonowane sprawy rocznie. Lu-bię różnorodność, różne produkty, teorie, których nigdy przedtem nie stosowałem. Sądy, w których nigdy przedtem nie byłem. Mam duży wybór, bo adwokaci dzwonią do mnie dzień w dzień. I zawsze się procesuję. Kiedy biorę jakąś sprawę, wiem, że ugoda odpada. Dzięki temu mogę skupić się na najważniejszym. Mówię klientowi tak: „Nawet o tym nie myślm, to czysta strata czasu, zgoda?” - Mooneyham w końcu się poruszył, poprawił

się w fotelu, jakby bolał go kręgosłup. - To dla ciebie dobra wiadomość, synu. Mój proces będzie pierwszy i jeśli przysięgli podzielą moją opinię, przyznają klientce duże odszkodowanie. Wtedy wy pójdziecie w moje ślad-y. Wykorzystacie to, spędzicie klientów, zaproponujecie im nędzne grosze i zgarniecie resztę. Dzięki mnie zbijecie kolejną fortunę.

- Chciałbym doprowadzić do procesu - powiedział Clay.

- Synu, jeśli to, co o tobie czytam, jest prawdą, nie wiesz nawet, gdzie jest sąd.

187

- Jakoś tam trafię.

Mooneyham wzruszył ramionami.

- Pewnie nie będziesz musiał. Jeśli wygram, Goffman będzie unikał

przysięgłych jak ognia.

- Nie muszę iść na ugodę.

- Ale pójdiesz. Zbierzesz tysiące pozwów. Nie będziesz miał odwagi na proces.

Mooneyham powoli wstał, wyciągnął rękę i dodał:

- Mam dużo pracy.

Clay wyszedł. Na korytarz, przez muzeum w holu, na lejący się z nieba śar.

Pech w Las Vegas, klęska w Tucson, ale gdzieś nad Oklahoma, na wysokości dwunastu tysięcy sześciuset metrów, wyprawa została chociaż czę-

ściowo uratowana. Ridley spała na sofie, przykryta kocem i martwa dla świata, gdy nagle zamruczał faks. Clay przeszedł na tył ciemnej kabiny i oderwał płachtę wydruku. Z Waszyngtonu, od Oscara Mulrooneya: coroczne zestawienie najbogatszych firm i najwyższych honorariów według

„American Attorney”. W gronie dwudziestu najlepiej zarabiających prawników w kraju znalazł się niejaki Clay Carter: ze stoma dziesięcioma milionami za ubiegły rok zajmował imponujące ósme miejsce. Było tam nawet jego małe zdjęcie z podpisem: „Debiutant roku”.

Prawie trafili, pomyślał. Niestety, trzydzieści milionów z dyloftu po-szło na premie dla Paulette, Jonasza i Rodneya; nagrody wydawały się po-czątkowo hojne, ale patrząc wstecz, uznał, że były czystą głupotą. Nigdy więcej. Mili redaktorzy z „American Attorney” nie wiedzieli o tych szczodrych, z serca płynących darach. Nie, nie narzekał. Oprócz niego w pierwszej dwudziestce nie było ani jednego prawnika z Waszyngtonu.

Pierwsze miejsce zajmował Jock Ramsey, który oskarżył kilka przedsiębiorstw naftowo-chemicznych, zarzucając im zatrucie środowiska wyciekami z toksycznych hałd. Sprawa ciągnęła się dziewięć lat. Szacowano, że Ramsey zgarnął za nią czterysta pięćdziesiąt milionów. Facet z Palm Beach, fachman od tytoniu, zarobił czterysta. Na trzecim miejscu był nowojorczyk z trzysta dwudziestoma pięcioma milionami na koncie. Patton French wylądował na miejscu czwartym, co na pewno wielce go zirytowało.

Siedząc w cichej, odosobnionej kabinie i patrząc na faks z jego zdję-

ciem, Clay powtórzył sobie po raz kolejny, że to nie sen. W Waszyngtonie było siedemdziesiąt sześć tysięcy prawników, a on pobił ich wszystkich na łeb. Jeszcze przed rokiem jego największym marzeniem była ucieczka z UOP

i znalezienie pracy w dobrej, szacownej kancelarii, która dałaby mu zaro-

bić na nowy garnitur i lepszy samochód. Jego nazwisko na papierze firmowym zaimponowałoby Rebecce i utrzymało na dystans jej rodziców. Dzięki ładniejszemu gabinetowi i zacniejszym klientom nie musiałby już unikać kumpli ze studiów. Ot, skromniutkie marzenia.

Postanowił nie pokazywać artykułu Ridley. Coraz bardziej interesowa-

ły ją pieniądze, biżuteria i podróże. Nigdy nie była we Włoszech i coraz częściej wspominała o Rzymie i Florencji.

Cały Waszyngton będzie mówił o nim i jego miejscu w pierwszej dwudziestce najbogatszych. Pomyślał o swoich przyjaciółach i rywalach, o ko-legach ze szkoły prawniczej, o starej bandzie z UOP. Ale przede wszystkim myślał o Rebecce.

ROZDZIAŁ 29

Hannowie z Reedsburga w Pensylwanii założyli cementownię w czterdziestym szóstym, załapując się na powojenny boom budowlany. Firma natychmiast stała się największym pracodawcą w mieście. Bracia Hannowie prowadzili ją żelazną ręką, ale zawsze byli sprawiedliwi dla pracowników, swoich sąsiadów. Gdy interesy szły dobrze, robotnicy dostawali wysokie pensje. Gdy szły źle, wszyscy zaciskali pasa i szli dalej. Zwolnienia grupowe należały do rzadkości i stosowano je tylko w ostateczności. Pracownicy byli zadowoleni, więc nigdy nie powstały tam związki zawodowe.

Hannowie inwestowali w cementownię, sprzęt i w miasto. Zbudowali nowe centrum administracyjne, szpital, teatr i najładniejsze szkolne boisko sportowe w okolicy. Kilka razy kusilo ich, żeby wszystko sprzedać, wziąć gotówkę i do końca życia grać w golfa, ale nie mieli pewności,

czy nowi właściciele nie przeniosą cementowni gdzie indziej. Dlatego jej nie sprzedali.

Po pięćdziesięciu latach rozsądnego zarządzania spółka zatrudniała cztery tysiące spośród jedenastu tysięcy mieszkańców miasta. Sprzedaż roczna sięgała sześćdziesięciu milionów dolarów, chociaż zyski były małe. Ostra konkurencja zagraniczna i spowolnienie rozwoju budownictwa mieszkaniowego od-ciskały wyraźne piętno na rocznych rozliczeniach podatkowych. Ich branżę rządziły silne wahania cykliczne, które Hannowie próbowali złagodzić dywersyfikacją produkcji. Bilans wykazywał zadłużenie wyższe od normalnego.

Marcus Hanna, obecny dyrektor firmy, nie lubił, gdy go tytułowano.

Uważał się po prostu za szefa, szychę numer jeden. Jego ojciec był jednym z założycieli spółki i Marcus całe życie spędził w cementowni. Z ośmiu innych Hannów zasiadało w zarządzie, a kilkunastu Hannów z trzeciego 189

pokolenia zamiatało podłogi i pracowało jako zwykli posługacze, tak samo jak kiedyś ich rodzice.

Gdy dostali pozew, Marcus odbywał właśnie naradę z Joelem Hanną, ich nieoficjalnym radcą prawnym. Posłaniec sądowy pokonał barykadę stworzoną przez recepcjonistkę i sekretarki, stanął przed Hannami z grubą kopertą w ręku.

- Pan Marcus Hanna? - spytał.

- Tak. A pan kto?

- Z sądu. Proszę, to pański pozew. - Podał mu kopertę i wyszedł.

Pozew złożono w hrabstwie Howard w Marylandzie. Grupa właścicieli domów domagała się odszkodowania za straty wynikłe z zastosowania wybrakowanego cementu z cementowni Hannów. Joel powoli przeczytał

dokument, wyjaśnił Marcusowi o co chodzi, a gdy skończył, długo siedzieli, przeklinając wszystkich prawników.

Sekretarka poszperała w Internecie i bardzo szybko zgromadziła imponującą kolekcję artykułów na temat adwokata skarżących, niejakiego Claya Cartera z Waszyngtonu.

To, że mają kłopoty akurat w hrabstwie Howard, nie było dla nich zaskoczeniem. Przed kilku laty trafiła tam partia wadliwego cementu. Trafiła zwykłymi kanałami i wykorzystano ją do budowy domów. Pierwsze skargi napłynęły stosunkowo niedawno i firma właśnie próbowała określić rozmiary problemu. Okazało się, że po trzech latach cement puszczał i ze ścian zaczynały wypadać cegły. Marcus i Joel byli w hrabstwie Howard, żeby porozmawiać z kontrahentami i dostawcami. Obejrzeliby kilka domów. Po inspekcji oszacowali, że liczba potencjalnych skarg sięgnie pięciuset i że naprawa ka-

dego domu pochłonie około dwunastu tysięcy dolarów. Spółka była ubezpieczona od odpowiedzialności za szkody na pięć milionów dolarów.

Problem w tym, że pozew wspominał o „co najmniej dwóch tysiącach pokrzywdzonych”, a każdy z nich domagał się dwudziestu pięciu tysięcy dolarów odszkodowania.

- To w sumie pięćdziesiąt milionów - policzył Marcus.

- A ten przeklęty adwokat zgarnie z tego czterdzieści procent - dodał Joel.

- Niemożliwe.

- To u nich normalka.

Tu padła seria przekleństw pod adresem prawników w ogólności. Potem seria pod adresem mecenasa Cartera. Joel wziął pozew i wyszedł. Zamierzał powiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe, które przydzielili ich sprawę kancelarii adwokackiej, najpewniej z Filadelfii. Tego rodzaju przypadki zdarzały się co najmniej raz w roku, ale nigdy dotąd nie sądano tak wysokiego odszkodowania. Ponieważ znacznie przewyższało wysokość 190

ubezpieczenia, Hannowie będą zmuszeni wynająć własnych prawników do negocjacji z towarzystwem. A sąd z nich na pewno nie weźmie mała.

Całostronicowe ogłoszenie w „Larkin Gazette” wywołało wielkie poruszenie w tym małym miasteczku odciętym od świata i ukrytym w górach południowej Wirginii. Ponieważ w Larkin były trzy fabryki, musiało tam mieszkać nieco ponad dziesięć tysięcy ludzi, jak we wszystkich górniczych miasteczkach w tym rejonie kraju. Oscar Mulrooney ustalił, że dziesięć tysięcy to próg dla całostronicowego ogłoszenia i opłacalności zorganizowania badań dla pacjentów przyjmujących Chudego Bena. Przystudiował dotychczasową kampanię reklamową i doszedł do wniosku, że pominięto w niej małe rynki. Jego sonda wykazała również, że kobiety ze wsi i z Appalachów są tętsze niż kobiety z miasta. Tak więc jest to idealne terytorium dla Chudego Bena!

Ogłoszenie mówiło, że badania odbędą się już nazajutrz, w motelu na północ od Larkin i prowadzić je będzie lekarz, prawdziwy doktor. Były darmowe. I dostępne dla każdego, kto przyjmował benafoxadil, znany jako Chudy Ben. Były również poufne. Niewykluczone też, że pacjenci otrzymają w przyszłości pieniądze od producenta leku.

Małymi literami na dole strony wypisano nazwę, adres i numer telefonu kancelarii adwokackiej Claya Cartera II, chociaż większość czytelników tak daleko nie dotarła, gdyś jednych ogłoszenie zupełnie nie interesowało, a inni byli zbyt podekscytowani perspektywą badań.

Nora Tickett mieszkała w przyczepie kempingowej niecałe dwa kilometry od Larkin. Nie widziała ogłoszenia, bo nie czytała gazet. Nie czytała niczego. Szesnaście godzin na dobę oglądała telewizję, najczęściej jedząc.

Mieszkała z dwoma pasierbami, których jej eksmąż zostawił, uciekając z domu przed dwoma laty. Były jego dziećmi, nie jej, i wciąż nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że trafiły pod jej skrzydła. Ale cóś, mąż zwiął. Nie powiedział ani słowa, nie dał ani centa na ich utrzymanie, nie przysłał ani jednego listu czy choćby pocztówki, żeby spytać, jak się mają jego zapomniane dzieci. Tak więc

Nora jadła.

Została klientką J. Claya Cartera, bo jej siostra zobaczyła ogłoszenie i przyszła zaciągnąć ją na badanie. Nora brała Chudego Bena przez cały rok, dopóki lekarz przestał jej go przepisywać, ponieważ lek wycofano z rynku. Jeśli przez ten czas schudła, nie było tego widać.

Siostra załadowała Norę do furgonetki i podetknęła jej pod nos gazetę.

- Czytaj - rzuciła. Mary Beth wkroczyła na ścieżkę otyłości przed dwudziestu laty, ale zawał serca, który przeżyła w wieku dwudziestu sześciu lat, skutecznie ją otrzeźwił. Miała dość wygłaszania kazań. Kłóciła się z Norą od lat. Pokłóciły się i teraz, w drodze do Village Inn.

191

Sekretarka Mulrooneya wybrała ten motel dlatego, że był najnowszy w mieście. I jedyny, który zdołała namierzyć w Internecie, a to już coś.

Oscar spał tam poprzedniej nocy i jedząc wczesne śniadanie, zastanawiał

się po raz pierwszy, jak to się stało, że upadł tak nisko i tak szybko.

Ukończył Yale z trzecim wynikiem! Próbowali go skaperować największe rekiny z Wall Street i bokserzy wagi ciężkiej z Waszyngtonu. Jego ojciec był znanym lekarzem w Buffalo. Wujek sędzią Sądu Najwyższego w Vermoncie. Brat wspólnikiem jednej z najbardziej dochodowych spółek prawniczych na Manhattanie.

ona wstydziła się, że jej mąż musi ścigać klientów po dzikich pustkowiu Appalachów. On też!

Pracował z doktorem Livanem, boliwijskim internistą, który mówił po angielsku tak, że nie rozumiano go nawet wtedy, gdy mówił „Dzień dobry”.

Miał dwadzieścia pięć lat i wyglądał na szesnaście nawet w zielonym fartuchu, który Oscar kazał mu nosić dla podwyższenia wiarygodności. Medycynę ukończył na karaibskiej Grenadzie. Mulrooney znalazł jego ogłoszenie w dziale „Szukam pracy” i płacił mu dwa tysiące dolarów dziennie.

On wziął na siebie front, Livan zaplecze. Jediną salę bankietową w motelu rozdzielało na pół liche rozkładane przepierzenie, które z trudem rozciągnęli. Gdy o godzinie ósmej czterdzieści pięć weszła Nora, Oscar zerknął na zegarek. Zjawiała się za wcześnie, jak większość klientów.

- Witam szanowną panią. - Powiedział to najgrzeczniej, jak umiał.

„Szanowna pani”. Zdał wyćwiczyć to już w Waszyngtonie. Przedtem nie gdy tego określenia nie używał. Inni ludzie, inne środowisko.

Pieniądze, pomyślał, spoglądając na Norę. I co najmniej sto czterdzie-

ści kilo, moŜe nawet sto osiemdziesiąt. Potrafił odgadnąć wagę jak uliczny sztukmistrz. To smutne. Smutne było to, Ŝe w ogóle się tym zajmował.

- Pan jest adwokatem? - spytała podejrzliwie Mary Beth.

Oscar przerabiał to juŜ tysiąc razy.

- Tak, proszę pani. Lekarz czeka na zapleczu. Przygotowałem dla pani dokumenty. - Podał jej deskę z klipsem. Kwestionariusz opracowano w taki sposób, Ŝeby mógł go wypełnić nawet analfabeta. - Jeśli będzie miała pani jakieś pytania, wszystko wyjaśnię.

Kobiety podeszły do krzeseł. Nora cięŜko usiadła; zdąŜyła się juŜ spocić. Wkrótce pochłonęła je lektura formularzy. W sali panowała cisza, do-póki nie otworzyły się drzwi i nie zajrzała do nich kolejna grubaska. Natychmiast spojrzała na Norę, która teŜ wzięła ją na celownik. Dwie spaścizki w pogoni za pieniędzmi.

- Zapraszam - powiedział Oscar z ciepłym uśmiechem sprzedawcy samochodów. Zwabił ją do środka, wcisnął jej do ręki formularze i usadził

w drugim końcu sali. Ze sto dwadzieścia kilo.

192

KaŜde badanie kosztowało tysiąc dolarów. Jedna pacjentka na dziesięć zostawała ich klientką. KaŜdy pozew był warty sto pięćdziesiąt, dwieście tysięcy dolarów. A zbierali same resztki, ponieważ osiemdziesiąt procent spraw trafiło juŜ do kancelarii adwokackich w całym kraju.

Dzięki tym resztkom mogli zbić fortunę. Nie taką jak za dyloft, ale zawsze.

Odpowiedziawszy na pytania, Nora z trudem zdołała wstać. Oscar przejrzał formularze, upewnił się, czy rzeczywiście brała Chudego Bena, po czym złoŜył na dole swój podpis.

- Proszę tędy - powiedział. - Pan doktor juŜ czeka.

Nora przeszła przez wielką dziurę w przepierzeniu; Mary Beth została, Ŝeby z nim pogadać.

Livan przedstawił się, ale Nora go nie zrozumiała. Nie rozumiała nic z tego, co mówił, a on nie rozumiał jej. Zmierzył jej ciśnienie i z dezapro-batą pokręcił głową: sto osiemdziesiąt na sto czterdzieści. Puls? Sto trzydzieści. Wskazał jej przemysłową wagę do waŜenia mięsa i Nora niechętnie na nią weszła. Sto siedemdziesiąt sześć kilo.

I czterdzieści cztery lata. W tym stanie będzie miała szczęście, jeśli doŜyje pięćdziesiątki.

Livan otworzył drzwi i wyprowadził ją na dwór, gdzie stała furgonetka.

- Tu robimy badania - wyjaśnił. Tylne drzwiczki były otwarte; czeka-

to tam dwoje techników w białych kitlach, fachmanów od sonografii. Pomogli Norze wsiąść i ułożyć ją na łóżku.

- Co to? - spytała przerażona, wskazując najbliższe urządzenie.

- Echokardiograf- odrzekł jeden z techników angielszczyzną, którą wreszcie zrozumiała.

- Zeskanujemy klatkę piersiową i zrobimy cyfrowe zdjęcie serca -

dodał drugi, kobieta. - Za dziesięć minut będzie po wszystkim.

- I nie będzie bolało - rzucił ten pierwszy.

Nora zamknęła oczy, modląc się, żeby wyszła z tego cało.

Zbieranie pozwów w sprawie Chudego Bena było niezwykle lukratywne ze względu na oczywiste i łatwe do zgromadzenia dowody. Lek, który praktycznie nie zbijał wagi pacjenta, z biegiem czasu osłabiał aorty. Uszkodzenia były trwałe. Dwudziestoprocentowa niewydolność aorty lub cofa-nie się krwi do serca przy niedomykalności zastawki wystarczyło, żeby wnieść sprawę do sądu.

Doktor Livan spojrział na wydruk i podczas gdy Nora wciąż się śarliwie modliła, pokazał technikom uniesiony kciuk: dwadzieścia dwa procent. Zaniósł wyniki badań Oscarowi, który roznosił formularze po zatłoczonej ju-

sali. Ten wrócił z nim za przepierzenie, gdzie blada jak śmierć Nora siedziała na łóżku, łapczywie pijąc sok pomarańczowy. Miał ochotę powiedzieć: „Moje 193

gratulacje, szanowna pani. Pani aorta jest pięknie nadwerżona", ale gratulacje mogli składać sobie tylko oni, adwokaci. Wezwano Mary Beth i Oscar omówił z nimi dalszy przebieg sprawy, wyłuszczając jedynie najważniejsze punkty.

Echokardiogram zostanie przeanalizowany przez kardiologa, a jego ocena dołączona do akt, które trafią do administratora pozwu zbiorowego.

Sędzia zatwierdził już wysokość odszkodowań.

- Ile? - spytała Mary Beth; wyglądało na to, że pieniądze interesują ją bardziej niż siostrę.

- Zważywszy wiek Nory, około stu tysięcy dolarów - odrzekł Oscar, oczywiście nie nadmieniając, że trzydzieści procent z tych stu tysięcy trafi na konto kancelarii J. Claya Cartera II.

Nora momentalnie otrzeźwiała.

- Sto tysięcy dolarów!

- Tak, proszę pani. - Niczym wytrawny chirurg, Oscar nauczył się już

zaniŝać szanse powodzenia kaŝdej rutynowej operacji. Nie rozbudzaŝ w nich wielkich nadziei - łatwiej przeŝyją szok, gdy dowiedzą się, ile skosi adwokat.

Nora myŝlała juŝ o nowej przyczepie kempingowej i nowym talerzu telewizji satelitarnej. Mary Beth o cięŝarówce pełnej pigułek na odchudzanie. Poniewaŝ dokumenty zostały wypełnione i podpisane, Oscar podzię-

kował im za przybycie.

- Kiedy dostaniemy pieniądze? - spytała Mary Beth.

- My? - zdziwiła Nora.

- W ciągu dwóch miesięcy - odrzekł Oscar, wyprowadzając je bocznymi drzwiami.

Niestety, u kolejnych szesnastu pacjentów nie stwierdzono wystarczającego uszkodzenia aort i Oscar miał coraz większą ochotę na kielicha. Jednakŝe na prawdziwą ŝyłę złota natrafili u pacjenta numer dziewiętnaŝcie, młodego męŝczyzny waŝącego prawie dwieŝcie trzydzieŝci kilo. Jego echokardiograf był cudowny: czterdziestoprocentowa niewydolność serca. Brał

Chudego Bena przez dwa lata. Poniewaŝ skończył dopiero dwadzieŝcia szeŝć lat i, statystycznie rzecz biorąc, miał przeŝyć z chorym sercem jeszcze trzydzieŝci jeden, jego pozew był wart pół miliona dolarów.

Późnym popołudniem doszło do nieprzyjemnego incydentu. Zaŝywna młoda dama wpadła w gniew, gdy doktor Livan oŝwiadczył, ŝe nic jej nie dolega. ŝe serce ma całkowicie zdrowe. Ale ona słyŝzała, ŝe Nora Tackett dostanie aŝ sto tysięcy, słyŝzała to w salonie piękności, i chociaŝ waŝyła trochę mniej, teŝ brała Chudego Bena, więc naleŝy się jej odszkodowanie.

- Ja tych pieniędzy potrzebuję - mówiła.

- Bardzo mi przykro - powtarzał w kółko doktor Livan.

Wezwano Oscara. Młoda dama stała się głoŝna i wulgarna. ŝeby wreszcie sobie poszła, Mulrooney obiecał jej, ŝe kardiolog przejrzy wyniki i tak.

194

- Powtórzmy to jeszcze raz i przeanalizują je nasi waszyngtońscy specjaliŝci -dodał, jakby dobrze wiedział, co mówi. To uspokoiło babę na tyle, ŝe wreszcie się wyniosła.

Co ja tu robię? - myŝlał Oscar. Wątpił, ŝeby ktokolwiek z Larkin studiował kiedykolwiek w Yale, mimo to miał stracha. Gdyby rzecz się wydała, byłby skończony. Pieniądze, powtarzał sobie w duchu. Myŝl o pieniądzech.

W Larkin przebadali czterdziestu jeden pacjentów. Podłapali troje. Oscar wciągnął ich na listę, wskoczył do bmw i wyjechał z jasną perspektywą zarobienia dwustu tysięcy dolarów. Całkiem

nieźle jak na jeden wypad.

Popędził prosto do Waszyngtonu. Niedługo czekała go potajemna wyprawa w dzicz i głuszę Wirginii Zachodniej. Na najbliższy miesiąc zaplanował ich kilkanaście.

Zarabiaj pieniądze. To tylko zwykły interes. Nie ma nic wspólnego z praktykowaniem prawa. Znajdź ich, spisuj, zgarnij szmal i daj nogę.

ROZDZIAŁ 30

Pierwszego maja Rex Crittle odszedł z firmy, w której przepracował osiemnaście lat, i przeniósł się na górę, żeby zostać głównym administratorem kancelarii J. Claya Cartera II. Po prostu nie mógł odrzucić propozycji ol-brzymiej podwyżki tudzież premii. Kancelaria radziła sobie wspaniale, ale ponieważ błyskawicznie się rozrastała, powstał chaos i wrażliwość, że wszystko wymyka się spod kontroli. Clay przyznał mu szerokie uprawnienia i przydzielił gabinet naprzeciwko swego gabinetu.

Chociaż podwyżka na pewno Crittle'a ucieszyła, ze sceptycyzmem odnosił się do podwyżek innych pracowników. Uważał - tymczasem zachował tę opinię dla siebie - że większość jest przepłacana. Firma zatrudniała obecnie czternastu prawników, z których każdy zarabiał rocznie dwieście tysięcy dolarów; dwudziestu jeden adwokatów bez licencji zarabiała siedemdziesiąt pięć tysięcy; dwadzieścia sześć sekretarek pięćdziesiąt tysięcy -

cy, każda z wyjątkiem panny Glick, która zarabiała sześćdziesiąt; kilkunastu urzędników różnych specjalności dostawało średnio dwadzieścia tysięcy rocznie; i czterech gońców, którym firma płaciła po piętnaście. W sumie było ich siedemdziesięciu siedmiu, wyłączając Crittle'a i Claya. Wliczając premie i dodatki, roczne koszty utrzymania kancelarii sięgały ośmiu milionów czterystu tysięcy dolarów i z każdym tygodniem rosły.

Za czynsz płacili siedemdziesiąt dwa tysiące miesięcznie. Koszty eksplo-atacyjne - komputery, telefony, woda, światło i tak dalej, lista była długa 195

- przekraczały czterdzieści tysięcy miesięcznie. Gulfstream, największe mar-notrawstwo ze wszystkiego i rzecz, bez której Clay nie mógł się obejść, kosztował ich trzysta tysięcy dolarów miesięcznie w leasingu, do czego dochodziły pensje pilotów, koszty utrzymania maszyny i opłaty hangarowe. Wpływy za wynajem samolotu były jak dotąd zerowe, między innymi dlatego, że Clay nie chciał, by latał nim ktokolwiek inny.

Według liczb, które Crittle codziennie śledził, kancelaria wydawała miesięcznie milion trzysta tysięcy dolarów, to jest mniej więcej piętnaście milionów sześćset tysięcy rocznie. Tak wysoka kwota przerażałaby każdego księgowego, ale po wstrząsie z dyloftem i po tym, gdy na konto firmy spłynęły olbrzymie honoraria, Crittle po prostu nie mógł narzekać. Przynajmniej na razie. Widywał teraz Claya trzy razy tygodniowo, bywało, że częściej, ale wszystkie kwestionowane przez niego wydatki spotykały się zawsze z tym samym odzewem: „żeby zarobić, trzeba wydać”.

I wydawali, że hej. Koszty ogólne przyprawiły Crittle'a o dreszcze, ale na myśl o pieniądzach pochłanianych przez reklamę i badania lekarskie odzywały mu się wrzody żołądka. Na maxatil -

ogłoszenia w telewizji, radiu, prasie i w Internecie - w ciągu pierwszych czterech miesięcy wydali sześć milionów dwieście tysięcy. Crittle miał co do tego poważne zastrzeżenia.

- Cała naprzód - odparł Clay. - Chcę zebrać dwadzieścia pięć tysięcy pozwów! - Dotychczas zebrali około osiemnastu tysięcy, ale nie sposób było śledzić tego na bieżąco, gdyż ich liczba rosła dosłownie z godziny na godzinę.

Według jednego z branżowych biuletynów internetowych powodem, dla którego do waszyngtońskiej kancelarii Cartera trafiało tyle pozwów, było to, że zajmowało się nimi bardzo niewielu innych adwokatów. Jednakże Crittle zatrzymał tę plotkę dla siebie.

- Na maxatilu zarobimy więcej niż na dyłofcie - powtarzał w biurze Clay, żeby zachęcić do boju swoich żołnierzy. I zdawało się, że wierzy w to naprawdę.

Chudy Ben kosztował kancelarię znacznie mniej, lecz koszty lawinowo rosły, a honoraria nie. Do pierwszego maja wydali sześćset tysięcy dolarów na reklamę i mniej więcej drugie tyle na badania lekarskie. Jak dotąd zdobyli stu pięćdziesięciu klientów i Oscar Mulrooney wystosował okólnik, w którym twierdził, że każdy pozew jest wart średnio sto osiemdziesiąt tysięcy. Zgarniali z tego trzydzieści procent, co oznaczało, że „w ciągu kilku najbliższych miesięcy” zarobią około dziewięciu milionów dolarów.

To, że jego grupa miała osiągnąć tak dobre rezultaty, bardzo wszystkich ucieszyło, jednak niepokój wzbudzało samo czekanie. Z Chudego Bena, operacji, która miała być automatem, nie napłynęło jak dotąd ani dziesięć centów. W sprawę zaangażowało się mnóstwo adwokatów, nic więc dziwnego

tego, że dochodziło do swarów i nieporozumień. Prawne zawiłości były Crittle’owi obce, ale powoli zaczynał je rozgryzać. Za to w kosztach ogólnych i niedoborach przychodu nie miał równego sobie.

W dniu, kiedy przeprowadził się na górę, z kancelarii odszedł Rodney, chociaż wydarzenia te nie były ze sobą związane. Rodney po prostu zgarniał

Setony i przeprowadzał się na przedmieścia, do bardzo ładnego domu na bezpiecznej ulicy z kościołem na jednym końcu i szkołą tuż obok parkiem na drugim. Zamierzał zostać pełnoetatowym opiekunem swoich dzieci. Praca? Może kiedyś, może wcale. Dał sobie spokój ze szkołą prawniczą. Zarobił dziesięć milionów - przed podatkiem - więc nie miał żadnych konkretnych planów, jedynie mocne postanowienie, że będzie ojcem, mężem i kutwą. Kilka godzin przed odejściem wymknęli się z Clayem do restauracji, żeby się pożegnać. Przepracowali razem sześć lat, pięć w UOP i rok w nowej firmie.

- Nie wydaj wszystkiego - ostrzegł Claya.

- Nie mogę. Za dużo tego jest.

- Nie bądź głupi.

Prawda była taka, że kancelaria nie potrzebowała już takich jak Rodney. Chłopcy z Yale i pozostali

prawnicy byli dla niego grzeczni i pełni szacunku głównie dlatego, że cieszył się przyjaźnią Claya, co nie zmieniało faktu, że był tylko adwokatem bez licencji. Rodney też ich nie potrzebował. Chciał zakopać pieniądze i pilnie ich strzec. W skrytości ducha przerażało go tempo, w jakim Clay przepuszczał tak olbrzymią fortunę. Za mar-notrawstwo się płaci.

Ponieważ Jonasz Seglował, a Paulette wciąż ukrywała się w Londynie i najwyraźniej nie zamierzała wracać, z początkowego składu rodziny nie pozostał nikt. Smutne to, lecz Clay był zbyt zajęty, żeby popadać w nostalgię.

Patton French zwołał posiedzenie adwokackiego komitetu nadzorczego; z logistycznego punktu widzenia rzecz była zupełnie niemożliwa do wykonania, dlatego zorganizowanie narady trwało aż miesiąc. Clay spytał go, dlaczego nie mogą załatwić tego przez telefon - od czego są faksy, e-maile i sekretarki? - ale French powiedział, że muszą spotkać się osobiście, twarzą w twarz, w jednym pokoju. Ponieważ pozew wniesiono w Biloxi, chciał, żeby przyjechali właśnie tam.

Ridley była gotowa do drogi. Przestała już wychodzić na wybieg; większość dnia spędzała w siłowni i na zakupach. Co do siłowni Clay nie miał

śladnych zastrzeżeń - nie ma to jak lukier na ciasteczku. Niepokoiły go trochę zakupy, ale Ridley wykazywała się wyjątkową powściągliwością. Mogła chodzić po sklepach godzinami i wydać stosunkowo niewiele.

Przed miesiącem, po długim weekendzie w Nowym Jorku, pojechali do jego waszyngtońskiego domu. Została na noc, nie pierwszy i najwyraźniej 197

nie ostatni raz. Chociaż ani słowem nie wspomnieli o przeprowadzce, do przeprowadzki po prostu doszło. Clay nie pamiętał, kiedy zdał sobie sprawę, że w łazience jest jej szlafrok, szczoteczka do zębów, kosmetyki i bielizna. Nigdy nie widział, żeby coś wносиła, wszystko się po prostu materializowało.

Nie była nachalna; nie padło na ten temat ani jedno słowo. Przemieszkała z nim trzy dni, wreszcie szepnęła, że musi wrócić na trochę do siebie. Nie rozmawiali ze sobą przez dwa dni. Trzeciego zjawiała się z powrotem.

O małżeństwie nie wspominali, chociaż ilością biżuterii i ubrań, jaką jej kupował, mógłby zaopatrzyć cały harem. Ani on, ani ona nie szukali niczego stałego. Cieszyli się sobą i swoim towarzystwem, ale oboje wciąż

badali teren. Ridley miała tajemnice, których Clay nie zamierzał zgłębiać.

Była przepiękna, miła, dobra w łóżku i nie leciała na jego pieniądze. Ale tajemnice miała.

Clay też. Największą było to, że gdyby w odpowiednim czasie zadzwoniła do niego Rebeka, sprzedałby wszystko w cholerę - wszystko oprócz samolotu - załadowałby ją na pokład i poleciał na Marsa.

Zamiast tego leciał do Biloxi z Ridley, która włośyła na podróż zamszową mini ledwo zasłaniającą to, co zwykle zasłaniają kobiety, a czego ona zasłaniać nie musiała, bo na pokładzie nie było nikogo oprócz nich. Gdzieś nad Wirginią Zachodnią przeszła mu przez głowę myśl, żeby rozłóżyć sofę i trochę pobaraszkować. Myśl uparcie powracała, ale zdołał ją od siebie odpędzić, częściowo dlatego, że ogarnęła go frustracja. Dlaczego zawsze to on wszystko inicjował? Owszem, chętnie mu ulegała, ale nigdy nie zaczynała pierwsza.

Poza tym w teczce leżały dokumenty na posiedzenie komitetu.

Na lotnisku czekała na nich limuzyna, w porcie, kilka kilometrów dalej, motorówka. Patton French większość czasu spędzał teraz na jachcie kotwiczącym osiemnaście kilometrów od brzegu. Był właśnie w trakcie rozwodu. Paskudnego rozwodu. Œona Œadała połowy majątku, więc musiał się ukrywać. Na łodzi, jak nazywał swój studwudziestometrowy jacht, było się spokojniej.

Powitał ich na bosaka i w szortach. Wes Saulsberry i Damon Didier już

byli, jak zwykle ze szklaneczkami w ręku. Carlos Hernandez z Miami miał

przybyć lada moment. French oprowadził ich szybko po jachcie i w trakcie tej krótkiej wycieczki Clay naliczył co najmniej ośmioro ludzi ubranych w nie-skazitelnie białe marynarskie mundury, którzy czekali w pełnej gotowości, na wypadek gdyby ktoś czegoś potrzebował. Naliczył też pięć poziomów, sześć apartamentów - kosztowały dwadzieścia milionów kaŒdy - i tak dalej, i tak dalej. Ridley zanurkowała do sypialni i zaczęła ściągać ubranie.

198

Chłopcy spotkali się na „ganku”, jak nazwał to Patton, małym drewnianym pomoście na najwyższym pokładzie. Za dwa tygodnie miał proces, co było u niego rzadkością, ponieważ korporacyjni obrońcy zwykle rzucali mu pieniądze do stóp. Mówił, że nie może się już doczekać i przy wódce zanudzał ich na śmierć szczegółami.

W połowie zdania urwał, bo nagle zobaczył coś na dole. Na pokład wyszła Ridley, topless i na pierwszy rzut oka bez dołu. Ale nie, do intymnego miejsca przywierało coś na kształt bikini z dentystycznych nici. French, Didier i Saulsberry zerwali się na równe nogi, z trudem łapiąc oddech.

- To Europejka - wyjaśnił Clay, czekając na pierwszy atak serca. -

Kiedy znajdzie się nad wodą, od razu zrzuca szmatki.

- Cholera jasna, natychmiast kup jej łódź - wychrypiał Saulsberry.

- Oddam jej moją - dodał, nie mogąc dojść do siebie Patton.

Ridley spojrzała w górę, dostrzegła zamieszanie i znikła. Na pewno chodzili za nią wszyscy kelnerzy i członkowie obsługi na pokładzie.

- O czym to ja mówiłem? - French wreszcie odetchnął.

- Coś opowiadałeś, ale już skończyłeś - odparł Didier.

Nadjeżdżała motorówka. Hernandez, nie zjedną, ale z dwiema młodymi dziewczynami, w dodatku Kubankami. Gdy Patton ich rozlokował, Carlos wyszedł na „ganek”.

- Co to za jedne? - spytał Wes.

- Moje adwokatki - odrzekł Hernandez. - Bez licencji.

- Tylko nie wchodź z nimi w spółkę - powiedział French.

Przez kilka minut rozmawiali o kobietach. Najwyraźniej wszyscy czterej zaliczyli już po kilka Son. Mośe właśnie dlatego tak ciężko pracowali.

Clay milczał i słuchał.

- Co z tym maxatylem? - spytał wreszcie Carlos. - Zebrałem tysiąc pozwów i nie wiem, co z nimi zrobić.

- Pytasz mnie, co zrobić z pozwami? - odparł Clay.

- Ile ich masz? - rzucił Patton. Nastrój uległ gwałtownej zmianie; wszyscy spowaśnieli.

- Dwadzieścia tysięcy - odrzekł Clay, nieco fałszując dane. Tak naprawdę nie znał dokładnych liczb. Ale nie szkodzi, chłopcy od masówek zawsze lubili przesadzać.

- Nie złożyłem ich - powiedział Carlos. - Udowodnienie związku przy-czynowo-skutkowego mośe być koszmarem. - Słowa, które Clay słyszał

wiele razy i których nie chciałby usłyszeć ponownie. Niemal od czterech miesięcy czekał, aż dołączy do niego któryś ze słynnych kolegów.

- Nie podoba mi się to - rzekł French. - Rozmawiałem wczoraj ze Scot-tym Gainesem w Dallas. Ma dwa tysiące pozwów i teś nie wie co dalej.

199

- Fakt, udowodnienie takiego związku tylko na podstawie wyników badań jest bardzo trudne - powiedział Didier tonem wykładowcy, patrząc znacząco na Claya. - Mnie teś to nie odpowiada.

- Problem w tym - mówił Carlos - że choroby wywołane przez maxatil mogą być teś wywołane przez szereg innych czynników.

Posadziłem do tego czterech biegłych. Wszyscy czterej twierdzą, że jeśli kobieta biorąca maxatil dostaje raka piersi, niemożliwe jest udowodnienie, że rak ten jest skutkiem zażywania leku.

- Są jakieś wiadomości od Goffmana? - spytał French.

Clay, który miał ochotę wyskoczyć za burtę, pociągnął łyk mocnej wódki i spróbował zachowywać się tak, jakby miał Goffmana na celowniku.

- Nie - odparł. - Dopiero co zaczęli ujawniać dowody. Zdaje się, że wszyscy czekają na Mooneyhama.

- Rozmawiałem z nim wczoraj - wtrącił Saulsberry. Maxatil mógł się im nie podobać, ale uważnie śledzili przebieg wypadków. Clay był specem od masówek wystarczająco długo, by wiedzieć, czego boją się najbardziej: tego, żeby nie przegapić wielkiej okazji. A dyłoft nauczył go, że najprzejmniejszy dreszczyk emocji odczuwa się podczas niespodziewanego ataku zainicjowanego wtedy, gdy wszyscy pozostali śpią.

Nie był pewien, czego nauczy go maxatil. Koledzy krążyli wokół niego jak sępy, sondowali go z nadzieją, że dowiedzą się czegoś z pierwszej ręki.

Ale ponieważ Goffman obwarował się jak w twierdzy, Clay nie miał im nic do powiedzenia.

- Dobrze go znam - mówił Saulsberry. - Przed laty prowadziliśmy razem kilka spraw.

- Mooneyham to gaduła i chwalipięta - rzucił French, jakby typowy adwokat był milczkiem, a wygadany samochwała przynosił ujmę swojej profesji.

- Tak, ale jest bardzo dobry. Od dwudziestu lat nie przegrał ani jednego procesu.

- Od dwudziestu jeden - poprawił go Clay. - Przynajmniej tak mi powiedział.

- Rok w tę, rok w tamtą. - Saulsberry pogardliwie machnął ręką, bo miał

im do przekazania świeżych wiadomości. - Masz rację, Clay. Wszyscy czekają na Mooneyhama. Nawet Goffman. Proces odbędzie się we wrześniu. Ci z Goffmana twierdzą, że tak jest dla nich lepiej. Jeśli Mooneyham zdoła udowodnić istnienie związku między zażywaniem maxatilu i rakiem piersi, firma przygotuje ogólnokrajowy plan kompensacyjny. Ale jeśli przysięgli wezmą stronę Goffmana, będzie wojna, bo firma nie zapłaci nikomu ani centa.

- Mooneyham ci to powiedział? - spytał Patton.

- Tak.

200

- To megaloman.

- Nie - wtrącił Hernandez. - Mam informatora i facet mówi dokładnie to samo co Wes.

- W Syciu nie słyszałem, żeby pozwany nalegał na proces - mruknął

French.

- Ci z Goffmana są twardzi - dodał Didier. - SkarŜyłem ich piętnaście lat temu. Udowodnisz im winę, zapłacą wysokie odszkodowanie. Ale jeśli nie, wykończą cię na amen.

Po raz kolejny Clay miał ochotę wyskoczyć za burtę. Na szczęście maxatil błyskawicznie odszedł w niepamięć, gdy na pokład wyszły towarzyszki Hernandeza w bardzo skąpych kostiumach kąpielowych.

- Adwokatki - mruknął Patton, mruŜąc oczy, Őeby lepiej widzieć. -

Akurat.

- Która jest twoja? - spytał Saulsberry, wychylając się z fotela.

- Wybieraj - odrzekł Carlos. - To profesjonalistki. Przywiozłem je jako upominek. Wymienimy się.

Gaduły zamilkły i na „ganku” zaległa cisza.

TuŜ przed Őwitem nadszedł sztorm, który zburzył panujący na jachcie spokój. Mocno skacowany French, który leŜał w łóŜku z nagą

„adwokatką”, zadzwonił do kapitana i rozkazał mu wracać do portu.

Śniadanie podano póżno, zresztą nie byli głodni. Kolacja przekształciła się w czterogodzinny maraton okraszony wojennymi opowieściami z sali rozpraw, Őwińskimi kawałami i obowiązkowymi kłótniami pod wpływem alkoholu. Clay i Ridley wymknęli się wcześnie do sypialni i zamknęli drzwi na klucz.

Gdy zacumowali w porcie, Őeby przeczekać sztorm, członkowie adwokackiego komitetu nadzorczego zdołali wreszcie przejrzeć wszystkie dokumenty. Były wśród nich wytyczne dla administratora pozwu i kilkanaście formularzy z wzorcami podpisu. Zanim skończyli, Clay dostał mdłości i chciał czym prędzej stanąć na suchym lądzie.

Nie mniej istotny był równieŜ harmonogram wypłat. On, a właściwie jego kancelaria miała wkrótce otrzymać kolejne cztery miliony dolarów. Ekscytujące, chociaŜ wiedział, Őe gdy pieniądze nadejdą najpewniej tego nie zauwaŜy. Ot, będzie miał więcej na utrzymanie firmy. I tylko chwilowo.

Ale będzie miał teŜ z głowy Crittle'a, przynajmniej na kilka tygodni, a to juŜ coŐ. Wypatrując nowych wpływów, Rex krąŜył po korytarzach jak ojciec oczekujący dziecka.

Nigdy więcej, poprzysiągł sobie, gdy wreszcie zeszli na ląd. Nigdy wię-

cej nie da się zamknąć na noc z ludźmi, których nie lubi. Limuzyna zawiozła ich na lotnisko. A gulfstream na Karaiby.

illę w Gustavii wynajęli na tydzień, chociaż wątpił, czy będzie mógł

tak długo zostać. Stała na zboczu wzgórza nad portem, miejscem rojącym się od łodzi, jachtów i turystów. Ridley znalazła ją w katalogu ekskluzywnych domów do wynajęcia. Była bardzo ładna, w tradycyjnym karaibskim stylu, z pokrytym czerwoną dachówką dachem, długimi gankami i werandami. Sypialni i łazienek miała tyle, że trudno się wśród nich było znaleźć. Był też kucharz, dwie pokojówki i ogrodnik. Szybko się rozgościli i Clay zaczął przeglądać katalogi domów na sprzedaż, które ktoś łaskawie im zostawił.

Pierwsze spotkanie z plażą nudystów bardzo go rozczarowało, gdy

pierwszą kobietą, którą tam zobaczył, była staruszka, pomarszczona bab-cia, która - za czyjąś bezcenną radą - powinna była więcej zakrywać i mniej odsłaniać. Potem nadszedł jej mąż z wielkim, obwisłym brzuchem zasłaniającym genitalia i wysypką na pośladkach. Nagość przestała się Clayowi podobać. Krocząc plażą i zwracając na siebie uwagę wszystkich mężczyzn, Ridley była oczywiście w swoim żywiole. Po paru godzinach na piasku uciekli z upału na dwugodzinny lunch w świetnej francuskiej restauracji. Wszystkie dobre restauracje były francuskie i na wyspie się od nich roiło.

W Gustavii panował ożywiony ruch. Było gorąco i sezon już dawno minął, ale najwyraźniej ktoś zapomniał powiedzieć o tym turystom. Tłoczyli się na chodnikach, łażąc od sklepu do sklepu, korkowali ulice wynajętymi dżipami i małymi samochodami. Port, w którym zwinne łodzie rybackie krążyły wokół jachtów słynnych i bogatych, był dwadzieścia cztery godziny na dobę.

O ile Mustique była wyludniona i odizolowana, o tyle na Saint Barth było aż za dużo ludzi i domów. Mimo to wyspa miała swój urok. Clayowi podobała się i jedna, i druga. Ridley, która wykazywała duże zainteresowanie tutejszymi nieruchomościami, wołała Saint Barth ze względu na sklepy i jedzenie. Lubiła ruchliwe miasta i ludzi. Ktoś musiał się na nią gapić.

Czwartego dnia pobytu Clay zdjął zegarek i zaczął sypiać w hamaku na ganku. Ridley czytała książki i oglądała stare filmy. Powoli wkradała się nuda i właśnie wtedy do portu wpłynął Jarrett Carter na swoim wspaniałym katamaranie „Eksadwokat”. Clay siedział w barze na molo, czekając na ojca.

Jego załoga składała się z czterdziestokilkuletniej Niemki o nogach długich jak nogi Ridley i starego, zadziornego Szkota, instruktora nazwiskiem MacKenzie. Irmgardę przedstawiono mu początkowo jako towarzyszkę Jarretta, co w terminologii żeglarskiej jest określeniem dość mglistym. Za-

ładował ich wszystkich do dżipa i zawiózł do willi, gdzie siedzieli bez koń-

ca pod prysznicem i pili, dopóki słońce nie utonęło w morzu. MacKenzie przedobrzył z bourbonem i wkrótce chrapał już w hamaku.

Okazało się, że czarterowanie jachtów jest interesem dość marnym, podobnie jak czarterowanie

samolotów. W ciągu pół roku „Eksadwokata”

wynajęto tylko cztery razy. Najdłuższą podróż odbyli z Nassau na Arubę i z powrotem, trzy tygodnie za trzydzieści tysięcy dolarów, które wyłożyli pewni emeryci z Anglii. Najkrótszą zaś na Jamajkę, gdzie omal nie stracili łodzi podczas sztormu. Uratował ich trzeźwy MacKenzie. W pobliżu Kuby mieli spotkanie z piratami. Opowieściom nie było końca.

Oczywiście Ridley bardzo się Jarrettowi spodobała. Był dumny z syna. Irmgarda zadowalała się drinkami, papierosami i obserwowaniem świateł miasta.

Długo po kolacji, gdy kobiety poszły już spać, ojciec z synem usiedli na ganku, żeby wypić jeszcze jedną szklaneczkę.

- Gdzieś ty ją znalazł?

Clay opowiedział mu ich historię. Praktycznie ze sobą szli, chociaż ani on,

ani ona nie wspominali o czymś trwalszym. Jarretta kusiła z kolei Irmgarda.

W sprawach zawodowych ojciec zasypał Claya dziesiątkami pytań.

Niepokoił go rozmiar jego firmy i czuł się zmuszony udzielić mu kilku nie-proszonych rad na temat jej prowadzenia. Clay cierpliwie słuchał. Na jachcie był komputer z dostępem do Internetu, więc Jarrett wiedział o maxatilu i towarzyszącej mu złej prasie. Gdy Clay oświadczył, że zebrał dwadzieścia tysięcy pozwów, ojciec uznał, że jedna firma z tym sobie nie poradzi.

- Nie rozumiesz, jak to wszystko działa, tato.

- Ale rozumiem, że narażasz się na ryzyko, to wystarczy - odparował

Jarrett. - Na ile jesteś ubezpieczony?

- Na dziesięć milionów.

- Mało.

- Więcej nie da mi żadne towarzystwo. Spokojnie, wiem, co robię.

Jarrett nie mógł temu zaprzeczyć. Syn odniósł sukces. Zarabiał pienią-

dze w takim tempie, że on, jego ojciec, zatęsknił nagle za salą rozpraw.

W uszach ponownie zabrzmiały mu dawno zapomniane, jakże magiczne słowa: „Wysoki Sądzie. My, przysięgli, opowiadamy się na korzyść powoda i przyznajemy mu odszkodowanie w wysokości dziesięciu milionów dolarów”. Potem wyściskałby swego klienta, powiedział coś miłego obroń-

cy i wyszedł z sądu z kolejnym trofeum do kolekcji.

Zamilkli i długo milczeli. Obywaj potrzebowali snu. Jarrett wstał i podszedł do balustrady.

- Myślisz czasem o tym chłopaku? - spytał, patrząc w noc. - O tym, który zaczął strzelać, nie wiedząc po co i dlaczego?

- O Tequili?

- Tak. Opowiadałeś mi o nim w Nassau, kiedy kupowaliśmy jacht.

- Tak, czasem myślę.

- To dobrze. Pieniądze to nie wszystko. - I Jarrett poszedł spać.

203

Przejażdżka wokół wyspy trwała prawie cały dzień. Zdawało się, że kapitan rozumie podstawowe zasady żeglowania i to, jak wpływa na nie wiatr, ale gdyby nie MacKenzie, mogliby zabłądzić i już nigdy nie znaleźć brzegu. Cały czas bardzo się starał, lecz rozpraszała go Ridley, która większość czasu smażyła się nago na słońcu. Nie mógł oderwać od niej oczu.

MacKenzie również, ale on mógłby sterować nawet przez sen.

Lunch zjedli w zacisznej zatoczce na północnym brzegu wyspy. Na wysokości Saint Marten za sterem stanął Clay, podczas gdy jego ojciec stanął przy piwie. Od ośmiu godzin Clay miał mdłości i odgrywanie roli kapitana wcale ich nie zmniejszyło. Nie nadawał się do życia na łodzi. Ro-mantyka podróży dookoła świata zupełnie go nie kusiła; wymiotowałby do wszystkich oceanów po kolei. Wolał samoloty.

Po dwóch nocach spędzonych na lądzie Jarrett zatęsknił za morzem.

Poślegnali się nazajutrz wczesnym rankiem i jego katamaran wypłynął z portu, zmierzając w nieokreślonym kierunku. Clay niemal słyszał, jak się kłó-

cą, on i MacKenzie.

Nie wiedział, jakim cudem na ganku zmaterializowała się pośredniczka handlu nieruchomościami, czarująca Francuzka. Gdy wrócił, właśnie piła kawę, gawędząc z Ridley. Powiedziała, że była w pobliżu i wpadła tu, ponieważ willa należy do jednego z jej klientów, kanadyjskiego małżeństwa w trakcie paskudnego rozwodu, a poza tym co słyhać?

- Wszystko dobrze - odrzekł Clay, siadając. - Piękny dom.

- Prawda, że cudowny? - zachwyciła się pośredniczka. - Jeden z naj-wspanialszych, jakie mamy. Właśnie mówiłam Ridley, że ci Kanadyjczycy zbudowali go cztery lata temu i od tamtej pory byli tu

chyba tylko dwa razy. Jemu źle idą interesy. Ona choruje, w ogóle strasznie się tam u nich porobiło. Dlatego wystawili dom na sprzedaż po bardzo rozsądnej cenie.

Ridley posłała jej konspiracyjne spojrzenie. Clay zadał pytanie, które wisiało w powietrzu:

- To znaczy?

- Tylko trzy miliony dolarów. Chcieli pięć, ale na rynku panuje teraz lekki zastój.

Gdy Francuzka wyszła, Ridley zaatakowała go w sypialni. Poranny seks, rzecz to niesłychana, mimo to spróbowali, w dodatku z imponującymi wynikami. Podobnie po południu. Kolację zjedli w dobrej restauracji; Ridley nie mogła oderwać od niego rąk. Sesję nocną rozpoczęli w basenie, potem przeszli do jacuzzi, potem do sypialni, a przed lunchem wróciła pośredniczka.

Clay był wykończony i nie miał ochoty kupować kolejnego domu. Ale ponieważ Ridley pragnęła go bardziej niż cegokolwiek innego-jak dotąd

- w końcu go kupił. Poza tym zrobił niezły interes. Na rynku na pewno drgnie i zawsze będzie mógł go odsprzedać po wyższej cenie.

204

Gdy wypełniali dokumenty, Ridley spytała go na osobności, czy ze względów podatkowych nie lepiej by było kupić domu najej nazwisko. Na francuskim i amerykańskim prawie podatkowym znała się równie dobrze, jak na gruzińskim prawie spadkowym, jeśli w ogóle takie tam mieli. Po moim trupie, pomyślał i stanowczo odrzekł:

- Nie, to nie wypali. Z powodów podatkowych.

Była chyba urażona, lecz uraza szybko minęła, gdy dostał akt własno-

ści. Pojechał do banku sam i zapłacił pieniędzmi z tajnego konta. Z pośredniczką też spotykał się bez niej.

- Chciałabym tu trochę zostać - oznajmiła, gdy spędzali kolejne długie popołudnie na ganku. Zamierzał wyjechać nazajutrz rano i założył, że pojedzie z nim. - Trzeba tu wszystko urządzić. Pouzgadniać z projektantem wewnątrz. No i chciałabym po prostu trochę odpocząć.

Czemu nie? - pomyślał. Skoro willa należała już do mnie, dlaczego nie miałyby tu zamieszkać?

Wrócił sam i po raz pierwszy od kilku tygodni cieszył się samotnością w swoim waszyngtońskim domu.

Przez kilka dni Joel Hanna chciał wystąpić sam - tylko on, samotnie przeciwko armii prawników i asystentów po drugiej stronie stołu. Przedstawiłby im plan ocalenia firmy; nie potrzebował do tego niczyjej pomocy, ponieważ plan był jego własnym dziełem.

Ale Babcock, radca prawny towarzystwa ubezpieczeniowego, się uparł.

Towarzystwo ubezpieczyło klienta na pięć milionów dolarów, dlatego chciał

wziąć udział w rozmowach. Joel nie mógł go powstrzymać.

Weszli do gmachu przy Connecticut Avenue. Winda stanęła na trzecim piętrze i znaleźli się w luksusowej, bogato urządzonej kancelarii adwokackiej J. Claya Cartera II. Na wyłożonej wiśniową, mośnię nawet mahoniową boazerią ścianie wisiało logo firmy, wielkie mosiężne litery JCC. Meble w recepcji były eleganckie i oczywiście włoskie. Młoda urodziwa blondynka siedząca za biurkiem z chromu i szkła powitała ich zawodowym uśmiechem i wskazała drzwi w głębi korytarza. Tam czekał już adwokat nazwiskiem Wyatt, który wprowadził ich do środka i przedstawił zebrany, a gdy wyjmowali z teczek dokumenty, jak spod ziemi wyrosła przed nimi inna kształtna młoda dama i spytała, czego się zechcą napić. Kawy. Nalała ją do dzbanka ze srebrzystego ekspresu z monogramem JCC i podała w filiżankach z chińskiej porcelany, również ozdobionych logo firmy. Gdy wszyscy już siedzieli i nie mogli być bardziej gotowi do rozmów, Wyatt spojrzał na swego asystenta i warknął:

- Powiedz Clayowi, że już jesteśmy.

205

Mecenas Carter kazał im czekać blisko minutę. W końcu wszedł w po-

śpiechu, naturalnie bez marynarki, mówiąc coś przez ramię do sekretarki, jak na bardzo zajętego człowieka przystało. Ruszył prosto do Joela Hanna i Babcocka i przedstawił się, jakby przyszli tu dobrowolnie i dla wspólnego dobra. Potem przeszedł szybko na drugą stronę stołu i niczym król zajął

honorowe miejsce dokładnie pośrodku swoich podwładnych, dwa i pół

metra dalej.

Joel Hanna pomyślał: Ten facet zarobił w zeszłym roku sto milionów dolarów.

Babcock pomyślał o tym samym, ale dodał do tego pogłoskę, że młody Carter nigdy nie stawał przed sądem w sprawie cywilnej. Owszem, przez pięć lat bronił ćpunów w sprawach kryminalnych, jednak ani razu nie wyprosił od przysięgłych odszkodowania w wysokości choćby dziesięciu centów. W jego pozie dostrzegł wyraźne ślady nerwowości.

- Podobno ma pan jakiś plan - zaczął mecenas JCC. - Chętnie się z nim zapoznamy.

Plan był bardzo prosty. Na potrzeby niniejszego spotkania firma gotowa była przyznać, że wyprodukowała partię wadliwego cementu portlandzkiego i z tego powodu trzeba wyremontować pewną liczbę nowych domów w rejonie Baltimore. Istniała konieczność stworzenia specjalnego funduszu, z którego sfinansowano by remonty, nie doprowadzając firmy do upadku. Chociaż plan był rzeczywiście prosty, wyjaśnienie jego założeń zajęło Joelowi pół godziny.

W imieniu towarzystwa ubezpieczeniowego głos zabrał Babcock. Chociaś w tej fazie przygotowań przedprocesowych robił to bardzo rzadko, przyznał, że firma jest ubezpieczona na pięć milionów dolarów. I firma, i sami Hannowie mieli dołożyć się do funduszu.

Joel wyjaśnił, że ponieważ spółce brakuje gotówki, jest gotów się zapożyczyć, żeby tylko zrekompensować straty właścicielom domów.

- Popelniliśmy błąd - powtarzał - i chcemy go naprawić.

- Czy zna pan dokładną liczbę tych domów? - spytał JCC i jego podwładni czym prędzej to zapisali.

- Dziewięćset dwadzieścia dwa - odrzekł Joel. - Rozmawialiśmy z hurtownikami, kontrahentami i wykonawcami. Liczba jest w miarę dokładna, chociaż może być o pięć procent mniejsza.

JCC też coś zapisał.

- Jeśli więc założymy, że każdemu klientowi należy się rekompensata w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, całkowita kwota odszkodowania sięgnie ponad dwudziestu trzech milionów dolarów.

- Jesteśmy całkowicie pewni, że naprawa jednego domu będzie kosztowała znacznie mniej - odparł Joel.

206

JCC zerknął na asystenta, a ten podał mu jakiś dokument.

- Mam tu oświadczenie czterech rzeczoznawców z hrabstwa Howard.

Każdy z nich obejrzał te domy i oszacował straty. Każdy przedłożył nam ekspertyzę. Najniższa wycena to osiemnaście tysięcy dolarów, najwyższa dwadzieścia jeden tysięcy. Średnia wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Chciałbym rzucić na nie okiem - odparł Joel.

- Może później. Poza tym są inne straty. Właścicielom domów przysługuje odszkodowanie za frustrację, kłopoty, smutek, zmartwienie i stres.

Jedna z naszych klientek skarży się na silne bóle głowy. Inna nie mogła sprzedać domu, ponieważ ze ścian wypadły cegły.

- Według naszej wyceny naprawa jednego domu będzie kosztowała najwyżej dwanaście tysięcy dolarów - odparował Joel.

- Nasi klienci nie zgodzą się na tę propozycję - odrzekł JCC, a jego podwładni zgodnie pokręcili głowami.

Sprawiedliwym kompromisem byłoby piętnaście tysięcy, jednak gdyby odjąć od tego jedną trzecią dla adwokata, każdy klient otrzymałby ledwie dziesięć. Za dziesięć tysięcy można by usunąć stare cegły i dowieźć na miejsce nowe, ale nie starczyłoby już na ich ułożenie. Nie, dziesięć tysięcy tylko pogorszyłyby sprawę: obdarty ze skóry dom, na podwórzu błoto i bałagan oraz stery nowych cegieł, których nie ma kto ułożyć.

Dziewięćset dwadzieścia dwa pozwы po pięć tysięcy dolarów każdy.

Przychód? Cztery miliony sześćset tysięcy. JCC policzył to bardzo szybko, ze zdumieniem zauważając, do jak wielkiej wprawy doszedł w sumowaniu tych wszystkich zer. Dziewięćdziesiąt procent przypadłoby jemu; musiał

podzielić się z kilkoma innymi adwokatami, którzy dołączyli do pozwu nieco później. Całkiem nieźle. Pokryłoby kupno willi na Saint Barth, gdzie wciąż

ukrywała się Ridley, nie wykazując najmniejszego zainteresowania powrotem do domu, a po potrąceniu podatków jeszcze trochę by mu zostało.

Gdyby JCC poszedł na piętnaście tysięcy od klienta, Hannowie jakoś by przeżyli. Wzięliby pięć milionów z ubezpieczenia, dołożyliby dwa miliony w gotówce przeznaczone na utrzymanie cementowni i zakup nowego sprzętu. Na całkowite pokrycie roszczeń potrzebowali piętnastu. Pozostałe osiem mogliby pożyczyć z banku w Pittsburghu. Jednak tę informację Joel i Babcock zatrzymali dla siebie. Było to pierwsze spotkanie, a na pierwszym spotkaniu nikt nie odkrywa wszystkich kart.

Cała rzecz sprowadzała się do tego, ile JCC zasądzi za swoje usługi.

Mógłby pójść na względnie sprawiedliwą ugodę, zrezygnować z paru procent honorarium, zarobić kilka milionów, wybronić klientów, pozwolić przetrwać dobrej starej firmie i wyjść z tego jako zwycięzca.

Mógł też uprzeć się przy swoim, a wówczas ucierpieliby wszyscy.

207

ROZDZIAŁ 32

Panna Glick miała lekko roztrzęsiony głos.

- Jest ich dwóch - powiedziała szeptem przez interkom. - Z FBI.

Ci, którzy dopiero zaczynają karierę w masówkach, często oglądają się za siebie, jakby robili coś niezgodnego z prawem. Ale z czasem skóra twardnieje im tak bardzo, że jest jak z teflonu. Dlatego też Clay najpierw drgnął, a potem zachichotał, wyśmiewając swoje tchórzostwo. Przecież nie zrobił nic złego.

Byli jak z filmu - dwaj młodzi, starannie ogoleni agenci ze słuŝbowymi odznakami, które chętnie okazywali, ŝeby wszystkim zaimponować.

Ciemnoskóry nazywał się Spooner, biały Lohse; wymawiaj: Luusz. Siadając na krzesłach w kącie gabinetu, jednocześnie rozpięli marynarki.

- Czy zna pan Martina Grace'a? - zaczął agent Spooner.

- Nie.

- A Mike'a Packera? - spytał Lohse.

- Nie.

- A Nelsona Martina?

- Nie.

- Maxa Pace'a?

- Znam.

- To jedna i ta sama osoba - wyjaśnił agent Spooner. - Wie pan moŝe, gdzie on teraz jest?

- Nie.

- Kiedy widział go pan ostatni raz?

Clay podszedł do biurka po kalendarz. Zwlekał z odpowiedzią, próbując zebrać myśli. Nie musiał odpowiadać na ich pytania. Mógłby ich w kaŝdej chwili wyprosić i zaŝądać rozmowy w obecności adwokata. Postanowił, ŝe jeśli wspomną choć słowem o tarwaniu, kaŝe im wyjść.

- Nie jestem pewien - rzekł, przerzucając kartki. - Kilka miesięcy temu.

Chyba w połowie lutego.

Agent Lohse notował, agent Spooner pytał.

- Gdzie się pan z nim spotkał?

- Na kolacji w hotelu.

- W którym hotelu?

- Nie pamiętam. Dlaczego Pace was interesuje?

Agenci wymienili szybkie spojrzenia.

- Prowadzimy śledztwo w imieniu komisji papierów wartościowych. CiąŜy na nim zarzut oszustwa i sprzedaŜy poufnych informacji. Dobrze go pan zna?

- Nie. Mało o sobie mówił.

- Jak się poznaliście?

Clay rzucił kalendarz na stolik do kawy.

208

- Powiedzmy, Œe prowadziliśmy razem interesy.

- Większość jego partnerów i wspólników trafia do więzienia. Lepiej niech pan wymyśli coŒ lepszego.

- To na razie wystarczy. Po co tu przyszliście?

- Przesłuchujemy Œwiadków. Wiemy, Œe Pace mieszkał jakiś czas w Waszyngtonie. Œe w BoŒe Narodzenie odwiedził pana na Mustique. Œe w styczniu, na dzieŒ przed tym, jak złoŜył pan swój wielki pozew, sprzedał akcje Goffmana po szeŒdziesiąt dwa dolary i dwadzieŒcia piéc centów za sztukę, po czym odkupił je po czterdzieŒci dziewięć dolarów i zarobił kilka milionów. UwaŜamy, Œe miał dostę do poufnego raportu rządowego na temat maxatilu i wykorzystał zawarte w nim informacje do popełnienia oszustwa.

- CoŒ jeszcze?

Lohse przestał pisać i spytał:

- Czy sprzedał pan akcje Goffmana przed złoŜeniem pozwu?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek je pan miał?

- Nie.

- Czy akcje Goffmana mieli członkowie paŒskiej rodziny, wspólnicy, kontrolowane przez pana firmy i fundusze zagraniczne?

- Nie, nie, nie.

Lohse schował długopis do kieszeni. Pierwsza rozmowa z dobrymi gli-niarzami jest zawsze krótka. Niech Œwiadek, podejrzany czy Œledzony trochę się spoci, bo jak się spoci, to moŜe zrobi coŒ głupiego. Drugie spotkanie będzie juŜ o wiele dłuŜsze.

Wstali i ruszyli do drzwi.

- Jeśli Pace się odezwie, proszę dać nam znać - powiedział Spooner.

- Nie liczcie na to - odparł Clay. Mieli razem tyle tajemnic, że nie mógłby go wydać.

- Liczymy, liczymy, panie mecenasie. Następnym razem porozmawiamy o Ackermanie.

Po dwóch latach walki i wydaniu ośmiu miliardów dolarów na ugody firma Healthy Living rzuciła ręcznik. Uważała, że w dobrej wierze podjęła wysiłek naprawienia zła wyrządzonego przez Chudego Bena. Ona mężnie próbowała zrekompensować straty poniesione przez pół miliona pokrzywdzonych klientów, którzy zaufali agresywnej, ukrywającej prawdę reklamie i zaczęli przyjmować lek. Ona cierpliwie znosiła ataki drapieżnych adwokatów od pozwów zbiorowych. Ona dzięki niej ci ostatni zarobili krocie.

Obszarpana, skulona i wisząca na włosku, oberwała ponownie i po prostu tego nie wytrzymała. Kroplą przepelniającą czarę był pozew złożony przez dwóch podejrzanych adwokatów reprezentujących tysiące „pacjentów”, 209

którzy zażywali Chudego Bena bez śadnych skutków ubocznych. „Pacjenci”

Śądali wielomilionowych odszkodowań tylko dlatego, że tę pigułkę brali, że teraz się tym zamartwiali, że mogą się tym zamartwiać w przyszłości, co z pewnością nadszarpnie ich już i tak nadszarpnięte zdrowie psychiczne.

Powołując się na rozdział jedenasty ustawy o prawie upadłościowym, Healthy Living złożyła wniosek o bankructwo i równo to olała. Na katow-skim pniu głowę położyły wszystkie trzy wydziały i wkrótce firma miała przestać istnieć. Pokazawszy figę wszystkim prawnikom i klientom, wyprowadziła się ze swojej siedziby.

Kręgi finansowe przyjęły tę wiadomość z zaskoczeniem, ale nikt nie był wstrząśnięty bardziej niż adwokaci od pozwów zbiorowych. W końcu zadusili kurę znoszącą złote jaja. Oscar Mulrooney, który śledził przebieg wypadków w Internecie, zamknął drzwi gabinetu. Zaufawszy jego wizjonerskim planom, kancelaria wydała dwa miliony dwieście tysięcy dolarów na reklamę i badania lekarskie, co zaowocowało zdobyciem dwustu piętnastu klientów. Zakładając, że każdy pozew był wart sto osiemdziesiąt tysięcy-

cy dolarów, zarobiliby co najmniej piętnaście milionów, co stanowiłoby podstawę do bardzo oczekiwanej premii na koniec roku.

Przez trzy miesiące nie zdołał nakłonić administratora do zatwierdzenia pozwów. Krążyły pogłoski o niesnaskach między niezliczonymi prawnikami i grupami konsumenckimi. Inni mieli kłopoty z odbiorem pieniędzy-

dzy, które były już ponoć dostępne.

Zlany potem, przez godzinę wydzwaniał do kolegów po fachu, próbował dodzwonić się do administratora, potem do sędziego. Jego najgorsze obawy potwierdził wreszcie adwokat z Nashville, który zebrał ponad tysiąc pozwów i złożył je przed Oscarem.

- Wycyckali nas - powiedział. - Pasywa Healthy Living są cztery razy większe od aktywów, a gotówki brak. Wycyckali nas.

Oscar uspokoił się, poprawił krawat, zapiął rękawy koszuli, włożył marynarkę i poszedł do Claya.

Godzinę później przygotował list do każdego z dwustu piętnastu klientów. Nie robił im fałszywych nadziei. Sytuacja wygląda fatalnie. Kancelaria będzie uważnie śledziła przebieg procesu bankructwa i stan firmy. Bę-

dzie też usilnie wykorzystywała wszystkie możliwe sposoby ściągnięcia należnych zobowiązań.

Jednakże nie ma zbyt wielkich powodów do optymizmu.

Dwa dni później Nora Tackett otrzymała list. Ponieważ listonosz ją znał, wiedział, że zmieniła adres. Mieszkała teraz w dwa razy szerszej przyczepie kempingowej bliżej miasta. Była w domu, jak zawsze, i pewnie oglądała jakiś serial na swoim nowym, wielkim telewizorze, jedząc niskokaloryczne ciasteczka. Listonosz włożył do jej skrzynki list z kancelarii

210

adwokackiej, trzy rachunki i kilka broszur reklamowych. Otrzymywała mnó-

stwo listów od prawników z Waszyngtonu i wszyscy mieszkańcy Larkin dobrze wiedzieli dlaczego. Początkowo mówiono, że dostanie z ugody sto tysięcy dolarów, ale potem Nora wspomniała w banku, że może być tego aż

dwieście. Tysięcy, rzecz jasna. Im dłuższej krążyła plotka, tym kwota była wyższa.

Earl Jeter - mieszkał na południe od miasta - sprzedał jej nową przyczepę na wieś, że wysokość odszkodowania sięgnie pół miliona dolarów i że Nora dostanie te pieniądze lada dzień. Poza tym jej siostra Mary Beth podpisała zobowiązanie do uregulowania płatności w terminie trzech miesięcy.

Listonosz wiedział, że pieniądze przysparzają Norze wielu różnych kłopotów. Każdy Tackett w okolicy wydzwaniał do niej, ilekroć potrzebował

pieniędzy na wyjście z aresztu za kaucją. Jej dzieci, a raczej dzieci, które wychowywała, zaczepiano w szkole, bo miały grubą i bogatą matkę. Ich ojciec, którego nie widziano w okolicy od dwóch lat, wrócił do miasta. U

fryzjera powiedział, że Nora jest najśłodszą kobietą, jaką kiedykolwiek poślubił. Ojciec Nory zagroził, że go zabije, właśnie między innymi dlatego jego córka zamknęła się na klucz i nie wychodziła z domu.

Termin zapłaty większości rachunków minął już dawno temu. Nie dalej jak w piątek ktoś w banku powiedział, że pieniędzy z ugody wciąż nie ma.

Więc gdzie się podziały? Pytanie to dręczyło wszystkich mieszkańców Larkin w Wirginii. MoŜe były w tej kopercie?

Nora wychyłała z przyczepy godzinę później, upewniwszy się, Ŝe nikogo w pobliŜu nie ma. Wyjęła listy ze skrzynki i poczłapała z powrotem.

Wielokrotnie dzwoniła do mecenasa Mulrooneya, ale nikt do niej nie oddzwonił. Sekretarka powiedziała, Ŝe mecenas wyjechał.

Do spotkania doszło późnym wieczorem, gdy Clay miał juŜ wychodzić.

Zacząło się nieprzyjemnie, a potem wcale nie było lepiej. Do gabinetu wpadł Crittle i z kwaśną miną oświadczył:

- Cofnęli nam ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej.

- Co takiego?! - wrzasnął Clay.

- Powiedziałem wyraźnie.

- I mówisz mi o tym akurat teraz? Spóźnię się na kolację.

- Rozmawiałem z nimi przez cały dzień.

Clay poprosił o czas, rzucił marynarkę na sofę i podszedł do okna.

- Ale dlaczego?

- Sprawdzili nasz bilans i się im nie spodobał. No i ten maxatil. Dwadzieścia cztery tysiące pozwów. Wpadli w przeraŜenie. UwaŜają, Ŝe to za duŜe ryzyko. Dziesięć milionów to kropla w morzu, więc dali nogę.

- Mogą tak?

211

- Oczywiście. Towarzystwo ubezpieczeniowe ma prawo wycofać się, kiedy zechce. Zapłacą karę, ale to betka. Jesteśmy goli, Clay.

- Nie potrzebujemy ubezpieczenia.

- Rozumiem, ale się martwię.

- O ile pamiętam, dyłofem teŜ się martwiłeś.

- Fakt, niepotrzebnie.

- Spokojnie, Rex. Co do maxatilu teŜ się mylisz. Kiedy Mooneyham wykończy ich we Flagstaff,

szybko pójdą na ugodę. JuŜ teraz odkładają miliardy na odszkodowania. Mamy dwadzieścia cztery tysiące pozwów.

Wiesz, ile są warte? Zgadnij.

- Dobra, zastrzel mnie.

- Prawie miliard. I Goffman ten miliard wypłaci.

- Wiem, ale trochę się niepokoję. A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Więcej wiary, przyjacielu. Te rzeczy wymagają czasu. Mooneyham zaczyna we wrześniu. Po procesie pieniądze popłyną szerokim strumieniem.

- Wydaliśmy osiem milionów na reklamę i badania. Nie moglibyśmy przynajmniej zwolnić? Dlaczego nie powiesz sobie, Ŝe dwadzieścia cztery tysiące pozwów wystarczy?

- Bo nie wystarczy. - Clay uśmiechnął się, wziął marynarkę, poklepał

Crittle'a po ramieniu i poszedł na kolację.

O wpół do dziewiątej był umówiony z kolegą ze studiów w Old Ebbitt Grill przy Piętnastej. Czekał w barze prawie od godziny, gdy w kieszeni zapiszczała komórka. Kumpel utknął na jakiejś naradzie i wyglądało na to, Ŝe nigdy z niej nie wyjdzie. Serdecznie go przeproszał, jak zwykle.

Wychodząc, Clay rozejrzał się po restauracji i zobaczył Rebeke, która jadła kolację z dwiema koleŜankami. Cofnął się, znalazł wolny stółek i za-mówił jeszcze jedno piwo. Znowu zrobiła na nim piorunujące wraŜenie i aŜ za dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Bardzo chciał z nią porozmawiać, ale wziął na wstrzymanie. Wystarczy, Ŝe przejdzie się do toalety.

Gdy przechodził obok jej stolika, podniosła głowę i natychmiast się uśmiechnęła. Ona przedstawiła go przyjaciółkom, on powiedział, Ŝe czeka w barze na przyjaciela. Przyjaciel się spóźnia, pewnie jeszcze to potrwa, ale nie chce paniom przeszkadzać.

- Cóż, lecę. Miło cię było widzieć, Rebeko.

Kwadrans później weszła do zatłoczonego baru i stanęła obok niego.

- Mam tylko chwilę - powiedziała. - Czekają na mnie. - Ruchem głowy wskazała wejście do restauracji.

- Ŝwietnie wyglądasz - odrzekł, mając ochotę ją pomacać.

- Ty teŜ.

- Gdzie Myers?

Wzruszyła ramionami, jakby miała to gdzieś.

- Pracuje. On ciągle pracuje.

- Jak ci się z nim Źyje?

- Bardzo samotnie - odrzekła, uciekając wzrokiem w bok.

Clay wypił łyk piwa. Gdyby nie tłum i nie czekające w sali przyjaciółki, wszystko by wyśpiewała. Miała mu tyle do powiedzenia. Nie układało im się! Z trudem powściągnął uśmiech.

- Wciąż czekam - powiedział.

Z wilgotnymi oczami nachyliła się i pocałowała go w policzek. I bez słowa odeszła.

ROZDZIAŁ 33

Gdy Ted Worley ocknął się z drzemki, Oriolesi przegrywali właśnie z Devil Raysami; Źe te Ź akurat z nimi i dlaczego a Ź sześć do zera? Pan Worley otworzył oczy i zastanawiał się przez chwilę, czy pójść do toalety ju Ź teraz, czy poczekać do siódmej rundy. Przespał całą godzinę, co było niezwykle, ponieważ ucinał sobie drzemkę o drugiej. Oriolesi owszem, przynudzali, ale nigdy dotąd nie zasnęli na ich meczu.

Po koszmarze z dyloftem zaczął dbać o swój pęcherz. Mało płynów, Źadnego piwa. I nigdy nie czekał do ostatniej chwili; jeśli musiał iść, od razu szedł. Mógł stracić kilka dobrych zagrywek, ale co z tego? Poszedł do małej toalety dla gości obok sypialni, gdzie w bujanym fotelu siedziała pani Worley z robótkami ręcznymi, które pochłaniały większość jej Źycia. Zamknął za sobą drzwi, rozpiął spodnie i zaczął siusiać. Poczł lekkie pieczenie, spojrzł w dół i omal nie zemdlął.

Mocz miał kolor rdzy. Pan Worley głośno sapnął i przytrzymał się ściany. Skończywszy, nie spuścił wody, tylko usiadł na muszli i siedział tak przez kilka minut, próbując się opanować.

- Co ty tam robisz?! - krzyknęła Źona.

- Nie twoja sprawa - odwarknął.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze.

Sę w tym, Źe bynajmniej tak się nie czuł. Podniósł pokrywę, jeszcze raz spojrzł na upiorną wizytówkę, którą właśnie wydalilo jego ciało, spu-

ścił wodę i wrócił do pokoju. Devil Raysi prowadzili ju Ź osiem do zera, ale chocia Ź mecz początkowo bardzo go interesował, teraz zupełnie przestał.

Dwadzieścia minut i trzy szklanki wody później wymknął się do piwnicy i zrobił siusiu w małej toalecie, jak najdalej od Sony.

213

To krew, orzekł. Guzki odrosły i były teraz o wiele groźniejsze niż przedtem.

sonie powiedział prawdę dopiero nazajutrz rano, przy grzankach z dsemem. Wolałby utrzymywać ją w niewiedzy jak najdłużej, ale byli ze sobą tak zsyćci, że wszelkie tajemnice, zwłaszcza te dotyczące zdrowia, szybko przestawały być tajemnicami. sona natychmiast przejęła dowództwo. Zadzwoiła do urologa i warcząc na sekretarkę, umówiła go na wizytę jeszcze tego samego dnia. Nie, to nagły przypadek, jutrzejszy dzień absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Cztery dni później w nerkach pana Worleya znaleziono złośliwe guzki.

Podczas pięciogodzinnej operacji lekarze usunęli te, które mogli znaleźć.

Ordynator wydziału urologii miał na niego oko. Przed miesiącem kolega chirurg ze szpitala w Kansas City doniósł mu o identycznym przypadku, o złośliwych guzkach w nerkach pacjenta, który przyjmował dyloft. Pacjent ten przechodził właśnie chemioterapię i szybko słabł.

Tego samego można było oczekiwać w przypadku pana Worleya, chociaż podczas pierwszego badania pooperacyjnego onkolog zachowywał dużą ostrość. Pani Worley jak zwykle robiła na drutach, narzekając na szpitalne jedzenie, które nie musiało być wspaniałe, ale dlaczego nie było przynajmniej ciepłe? Przy tych cenach? Ukryty pod prześcieradłem pan Worley oglądał telewizję. Litościwie ściszył dźwięk, gdy do sali wszedł onkolog, chociaż był zbyt smutny, żeby rozmawiać.

Wypiszą go mniej więcej za tydzień i gdy tylko nabierze sił, rozpoczną intensywną terapię, żeby zwalczyć raka. Kiedy wizyta dobiegła końca, pani Worley się popłakała.

Podczas kolejnej rozmowy z kolegą z Kansas City ordynator dowiedział się o jeszcze jednym przypadku. Wszyscy trzej pacjenci należeli do pierwszej grupy powodów skarżących producenta dyloftu. A teraz umierali. Pacjenta z Kansas City reprezentowała mała kancelaria adwokacka z Nowego Jorku.

Przekazać komuś nazwisko adwokata, który pozwie do sądu innego adwokata - doświadczenie to rzadkie i nader satysfakcjonujące, nic więc dziwnego, że ordynator z radością wykorzystał okazję. Wszedł do sali pana Worleya, przedstawił mu się, bo jeszcze się nie znali, i wyjaśnił swoją rolę w procesie terapii. Pan Worley miał dość lekarzy i gdyby nie rurki pętające jego udręczone ciało, zabrałby swoje rzeczy i wypisał się na własne sądanie. Rozmowa wkrótce zesłała na temat dyloftu, potem na temat ugody, jeszcze potem na szynny grunt profesji adwokackiej w ogólności. To starca wyraźnie rozpałiło. Dostał rumieńców, rozblęsył mu oczy.

Tę nędzną ugodę zawarł całkowicie wbrew swojej woli. Dostał marne czterdzieści trzy tysiące, a resztę zgarnął adwokat! Wydzwaniał do niego i wydzwaniał, wreszcie jakiś beczelny młokos kazał mu przeczytać uwagi 214

drobnym drukiem na dole jednej ze stron w pliku dokumentów, które podpisał. Była tam specjalna klauzula, wedle której adwokat miał prawo zawrzeć ugodę, jeśli tylko kwota odszkodowania przekroczyła określony - i bardzo niski - próg. Pan Worley wysmarował dwa siarczyste listy do mecenasa Claya Cartera, ale nie dostał Sądnej odpowiedzi.

- Nie chciałem się układać - powtarzał.

- Teraz już chyba za późno - powtarzała jego Sona.

- Nie całkiem - rzekł ordynator. Opowiedział im o pacjencie z Kansas City, o przypadku bardzo podobnym do przypadku pana Worleya. - Wynajął

adwokata, żeby oskarżyć tamtego adwokata - dodał z wyraźną satysfakcją.

- Adwokaci tyłkiem mi wyłażą - mruknął pan Worley. Lekarze też, ale tego już nie powiedział.

- Ma pan jego numer telefonu? - spytała pani Worley. Myślała o wiele trzeźwiej od męża. Choć to smutne, musiała również myśleć o latach, które czekały ją po jego ewentualnym odejściu.

Tak się przypadkiem złożyło, że ordynator numer miał.

Jedyną rzeczą, jakiej boi się fachowiec od pozwów zbiorowych, jest inny fachowiec od pozwów zbiorowych. Drapieśnik. Zdrajca, który śledzi każdy jego krok i czyha na błędy. Specjalista z nielicznego grona bardzo dobrych i koszmarnie zastraszonych prawników, którzy ścigają swych braci, zarzucając im uchybienia w zawieraniu uгод. Helen Warsaw pisała wła-

śnie dla nich podręcznik.

Jak na ludzi, którzy ponoć tak bardzo ukochali salę rozpraw, adwokatów od pozwów zbiorowych ogarniała dziwna słabość, ilekroć wyobrażali sobie, że siedzą oto za stołem obrony i spoglądają nieśmiało na przysię-

głych, podczas gdy ci otwarcie grzebią w ich finansach. Powołaniem Helen Warsaw było ich za tym stołem posadzić.

Jednakże bardzo rzadko do tego dochodziło. Hasła w rodzaju „Zaskarż-

my cały świat!” i „Kochamy przysięgłych!” najwyraźniej odnosiły się do wszystkich pozostałych. Gdy udowodniono im błąd, nikt nie szedł na ugodę tak szybko jak specjalista od zbiorówek. Nikt, nawet winny lekarz nie unikał sali rozpraw tak energicznie jak telewizyjno-billboardowy adwokat przyłapany na podbieraniu ugodowej śmietanki.

Warsaw miała czterech „dyłoftowców” i zamiary na trzech kolejnych, gdy zadzwoniła do niej pani Worley. Mała nowojorska kancelaria pani mecenas miała również akta Claya Cartera i o wiele grubszą teczkę z aktami Pattona Frencha. Helen Warsaw nieustannie monitorowała dwadzieścia najśłynniejszych firm prawniczych w kraju i przebieg kilkunastu największych procesów ugodowych. Obsługiwała mnóstwo klientów i nie narzekała na honoraria, ale nic nie ekscytowało jej tak bardzo

jak fiasko z dyloftem.

215

Wystarczyła chwila rozmowy z panią Worley i wiedziała już, o co chodzi.

- Będę u państwa o piątej - powiedziała.

- Dzisiaj?

- Tak, dziś po południu.

Złapała autobus na lotnisko Dullesa. Nie miała własnego samolotu z dwóch bardzo dobrych powodów. Po pierwsze, była oszczędna i uważała, że to rozrzutność. Po drugie, gdyby kiedykolwiek ją pozwano, nie chciała, żeby dowiedzieli się o nim przysięgli. Przed rokiem, podczas procesu jedyne go adwokata, którego zdołała zaciągnąć do sali rozpraw, pokazała im duże kolorowe zdjęcia jego jachtu, willi w Aspen i tak dalej. Przysięgli byli pod wrażeniem i przyznali klientowi dwadzieścia milionów dolarów odszkodowania za straty moralne.

Wynajęła samochód - nie limuzynę - i pojechała do szpitala w Bethesda. Pani Worley czekała na nią z dokumentami, które razem przejrzały, podczas gdy pan Worley ucinął sobie drzemkę. Gdy się obudził, nie chciał z nią rozmawiać. Nie ufał adwokatom, zwłaszcza nachalnym adwokatkom z Nowego Jorku. Jednakże jego siostra miała mnóstwo czasu i było jej łatwiej zwierzyć się kobiecie. Poszły razem na kawę, i długo gawędziły.

Nie ulegało wątpliwości, że najgłówniejszym winowajcą był i zawsze będzie Ackerman Labs. Wyprodukowali zły lek, pospiesznie załatwili zgodę na jego sprzedaż, intensywnie go reklamowali, odpowiednio nie przetestowali i zataili prawdę przed klientami. A teraz świat dowiadywał się, że dyloft jest jeszcze groźniejszy, niż przypuszczano. Pani mecenas zebrała już przekonujące dowody na to, że nawracające guzki mają bezpośredni związek z jego zażywaniem.

Drugim winowajcą, choć dużo mniejszym, był lekarz, który przepisał

dyloft. Polegał na opinii ekspertów Ackermana. Lek czyni cuda i tak dalej.

Niestety, zarówno pierwszy, jak i drugi winowajca zostali w pełni uwolnieni od odpowiedzialności w chwili, gdy pan Worley dołączył swój pozew do pozwu zbiorowego z Biloxi. Chociaż lekarza nie oskarżono, uwolnienie dotyczyło również jego.

- Ale Ted nie chciał się układać - powtarzała pani Worley.

Nieważne. Bo się ułożył. Udzielił adwokatowi pełnomocnictwa. Adwokat zrobił to w jego imieniu i w ten sposób stał się winowajcą numer trzy. Ostatnim, któremu mogli jeszcze dołożyć.

Tydzień później mecenas Warsaw wniosła pozew przeciwko J.

Clayowi

Carterowi,

F.

Patronowi

Frenchowi,

M.

Wesleyowi

Saulsberry'emu i wszystkim pozostałym, znanym tudzież nieznanym adwokatom, którzy przedwcześnie zawarli zbiorową ugodę z producentem dyłoftu. Główny powód, pan Ted Worley z Upper Marlboro w stanie Maryland, występował

216

w imieniu wszystkich pokrzywdzonych pacjentów, naonczas znanych jak i tych nieznanych. Pozew złożono w sądzie okręgowym dystryktu Kolumbia niedaleko kancelarii mecenasa J. Claya Cartera II.

Biorąc przykład ze swego przeciwnika, kwadrans po wyjściu z sądu Helen Warshaw przefaksowała jego kopię do kilkunastu najważniejszych gazet w Waszyngtonie.

Szorstki, przysadzisty goniec wszedł do recepcji i zaczął rozmowy z mecenasem Carterem.

- To pilne - podkreślił.

Odesłano go do sekretariatu, gdzie musiał stawić czoło pannie Glick.

Panna Glick w końcu wezwała szefa. Clay niechętnie wyszedł z gabinetu i przyjął dokument, który miał mu zepsuć dzień. Może nawet rok.

Jeszcze zanim skończył czytać, rozdzwoniły się telefony. Towarzyszył

mu Oscar Mulrooney; drzwi były zamknięte na klucz.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - wymamrotał Clay, boleśnie świadom, że nie poznał jeszcze wszystkich zasad gry w zbiorówki.

W zastawieniu dobrej pułapki nie było nic złego, ale firmy, które dotychczas skarżyły, wiedziały przynajmniej, że coś jest nie tak. Ackerman wiedział, że dyłoft jest lekiem wadliwym, zanim wypuścił go na rynek.

Przedstawiciele Hannów pojechali do hrabstwa Howard, żeby ocenić zasadność pozwów. Goffmana skarżył Dale Mooneyham, a pozostali prawnicy uważnie się temu przyglądali. Ale to? Clay nie miał

pojęcia, że Ted Worley ponownie zachorował. Z kraju nie nadchodziły żadne niepokojące wieści. To po prostu niesprawiedliwe.

Mulrooney był zbyt wstrząśnięty, żeby cokolwiek wykrztusić.

- Clay- powiedziała przez interkom panna Glick. - Jest tu reporter z

„Washington Post”.

- Zastrzel sukinsyna - warknął Clay.

- Czy to znaczy, że go nie przyjmiesz?

- Nie, do cholery!

- Powiedz, że go nie ma - wybełkotał Oscar.

- I wezwij ochronę - dodał Clay.

Tragiczna śmierć najbliższego przyjaciela nie wprawiłaby ich w bardziej ponury nastrój. Zastanawiali się, jak i kiedy zareagować. Napisać szybko wojownicze dementi? Przefaksować kopię do gazet? Pogadać z dzienni-karzami?

Nie podjęli żadnej decyzji, bo podjąć jej nie mogli. Piłeczka była po stronie przeciwnika; znaleźli się na obcym terytorium.

Oscar zgłosił się na ochotnika, żeby rozpuścić wiadomość wśród pracowników, przedstawić wszystko w lepszym świetle i podnieść ich morale.

- Jeśli zrobiłem błąd, to zapłacę - powiedział Clay.

217

- Oby tylko Worley był jedyny.

- Właśnie, Oscar, oto wielkie pytanie. Ilu Tych Worleyów jest?

Sen nie wchodził w grę. Ridley odnawiała willę w Saint Barth i Clay bardzo się z tego cieszył. Był poniżony i zawstydzony; przynajmniej o tym nie wiedziała.

Myślał o Tedzie Worleyu. Nie ze złością wprost przeciwnie. Bezpod-stawne zarzuty stanowiły nieodłączną część jego profesji, ale te robiły wra-

żenie uzasadnionych. Jego były klient nie twierdziłby, że ma raka, gdyby go nie miał. Raką tego wywołał zły lek, a nie prawnik. Ale to, że prawnik ten pospiesznie zawarł ugodę na sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów, podczas gdy sprawa była warta grube miliony, pachniało zachłannością i nadużyciem. Czy jest w tym coś dziwnego, że facet próbuje odpowiedzieć ciosem na cios?

Przez całą noc rozczulał się nad sobą, nad swoim urażonym ego. Roz-paczał, że pogrąży się całkowicie w oczach kolegów, przyjaciół i pracowników, że jego wrogowie będą skakać z radości. Bał się jutrzejszego dnia, publicznej chłosty w prasie i tego, że nikt go nie obroni.

Czasami wpadał w przerażenie. Czy naprawdę może wszystko stracić?

Czy to początek końca? Proces wyrze olbrzymie wrażenie na przysię-

łych - zyska na tym jego przeciwnik! Ilu jeszcze Worleyów na niego czyha? Każdy z nich to miliony dolarów.

Bzdura. Z dwudziestoma pięcioma tysiącami pozwów w sprawie maxatilu mógł wytrzymać wszystko.

Ale ciągle powracał myślą do Teda Worleya, klienta, którego zawiódł

jako prawnik. Dręczyło go tak wielkie poczucie winy, że chciał do niego zadzwonić z przeprosinami. Może napisze list. Dobrze pamiętał jego listy.

Czytając je, nieźle się z Jonaszem uśmieiali.

Kilka minut po czwartej nad ranem zaparzył pierwszy dzbanek kawy.

O piątej wszedł w Internet, żeby przeczytać „Posta”. W ciągu ostatniej doby nie doszło do ani jednego zamachu terrorystycznego. Do ani jednego morderstwa. Kongres miał wolne. Prezydent wyjechał na urlop. Nic się nie działo, więc dlaczego nie zamieścić na pierwszej stronie uśmiechniętej gęby króla masówek? KRÓL MASÓWEK POZWANY PRZEZ MASY, krzyczał na główek. W pierwszym akapicie napisano:

Waszyngtoński prawnik J. Clay Carter, tak zwany król masó-

wek, poznał wczoraj smak swego własnego lekarstwa, gdy pozwali go do sądu niezadowoleni klienci. Carterowi, który w minionym roku zarobił ponoć sto dziesięć milionów dolarów, pozew zarzuca przedwczesne zawarcie ugody i zaakceptowanie bardzo niskiego odszkodowania, podczas gdy każda z prowadzonych przez niego spraw była warta grube miliony.

218

W pozostałych ośmiu akapitach było jeszcze gorzej. Clay dostał silnego rozwolnienia, więc popędził do ubikacji.

Jego stary kumpel z „Wall Street Journal” wytoczył ciężką artylerię.

Pierwsza strona, lewa kolumna- ta sama ohydna karykatura i nagłówek: CZY KRÓL ZOSTANIE ZDETRONIZOWANY? Ton artykułu był taki, jakby Clay powinien zostać nie tylko zdetronizowany, ale i skazany na wieloletnie więzienie. Przedstawiciele wszystkich branż w Waszyngtonie mieli gotowe opinie na ten temat. I prawie wcale nie ukrywali radości. Cieszyli się z kolejnego pozwu - cóż za ironia. Prezes Krajowej Akademii Adwokackiej odmówił komentarza.

Odmówił komentarza! Przedstawiciel jednej, jedynej organizacji, która zawsze bez wahania występowała w obronie wszystkich adwokatów. W drugim akapicie wyjaśniło się dlaczego. Helen Warshaw była aktywną członkinią Nowojorskiej Akademii Adwokackiej. I miała imponujące kwalifikacje.

Licencjonowana adwokatka. Recenzentka przeglądu prawniczego na Uniwersytecie Columbia. Miała trzydzieści osiem lat, biegała dla zabawy w maratonach i opisywano ją jako prawniczkę „błyskotliwą i nieustępliwą”.

Zabójcza kombinacja, pomyślał Clay i znowu popędził do ubikacji.

Siedząc na muszli, zdał sobie sprawę, że tym razem prawnicy nie staną po jego stronie. To była kłótnia rodzinna. Nie mógł oczekiwać ani współ-

czucia, ani tego, że ktoś zechce go bronić.

Według anonimowych źródeł powodów było kilkunastu. Ale spodziewano się pozwu zbiorowego, ponieważ mogło ich być znacznie więcej.

- To znaczy ilu? - mruknął Clay, parząc drugi dzbanek kawy. - Ilu Worleyów na mnie dybie?

Mecenas Carter, lat trzydzieści dwa, był na razie nieuchwytny. Patton French oświadczył, że pozew jest „niepoważny”, co, według autora artykułu, było określeniem zapożyczonym od adwokatów co najmniej ośmiu firm, które pozwał w ciągu ostatnich czterech lat. French posunął się jeszcze dalej, twierdząc, że sprawa „pachnie spiskiem zorganizowanym przez zwolenników reformy systemu pozwoń zbiorowych oraz ich głównych popleczników: towarzystw ubezpieczeniowych”. Reporter złapał Pattona po kilku głębszych.

Clay musiał podjąć decyzję. Ponieważ miał rozwolnienie - jak najbardziej prawdziwe - mógłby zostać i przeczekać burzę w domu. Mógł też

wyjsc i stawić czoło okrutnemu światu. Miał szczerą ochotę połknąć jakąś pigułkę, paść na łóżko, zasnąć i obudzić za tydzień, gdy koszmar minie.

Albo wskoczyć do samolotu i polecieć do Ridley.

O siódmej był już w kancelarii. Z wesołą miną, z litrem kofeiny we krwi, dziarskim krokiem chodził po korytarzach, kpiąc, śmiejąc się i śartując, że w drodze sąju kolejni gońcy sądowi, zaraz zwali się do nich stado wścibskich reporterów, pozwы będą fruwać na wszystkie strony. Urządził

219

im wspaniałe, porywające przedstawienie, którego bardzo potrzebowali.

Na pewno podniosło ich na duchu.

Trwało prawie do południa, kiedy to przerwała je okrutnie panna Glick.

- Clay - powiedziała, wchodząc do gabinetu. - Znowu tych dwóch z FBI.

- Cudownie! - wykrzyknął, zacierając ręce, jakby miał ochotę im przy-

łóżyć.

Spooner i Lohse mieli na twarzy cierpki uśmiech i nie raczyli nawet podać mu ręki na powitanie. Clay zamknął drzwi i zacisnął zęby, powtarzając sobie w duchu, że musi grać dalej. Ale był już bardzo zmęczony. I ogarnął go strach.

Tym razem Lohse pytał, a Spooner notował. Najwidoczniej podobizna Claya Cartera na pierwszej stronie gazet przypominała im, że winni są mu drugą wizytę. Oto cena sławy.

- Pace się pokazał? - zaczął Lohse.

- Nie. - Clay nie kłamał. Chryste, jak bardzo potrzebował teraz jego rady.

- Na pewno?

- Ogluchł pan? - odparował Clay. Był gotów ich wyprosić, gdy tylko pytania staną się niewygodne. Byli tylko śledczymi, nie prokuratorami. -

Powiedziałem, że nie.

- Wiemy, że w zeszłym tygodniu wpadł do Waszyngtonu.

- Świetnie, ale ja go nie widziałem.

- Drugiego lipca zeszłego roku złożył pan pozew przeciwko Ackerman Labs, tak?

- Tak.

- Czy przed złożeniem pozwu posiadał pan ich akcje?

- Nie.

- Czy sprzedał pan ich akcje, a potem odkupił po niższej cenie?

Jasne że tak, za radą swego starego przyjaciela Maxa. Tamci dobrze o tym wiedzieli. Mieli wszystko, był tego pewien. Po ich pierwszej wizycie przejrzał wszystkie dostępne dane na temat nielegalnego handlu papierami wartościowymi i sprzedał poufnych informacji wewnętrznych. Był w szarej strefie, jego zdaniem, w strefie a nie bladej, lecz jeszcze legalnej. Patrząc wstecz, niepotrzebnie te akcje sprzedał. Strasznie tego żałował.

- Czy toczy się przeciwko mnie jakieś śledztwo? - spytał.

Spooner kiwnął głową, zanim Lohse zdążył powiedzieć:

- Tak.

- W takim razie dziękuję panom za rozmowę. Skontaktuje się z wami mój adwokat. - Clay wstał i ruszył do drzwi.

220

ROZDZIAŁ 34

Na miejsce spotkania adwokackiego komitetu nadzorczego pozwany Patton French wybrał hotel w centrum Atlanty, gdzie uczestniczył w kolejnym seminarium na temat, jak zbić fortunę na firmach farmaceutycznych. Spotkanie zwołano w trybie pilnym.

French mieszkał oczywiście w apartamencie prezydenckim, ciągu jar-marcznie urządzonych pokoiów na najwyższym piętrze hotelu, i właśnie tam się spotkali. Spotkanie było niezwykle, ponieważ nikt nie wymieniał

uwag na temat ostatnio zakupionych samochodów czy rancz. Nic z tych rzeczy. śaden z nich nie miał teŝ ochoty przechwalać się najnowszymi zwycięstwami sądowymi. Od chwili gdy Clay wszedł do salonu, atmosfera była napięta i juŝ się nie poprawiła. Bogaci chłopcy byli przeraŝeni.

I mieli ku temu dobre powody. Carlos Hernandez z Miami wiedział o siedmiu pacjentach z grupy pierwszej, którzy chorowali teraz na złośliwego raka nerek. Ludzie ci złoŝyli pozew zbiorowy i reprezentowała ich Helen Warshaw.

- Wyskakują wszędzie jak grzyby po deszczu. - Carlos mówił gorączkowo i wyglądał tak, jakby nie spał od wielu dni. Zresztą cała piątka robiła wraŝenie przybitych i znuŝonych.

- To bezwzględna suka - rzucił Wes Saulsberry i pozostali zgodnie pokiwali głowami. Pani mecenas Warshaw musiała być postacią legendarną. Tylko nikt nie uprzedził o tym Claya. Wesa skarŝyło czterech byłych klientów. Damiana Didiera trzech. Frencha pięciu.

Claya tylko jeden, co mógłby przyjąć z niejaką ulgą, lecz była to ulga krótkotrwała.

- Nie, skarŝy cię siedmiu - powiedział Patton, wręczając mu wydruk z jego nazwiskiem na górze listy byłych klientów, a obecnie powodów.

- Wicks z Ackermana mówi, ŝe lista będzie dłuŝsza - dodał.

- Jaki nastrój w Ackermanie? - spytał Wes.

- Są w szoku. Ich lek zabija ludzi na lewo i prawo. Ci z Philo woleliby nigdy o nich nie słyszeć.

- Ja teŝ - mruknął Didier, posyłając Clayowi paskudne spojrzenie z cyklu: „To twoja wina”.

Clay spojrzał na listę. Poza nazwiskiem Teda Worleya nie rozpoznał

Sadnego. Kansas, Dakota Południowa, Maine, dwóch z Oregonu, Georgia, Maryland. Jak to się stało, że ich reprezentował? Idiotyczny sposób praktykowania prawa: oskarżać i układać się w imieniu ludzi, których w ogóle nie znał! A teraz oni oskarżali jego!

- Na pewno mają mocne dowody medyczne? - pytał Wes. - Nie moglibyśmy zaważczyć i spróbować udowodnić, że ten rak nie jest związany z 221

z dyloftem? Gdyby nam się udało, mielibyśmy to z głowy, Ackerman też.

Nie lubię sypiać z błaznami, a my wylądowaliśmy w ich łóżku.

- Nie - odrzekł French. - My daliśmy dupy. - Czasami bywał boles-

nie szczery. I słusznie, po co tracić czas. - Wicks mówi, że dyloft jest groź-

niejszy niż kula w łeb. Poodchodzili od nich niemal wszyscy badacze i naukowcy. Wielu zrujnowało sobie karierę. Firma może upaść.

- Philo?

- Tak. Kupując Ackermana, myśleli, że jakoś z tym burdelem sobie poradzą. Teraz wygląda na to, że druga i trzecia grupa pacjentów będzie znacznie liczniejsza i kosztowniejsza. Robią w gacie.

- My też - mruknął Carlos i spojrzał na Claya, jakby uważał, że kula ta należy się jemu.

- Jeśli tak, w żaden sposób się nie wybronimy - powiedział Wes, stwierdzając rzecz oczywistą.

- Musimy negocjować - odparł Didier. - Tu chodzi o nasze być albo nie być.

- Ile mogą zażądać? - spytał Clay, który wciąż jeszcze mógł mówić.

- Od przysięgłych? - odrzekł French. - Od dwóch do dziesięciu milionów, zależy od uszczerbku na zdrowiu.

- Oj, więcej - powiedział Carlos.

- Mnie w sądzie nie zobaczą - wtrącił Didier. - Nie z takimi faktami.

- Powodowie mają średnio sześćdziesiąt osiem lat i są na emeryturze

- mówił Wes. - Z ekonomicznego punktu widzenia ich śmierć nie jest dużą stratą. Najwięcej kosztować nas będzie ból i cierpienie. Gdyby nie to, można by ułożyć się z nimi na milion od pozwu.

- Co ty powiesz - warknął Didier.

- To, co mówię - odwarknął Wes. - Ale postaw przed sądem bandę chciwych speców od zbiorówek i odszkodowanie natychmiast wzrośnie.

- Wolałbym już raczej siedzieć na miejscu powoda - powiedział Carlos, przecierając zmęczone oczy.

Clay zauważył, że jak dotąd nie wypili ani kropli alkoholu. ślotali tylko kawę i wodę. Chętnie wypiłby kieliszek jednej z leczniczych mikstur Frencha.

- Nasz pozew prawdopodobnie upadnie - mówił Patton. - Wszyscy chcą się wycofać. Jak dobrze wiecie, niewielu klientów z grupy drugiej i trzeciej odebrało pieniądze i z oczywistych powodów nie chcą mieć z nami nic wspólnego. Znam co najmniej pięć zespołów adwokackich, które są gotowe poprosić sąd o unieważnienie pozwu i nas wykopać. Zupełnie im się nie dziwię.

- Musimy zawalczyć - odparł Wes. - Chodzi o nasze honoraria. Na pewno się nam przydadzą.

222

Ale nie byli w nastroju do walki, przynajmniej na razie. Bez względu na to, jakimi dysponowali pieniędzmi, każdy z nich miał stracha. Clay głównie słuchał, z zaciekawieniem obserwując, jak reagują. Patton French, najbogatszy z nich wszystkich, był pewny, że wytrzyma ten finansowy ciężar.

Podobnie Wes, który zarobił pół miliarda na tytoniu. Carlos, zadziorny i wojowniczy, chwilami nerwowo się wiercił. Natomiast Didier był przerażony.

Każdy miał więcej pieniędzy niż Clay, a na Claya dybało więcej powodów niż na każdego z nich. Obliczenia nie przypadły mu do gustu.

Założył, że średnie odszkodowanie wyniesie trzy miliony dolarów.

Gdyby na liście nie przybyło nazwisk, cała afera kosztowałaby go dwadzieścia milionów. Ale jeśli nazwisk przybędzie...

Spytał ich o ubezpieczenie i zaszokowany usłyszał, że 'Saden ubezpieczony nie jest. Towarzystwa ubezpieczeniowe zrezygnowały' z nich już przed laty.

Bali się specjalistów od zbiorówek. Dyłoft najlepiej tłumaczył dlaczego.

- Ciesz się z tych dziesięciu baniek - powiedział Wes. - O tyle mniej stracisz.

Spotkali się w sumie jedynie po to, żeby popsioczyć i ponarzekać. Byli nieszczęśliwi i pragnęli czyjeś towarzystwa, choć tylko na krótko. Uzgodnili, że w bliżej nieokreślonej przyszłości spotkają się z Helen Warshaw, by delikatnie wy badać możliwość zawarcia ugody. Tymczasem mecenas Warshaw nie ukrywała, że ugody nie chce. Chciała procesu, całej serii procesów, wielkich, twardych, jarmarcznych spektakli, podczas których wszyscy byli i obecni królowie masówek zostaliby postawieni przed przysięg-

łymi i rozebrani do naga.

Clay spędził popołudnie i noc w Atlancie, gdzie nikt go nie znał.

Pracując w Urzędzie Obrońcy Publicznego, przeprowadził setki przesłuchań wstępnych, niemal zawsze w więzieniu. Rozkręcały się bardzo powoli, ponieważ oskarżony, zwykle Murzyn, nie wiedział, ile może sprzedać swemu białemu obrońcy. Rozmowa na temat dzieciństwa ich rozluźniała, jednak podczas pierwszego spotkania rzadko kiedy ujawniali fakty i szczegóły dotyczące samego przestępstwa.

Na ironię zakrawało to, że Clay, biały pozwany, szedł teraz na pierwszą rozmowę ze swoim czarnoskórym obrońcą. Zack Battle brał siedemset pięćdziesiąt dolarów za godzinę, więc czekała go niespodzianka - będzie musiał szybko słuchać. Śadnych uników, śadnych uskoków, śadnej walki z cieniem, nie za tę stawkę. Dowie się prawdy, i to w takim tempie, że nie nadąży notować.

Ale Battle chciał najpierw poplotkować. On i Jarrett byli przed laty kumplami od kieliszka, na długo przed tym, niż Zack otrzeźwiał, żeby zostać najbardziej wziętym obrońcą w sprawach karnych w Waszyngtonie.

Och, jakie historie, mógłby opowiedzieć o jego ojcu...

223

Ale nie za siedemset pięćdziesiąt dolarów za godzinę, pomyślał Clay.

Zatrzymaj ten przeklęty zegar i będę cię słuchał w nieskończoność.

Okna gabinetu wychodziły na park Lafayette'a i na Biały Dom w tle.

Uchławszy się kiedyś z Jarrettem, postanowili strzelić sobie piwko z wło-

częgami i bezdomnymi z parku. Gliniarze wzięli ich za zboczeńców szukających rozrywki. Dwaj pijani prawnicy zostali aresztowani i musieli pociągnąć za wszystkie sznurki, żeby sprawa nie trafiła do gazet. Clay się śmiał, bo co innego mógł zrobić.

Battle zrezygnował z wódki na korzyść fajki i w gabinecie cuchnęło zastałym dymem. Jak się miewa ojciec? Clay szybko odmalował bogaty, niemal romantyczny obraz Jarretta opływającego jachtem świat.

Gdy wreszcie przeszli do rzeczy, opowiedział mu o dylofcie, od Maxa Pace'a poczynając, na agentach FBI kończąc. O tarwanie nie wspomniał, chociaż w razie konieczności gotów był wspomnieć. To dziwne, ale Zack niczego nie notował. Po prostu słuchał, marszcząc czoło, paląc fajkę, od czasu do czasu spoglądając w zadumie w dal, lecz ani razu nie zdradzając, o czym myśli.

- Ten skradziony raport Pace'a. - Battle zamilkł i pyknął z fajki. - Miał

go pan, sprzedając akcje i składając pozew?

- Oczywiście. Musiałem wiedzieć, czy udowodnię Ackermanowi winę, gdyby sprawa trafiła do sądu.

- W takim razie mamy do czynienia z nielegalnym wykorzystaniem poufnych informacji

wewnętrznych. Popełnił pan przestępstwo. Pięć lat paki. Pytanie: czy federalni mogą to panu udowodnić?

Gdy serce ponownie ruszyło, Clay odrzekł:

- Gdyby dowiedzieli się tego od Maxa, to chyba tak.
- Kto jeszcze jest w posiadaniu tego raportu?
- Patton French. Możliwe, że kilku jego kolegów.
- Czy Patton French wie, że dysponował pan tymi informacjami przed złożeniem pozwu?
- Nie mam pojęcia. Nigdy mu o tym nie mówiłem.
- A więc ten Pace jest jedyną osobą, która może pana zrobić.

Sprawa była bardzo prosta. Clay przygotował pozew, ale nie chciał go złożyć, dopóki Max nie dostarczy mu solidnych dowodów. Kilka razy się o to posprzeczali. Któregoś dnia Pace przyszedł do niego z dwiema grubymi teczkami i powiedział: „Masz. Jakby co, ja ci tego nie dałem”. I natychmiast wyszedł. Clay przejrzał dokumenty i poprosił przyjaciela o ich ocenę. Przyjaciel był znanym lekarzem w Baltimore.

- Ten lekarz - spytał Battle. - Można mu zaufać?

Zanim Clay zdążył odpowiedzieć, Zack odpowiedział za niego.

224

- Wszystko sprowadza się do jednego. Jeśli federalni nie wiedzą, że miał pan ten tajny raport, gdy sprzedawał pan akcje, nie mogą oskarżyć pana o wykorzystanie poufnych informacji wewnętrznych. Mają wyciągi z transakcji, ale to za mało. Muszą dowieść, że pan wiedział.
- Mam porozmawiać z tym przyjacielem?
- Nie. Jeśli FBI o nim wie, facet może być na podsłuchu. Zamiast na pięć, poszedłby pan do więzienia na siedem lat.
- Czy mógłby pan przestać o tym mówić?
- Jeśli natomiast FBI o nim nie wie, może pan niechcący go im wystawić. Pewnie pana obserwują. Możliwe, że założyli podsłuch w pańskich telefonach. Na pana miejscu pozbyłbym się tego raportu. Mogą przyjść z nakazem rewizji, więc oczyściłbym komputery. I modliłbym się, żeby ten Pace albo już nie był, albo zwiął do Europy.
- Coś jeszcze? - spytał Clay, gotów paść na kolana choćby zaraz.

- Niech pan jedzie do Frencha i zrobi wszystko, żeby nie trafili przez ten raport do pana. Jak słyszę, ci od dyloftu właśnie ruszyli do boju.

- Podobno.

Adres zwrotny był adresem więzienia. Chociaż wielu jego klientów siedziało za kratkami, Clay nie pamiętał nikogo nazwiskiem Paul Watson.

Otworzył kopertę i wyjął z niej jednostronicowy list, starannie napisany na komputerze.

Szanowny Panie Mecenasie!

Być może pamięta mnie Pan jako Tequilę Watsona. Zmieniłem imię, ponieważ to stare już do mnie nie pasuje. Codziennie czytam Biblię i najbardziej lubię apostoła Pawła, dlatego przyjąłem jego imię. Jest tu notariusz, więc zrobiłem to zgodnie z prawem.

Proszę Pana o przystupę. Gdyby mógł Pan skontaktować się

jakoś z rodziną Dyni i przekazać im, jestem bardzo wdzięczny tego, co zrobiłem. Modliłem się do Boga i Bóg mi wybaczył. Człubym się

dużo lepiej, gdyby jego rodzina też mogła mi wybaczyć. Ciągle nie wierzę, jestem tak po prostu go zabiłem. To nie ja strzelałem, tylko diabeł. Ale to żadne wytłumaczenie. Nie mogę pamiętać. Tu jest dużo prochów, dużo o różniakach, ale Bóg codziennie mnie chroni.

Byłoby fajnie, gdyby Pan do mnie napisał. Dostaję mało listów.

Przykro mi, jestem przestał Pan być moim adwokatem. Zawsze uważa-

łem, jestem równy z Pana facet. Z najlepszymi życzeniami Paul Watson

225

- Tylko zaczekaj, Paul - wymamrotał do siebie Clay. - Jak tak dalej pójdzie, niedługo będziemy kumplami spod celi.

Drgnął na dźwięk telefonu. Dzwoniła Ridley z Saint Barth. Chciała już

wracać - czy Clay mógłby podesłać jej samolot?

Nic ma problemu, skarbie. Godzina lotu kosztuje tylko trzy tysiące dolarów. Cztery godziny w jedną, cztery w drugą stronę: dwadzieścia cztery tysiące za szybką podróż, ale była to kropla w morzu w porównaniu z tym, co Ridley wydawała na wille.

ROZDZIAŁ 35

Przeciek da ci życie, przeciek cię zabije. Clay grał w tę grę kilka razy, przekazując dziennikarzom

soczyste ploteczki - prywatnie, rzecz jasna - a potem wygłaszając triumfalne: „Bez komentarza”, które drukowano kilka linijek pod tym, co im sprzedał nieoficjalnie. Wtedy świetnie się bawił, teraz go to bolało. Nie wyobrażał sobie, żeby ktoś mógł zawstydzić go jeszcze bardziej.

Ale przynajmniej go ostrzeżono. Reporter z „Posta” zadzwonił do kancelarii, gdzie skierowano go do mecenasa Zacka Battle'a. Battle udzielił

mu standardowych odpowiedzi. Potem zadzwonił do Claya i streścił mu przebieg rozmowy.

Wywiad zamieszczono na trzeciej stronie działu miejskiego, co było miłą niespodzianką po wielu miesiącach pierwszostronicowych artykułów reklamujących jego bohaterskie wyczyny, a potem skandale. Ponieważ dysponowali małą ilością faktów, musieli czymś wypełnić miejsce, a czym, jeśli nie jego zdjęciem. KRÓL MASÓWEK PODEJRZANY. „Według anonimowych źródeł...” Zack znał wiele takich cytatów i Clay czuł się coraz bardziej winny. Gdy czytał artykuł, przypomniało mu się, jak Battle zaprzecza zarzutom, jak je odpiera, jak obiecuje zażartą walkę, zawsze broniąc największych łajdaków w mieście. Im większy łajdak, tym szybciej biegł do jego kancelarii i Clay pomyślał - po raz pierwszy - że może powinien był wybrać innego adwokata.

Przeczytał artykuł w domu, dzięki Bogu sam, bo Ridley wyniosła się na kilka dni do nowego mieszkania, które dla niej wynajął. Chciała mieć wolność wyboru i mieszkać w dwóch miejscach naraz, u siebie i u niego, a ponieważ jej stare mieszkanie było dość ciasne, zgodził się załatwić ładniejsze. Wolność wyboru wymagała również istnienia trzeciego miejsca -

willi w Saint Barth, którą zawsze nazywała „naszą”.

226

Nie czytała gazet. Zdawało się, że niewiele wie o jego problemach.

Coraz bardziej skupiała się na wydawaniu pieniędzy, nie wykazując najmniejszego zainteresowania tym, jak je zarabiał. Jeśli widziała artykuł na trzeciej stronie, ani słowem o tym nie wspomniała. On też nie.

Upływał kolejny zły dzień i Clay uświadomił sobie nagle, jak niewielu ludzi na ten artykuł zareagowało. Zadzwonił jeden, dosłownie jeden kumpel ze studiów, próbując go pocieszyć, to wszystko. Clay mu podziękował, lecz telefon niewiele pomógł. Gdzie się podziiali inni przyjaciele?

Chociaż robił wszystko, żeby tę myśl odpędzić, ciągle stawał mu przed oczami obraz Rebeki i Van Hornów. Nie ulegało wątpliwości, że poziele-nieli z zazdrości i pochorowali się z żalu, gdy ukoronowano go na nowego króla masówek; zdawało się, że od tamtej pory upłynęło ledwie kilka tygodni. Co myśleli o nim teraz? Mam to gdzieś, powtarzał sobie setki razy. Ale skoro miał to gdzieś, dlaczego nie mógł przestać o nich myśleć?

W południe wpadła Paulette Tullos, co trochę podniosło go na duchu.

Wyglądała wspaniale: schudła, była elegancko ubrana. Od kilku miesięcy podróżowała po Europie, czekając na rozwód. O Clayu plotkowały wszystkie gazety i bardzo się o niego martwiła. Podczas

długiego lunchu, który mu postawiła, wyszło na jaw, że martwi się również o siebie. Dostała za dyloft nieco ponad dziesięć milionów i chciała wiedzieć, czy nic jej teraz nie grozi. Clay zapewnił ją, że nie. Gdy zawierali ugodę, nie była jego współniczką, tylko zwykłą pracownicą. Na wszystkich dokumentach figurowało jego nazwisko.

- Byłaś mądra - powiedział. - Wzięłaś pieniądze i zwiłaś.

- Mam wyrzuty sumienia.

- Niepotrzebnie. To ja popełniłem błąd, nie ty.

Chociaż dyloft miał go słono kosztować - do zbiorowego pozwu Helen Warshaw przystąpiło już co najmniej dwudziestu klientów - przecieże zgarnie cięski szmal za maxatil. Zebrał dwadzieścia pięć tysięcy pozwów i czekało go potężne honorarium.

- Droga jest trochę wyboista, ale potem będzie dużo lepiej. Za rok otworzymy tu kopalnię złota.

- A federalni? - spytała.

- Nic na mnie nie mają.

Chyba to kupiła, bo wyraźnie jej uśmieło. Jeśli tak, była jedyną osobą przy stoliku, która uwierzyła w to, co mówił.

Trzecie spotkanie miało być ostatnim, chociaż ani Clay, ani nikt inny po jego stronie stołu nie zdawał sobie z tego sprawy. Tym razem Joel Hanna przyprowadził swego kuzyna Marcusa, dyrektora naczelnego i prezesa spółki, zostawiwszy w domu Babcocka, ich ubezpieczyciela. Jak zwykle 227

musieli stawić czoło armii adwokatów i asystentów dowodzonej przez JCC.

Przez samego króla.

Po krótkiej rozgrzewce Joel oznajmił:

- Znaleźliśmy jeszcze osiemnaście domów, które trzeba dodać do listy. Tak więc w sumie jest ich dziewięćset czterdzieści. Jesteśmy przekonani, że więcej nie będzie.

- Bardzo dobrze - odrzekł bezdusznie Clay. Im dłuższa lista, tym więcej klientów i większe odszkodowanie. Miał prawie dziewięćdziesiąt procent pozwów, kilka innych adwokackich hien czyhających w pobliżu zebrało ledwie dziesięć. Odpowiedzialna za Hannów grupa odwalila kawał znakomitej roboty, przekonując właścicieli domów, by im zaufali. Zapewnili ich, że dostaną więcej pieniędzy, ponieważ mecenas Carter jest specjalistą od pozwów zbiorowych. Każdy potencjalny klient otrzymał profesjonalnie opracowany pakiet przedstawiający dotychczasowe osiągnięcia najnowszego króla maso-

wek. Była to bezwstydną reklama, ale cóż, takie obowiązywały teraz reguły.

Podczas ostatniego spotkania Clay zmniejszył swoje żądania z dwudziestu pięciu do dwudziestu dwóch i pół tysiąca dolarów za dom, co przyniosłoby mu około siedmiu i pół miliona dolarów dochodu. Hannowie za-proponowali siedemnaście tysięcy, chociaż gdyby na tym stanęło, musieliby się zadłużyć do granic możliwości.

Obstając przy trzydziestoprocentowej prowizji, przy siedemnastu tysiącach od domu mecenas JCC zarobiłby cztery miliony osiemset tysięcy.

Gdyby jednak obniżył prowizję do bardziej rozsądnego progu dwudziestu procent, każdy klient dostałby trzysta tysięcy sześćset dolarów. Tego rodzaju obniżka zmniejszyłaby dochód JCCo mniej więcej półtora miliona. Marcus Hanna znalazł cieszącego się dobrą reputacją wykonawcę, który dokonałby napraw za trzysta i pół tysiąca dolarów od domu.

Podczas ostatniego spotkania okazało się również, że kwestia adwokackiego honorarium jest co najmniej równie ważna, jak kwestia zrekompensowania strat właścicielom. Jednakże od ich ostatniej niasiadówki gazety opublikowały kilkanaście artykułów niezbyt przychylnych mecenasowi. Dlatego kancelaria nie zamierzała dyskutować o ewentualnej obniżce honorariów.

- A więc nie ustąpicie? - rzucił bezpardonowo Clay.

Zamiast powiedzieć „nie”, Joel wygłosił krótką przemowę, przedstawiając kroki, jakie spółka podjęła, aby ponownie ocenić swoją sytuację finansową, wysokość ubezpieczenia i zdolność do zaciągnięcia ośmiomilionowego kredytu, bez którego nie daliby sobie rady. To smutne, ale nie, nic się w sumie nie zmieniło. Interesy szły kiepsko, koniunktura spadała. Mieli mało zamówień. Domów budowano jeszcze mniej, przynajmniej na ich terenie.

Im szło źle, ale tym zasiadającym po drugiej stronie stołu szło niewiele lepiej. Z dnia na dzień Clay zrezygnował z kampanii reklamowej maxatilu, 228

co wszyscy pracownicy kancelarii powitali z wielką ulgą. Rex Crittle pracował do późnej nocy, aby maksymalnie zredukować koszty ogólne, chociaż JCC wciąż nie uznawał tak radykalnych koncepcji. Crittle poruszył

nawet temat zwolnień grupowych, co spowodowało szefa do wybuchu gniewu. Wpływy były niemal zerowe. Zamiast zbić kolejną fortunę, na fiasku z Chudym Benem stracili grube miliony. A teraz, gdy do Helen Warshaw trafiało coraz więcej „dyloftowców”, kancelarii groził upadek.

- A więc nie ustąpicie? - powtórzył Clay, gdy Joel skończył.

- Nie. Siedemnaście tysięcy to dla nas maksimum. A wy?

- Uwaga, że dwadzieścia dwa tysiące pięćset to uczciwa propozycja - odparł bez mrugnięcia okiem Clay. - Jeśli wy nie ustąpicie, nie ustąpiemy i my. - Głos miał twardy jak stal. Jego podwładni byli pod wrażeniem, lecz chcieliby dojść do jakiegoś kompromisu. Ale nie. Clay myślał o Pattonie Frenchu, który w pokoju pełnym waniaków z Ackermana warczał, straszył ich i terroryzował, w pełni panując nad sytuacją. Był przekonany, że jeśli jeszcze mocniej przyprze ich do muru, Hannowie

w końcu ustąpią.

Jedynym podwładnym, który głośno wyraził swoje wątpliwości, był Ed Wyatt, prawnik, szef grupy odpowiedzialnej za pozew przeciwko cementowni. Przed spotkaniem uprzedził Claya, że jego zdaniem Hannowie skorzysta-liby bardzo, uciekając się do rozdziału jedenastego ustawy o prawie upadło-

ściowym. Zawarcie ugody z właścicielami domów zostałoby odłożone do czasu, a syndyk przejrzałby wszystkie pozwy i ustalił wysokość odszkodowania. Wyatt uważał, że w tym przypadku powodowie mieliby dużo szczę-

ścia, gdyby dostali po dziesięć tysięcy dolarów na głowę. Ale Hannowie plajtą im nie grozili, co w tej sytuacji byłoby zupełnie normalne. Clay przejrzał

ich księgi i uznał, że mają zbyt duże aktywa i że są zbyt dumni, by posunąć się do tak drastycznego kroku. Rzucił wszystko na jedną szalę. Kancelaria potrzebowała pieniędzy i musiała wycisnąć z nich, ile się da.

- W takim razie pora z tym skończyć - powiedział gwałtownie Marcus Hanna. Wrzucili dokumenty do teczek i jak burza wyszli z sali. Wychodząc, Clay też trzasnął drzwiami, by pokazać swoim żołnierzom, że ma to gdzieś.

Dwie godziny później w sądzie upadłościowym wschodniego obwodu stanu Pensylwania spółka Hanna Portland Cement złożyła wniosek o upadłość, szukając obrony przed wierzycielami, z których największym była grupa powodów reprezentowana przez J. Claya Cartera II z Waszyngtonu.

Któryś z Hannów najwyraźniej też rozumiał znaczenie przecieku. „Baltimore Press” opublikowała długi artykuł o bankructwie spółki i o pierwszych reakcjach właścicieli domów. Szczegóły były zabójczo dokładne, co stanowiło dowód, że ktoś biorący bezpośredni udział w negocjacjach gadał

na boku z pismakami. Spółka zaproponowała siedemnaście tysięcy dolarów 229

na klienta; według najbardziej zawyżonych wycen, naprawa jednego domu kosztowałaby piętnaście. Można by zawrzeć sprawiedliwą ugodę, gdyby nie kwestia wynagrodzenia dla adwokata. Hannowie od samego początku przyznawali, że ponoszą całkowitą winę za straty wynikłe z zastosowania cementu z wadliwej partii. Od samego początku wyrażali też chęć zaciągnięcia wysokiego kredytu i pokrycia wszelkich strat. I tak dalej.

Właściciele domów byli bardzo niezadowoleni. Reporter pojechał na przedmieścia, gdzie zorganizowano na poczekaniu spotkanie w warsztacie.

żeby sam mógł ocenić wielkość strat, pokazano mu kilka domów. Zebrał

mnóstwo komentarzy:

- Powinniśmy byli dogadać się bezpośrednio z Hannami.

- Oglądali nasze domy, zanim przyszedł tu ten prawnik.

- Jeden murarz powiedział, że za jedenaście tysięcy rozebrałby stare i położył nowe cegły. A my nie chcieliśmy wziąć siedemnastu? Nie rozumiem.

- Nigdy tego prawnika nie widziałem.

- O tym całym pozwie dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy facet go złożył.

- Nie chcieliśmy, żeby Hannowie splajtowali.

- Nie, to równi faceci. Próbowali nam pomóc.

- Można tego prawnika pozwać do sądu?

- Próbowałem się do niego dodzwonić, ale linie są zajęte.

Reporter czuł się zobowiązany napisać coś o samym Clayu Carterze i oczywiście zaczął od honorarium za dyloft. Potem było jeszcze gorzej.

żeby zilustrować czymś tekst, zamieścił trzy zdjęcia; pierwsze przedstawiało jednego z właścicieli domów pokazującego wypadające ze ściany cegły, drugie - spotkanie w warsztacie, trzecie - Claya w smokingu i Ridley w pięknej sukni pozujących w Białym Domu przed uroczystą kolacją. Ona była oszałamiająca, on całkiem przystojny, chociaż w tym kontekście trudno było stwierdzić, jak bardzo atrakcyjną tworzą parę.

Tandeta i tyle.

„Mecenas Carter, na zdjęciu powyżej, przed kolacją w Białym Domu, był nieosiągalny”.

No jasne, pomyślał Clay. W życiu mnie nie dorwiecie.

I tak rozpoczął się kolejny dzień w kancelarii. Telefony dzwoniły non stop, bo zirytowani klienci chcieli na kogoś nawrzeszczyć. W holu stał ochroniarz, tak na wszelki wypadek. Pracownicy plotkowali w grupkach o upadło-

ści firmy. Każdy snuł jakieś domysły. Szef zamknął się w gabinecie. Nie było nic do roboty, bo mieli tylko gigantyczny stos akt z maxatylem, a ponieważ

Goffman nie odpowiadał na telefony, mogli jedynie na nie patrzeć.

Nabijało się z niego i szydziło całe miasto, chociaż nie wiedział o tym, dopóki nie zajrzał do „Baltimore Press”. To trwało już jakiś czas. Zaczęło 230

się od „dyloftowych opowieści” w „Wall Street Journal”: kilka faksów tu, kilka faksów tam, tak żeby ci, którzy znali Claya z ogólniaka, ze studiów czy z UOP - albo ci, którzy znali jego ojca - na pewno wszystko przeczytali. Nasiliło się, gdy „American Attorney” umieścił go na ósmym miejscu

najlepiej zarabiających prawników w kraju: jeszcze więcej faksów, jeszcze więcej e-maili i kilka dowcipów dodało temu pikanterii. Jeszcze większą popularność zyskał, gdy Helen Warshaw złoŜyła swój ohydny pozew. Któr-

rys z adwokatów - pewnie miał za duŜo czasu - nazwał go „królem szortów”. On wsadził kartkę do faksu, a ktoś inny, najwidoczniej facet z arty-stycznym zacięciem, dorysował pod napisem toporną karykaturę nagiego, przeraŜonego Claya z bokserkami na kostkach. KaŜda nowa wiadomość prowokowała nową serię wygłupów. Redaktor lub redaktorzy ściągałi je z Internetu i w formie biuletynu informacyjnego rozsyłali na prawo i lewo.

Wielkim wydarzeniem była wiadomość o wszczętym przeciwko niemu śledztwie. Dodano do tego zdjęcie z Białego Domu, plotki o jego samolocie i opowieść o ojcu.

Anonimowi redaktorzy przysyłali im te broszury od samego początku, ale panna Glick wyrzucała wszystkie do kosza. Kilku członków grupy z Yale teŜ dostawało faksy, ale oni teŜ chronili szefa. Oscar wziął najświeŜszy i rzucił mu go na biurko.

- Chyba powinieneś o tym wiedzieć. - Był to przedruk artykułu z „Baltimore Press”.

- Wiesz, kto za tym stoi? - spytał Clay.

- Nie. Rozsyłają to po całym mieście, coś w rodzaju łańcuszka.

- Nie mają nic lepszego do roboty?

- Pewnie nie. Nie martw się, stary. Na szczycie zawsze jesteś samotny.

- A więc mam swoją własną broszurę informacyjną. Proszę, proszę.

A jeszcze półtora roku temu nikt o mnie nie słyszał.

Za drzwiami wybuchło jakieś zamieszanie, usłyszeli ostre, gniewne głosy.

Wybiegli na korytarz i zobaczyli ochroniarza szamoczącego się z wielce poiry-towanym dŜentelmenem. Wokoło stał tłumek sekretarek i współpracowników.

- Gdzie jest Clay Carter?! - wrzeszczał męŜczyzna.

- Tutaj! - odkrzyknął Clay, podchodząc bliŜej. - Słucham pana.

Facet nagle znieruchomiał, ale ochroniarz wciąż go przytrzymał. Do Claya dołączył Ed Wyatt i jeszcze jeden adwokat.

- Jestem jego klientem - wysapał męŜczyzna. - Puść mnie pan - warknął i wyszarpnął rękę.

- Puść go - rzucił Clay.

- Chciałbym się naradzić z moim adwokatem - oświadczył intruz.

- Trzeba się było z nim umówić - odparł zimno Clay. Obserwowali go pracownicy.

231

- Próbowałem telefonicznie, ale wszystkie linie są zajęte. Wykiwał nas pan. Nie zgodził się pan na dobrą ugodę z cementownią i chcemy wiedzieć dlaczego. Za mało panu dawali?

- Widzę, że wierzy pan we wszystko, co przeczyta pan w prasie.

- Wierzę, że zostaliśmy wykiwani przez własnego adwokata. Nie usta-

pimy bez walki.

- Spokojnie. Odprężcie się i przestańcie czytać gazety. Wciąż pracujemy nad ugodą. - Skłamał, ale w dobrych intencjach. Bunt trzeba było stłumić, przynajmniej tu, w kancelarii.

- Niech pan weźmie mniej i załatwi nam te pieniądze - rzucił szyderczo tamten. - Mam to panu przekazać od nas wszystkich.

- Załatwię wam tę ugodę - odrzekł ze sztucznym uśmiechem Clay. -

Tylko spokojnie...

- Bo jak nie, to pójdziemy do adwokatury.

- Dobrze, tylko po co te nerwy?

Męszczyzna odwrócił się i wyszedł.

- Wracajmy do pracy, panie i panowie - rzucił Clay, zacierając ręce, jakby mieli kupę roboty.

Godzinę później przyszła Rebeka, ot tak, prosto z ulicy. Podała recepcjonistce list i powiedziała:

- Proszę przekazać panu Carterowi. To bardzo ważne.

Recepcjonistka zerknęła na wciąż spiętego ochroniarza, który przez kilka sekund ustalał, czy ta atrakcyjna dama nie stanowi aby jakiegoś zagrożenia.

- Jestem jego przyjaciółką - dodała Rebeka.

Jeszcze nigdy w krótkiej historii firmy mecenas Carter nie wybiegł tak szybko z gabinetu. Usiedli. Ona na sofie, on na krześle, najbliżej jak się tylko dało. Przez długą chwilę milczeli. Clay był zbyt podniecony, żeby cokolwiek wykrztusić. Jej obecność mogła oznaczać setki rzeczy. Bardzo przyjemnych rzeczy.

Miał ochotę rzucić się na nią i znowu poczuć jej ciało pod swoim cia-

łem, poczuć zapach perfum na szyi, przesunąć rękami po jej nogach. Nic się nie zmieniła. Ta sama fryzura, ten sam makijaż, ta sama szminka, ta sama bransoletka.

- Gapisz się na moje nogi - skonstatowała w końcu Rebeka.

- Tak.

- Clay, co się stało? Bardzo źle o tobie piszą.

- I dlatego przyszedłeś?

- Tak. Martwię się.

- To znaczy, że jeszcze ci na mnie zależy.

- Tak.

- A więc nie zapomniałaś o mnie?

232

- Nie. Trochę rozprasza mnie małżeństwo i w ogóle, ale tak, myślę o tobie.

- Cały czas?

- Coraz częściej.

Clay zamknął oczy i położył jej rękę na kolanie, ale natychmiast ją odtrąciła.

- Clay, jestem mężatką.

- W takim razie popełnijmy cudzołóstwo.

- Nie.

- Rozprasza cię małżeństwo? To pewnie tylko coś chwilowego. Co się dzieje, Rebeko?

- Nie przyszedłam tu rozmawiać o moim małżeństwie. Byłam w pobli-

żu, pomyślałam o tobie, no i wpadłam.

- Zgubiłaś się? Ot tak, jak zblakany pies? Nie wierzę.

- To nie wierz. Jak twoja laseczka?

- Bywa tu, bywa tam. Różnie. To tylko układ.

Rebeka trawiła to przez chwilę, wyraźnie niezadowolona. To, że wyszła za męża, było OK, ale to,

Se on zadawał się z inną, już nie bardzo.

- A jak tam twoja glista? - spytał.

- W porządku.

- Cóż za wymowna ocena, zwłaszcza w ustach młodej Sony. Tylko w porządku?

- Tak.

- Ale chyba z nim nie sypiasz, co?

- Jesteśmy małżeństwem.

- Przecież to wypierdek. Patrzyłem, jak tańczycie na weselu i chciało mi się rzygać. Powiedz, Se jest do bani w łóŜku.

- Jest do bani w łóŜku. A laseczka?

- Lubi dziewczynki.

Parsknęli śmiechem i długo się śmiali. A potem znowu milczeli, bo tyle mieli sobie do powiedzenia. Rebeka załoŜyła nogę na nogę, a on obserwował to z najwyższym skupieniem. Mógł ich niemal dotknąć.

- Wyjdiesz z tego? - spytała.

- Nie mówmy o mnie. Pomówmy o nas.

- Nie zamierzam mieć romansu.

- Ale o tym myślisz, prawda?

- Nie, ale wiem, Se ty na pewno.

- Byłoby zabawnie.

- I tak, i nie. Nie chcę tak Őyć.

- Ja teŜ nie, Rebeko. Nie chcę się tobą dzielić. Kiedyś miałem cię tylko dla siebie i pozwoliłem ci uciec. Zaczekam, aŜ znowu będziesz wolna.

Ale pospiesz się, do cholery, dobrze?

233

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę wolna.

- Będziesz. Na pewno.

ROZDZIAŁ 36

Ridley leżał tuż za nim, a on całą noc marzył o Rebecce. To zasypiał, to się budził, zawsze z głupim uśmiechem na twarzy. Uśmiech zniknął, gdy o piątej nad ranem zadzwonił telefon. Clay odebrał w sypialni, potem podniósł słuchawkę w gabinecie.

Dzwonił Mel Snelling, kolega ze studiów, teraz lekarz z Baltimore.

- Musimy pogadać, stary - powiedział. - To pilne.

- Dobra. - Clay poczuł, że miękną mu nogi w kolanach.

- O dziesiątej pod mauzoleum Lincolna.

- Będę.

- Uwaga! Mogą mnie śledzić. - Mel przerwał połączenie.

Doktor Snelling oddał koledze kiedyś przysługę, weryfikując skradziony raport na temat dyloftu. A teraz dopadli go federalni.

Po raz pierwszy Clayowi przyszła do głowy zwariowana myśl, żeby po prostu zwać. Przełać wszystkie pieniądze do banku w jakiejś republice bananowej, prysnąć z miasta, zapuścić brodę i zniknąć. I, oczywiście, zabrać ze sobą Reбекę.

Jej matka znalazłaby ich przed federalnymi.

Zaparzył kawę, wziął długi prysznic, włożył dżinsy. Poświeciłby się z Ridley, ale ani drgnęła.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że Mel będzie miał przy sobie jakiś nadajnik. Skoro dorwali go ci z FBI, na pewno wypróbowali na nim wszystkie brudne sztuczki. Zagrozili, że jeśli nie wystawi kumpla, napuszczą go prokuratora. Nachodzili go, zasypywali telefonami, nieustannie za nim łazili. Wreszcie przyparli go do muru, przyczepili mu nadajnik i kazali zastawić pułapkę.

Zack Battle wyjechał, więc Clay był zdany na samego siebie. Przybył do mauzoleum dwadzieścia po dziewiątej i wmieszał się w nieliczną o tej porze grupę turystów. Kilka minut później zjawił się Mel, co bardzo go zdziwiło.

Dlaczego przyszedł pół godziny przed czasem? Czy to jakaś zasadzka? Czy gdzieś w pobliżu czyhają agenci Spooner i Lohse z mikrofonami, kamerami i splotkami? Spojrzał na twarz Mela i od razu wiedział, że jest źle.

Uścisnęli sobie ręce, przywitali się, próbowali być dla siebie serdeczni.

Clay podejrzewał, że każde słowo ich rozmowy jest nagrywane. Było chłodno, ale nie zimno, jak to

na początku września, tymczasem Mel był okutany 234

tak, jakby zaraz miał spaść śnieg. Pewnie zamontowali mu kamerę pod ubraniem.

- Przejdźmy się - rzucił Clay, wskazując obelisk Waszyngtona.

- Dobra. - Mel wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Najwyraźniej tu, w pobliżu prezydenta Lincolna, pułapki nie zastawiono.

- Śledzili cię?

- Chyba nie. Z Baltimore poleciałem do Pittsburgha, z Pittsburgha na lotnisko Reagana i tam złapałem taksówkę. Nie, chyba nikt za mną nie lezie.

- Spooner i Lohse?

- Tak. Znasz ich?

- Wpadli do mnie parę razy. - Szli południowym brzegiem basenu.

Clay nie zamierzał mówić niczego, czego nie chciałby ponownie usłyszeć. -

Mel, wiem, jak oni pracują. Lubią przyciskać świadków. Zakładają im na-dajniki, uŜywają róŜnych gadŜetów i zabawek. Prosił cię, Őebyś zgodził

się na podsłuch?

- Tak.

- No i...?

- Posłałem ich do diabła.

- Dzięki.

- Mam świetnego adwokata, Clay. Rozmawialiśmy długo i wszystko mu powiedziałem. Nie zrobiłem nic złego, bo nie sprzedałem Őadnych akcji.

Rozumiem, Őe ty sprzedałeś i Őe gdybyś tylko mógł, na pewno byś tego teraz nie zrobił. MoŜe i miałem jakieś poufne informacje, ale ich nie wykorzysta-

łem. Jestem czysty. Sę w tym, Őe przysięgli mogą wezwać mnie na świadka.

Sprawa nie trafiła jeszcze do sądu. Mel rzeczywiście miał dobrego adwokata. Po raz pierwszy od kilku godzin Clay odetchnął.

- Mów dalej - rzucił ostroŜnie. Ręce schował głęboko do kieszeni dŜin-sów. Miał ciemne okulary i nieustannie obserwował wszystkich dookoła. Gdyby Mel powiedział federalnym prawdę, po co

mieliby zakładać mu podsłuch?

- Najważniejsze pytanie to to jak mnie znaleźli. Nikomu nie mówi-

łem, że weryfikuję ten raport. A ty?

- Nie, też nikomu.

- Trudno w to uwierzyć.

- Przysięgam. Po co miałbym komuś mówić?

Przystanęli, czekając, aż przejadą samochody na Siedemnastej. Po chwili ruszyli w prawo, oddalając się od tłumu turystów.

- Jeśli skłamię przed wielką ławą przysięgłych - szepnął Mel - niczego ci nie udowodnią. Ale jeśli przyłapią mnie na kłamstwie, pójdę siedzieć.

Kto jeszcze wie, że przeglądałem ten raport?

I wtedy Clay pojął, że nie ma śladnych nadajników i mikrofonów, że nikt ich nie podsłuchuje. Mel nie szukał dowodów; szukał duchowego wsparcia.

235

- Mel, twoje nazwisko nie figuruje na śladnym dokumencie. Wysłałem ci raport, tak? Skopiowałeś coś?

- Nie.

- Właśnie. Ty mi go odesłałeś, a ja ponownie go przestudiowałem. Nie pozostawiłeś po sobie śladnych śladów. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Twoje uwagi i przemyślenia były uwagami i przemyśleniami werbalnymi.

- A inni adwokaci?

- Kilku z nich go widziało. Wiedzą, że miałem go przed złożeniem pozwu. Wiedzą, że weryfikował go jakiś lekarz, ale nie mają pojęcia kto.

- Czy FBI może przyprzeć ich do muru, żeby zeznali, że miałeś ten raport przed złożeniem pozwu?

- Wykluczone. Mogą próbować, ale ci faceci są prawnikami, słynnymi adwokatami. Niełatwo ich nastraszyć. Nie zrobili nic złego. Nie handlowali akcjami i nic im nie powiedzą. Z ich strony nic mi nie grozi.

- Na pewno? - spytał niepewnie Mel.

- Na sto procent.

- Więc co robimy?

- Słuchaj swego adwokata. Istnieje duża szansa, że sprawa w ogóle nie trafi do sądu. - Zabrzmiało to jak modlitwa, a nie jak stwierdzenie faktu. - Jeśli będziesz obstawał przy swoim, wszystko dobrze się skończy.

Sto metrów przeszli bez słowa. Obelisk Waszyngtona był coraz bliżej.

- Jeśli wezwą mnie na świadka – powiedział powoli Mel -

będziemy musieli pogadać.

- Jasne.

- Nie chcę iść do więzienia, Clay.

- Ja też nie.

Przystanęli w tłumie na chodniku.

- Dobra, spadam - szepnął Mel. - Na razie. Obym nie musiał do ciebie dzwonić. - Wpadł w tłum uczniów z ogólniaka i zniknął.

Na dzień przed procesem w gmachu sądu okręgowego hrabstwa Coconino we Flagstaff panował względny spokój. Ot, same rutynowe sprawy, najmniejszego znaku, że już nazajutrz miał rozpętać się tu historyczny, brzemenny w dalekosiędne skutki spór. Była połowa września, a słupek termometru wskazywał już czterdzieści stopni w cieniu.

Oscar i Clay przespacerowali się po centrum miasta i szybko weszli do środka w poszukiwaniu klimatyzowanego chłodu.

W sądzie zaś trwały już przygotowania przedprocesowe i rosło napię-

cie. Ława przysięgłych była jeszcze pusta; selekcja miała rozpocząć się dopiero nazajutrz, punktualnie o dziewiątej. Dale Mooneyham i jego ze-236

spół zajmowali jedną stronę areny. Bojówka Goffmana, dowodzona przez eleganckiego adwokata z Los Angeles, Rogera Reddinga, drugą. Roger Redding zwany był Rogerem Rakieta, bo atakował szybko i zdecydowanie.

Także Rogerem Kombinatorem, bo jeździł po całym kraju, walcząc z najlepszymi adwokatami, jakich tylko mógł znaleźć, sprytnie unikając nie-przychylnych dla swego klienta werdyktów.

Clay i Oscar usiedli wśród publiczności, której było całkiem sporo jak na dzień składania wniosków proceduralnych. Wall Street uważnie ten proces obserwowała. Prasa finansowa też. Ciekawe go

były równieś sępy, takie jak Clay. Dwa pierwsze rzędy zajęło kilkunastu klonów w identycznych garniturach, pewnie zdenerwowanych waśniaków z Goffmana.

Mooneyham krążył po sali jak awanturnik po karczmie, rycząc na sę-

dziego, potem na Rogera. Głos miał dźwięczny, donośny i głęboki, opinie kontrowersyjne. Był starym wojownikiem, który to utykał, to chodził normalnie. Czasami podpierał się laską, czasami o niej zapominał.

Roger był opanowany jak adwokat z hollywoodzkiego filmu, nienaganie ubrany, o przyprószonych siwizną włosach, mocno zarysowanym podbródku i doskonałym profilem. Kiedyś chciał pewnie zostać aktorem. Mówił

elokwentną prozą, pięknymi zdaniem, które wygłaszał bez sekundy wahania. Śadnych tam „eee...”, „limra...” czy „no więc”. Śadnych falstartów.

Gdy zaczynał wyłuszczać problem, uśywał cudownego wprost słownictwa, które wszyscy rozumieli, i potrafił podnieść trzy, a nawet cztery kwestie naraz, wiążąc je pięknie w niezwykle logiczną całość. Nie bał się ani Mooneyhama, ani sędziego, ani faktów.

Gdy podnosił nawet mało istotny problem, Clay słuchał go jak zahipnotyzowany. I nagle przyszła mu go głowy przerażająca myśl: gdyby musiał procesować się w Waszyngtonie, ci z Goffmana bez wahania wystawi-liby przeciwko niemu jego, Rogera Rakietę.

Oglądał spektakl w wykonaniu dwóch najlepszych aktorów na scenie i nagle został rozpoznany. Jeden z prawników z zespołu zobaczył znajomą twarz. Trącił łokciem sąsiada i szybko go zidentyfikowali. Poszły w ruch długopisy, do waśniaków z pierwszego rzędu powędrowały karteczki.

Sędzia zarządził piętnastominutową przerwę, bo musiał skorzystać z toalety. Clay poszedł napić się wody. Tuś za nim z sali wyszło dwóch męś-

czyn, którzy dopadli go na końcu korytarza.

- Mecenase Carter? - zaczął przyjaźnie ten pierwszy. - Bob Mitchell, wiceprezes i radca prawny Goffmana. - Mocno uścisnął mu rękę.

- Miło mi - odrzekł Clay.

- A to jest Sterling Gibb, nasz nowojorski adwokat. - Clay musiał uścisnąć rękę i jemu.

237

- Chcieliśmy się tylko przywitać - wyjaśnił Mitchell. - Wiedzieliśmy, że pan tu będzie.

- Ten proces trochę mnie interesuje - przyznał Clay.

- Małe niedomówienie. Ile ma pan pozwów?

- Och, nie wiem. Sporo.

Gibb gapił się tylko i szyderczo uśmiechał.

- Codziennie wchodzimy na waszą stronę internetową- mówił Mitchell. - Ostatnio miał pan dwadzieścia sześć tysięcy.

Gibb uśmiechnął się pogardliwie; było oczywiste, że nie znosi specjalistów od masówek.

- Chyba tak, mniej więcej - powiedział Clay.

- I przestał się pan reklamować. Rozumiem, że dwadzieścia sześć tysięcy pozwów wam wystarczy.

- Im więcej, tym lepiej, panie mecenasie.

Gibb w końcu przemówił:

- Co pan z nimi zrobi, jeśli wygramy?

- A co zrobicie, jeśli przegracie? - odparował Clay.

Mitchell podszedł krok bliżej.

- Jeśli wygramy, będzie miał pan piekielny kłopot ze znalezieniem adwokata, który zechciałby je od pana przejąć. Będą niewiele warte.

Gibb też podszedł bliżej.

- Jeśli przegramy, pojedziemy prosto do Waszyngtonu, żeby bronić się przed pańskimi szalbierskimi oskarżeniami. Jeśli tylko nie skończy pan przedtem w więzieniu.

- Będę na panów czekał - obiecał Clay, z trudem odpierając ten zmasowany atak.

- Trafi pan przynajmniej do sądu? - rzucił Gibb.

- Grałem już w golfa z sędzią i umawiam się z protokolantką. - Łgał!

Ale to ich na chwilę powstrzymało.

Mitchell pozbierał się i wyciągnął do niego rękę.

- Cóż, chcieliśmy się tylko przywitać - powtórzył.

Clay uściśnął mu dłoń.

- To miło, że Goffman raczył się w końcu odezwać. Nie zareagowaliście na mój pozew.

Gibb odwrócił się i odszedł.

- Najpierw załatwmy to - powiedział Mitchell. - Wtedy pogadamy.

Clay już miał wrócić do sali, gdy wyrósł przed nim natrętny reporter.

Derek jakiś tam z „Financial Weekly” - chciał zamienić z nim kilka słów.

Jego prawicowa gazeta nienawidziła adwokatów i specjalistów od pozwów zbiorowych: była korporacyjną tubą i Clay wiedział, że takim jak on nie warto jest nawet mówić: „Bez komentarza” czy „Pocałujcie mnie gdzieś”.

238

I chyba znał skądś jego nazwisko. Czyżby był to ten sam facet, który napisał o nim tyle niemiłych rzeczy?

- Można spytać, co pan tu robi? - zaczął.

- Chyba można.

- W takim razie co?

- To samo co pan.

- To znaczy?

- Rozkoszuję się upałem.

- Czy to prawda, że zebrał pan dwadzieścia pięć tysięcy pozwów przeciwko producentowi maxatilu?

- Nie.

- A ile?

- Dwadzieścia sześć.

- Ile są warte?

- Coś między zerem i dwoma miliardami.

Clay nie wiedział, że sędzia zakazał adwokatom udzielania jakichkolwiek wywiadów do chwili zakończenia procesu. Ponieważ chciał mówić, przyciągnął spory tłum. Był zaskoczony, widząc tylu reporterów. Odpowiedział na kilka pytań, nie zdradzając żadnych szczegółów.

Dziennikarz z „Arizona Ledger” napisał, że jego pozwy są warte dwa miliardy dolarów. I zamieścił jego zdjęcie, takie z kilkoma mikrofonami podetkniętymi pod nos. Pod zdjęciem widniał podpis: „Król masówek we Flagstaff. I artykuł, krótkie podsumowanie jego wizyty oraz kilka akapitów na

temat samego procesu. Dziennikarz nie nazwał go co prawda chci-wym oportunistą, lecz implikacje były oczywiste: Clay Carter był wygłodniałym sępem krąŜącym na truchłym Goffmana.

Sala rozpraw pękała w szwach od potencjalnych sędziów przysięgłych i publiczności. Godzina dziewiąta- ani śladu adwokatów i sędziego. Wciąż siedzieli na zapleczu, bez wątpienia omawiając kwestie proceduralne. Roiło się za to od urzędników sądowych i pomocników szeryfa. Z gabinetu sędziego wyszedł młody męŜczyzna w garniturze. Minął ławę przysięgłych i skręcił w głów-ne przejście. Gwałtownie przystanął, spojrzął na Claya, nachylił się i szepnął:

- Pan Carter? Zaskoczony Clay

kiwnął głową.

- Sędzia pana prosi.

Gazeta leŜała na środku biurka. Dale Mooneyham stał w rogu wielkiego gabinetu. Roger Redding opierał się o stół przy oknie. Sędzia bujał się w fotelu. Wszyscy trzej mieli posepne miny. Przedstawili mu się, wyraźnie skrepowani. Mooneyham nie podał mu nawet ręki. Skinął tylko głową, po-syłając mu nienawistne spojrzenie.

239

- Panie mecenasie - zaczął sędzia. - Czy wie pan, Őe zakazałem adwokatom udzielania wywiadów?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Teraz juŜ pan wie.

- Aleja nie biorę udziału w tym procesie.

- Panie mecenasie, tu, w Arizonie, robimy wszystko, Őeby proces był

sprawiedliwy. Obie strony chcą, Őeby wszyscy zachowali jak największą bezstronność. A dzięki panu potencjalni przysięgli wiedzą juŜ, Őe ma pan co najmniej dwadzieścia sześć tysięcy pozwów przeciwko Goffmanowi.

Clay nie zamierzał okazywać słabości ani nikogo przepraszać - nie w obecności Rogera Reddinga.

- MoŜe było to nieuniknione - odparł. Nigdy w Őyciu nie wystąpiłby przed tym sędzią. Dać się zastraszyć? Po cholere?

- Niech pan wyjedzie z Arizony - zagrzmiął z kąta Mooneyham.

- Nie muszę - odpalił Clay.

- Chce pan, Őebym przegrał?

To do Claya dotarło. Nie bardzo wiedział, jak jego obecność może mu zaszkodzić, ale po co ryzykować?

- Dobrze, Wysoki Sądzie. W takim razie, cóż, do widzenia.

- Świetnie - odrzekł sędzia. - Znakomity pomysł.

Clay spojrział na Reddinga.

- Do zobaczenia w Waszyngtonie.

Roger uśmiechnął się przyjaźnie, lecz pokręcił głową.

Oscar zgodził się zostać we Flagstaff, żeby trzymać rękę na pulsie. Clay wskoczył do gulfstreama. Czekał go ponury lot do domu. No proszę, wypę-

dzili go z Arizony.

ROZDZIAŁ 37

Na wieść o zwolnieniu tysiąca dwustu robotników cementowni całe Reedsburg zamarło. Wiadomość nadeszła w liście napisanym przez Marcusa Hannę i rozesłanym do wszystkich pracowników.

W ciągu pięćdziesięcioletniej historii firmy do zwolnień grupowych doszło tylko cztery razy. Spółka przetrwała liczne zastoje, przestoje i zmienne cykle koniunkturalne, robiąc wszystko, żeby ich uniknąć. Ale teraz groziło jej bankructwo i obowiązywały inne reguły. Musiała dowieść sądowni i kredytodawcom, że potrafi przetrwać.

Winą za tragiczną sytuację obciążono wydarzenia, na które zarząd firmy nie miał wpływu. Owszem, niski poziom sprzedaży nie należał do czyn-

ników bez znaczenia, lecz spółka przerabiała to wiele razy w przeszłości.

Najbardziej miażdżącym ciosem była niemożność zawarcia ugody z prawnikiem, który złożył przeciwko nim pozew zbiorowy. Spółka chciała zawrzeć tę ugodę w dobrej wierze, lecz jego zachłanna waszyngtońska kancelaria stawiała śądania niemożliwe do spełnienia.

Stawką było przetrwanie i Marcus zapewnił pracowników, że firma nie upadnie. że wymaga to drastycznych cięć finansowych. że bolesna redukcja kosztów ogólnych jest gwarancją przyszłych zysków.

Tysiącowi dwustu zwolnionym Marcus przyrzekł wszelką możliwą pomoc. Zasiłki dla bezrobotnych będą wypłacane przez rok. Oczywiście spółka zatrudni ich ponownie, gdy tylko będzie to możliwe, lecz zarząd nie może tego zagwarantować. Niewykluczone, że nie zatrudni ich już nigdy.

W kawiarniach, zakładach fryzjerskich, szkolnych korytarzach, w ko-

ścielnych nawach, na trybunach stadionu piłkarskiego i futbolowego, w pi-wiarniach i kręgielniach nie mówiono o niczym innym. KaŜdy z jedenastu tysięcy mieszkańców miasta znał kogoś, kto właśnie stracił pracę w cementowni Hannów. ChociaŜ miasto leŜało w Appalachach, wieść dotarła do cywilizacji.

Reporter z „Baltimore Press”, który napisał trzy artykuły o pozwie zbiorowym z hrabstwa Howard, wciąż tę sprawę śledził. Teraz śledził proces bankructwa Hannów. Gawędził z właścicielami domów, patrząc, jak ze ścian wypadają cegły. Wiadomość o zwolnieniach skłoniła go do przyjazdu do Reedsburga. Odwiedził wszystkie kawiarnie, kręgielnie i stadion.

Jego pierwszy artykuł miał rozmiary krótkiej powieści. Największy oszczerca nie byłby bardziej okrutny. Nieszczęścia, które dotknęło miasto, moŜna by łatwo uniknąć, gdyby nie chciwość J. Claya Cartera II z Waszyngtonu.

PoniewaŜ Clay nie czytał „Baltimore Press” wiadomość ta mogłaby dotrzeć do niego z opóźnieniem, przynajmniej chwilowym. JednakŜe przysłali mu ją faksem anonimowi redaktorzy nielegalnej i niemile widzianej broszury informacyjnej. W najświeŜszym numerze „Króla Szortów”, najwyraźniej pospiesznie zredagowanym, przedrukowali cały artykuł.

Clay przeczytał go i miał ochotę podać gazetę do sądu.

Ale niebawem miał zapomnieć o „Baltimore Press”, poniewaŜ czekał

go jeszcze większy koszmar. Tydzień wcześniej zadzwonił do nich dziennikarz z „Newsweeka”. KaŜdy adwokat marzy o ogólnokrajowej reklamie, ale tylko pod warunkiem, Ŝe jest to reklama jakiejś waŜnej sprawy lub wartego miliony werdyktu. Clay podejrzewał, Ŝe w tym przypadku nie chodzi-

ło ani o jedno, ani o drugie i miał rację. Dziennikarza nie interesował mecenas Carter. Interesowała go jego Nemezys.

Był to pełen zachwytu artykuł o Helen Warshaw, dwie strony, za które kaŜdy prawnik chętnie by zabił. Do tego rzucające się w oczy zdjęcie przed 241

pustą ławą przysięgłych, zdjęcie kobiety nieustępliwej, błyskotliwej i wzbu-dzającej zaufanie. Clay nigdy jej dotąd nie widział i miał nadzieję, Ŝe bę-

dzie wyglądać na „bezwzględną sukę”, jak nazwał ją Saulsberry. Ale wy-głądała inaczej. Była bardzo atrakcyjna; miała krótkie ciemne włosy i smutne brązowe oczy, które przyciągnęłyby uwagę kaŜdej ławy przysięgłych. Clay patrzył na zdjęcie, Ŝalując, Ŝe nie jest na jej miejscu. Miał nadzieję, Ŝe nigdy się nie spotkają. A jeśli juŜ, to nie w sądzie.

Mecenas Warshaw była współniczką nowojorskiej kancelarii adwokackiej specjalizującej się w prawnych naduŜyciach. Obecnie występowała przeciwko kilkunastu najsztywniejszym i najbogatszym prawnikom w kraju i nie zamierzała się z nimi dogadywać. „Nigdy dotąd nie prowadziłam sprawy, która mogłaby wyrzucić na przysięgłych tak wielkie wraŜenie”, powiedziała i

Clay miał ochotę podciąć sobie Śyły.

Reprezentowała pięćdziesięciu „dyloftowców”, kaŚdy z nich powoli umierał, i kaŚdy go skarŚył.

Spośród tych pięćdziesięciu dziennikarz wybrał akurat Teda Worleya z Upper Marlboro w Marylandzie i zamieścił nawet jego zdjęcie. Biedak siedział na podwórku z Śoną. Opowiadał o swojej pierwszej rozmowie z Clayem Carterem, o niespodziewanym telefonie, który przerwał mu oglą-

danie meczu Oriolesów, o przeraŚeniu, w jakie wpadł, słysząc wiadomość o dylofcie, o badaniu moczu, o odwiedzinach młodego prawnika, o pozwie.

O wszystkim. „Nie chciałem tej ugody”, powtórzył kilkakrotnie.

Specjalnie dla „Newsweeka” przygotował dokumenty. Pokazał dziennikarzowi wszystko, łącznie z kopiami dwóch listów, które napisał do mecenasa Cartera, Śeby zaprotestować przeciwko „zdradzie”. Mecenas nie raczył na nie odpowiedzieć.

Według lekarzy, panu Worleyowi zostało niecałe pół roku Śycia. Powoli czytając kaŚde słowo, Clay czuł się tak, jakby to on zaraził go rakiem.

Helen Warsaw powiedziała, Śe wielu jej klientów przemówi do przysięg-

łych z ekranu telewizyjnego, z nagrania wideo, ponieważŚ nie doŚyją procesu.

Okrutne to, pomyślał Clay, ale z drugiej strony cała ta historia jest paskudna.

Mecenas Carter odmówił komentarza. Na dobitkę zamieścili to słynne zdjęcie z Białego Domu i oczywiście nie mogli się oprzeć pokusie, Śeby nie wspomnieć o dwustu pięćdziesięciu tysiącach dolarów, które dał na prezydencki komitet doradczy.

„Przydadzą mu się tacy przyjaciele jak prezydent”, powiedziała Helen i Clay niemal poczuł się tak, jakby trafiła go między oczy rewolwerowa kula. Cisnął czasopismem na drugą stronę gabinetu. śałował, Śe był w Bia-

łym Domu, Śe rozmawiał z prezydentem, Śe wystawił ten przekłety czek, Śe poznał Teda Worleya i Maxa Pace'a, Śe poszedł na prawo.

242

Zadzwonił do pilotów i kazał im przygotować samolot.

- Dokąd lecimy, panie mecenasie?

- Nie wiem. Dokąd chcecie?

- Słucham?

- Do Biloxi w Missisipi.

- Jedna osoba czy dwie?

- Nie, tylko ja. - Nie widział Ridley od dwudziestu czterech godzin i nie miał najmniejszej ochoty jej zabierać. Chciał wyjechać jak najdalej od miasta i od wszystkiego, co mu je przypominało.

Dwa dni na jachcie Pattona Frencha niewiele pomogły. Potrzebował

towarzystwa innego spiskowca, lecz Patton był zbyt zajęty innym pozwem zbiorowym. Za duŜo jedli i za duŜo pili.

French miał dwóch współpracowników w sądzie we Flagstaff, którzy co godzinę przysyłali mu e-maile. Wciąż uwaŜał, Ŝe maxatil nie jest wart zachodu, mimo to uwaŜnie obserwował kaŜdy ruch Goffmana. Na tym polega jego praca, tłumaczył, ostatecznie jest najlepszym specjalistą z nich wszystkich. Ma doœwiadczenie, pieniądze i reputację. KaŜda zbiorówka musi wcześniej czy później wylądować na pokładzie jego jachtu.

Clay przeczytał e-maile i porozmawiał z Mulrooneyem. Wybór przysięgłych trwał cały dzieñ. Dale Mooneyham właœnie przedstawiał im sprawę swojej klientki. Raport rządowy okazał się potężna bronią. Przysięgli bardzo się nim interesowali.

- Jak dotąd wszystko idzie dobrze - podsumował Oscar. - Mooneyham to świetny aktor, ale Roger jest lepszym fachowcem.

Podczas gdy mocno skacowany French załatwiał po trzy telefony naraz, Clay legł na słońcu na górnym pokładzie, Ŝeby zapomnieć o kłopotach. Póź-

nym popołudniem drugiego dnia, po kilku wódkach, Patton spytał:

- Ile zostało ci gotówki?

- Nie wiem. Boję się liczyć.

- To strzel.

- Góra dwadzieœcia milionów.

- A ubezpieczenie?

- Dziesieć. Skreœlili mnie, ale wiszą mi za dyloft.

French posłał limonkę.

- Trzydzieœci baniek chyba ci nie wystarczy.

- Na to wygląda.

- Właśnie. Dybie na siebie dwudziestu jeden klientów, a może ich być więcej. Będziemy mieli fart, jeśli uda nam się spławić ich trzema milionami od łebka.

- A ciebie ilu skarży?

- Do wczoraj dziewiętnastu.

243

- Starczy ci pieniędzy?

- Mam dwieście milionów. Dam sobie radę.

W takim razie może pożyczysz mi pięćdziesiąt? - rzucił w duchu Clay.

Mimo przygnębienia rozbawiła go swoboda, z jaką Songlowali zerami. Steward przyniósł alkohol, który bardzo im się przydał.

- A reszta? - spytał Clay.

- Wes z tego wyjdzie. Carlos też, jeśli liczba pozwów nie przekroczy trzydziestu. Didiera oskubały ostatnie dwie Sony. To już trup. Splajtuję jako pierwszy, ale nieraz to przeżył.

Jako pierwszy? Ciekawe, kto jako drugi.

Po dłuższym milczeniu Clay spytał:

- Co będzie, jeśli Goffman wygra we Flagstaff? Mam te wszystkie pozwy.

- Jedno jest pewne: będziesz rzygał nimi jak kot. Dziesięć lat temu przydarzyło mi się to samo. Z tymi biednymi dzieciakami. Zakrzętnąłem się, zgarnąłem ich, za szybko złożyłem pozew, a potem odpadły kółka i nie było już co ratować. Klienci oczekiwali milionów, bo mieli zdeformowane dzieci i byli tak nabuzowani, że nie dało się z nimi gadać. Oskarżyli mnie, ale jakoś z tego wyszedłem.

- Chyba nie to chciałem usłyszeć.

- Ile wydałeś na maxatil?

- Osiem milionów na samą reklamę.

- Na twoim miejscu siedziałbym na dupie i obserwował Goffmana.

Wątpię, czy cokolwiek im zaproponują. To uparte kutasy. Z czasem twoi klienci się zbuntują, a wtedy wyślesz ich na drzewa. - Potężny łyk wódki.

- Myśl pozytywnie. Mooneyham nie przegrał od lat. Wystarczy jeden dobry werdykt i świat się zmieni. Znowu będziesz siedział na kupie złota.

- Ci z Goffmana powiedzieli, że prosto z Flagstaff pojedą do Waszyngtonu.

- Mogli blefować. Wszystko zależy od tego, co teraz działają. Jeśli zdecydowanie przegrają, będą musieli pomyśleć o ugodzie. Jeśli przysięgli uznają, że szkodliwość ich czynu jest nieznaczna, mogą spróbować ponownie. Jeśli wybiorą ciebie, weźmiesz dobrego adwokata i facet skopie im dupę.

- Ja chyba nie dałbym rady, co?

- Nie. Nie masz doświadczenia. Zanim wystąpisz w pierwszej lidze, musisz spędzić w sądzie wiele lat. Bardzo wiele lat, Clay.

Chociaż Patton kochał duże pozwy, było oczywiste, że scenariusz, któ-

ry przed chwilą przedstawił, nie wzbudza jego entuzjazmu. Nie chciałby reprezentować Clay'a w waszyngtońskim sądzie. Nie powiedział to wszystko tylko po to, żeby pocieszyć młodszego kolegę.

244

Nazajutrz przed południem Clay poleciał do Pittsburgha, wszędzie, byle tylko nie do stolicy. Po drodze rozmawiał z Oscarem i przeczytał e-maile oraz najświeższe doniesienia z procesu w Flagstaff. Powódka, sześćdziesięciosześcioletnia kobieta chora na raka piersi, skończyła składać zeznania i wypadła znakomicie. Wzbudzała sympatię, a Mooneyham grał na niej jak na skrzypcach.

- Daj im popalić, stary - mruczał co chwilę Clay.

Wynajął samochód i przez dwie godziny jechał na północny wschód, tam gdzie biło serce Appalachów. Znalezienie Reedsburga na mapie było równie trudne, jak znalezienie go na drodze. Mijając wzgórze na skraju miasta, zobaczył w oddali gigantyczną fabrykę. WITAJCIE W REEDSBURGU -

głosił wielki napis, w SIEDZIBIE HANNA PORTLAND CEMENT COMPANY. ROK ZA-

ŁOŻENIA 1946. Wiatr unosił leniwe smugi kredowego dymu z dwóch wysokich kominów. Przynajmniej jeszcze jej nie zamknęli, pomyślał Clay.

Dojechał do centrum i zaparkował przy głównej ulicy. Był w dżinsach, na głowie miał czapkę baseballową, a na twarzy trzydniowy zarost - nie bał się, że ktoś go rozpozna. Wszedł do baru Ethel i usiadł na rozchwierutym stoliku przy ladzie. Powitała go sama właścicielka. Poprosił o kawę i kanapkę z serem z grilla.

Przy stoliku za nim dwóch starszych mężczyzn rozmawiało o futbolu.

Kuguary z Reedsburga przegrały trzy mecze z rzędu i obydwaj poradziliby sobie z nimi lepiej niż trener. Według harmonogramu rozgrywek na ścianie przy kasie, tego wieczoru też grali.

- Pan przejazdem? - spytała Ethel, podając mu kawę.

- Tak. - Clay zdał sobie sprawę, że właścicielka baru zna pewnie wszystkich mieszkańców jedenastotysięcznego Reedsburga.

- Skąd?

- Z Pittsburgha.

Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, bo Ethel odeszła, o nic więcej go nie pytając. Przy innym stoliku dwóch młodych mężczyzn rozmawiało o pracy. Wkrótce okazało się, że właśnie ją stracili. Jeden miał na głowie czapkę ze znakiem firmowym cementowni nad daszkiem. Jedząc kanapkę, Clay słyszał, jak rozmawiają z niepokojem o zasiłkach, hipotekach, rachunkach i o pracy na pół etatu. Jeden zamierzał oddać w komis swoją półciężarówkę, bo miejscowy dealer obiecał ją komuś odsprzedać.

Przy ścianie, tuż przy drzwiach, stał składany stolik, a na nim wielka plastikowa butelka po wodzie. Ręcznie wymalowany napis zachęcał do składania datków na „Fundusz Hannów”. Monety i banknoty wypełniały połowę butelki.

- Co to jest? - spytał Clay, gdy Ethel dolewała mu kawy.

- To? Zbieramy pieniądze na rodziny zwolnionych z fabryki.

245

- Z jakiej fabryki?

- Z cementowni Hannów, największych zakładów w mieście. W zeszłym tygodniu zwolnili tysiąc dwieście osób. My się tu trzymamy razem. Takie butelki stoją wszędzie, w sklepach, barach, kościołach, nawet w szkołach.

Jak dotąd zebraliśmy ponad sześć tysięcy. Pieniądze pójdą na rachunki za światło i najedzenie, jeśli będzie jeszcze gorzej. Jak nie, prześlemy je na szpital.

- Interesy źle poszły? - spytał Clay, słuchając. Ugryźć kanapkę było łatwo, przełknąć kęs o wiele trudniej.

- Nie, Hannowie zawsze wiedzieli, co robią i dobrze wszystkim zarzą-

dzali. Ktoś z Baltimore złożył przeciwko nim zwariowany pozew. Prawnicy się połąкомиli, zasądali za dużo pieniędzy i zmusili ich do bankructwa.

- Szkoda, cholera, szkoda - wtrącił jeden ze starszych mężczyzn; w barowych rozmowach uczestniczyli tu wszyscy obecni. - Można było tego uniknąć. Hannowie próbowali się z nim dogadać, robili wszystko, ale te sukinsyny z Waszyngtonu przyłożyli im lufę pistoletu do głowy. Hannowie powiedzieli: „Chuj z wami” i wrócili do domu.

Krótko i celnie, niezłe podsumowanie, pomyślał Clay.

- Pracowałem u nich czterdzieści lat i zawsze dostawałem wypłatę.

Szkoda, cholera, szkoda.

Ponieważ tamci spodziewali się, że podtrzyma rozmowę, rzucił:

- Zwolnienia to tu pewnie rzadkość, co?

- Hannowie nigdy nikogo nie zwalniali.

- Przyjmą ich z powrotem?

- Spróbują. Ale o wszystkim decyduje teraz sąd.

Clay zajął się kanapką. Dwóch młodych mężczyzn wstało i podeszło do kasy. Ethel odpędziła ich machnięciem ręki.

- Dajcie spokój. Firma stawia.

Grzecznie skinęli głową i wychodząc, wrzucili do butelki kilka monet.

Parę minut później Clay pojechał się z tymi przy sąsiednim stoliku, zapłacił rachunek, podziękował Ethel i wrzucił do butelki sto dolarów.

Wieczorem usiadł na trybunach dla gości, żeby popatrzeć, jak Kuguary grają z Łoszakami z Enid. Trybuny dla gospodarzy pękały w szwach. Ręła orkiestra, tłum ryczał, dopingując swoich. Ale on nie zwracał uwagi na boisko. Patrzył na tablicę ze składami drużyn i zastanawiał się, ilu wymienionych tam zawodników pochodzi z rodzin dotkniętych zwolnieniami.

Przed pierwszym wykopem, zaraz po hymnie, miejscowy pastor odmó-

wił modlitwę za bezpieczeństwo zawodników i za dobrobyt miejscowej społeczności. Modlitwę zakończył słowami: „Pomóż nam przetrwać złe czasy, o Panie. Amen”.

Clay Carter nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się gorzej.

246

ROZDZIAŁ 38

Wczesnym wieczorem w sobotę zadzwoniła zdenerwowana Ridley. Od czterech dni nie mogła go nigdzie znaleźć! Słuchał jej zawodzenia przez kilka minut, gdy wtem doszło go dziwne buczenie z tła.

- Skąd dzwonisz? - spytał.

- Z Saint Barth, z naszej willi.

- Jak się tam dostałaś? - Gulfstreamem latał oczywiście on.

- Wynajęłam samolot. Ale za mały, bo w San Juan musieliśmy tanko-wać. Inaczej bym tu nie doleciała.

Biedna dziewczynka. Ciekawe, skąd знаła numer tych od czarterów?

- Po co tam poleciałaś? - Głupie pytanie.

- Zdenerwowałam się, bo nie mogłam cię znaleźć. Nie rób tego więcej, Clay.

Próbował połączyć te dwa wydarzenia, jego zniknięcie i jej ucieczkę do Saint Barth, ale szybko zrezygnował.

- Przepraszam - powiedział. - Wyjechałem nagle, do Biloxi. Byłem zbyt zajęty, żeby zadzwonić.

Zapadła długa cisza, bo Ridley musiała się zastanowić, czy wybaczyć mu już teraz, czy odczekać parę dni.

- Obiecuj, że już nigdy tego nie zrobisz - załkała.

Nie miał nastroju ani na obiecywanie, ani na wysłuchiwanie jej zawodzenia i ulżyło mu, że wyjechała.

- Nie zrobię. Odpoczywaj i baw się dobrze.

- Nie możesz tu przyjechać? - spytała bez śladu uczucia w głosie. Ot, zwykłe pytanie, takie na odwal się.

- Nie mogę, mam ten proces we Flagstaff. - Bardzo wątpił, czy wiedziała cokolwiek o procesie we Flagstaff.

- Zadzwoń jutro?

- Oczywiście.

Wrócił Jonasz, który chciał podzielić się z nim wrażeniami z Sycia na morzu. Umówili się w bistro przy Wisconsin Avenue na późną i długą kolację. O wpół do dziewiątej zadzwonił telefon, ale ktoś bez słowa przerwał

połączenie. Jakiś czas później telefon zadzwonił ponownie i Clay podniósł

słuchawkę, zapinając koszulę.

- Clay Carter?

- Tak. Kto mówi? -Ze względu na liczbę niezadowolonych klientów -

„dyloftowców”, tych od Chudego Bena i poirytowanych właścicieli domów z hrabstwa Howard - w ciągu ostatnich dwóch miesięcy dwukrotnie zmieniał numer telefonu. Mógł znosić połajanki w kancelarii, ale w domu wolał

Śyć spokojnie.

247

- Jestem z Reedsburga w Pensylwanii i mam dla pana cenne informacje na temat firmy Hannów.

Słowa te go zmroziły. Usiadł na brzegu łóŜka. Niech mówi, myślał, próbując się pozbierać. Niech mówi jak najdłuŜej.

Słucham pana. - Ktoś z Reedsburga zdobył jego nowy, zastrzeŜony numer.

- Nie przez telefon - odrzekł męŜczyzna. Trzydzieści lat, biały, na pewno po maturze.

- Dlaczego?

- To długa historia. Mam pewne dokumenty.

- Skąd pan dzwoni?

- Stąd, z miasta. Spotkajmy się w holu Four Seasons przy ulicy M.

Tam pogadamy.

Niezły plan. W hotelowym holu jest mnóstwo ludzi, więc mało prawdopodobne, Ŝeby ktoś wyjął spluwę i zaczął strzelać do prawników.

- Kiedy?

- Jak najszybciej. Będę tam za pięć minut. A pan?

Clay nie zamierzał mu mówić, Ŝe mieszka ledwie sześć ulic dalej, chociaŜ jego adres nie był wcale tajemnicą.

- Za dziesięć - odrzekł.

- Dobrze. Jestem w dŜinsach i czarnej czapce Steelersów.

- Znajdę pana. - Clay odłoŜył słuchawkę, skończył się ubierać i szybko wyszedł. Idąc spieszenie Dumbarton, zastanawiał się, co jeszcze chciałby wiedzieć o Hannach i czy w ogóle chciałby coś o nich wiedzieć. Właśnie spędził osiemnaście godzin w Reedsburgu i teraz bezskutecznie próbował

o tym mieście zapomnieć. Mamrocząc do siebie, zagubiony w świecie mściwych spiskowców i podstępnych szpiegów, skręcił w Trzydziestą Pierwszą. Minęła go jakaś kobieta z małym psem, który

szukał odpowiedniego miejsca na siusiu. Z naprzeciwka nadchodził młody mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce motocyklowej z papierosem w kąciku ust, chociaż Clay ledwo go zauważył. Gdy mijali się pod starym, rozłożystym klonem przed słabo oświetlonym domem, mężczyzna zadał mu nagle krótki, precyzyjnie wymierzony cios w podbródek.

Clay nie zdążył się połapać. Doszedł go tylko głośny trzask i grzmotnął

głową w żelazne ogrodzenie. Mignął mu przed oczami jakiś kij czy pałka, mignął mu drugi mężczyzna; obydwoj bili go pięściami i okładali tym czymś.

Przetoczył się na bok i zdołał uklęknąć na jedno kolano, lecz w tym samym momencie tamci przyłożyli mu kijem w potylicę.

Usłyszał jeszcze odległy krzyk kobiety i stracił przytomność.

Kobieta z psem usłyszała odgłosy zamieszania i odwróciła głowę. Ktoś się tam bił, dwóch na jednego, a ten leżący na chodniku mocno obrywał.

248

Podbiegła bliżej i zobaczyła, jak dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach okłada leżącego wielkim czarnym prętem. Przeraziłwie krzyknęła i tamci uciekli. Szybko wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła na policję.

Mężczyźni znikli za rogiem kościoła przy ulicy N. Kobieta próbowała pomóc pobitemu, który był nieprzytomny i bardzo krwawił.

Zabrano go do szpitala uniwersyteckiego i ustabilizowano na urazów-ce. Badanie wstępne wykazało dwie rozległe rany głowy spowodowane tępym narzędziem, ranę ciętą na prawym policzku, ranę ciętą na uchu i liczne stłuczenia. Prawa kość strzałkowa pękła dokładnie na pół. Lewe kolano było zmięśnione, lewa kostka u nogi złamana. Ogolono mu głowę i załóżono osiemdziesiąt jeden szwów. Czaszkę miał mocno potłuczoną, ale nie pękniętą. Sześć szwów na policzku, jedenaście na uchu i przewieźli go na chirurgię, żeby poskładać nogi.

Jonasz czekał pół godziny, a potem zaczął wydzwaniać. Godzinę póź-

niej wyszedł z restauracji i ruszył piechotą do jego domu. Pukał do drzwi, dzwonił, kłął pod nosem i już gotów był cisnąć kamieniem w okno, gdy zobaczył jego samochód parkujący między dwoma innymi kilkanaście metrów dalej. A przynajmniej zdawało mu się, że jest to samochód Claya.

Powoli podszedł bliżej. Coś mu tu nie pasowało, tylko nie bardzo wiedział co. Tak, to był czarny porsche carrera, z tym że pokrywał go biały pył.

Jonasz wezwał policję.

Pod samochodem znaleziono pusty, rozerwany worek ze znakiem firmowym Hanna Portland Cement Company w Reedsburgu. Ktoś obsypał

wóz cementem, a potem polał go wodą. Miejscami, zwłaszcza na dachu i masce, wielkie białe płyty przywarły mocno do lakieru. Gdy policjanci przeprowadzali oględziny, Jonasz zgłosił im zaginięcie właściciela samochodu. Po długim szperaniu w komputerze znaleźli go w szpitalu. Jonasz natychmiast tam pojechał. Po drodze zadzwonił do Paulette, która dotarła na miejsce przed nim. Clay leżał na chirurgii, ale był tylko połamany i miał

wstrząśnienie mózgu. Jego życiu nic nie zagrażało.

Kobieta z psem zeznała, że napastnikami byli dwaj biali. Wchodząc do baru przy Wisconsin Avenue, trzech studentów zauważyło dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach, którzy wypadli zza rogu i wskoczyli do zielonej furgonetki, w której czekał kierowca. Było za ciemno, żeby dostrzec numer rejestracyjny.

Ustalono, że nieznany mężczyzna telefonował do Claya o dwudziestej trzydziści dziewięć z budki telefonicznej na rogu M, pięć minut piechotą od jego domu.

Trop się urwał. Ale cóż, ostatecznie było to tylko zwyczajne pobicie.

W dodatku w sobotę. Tej samej nocy w Waszyngtonie doszło do dwóch 249

gwałtów, dwa razy strzelano do ludzi z pędzącego samochodu i wykryto dwa, na pierwszy rzut oka zupełnie przypadkowe, morderstwa.

Ponieważ Clay nie miał w mieście rodziny, Jonasz i Paulette objęli funkcję rzeczników i decydentów. O wpół do drugiej w nocy lekarka poinformowała ich, że operacja przebiegła pomyślnie, kości złusowano, zbito gwoź-

dziami i skręcono śrubami, nie może być lepiej. Uważnie obserwowano aktywność jego mózgu. Na pewno doszło do wstrząśnienia, lecz nie wiadomo jak silnego.

- Wygląda strasznie - uprzedziła ich na zakończenie.

Dwie godziny później przewieziono go powoli na piętro. Jonasz zaczął

dać separatki. Zobaczyli go dopiero o czwartej nad ranem. Miał więcej bandażu niż mumia.

Na obie nogi założono mu gips; wisiały kilkanaście centymetrów nad łóżkiem, na skomplikowanym wyciągu z linek i kółek. Był pod brodę przykryty prześcieradłem. Głowę i pół twarzy owinięto mu grubym bandażem.

Oczy miał tak zapuchnięte, że nie mógł ich otworzyć; na szczęście wciąż był

nieprzytomny. Spuchnięty podbródek, usta spuchnięte i sine. Na szyi krew.

Stali w milczeniu, chłonąc ten widok, wsłuchując się w ciche klikanie i popiskiwanie monitorów, obserwując jego powoli podnoszącą się i opadającą pierś. Nagle Jonasz parsknął śmiechem.

- Spójrz na tego sukinsyna - powiedział.

- Cicho - syknęła Paulette, gotowa mu przyłożyć.

- Oto wielki król masówek - wykrztusił Jonasz, trzęsąc się ze śmiechu.

Do niej też dotarł komizm sytuacji. Roześmiała się, nie otwierając ust, i przez długą chwilę stali u stóp łóżka, z trudem tłumiąc rozbawienie.

Gdy wreszcie spowasniali, Paulette powiedziała:

- Powinieneś się wstydzić.

- Tak, wiem. Przepraszam.

Sanitariusz wtoczył łóżko. Ona miała czuwać pierwsza, on drugi.

Do napadu doszło na szczęście za późno, żeby wiadomość trafiła do niedzielnej „Posta”. Panna Glick zadzwoniła do wszystkich pracowników kancelarii, zakazując im odwiedzin w szpitalu i przysyłania kwiatów.

Clay odzyskał przytomność w południe. Paulette przewracała się wla-

śnie z boku na bok na połówce, gdy nagle spytał:

- Kto tu jest?

Paulette zerwała się z łóżka i podbiegła bliżej.

- To ja.

Przed zapuchniętymi, załzawionymi oczami majaczyła mu czarna twarz.

Nie, to na pewno nie Ridley. Wyciągnął rękę.

- To znaczy kto?

250

- Paulette. Nie widzisz mnie?

- Nie. Paulette? Co ty tu robisz? - Mówił ochryple, powoli i z wyraźnym bólem.

- Pilnuję cię, szefie.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu uniwersyteckim.

- Dlaczego? Co się stało?

- Kiedyś powiedzieliby, że skopano ci dupę.

- że co?

- Napadli cię. Dwóch facetów z pałkami. Dać ci środek przeciwbólowy?

- Tak, poproszę.

Paulette wybiegła z pokoju i znalazła pielęgniarkę. Kilka minut póź-

niej przyszedł lekarz i do znużenia wyjaśniał mu, jak cięsko został pobity.

Kolejna pigułka i Clay odpłynął w niebyt. Większość niedzieli spędził otulony przyjemną mgiełką, z Paulette i Jonaszem, którzy siedzieli przy nim, czytali gazety i oglądali mecz w telewizji.

Piekło rozpętało się dopiero w poniedziałek i wszystkie wiadomości były takie same. Paulette ściszyła telewizor, Jonasz schował gazety. Panna Glick obwarowała się w kancelarii z pozostałymi pracownikami i twardo powtarzała: „Bez komentarzy”. Dostała e-mail od kogoś, kto podawał się za ojca Claya. Był akurat w Zatoce Meksykańskiej, koło Jukatana, i czy ktoś mógłby go poinformować o stanie zdrowia syna? Odpisała, że syn ma wstrząśnienie mózgu, że jest stabilny, chociaż połamany. Ojciec podziękował jej i obiecał odezwać się nazajutrz.

W poniedziałek po południu przyjechała Ridley. Paulette i Jonasz wyszli, szczęśliwi, że mogą dać nogę ze szpitala. Gruzini najwyraźniej nie rozumieli rytuałów szpitalnego czuwania. Podczas gdy Amerykanie przeprowadzali się do swoich ukochanych chorych czy rannych, przedstawiciele innych kultur byli znacznie praktyczniejsi i uważali, że wystarczy, jeśli wpadną do nich tylko na godzinę, po czym wyjdą, zostawiając resztę lekarzom. Przez kilka minut Ridley okazywała mu dużo uczucia i próbowała go zainteresować postępiami prac w willi. Ponieważ łupało mu we łbie, poprosił o tabletkę. Ridley zaległa na połówce. Chciała się zdrzemnąć, bo lot do domu bardzo ją zmęczył. Non stop. Gulfstreamem. Clay też zasnął, a kiedy się obudził, już jej nie było.

Wpadł do niego policyjny detektyw. Wszystkie ślady wskazywały na bandziorów z Reedsburga, ale mieli za mało dowodów. Clay nie potrafił

opisać napastnika, który zadał pierwszy cios.

- Nie widziałem go - wychrypiał, pocierając policzek. żeby poczuł

się lepiej, detektyw pokazał mu cztery duże kolorowe zdjęcia jego porsche pokrytego plackami cementu i Clay musiał połknąć kolejną pigułkę.

Zasypali go kwiatami. Adelfa Pumphrey, Glenda z UOP, Criddle'owie, Rodney, Patton French, Wes Saulsberry i pewien sędzia Sądu Najwyższego. Jonasz przyniósł laptop i Clay odbył długą pogawędkę z ojcem.

Biuletyn o „królu szortów” wyszedł w poniedziałek aż trzy razy, a w każdym numerze roiło się od najświeższych wieści i plotek na temat jego pobicia.

Clay nie widział ani jednego. Ukrywał się w szpitalu i strzegli go przyjaciele.

Wczesnym rankiem we wtorek wpadł Zack Battle w drodze do pracy i przyniósł mu dobre wieści. Policja zawiesiła dochodzenie w sprawie nielegalnej sprzedaży akcji. Zack rozmawiał też z adwokatem Mela Snellinga z Baltimore. Mel się trzymał i nie zamierzał ustępować pod presją FBI.

- Federalni przeczytali o tobie w gazetach i pewnie uznali, że już cię ukarano - powiedział.

- Piszą o mnie w gazetach? - spytał Clay.

- Widziałem ze dwa artykuły.

- Warto je przeczytać?

- Odradzam.

Wkrótce dopadła go szpitalna nuda: wyciąg, kaczka, odwiedziny upar-tych pielęgniarek o każdej porze nocy i dnia, posępne pogawędki z lekarzami, cztery ściany, koszarne jedzenie, ciągłe zmiany bandaży, pobieranie krwi na badania, nuda wynikająca z samego faktu, że po prostu leży i nie może się poruszyć. Gips miał nosić przez wiele tygodni i nie mógł sobie wyobrazić życia w mieście na wózku i o kulach. Planowano co najmniej dwie dodatkowe operacje, na szczęście nie tak poważne jak ta pierwsza.

Coraz częściej nawiedzały go wspomnienia i przypominał sobie coraz więcej odgłosów i fizycznych wrażeń towarzyszących pobiciu. Przypominał sobie twarz mężczyzny, który zadał pierwszy cios, ale nie wiedział, czy jest to twarz prawdziwa, czy ze snu. Dlatego nie powiedział o tym detektywowi. Słyszał przeraź-

liwy krzyk w ciemności, lecz krzyk też mógł być krzykiem z nocnego koszmaru. Pamiętał uniesioną czarną pałkę wielkości kija baseballowego. Na szczęście od razu stracił przytomność i nie wiedział, co było dalej.

Opuchlizna powoli ustępowała; pojaśniało mu w głowie. Przestał brać środki przeciwbólowe, żeby trzeźwiej myśleć i kierować kancelarią za po-

średnictwem Internetu i telefonu. Wszyscy, z którymi rozmawiał, mówili, że mają dużo pracy. Podejrzewał, że kłamią.

Ridley wpadała na godzinę przed południem i na godzinę przed wieczorem.

Stawała przy łóŜku i okazywała mu duŜo uczucia, zwłaszcza gdy w pokoju były pielęgniarki. Paulette jej nie znosiła i momentalnie znikwała na jej widok.

- Ta baba dybie na twoją forszę - powiedziała.

- A ja na jej ciało - odparł.

- Ona lepiej na tym wychodzi.

252

ROZDZIAŁ 39

śeby poczytać, musiał podnosić połowę łóŜka, a ponieważ nogi teŜ miał

uniesione, jego ciało składało się wpół, w kształt litery V. Litery bardzo bolesnej. Wytrzymał w tej pozycji najwyŜej dziesięć minut, a potem musiał

opuszczać łóŜko, ŝeby dać odpocząć mięśniom. Z laptopem Jonasza na gip-sie właśnie przeglądał arizońskie gazety w Internecie, gdy zadzwonił telefon.

- Oscar - powiedziała Paulette.

Rozmawiali krótko w niedzielę wieczorem, ale Clay był wtedy otumaniony proszkami i prawie nie kontaktował. Teraz, zupełnie trzeźwy, łaknął

szczegółów.

- Wal - rzucił, opuszczając połowę łóŜka i próbując się wyciągnąć.

- W sobotę rano Mooneyham nie zadawał ŝadnych pytań. Nie moŜe być lepiej, Clay. Facet jest wspaniały, przysięgli jedzą mu z ręki. Na początku procesu ci z Goffmana chodzili jak pawie, teraz chcą zwiać, gdzie pieprz rośnie. Wczoraj Redding powołał na ŝwiadka swego gwiazdora, biegłego, który zeznał, ŝe nie ma bezpośredniego związku między zaŝywaniem leku i rakiem piersi tej kobiety. Facet był bardzo dobry, cholernie wiarygodny.

Przysięgli słuchali go z zapartym tchem. A potem Mooneyham rozerwał go na strzępy. Wyciągnął jakąś sprawę sprzed dwudziestu lat, badania, które goŝcie spieprzył. PodwaŜył jego kwalifikacje. Kiedy skończył, pana doktora trzeba było znosić. W ŝyciu nie widziałem tak upokorzonego ŝwiadka. Roger pobladł. Ci z Goffmana wyglądali jak banda zbirów na identyfikacji.

- Pięknie, pięknie... - powtarzał Clay, przyciskając słuchawkę do bandaŜa po lewej stronie twarzy; prawe ucho miał pokiereszowane.

- A teraz najlepsze. Dowiedziałem się, gdzie mieszkają, i zmieniłem hotel. Widzę ich na śniadaniu. Widzę ich wieczorem w barze. Wiedzą, kim jestem, więc krąŜymy wokół siebie jak dwa wściekłe psy. Ich radca prawny, facet nazwiskiem Fleet, złapał mnie w wczoraj w holu, godzinę po tym, jak

Mooneyham zarządził ich bieglego. Zaprosił mnie na kielicha. On wypił

jednego, ja trzy. Wypił tak mało dlatego, że musiał wracać na górę, do kumpli z Goffmana, którzy całą noc zastanawiali się nad ugodą.

- Powtórz to - rzucił cicho Clay.

- Dobrze słyszałeś. Ci z Goffmana zastanawiają się nad ugodą z Mooneyhamem. Są przerażeni. I jak wszyscy przekonani, że przysięgli chcą ich zmieść z powierzchni ziemi. Każda uгода będzie kosztowała fortunę, bo Mooneyham nie chce się układać. Clay, ten facet pośrodku ich zwycięzcy!

Roger jest świetny, ale nie sięga mu do pięt.

- Wracajmy do ugody.

- Do ugody. Fleet spytał mnie, ile z naszych pozwów to pozwy mocne, uzasadnione. Ja na to: „Wszystkie, dwadzieścia sześć tysięcy”. Krążył, przez 253

chwile gadał o niczym i nagle pyta, czy przyjęlibyśmy sto tysięcy za każdy.

To dwa miliardy sześćset milionów dolarów, Clay. Przeliczyłeś?

- Przeliczyłem.

- Honorarium też?

- Też. - Ból natychmiast minął. W głowie przestało łupać. Gips stał się lekki jak piórko. Sińce znikły. Clay miał łzy w oczach.

- Nie była to propozycja ugody, facet tylko macał. Ale macał ostro. W są-

dzie krąży od cholery plotek, zwłaszcza wśród prawników i analityków gieł-

dowych. Goffmana stać podobno na siedem miliardów. Gdyby dogadali się z nami teraz, ich akcje by nie spadły, bo mieliby z głowy maxatil. To tylko teoria, ale po wczorajszej jatce całkiem sensowna. Fleet zagadał do mnie, bo mamy najwięcej pozwów. Według tutejszych, liczba potencjalnych klientów sięga sześćdziesięciu tysięcy, więc zgarnęliśmy aż czterdzieści procent. Gdybyśmy poszli na sto tysięcy od łebka, mogliby rozplanować koszty.

- Kiedy się z nim widzisz?

- U nas dochodzi ósma, rozprawa jest za godzinę. Umówiliśmy się przed sądem.

- Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

- Jasne, szefie. Jak tam kości?

- Teraz o wiele lepiej.

Paulette odłożyła słuchawkę. Godzinę później telefon zadzwonił ponownie. Paulette odebrała, podała mu słuchawkę i powiedziała:

- Do ciebie. Ja znikam.

Rebeka. Dzwoniła z dołu, z komórki, i pytała, czy mogłaby na chwilę wpaść. Parę minut później weszła do pokoju i doznała wstrząsu na jego widok. Pocałowała go w policzek, między dwoma siniakami.

- Mieli kije - wyjaśnił. - Dla wyrównania szans. Inaczej miałbym przewagę i byłoby niesprawiedliwie. - Wcisnął guzik, połowa łódzka podjecha-

ła do góry i znowu zgiął się wpół.

- Wyglądasz okropnie. - Miała wilgotne oczy.

- Dzięki. Za to ty prześlicznie.

Pocałowała go znowu, w to samo miejsce i zaczęła masować mu lewą rękę.

- Mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście.

- Gdzie jest teraz twój mąż?

- Albo w Sao Paulo, albo w Hongkongu. Nie nadążam.

- Wie, że tu jesteś?

- Coś ty!

- Co by było, gdyby się dowiedział?

- Zdenerwowałby się. Pewnie byśmy się pokłócili.

- Często się kłócicie?

254

- Cały czas. Nic nam nie wychodzi, Clay. Chcę rozwodu.

Mimo ran miał cudowny dzień. Najpierw fortuna w zasięgu ręki, teraz Rebeka. Otworzyły się drzwi i weszła Ridley. Zauważyli ją dopiero u stóp łódzka.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała.

Cześć, Ridley - odrzekł słabo Clay.

Kobiety wymieniły spojrzenia, które przeraziłyby kobrę. Ridley przeszła na drugą stronę łóżka i stanęła dokładnie naprzeciwko Rebeki, która wciąż trzymała go za posiniaczoną rękę.

- Ridley, to jest Rebeka, Rebeko, to jest Ridley. - Miał szczerą ochotę naciągnąć prześcieradło na głowę i udąć trupa.

Nawet się do siebie nie uśmiechnęły. Ridley zaczęła delikatnie masować mu prawą rękę. Chociaś pieściły go dwie piękne kobiety, czuł się jak ofiara wypadku drogowego na kilka sekund przed nadciągnięciem hordy wilków.

Poniewaś przez długą chwilę nikt nic nie mówił, skłonił głowę w lewo i wykrztusił:

- To moja stara przyjaciółka. - Potem skłonił głowę w prawo. - A to nowa. - Obie uwaśały się za kogoś więcej, przynajmniej w tej chwili. Obie były wściekłe. Ani drgnęły. Zajęły pozycję i czekały.

- Byliśmy chyba na pani weselu - powiedziała w końcu Ridley. Niezbyt delikatna aluzja do tego, że Rebeka była męśatką.

- Tak, o ile pamiętam, niezaprošzeni.

- Niech to licho, pora na moją lewatywę - rzucił Clay, ale roześmiał

się tylko on. Kobiety sięgały po miecze. Dwie bardzo piękne kobiety, po-myślał. Gdyby zaczęły się teraz tłuc, oberwałby jeszcze bardziej. Gdzie są pielęgniarki? Zaglądały do niego o kaśdej porze dnia, nie pytając, czy wo-lałby zostać sam, mając gdzieś to, że akurat spał. Czasami przychodziły po dwie naraz. Ilekroć ktoś go odwiedzał, nieproszona wizyta pielęgniarki była gwarantowana.

„Potrzebuje pan czegoś, panie mecenasie?” „Mośe poprawić łóśko?” „A mośe włączyć telewizor?” „A mośe wyłączyć?”

Na korytarzu panowała cisza. Rebeka i Ridley ostrzyły pazury. Rebeka ustąpiła pierwsza. Nie miała wyboru. Ostatecznie była męśatką.

- Chyba juś pójdę - powiedziała. Wyszła z pokoju powoli, jakby nie miała ochoty wychodzić i ustępować pola przeciwnicze. Clay był zachwycony.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, Ridley uciekła pod okno i stała tam długo, patrząc w dal. Clay przeglądał gazetę, nie zwaśając ani na nią, ani na jej humory. Zimny prysznic, którym bardzo chciała go zlać, był prysznicem mile widzianym.

- Ty ją kochasz, prawda? - rzuciła uraśona, wciąż patrząc w okno.

- Kogo?

- Rebeke.

- Ach, ją... Nie, to tylko stara przyjaciółka.

255

Ridley odwróciła się na pięcie i podeszła do łóżka.

- Nie jestem głupia, Clay!

- Nie powiedziałem, że jesteś. - Wciąż czytał gazetę, nieporuszony jej dramatyzmem. Chwyła torebkę i wypadła na korytarz, stukocząc obcasami najgłośniejszymi, jak potrafiła. Zaraz potem do pokoju weszła pielęgniarka, żeby sprawdzić, czy nie odniósł dodatkowych ran.

Kilka minut później przed sądem zadzwonił Oscar. Zarządzono krótką przerwę w rozprawie.

- Podobno Mooneyham odrzucił dziesięć milionów.

- Fleet ci to powiedział?

- Nie, nie widzieliśmy się. Coś go zatrzymało. Spróbuję złapać go podczas lunchu.

- Kto teraz zeznaje?

- Kolejny biegły Goffmana, profesorka z Duke. Próbuje podważyć ten rządowy raport. Mooneyham już ostrzy noże. Będzie paskudnie.

- Wierzysz w te dziesięć milionów?

- Sam nie wiem, w co wierzyć. Chłopcy z Wall Street są podekscytowani. Chcą ugody, bo uważają, że to najlepszy sposób na oszacowanie wszystkich kosztów. Zadzwoń z restauracji.

Proces we Flagstaff mógł skończyć się na trzy sposoby: dwa z nich byłyby cudowne. Werdykt przeciwko Goffmanowi zmusiłby firmę do ugody: woleliby uniknąć ciągnących się latami procesów i groźby wysokich odszkodowań. Ugoda zawarta w trakcie procesu pociągnęłaby za sobą opracowanie ogólnokrajowego planu rekompensat dla wszystkich powodów.

Werdykt na korzyść Goffmana z kolei zmusiłby Claya do natychmiastowego rozpoczęcia przygotowań do procesu w Waszyngtonie. Na tę myśl ponownie rozboleły go nogi i głowa. Wielogodzinny bezruch w szpitalnym łóżku był torturą samą w sobie. Milczący telefon jeszcze bardziej pogarszał sprawę. Goffman mógł w każdej chwili zaproponować Mooneyhamowi górę pieniędzy i nakłonić go do zawarcia ugody. Ambicja może mu napierać na werdykt, ale czy mógł lekceważyć dobro klientki?

Pielęgniarka zaciągnęła szaluzje, zgasła światło i telewizor. Gdy wyszła, Clay postawił sobie telefon na brzuchu i naciągnął na głowę prześcieradło. Czekał.

ROZDZIAŁ 40

Nazajutrz rano zawieźli go z powrotem na chirurgię na wyregulowanie gwoździ i dokręcenie czy

- Musimy pana trochę podrasować - powiedział lekarz.

Podrasowanie wymagało pełnego znieczulenia, dzięki czemu miał z głowy resztę dnia. Do pokoju wrócił kilka minut po dwunastej, natychmiast zasnął i spał trzy godziny, zanim znieczulenie puściło. Gdy się w końcu obudził, nie czekała na niego ani Ridley, ani Rebeka, tylko Paulette.

- Oscar dzwonił? - Mówił tak, jakby spuchł mu język.

- Dzwonił. Powiedział, że wszystko w porządku. - Poprawiła mu prze-

ścieradło i poduszkę, napiła go, a gdy na dobre otrzeźwiał, wyszła coś załatwić. Idąc do drzwi, podała mu grubą zaklejoną kopertę.

List od Frencha. Odręczny, z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia i czymś, czego Clay nie mógł odcyfrować. Do listu załączono okólnik do członków adwokackiego komitetu nadzorczego (obecnie pozwanych).

Jak co tydzień, pani mecenas Helen Warshaw uzupełniła listę pozwów. Lista robiła się coraz dłuższa. Pacjentów z rakiem po dylofcie przybywało jak grzybów po deszczu i pozwani coraz bardziej pogrążali się w bagnie.

Jak dotąd było trzysta osiemdziesięciu jeden powodów, w tym dwudziestu czterech skarżących Claya. Clay przeczytał ich nazwiska, zastanawiając się, jakim cudem ich ścieśki się przecięły.

Czyjego byli klienci nie skakaliby z radości, widząc go w szpitalnym łóżku, poranionego, połamanego i posiniaczonego? Może któryś z nich le-

żał w tym samym korytarzu? Może właśnie usuwano mu guzy i organy wewnętrzne, może właśnie tulił się do bliskich, podczas gdy zegar tykał

coraz szybciej i głośniejsze? Wiedział, że chorowali na raka nie z jego winy, mimo to czuł się odpowiedzialny za ich cierpienie.

W końcu wpadła Ridley. Przydzwigała kilka książek i czasopism, robi-

ła wrażenie zatroskanej. Po kilku minutach powiedziała:

- Clay, dzwonił projektant wnętrz. Muszę wracać do willi.

Projektant czy projektantka? Przez chwilę rozważał to pytanie, lecz go nie zadał.

Bomba! Świetny pomysł!

- Kiedy? - spytał.

- Chyba już jutro. Jeśli tylko samolot jest wolny. - Dlaczego nie miałby być wolny?

- Jest, oczywiście. Zadzwoń do pilotów. - życie bez niej będzie łatwiejsze. W szpitalu na nic się nie przydawała.

- Dzięki. - Usiadła na krześle i zaczęła przeglądać czasopismo. Pół godziny później jej czas dobiegł końca. Pocałowała go w czoło i znikła.

Następny był detektyw. W niedzielę rano aresztowano trzech mężczyzn przed barem w Hagerstown w Marylandzie. Brali udział w bójce.

Próbowali odjechać z miejsca zdarzenia ciemnozieloną furgonetką, ale kierowca przedobrzył i wpadli do rowu. Detektyw pokazał mu trzy kolorowe

zdjęcia podejrzanych - wszyscy mieli zakazane gęby. Clay nie rozpoznał żadnej.

Według szefa policji w Reedsburgu, pracowali w cementowni Hannów.

Ostatnio zostali zwolnieni, ale była to jedyna informacja, jaką detektyw zdołał wydobyć od tamtejszych stróżów prawa.

- Nie chcą współpracować - powiedział. Clay był w Reedsburgu i rozumiał dlaczego. - Jeśli ich pan nie rozpoznaje, będę musiał zamknąć sprawę, nie mam wyboru.

- Nigdy ich nie widziałem - odrzekł Clay.

Detektyw schował zdjęcia do teczki i wyszedł. Potem była parada pielęgniarzy i lekarzy, badania i macanki, i godzinę później Clay wreszcie zasnął.

Oscar zatelefonował o wpół do dziesiątej wieczorem. Sędzia właśnie zamknął posiedzenie. Wszyscy byli wyczerpani, głównie tym, że Dale Mooneyham znowu urządził w sali jatki. Goffman niechętnie powołał trzeciego biegłego, miękkiego jak wosk szczura laboratoryjnego w okularach w rogowej oprawce, odpowiedzialnego za kliniczne próby z maxatitem, i po cudownym, bardzo twórczym przesłuchaniu przez Rogera, Mooneyham rozłożył faceta na łopatki i zaczął go katować.

- Wydymał gościa równo i skutecznie - mówił ze śmiechem Oscar. -

Goffman będzie się bał powoływać kolejnego świadka.

- Uгода? - Clay był powolny, otumaniony i śpiący, lecz rozpaczliwie pragnął poznać jak najwięcej szczegółów.

- Nie, ale przed nami długa noc. KrąŜą plotki, Œe jutro ci z Goffmana spróbuj powoac jeszcze jednego biegego, a potem wezm ogon pod siebie, usid na tyku i bd czekali na werdykt. Mooneyham nie chce z nimi gada.

Zachowuje sie i wyglda tak, jakby oczekiwa rekordowego odszkodowania.

Clay zasna ze suchawk przy skroni. Pielgniarka zabraa j godzin poźniej.

Dyrektor naczelny Goffmana przyjecha do Flagstaff w Œrod poźnym wieczorem i natychmiast zaprowadzono go do wysokiego budynku, gdzie spiskowali jego adwokaci. Roger Redding i pozostali obrocy wprowadzili go w sprawe i pokazali najŒwieŒsze wyniki oblicze przeprowadzonych przez tych od finans. Rozmawiano wyacznie o najczarniejszych, najbardziej katastroficznych scenariuszach.

Zebrawszy tegie ciegi, Redding upiera sie, Œeby obrona nie rezygnowaa z pierwotnego planu i powoaa reszte Œwiadckw. Ale Bob Mitchell, gówny radca prawny spoki i jej wiceprezes, oraz Sterling Gibb, jej dugo-letni adwokat i kumpel naczelnego - grywali razem w golfa - widzieli wystarczajco duŒo. Uznali, Œe jeŒli Mooneyham zamorduje jeszcze jednego 258

Œwiadka, przysiegli mog zerwa sie z miejsc i zaatakowa najbliŒej siedzcego przedstawiciela firmy. Reddingiem kierowaa mocno uraŒona ambicja. Chcia prze do przodu z nadziej na cud. Nie warto go byo sucha.

O trzeciej nad ranem Mitchell i Gibb spotkali sie z dyrektorem sam na sam, przy paczkach. Tylko we trzech. ChociaŒ sytuacja bya fatalna, pewne tajemnice zwiazane z maxatylem nie mog wyjc na jaw. Gdyby wyszy, gdyby Mooneyham je w jakiŒs sposób odkry albo wyciagn ze Œwiadckw.

Goffman byby naprawde skoczony. Jak dotd adwokat bodzi po omac-ku. Dyrektor postanowi pooŒyc kres jatce.

Gdy o dziewitej rano sd wznowi posiedzenie, Roger Redding oŒwiadczy, Œe obrona nie wezwie juŒ Œadnych Œwiadckw.

- Œadnych, panie mecenasie? - Piętnastodniowy proces uleg skroceniui o poow. Sdzia mia przed sob cay tydzie golfa!

- Œadnych, Wysoki Sdzie - powtorzy Redding i uŒmiechn sie do przysiegych, jakby wszystko byo w porzadku.

Sdzia spojrz na Mooneyhama.

- Bdzie jakaŒ replika, panie mecenasie.

Adwokat powoli wsta. Podrap sie po gowie, łypn spode łba na Reddinga i odrzek:

- Jeśli oni skończyli, skończyliśmy i my.

Sędzia wyjaśnił przysięgłym, że teraz nastąpi przerwa, gdyż Wysoki Sąd musi załatwić kilka spraw z adwokatami. Po przerwie mieli wysłuchać ostatniego wystąpienia przedstawicieli stron i do lunchu będzie po procesie.

Podobnie jak wszyscy pozostali, Oscar wybiegł na korytarz z telefonem komórkowym w ręku. Ale Clay nie odbierał.

Trzy godziny czekał na prześwietlenie. Trzy godziny na łóŜku w ruchliwym holu wśród zagonionych pielęgniarek i gadających o niczym sanitariuszy. Telefon zostawił w pokoju, dlatego leŜąc w szpitalnych czeluściach, przez trzy godziny był odcięty od świata.

Prześwietlenie trwało prawie godzinę, chociaż mogłoby trwać krócej, gdyby pacjent nie był tak niechętny do współpracy, tak agresywny, a chwilami nawet wulgarny. Sanitariusz odwiózł go do pokoju i z radością tam zostawił.

Clay drzemał, gdy Oscar zadzwonił ponownie. U niego była piąta dwadzieścia, trzecia dwadzieścia we Flagstaff.

- Gdzieś ty się podziewał?

- Lepiej nie pytaj - odparł Clay.

- Rano Goffman rzucił ręcznik. Próbował się dogadać, ale Mooneyham ich olał. Potem wszystko poszło błyskawicznie. O dziesiątej zaczęły się wystąpienia końcowe. O dwunastej przysięgli wyszli na naradę.

- Wciąż obradują? - Clay prawie wrzeszczał do telefonu.

259

- Już nie.

- Co?

- Już skończyli. Obradowali trzy godziny i opowiedzieli się za Goffmanem. Przykro mi, Clay. Wszyscy tutaj są w szoku.

- Nie.

- Niestety.

- Kłamiesz, Oscar. Powiedz, że kłamiesz.

- Chciałbym. Nie wiem, co się stało. Nikt nie wie. Redding wygłosił

wspaniałą przemowę, ale ja obserwowałem przysięgłych. Myślałem, że poprą Mooneyhama.

- Dale Mooneyham przegrał proces?

- Nie byle jaki, bo nasz.

- Ale jak?

- Nie wiem. Postawiłbym wszystko przeciwko Goffmanowi.

- No i postawiliśmy.

- Przykro mi.

- Posłuchaj. Leżę w łóżku i jestem cholernie samotny. Zamykam oczy i chcę, żebyś do mnie mówił, dobra? Nie zostawiaj mnie tak. Nikogo tu nie ma. Po prostu mów. Powiedz coś.

- Po werdykcie dopadł mnie Fleet z tymi dwoma, z Bobem Mitchel-lem i Sterlingiem Gibbem. Uroczy chłopcy. Byli tak szczęśliwi, że omal nie pękli z radości. Pytali mnie, czy jeszcze żyjesz. Co ty na to? Przysyłają ci ukłony i pozdrawiają chyba szczerze. Powiedzieli, że zaczynają przedstawienie: Roger Rakieta i cała reszta jadą do Waszyngtonu na proces przeciwko mecenasowi Clayowi Carterowi, królowi masówek, który, jak wszystkim wiadomo, ani razu nie stawał w sądzie w sprawie cywilnej. Cóż mogłem na to powiedzieć? Pobili znanego adwokata na jego własnym podwórku.

- Nasze pozwy są do wyrzucenia.

- Tamci na pewno tak myślą. Mitchell powiedział, że nikt w kraju nie da za nie ani centa. Chcą procesów. Chcą dochodzić swoich praw. Chcą oczyścić się z zarzutów. I tak dalej, sam wiesz.

Clay trzymał go przy telefonie przez ponad godzinę, dopóki w pokoju nie zapadła ciemność. Oscar opowiedział mu, o czym mówili adwokaci w ostatnim wystąpieniu, opisał pełną napięcia atmosferę, w jakiej wszyscy czekali na werdykt. Opisał wyraz zaszokowania na twarzy powódki, umierającej kobiety, której adwokat odrzucił propozycję dziesięciomilionowe-go odszkodowania. Opisał również Mooneyhama, który nie przegrał procesu od tak dawna, że zapomniał już, jak się przegrywa, i zajął od przysięgłych pisemnego wyjaśnienia swojej decyzji. Gdy ponownie złapał oddech i zdołał wstać, o lasce rzecz jasna, zrobił z siebie kompletnego idiotę.

I ten szok wśród przedstawicieli Goffmana, którzy siedzieli w ciemnych 260

garniturach z pochylonymi głowami, pogrążeni w grupowej modlitwie, dopóki przewodniczący ławy przysięgłych nie wygłosił swoich majestatem słów. Ten popłoch, z jakim analitycy z Wall Street rzucili się do wyjścia, żeby jak najszybciej puścić wiadomość w świat.

Oscar zakończył opowieść słowami:

- Idę do baru.

Clay wezwał pielęgniarkę i poprosił o coś na sen.

ROZDZIAŁ 41

Po jedenastu dniach przymusowego zamknięcia w końcu go wypisano. Na lewą nogę założyli cięższy gips i chociaż wciąż nie mógł chodzić, mógł

przynajmniej lekko nią poruszać. Paulette wywiozła go na wózku przed szpital, gdzie czekała wynajęta furgonetka z Oscarem za kierownicą. Kwadrans później wwieźli go do domu i zamknęli drzwi na klucz. Paulette i panna Glick przerobiły gabinet na tymczasową sypialnię. Telefon, faks i komputer przeniesiono na składany stolik przy łóżku. Starannie poskładane ubrania leżały na plastikowych półkach przy kominku.

Przez pierwsze dwie godziny czytał listy, sprawozdania finansowe i wycinki prasowe, ale tylko te, które ocenzurowała Paulette. Większość tego, co o nim napisano, zostało przez nią skonfiskowane.

Potem, po drzemce, usiadł z nimi przy kuchennym stole i oznajmił, że pora zaczynać.

Musieli to wszystko jakoś rozwikłać.

Najważniejsza była kancelaria. Crittle zdołał nieco ograniczyć wydatki, mimo to koszty ogólne wciąż pochłaniały około miliona dolarów miesięcznie. Ponieważ nie mieli i nie spodziewali się żadnych dochodów, musieli natychmiast zredukować stan zatrudnienia. Przejrzeli listę pracowników

-
prawników, adwokatów bez licencji, sekretarek, urzędników i gońców - i dokonali bolesnych cięć. Chociaż pozwy były bezwartościowe, zamknięcie akt maxatilu wymagało trochę pracy, dlatego Clay zatrzymał czterech prawników i czterech adwokatów bez licencji. Chciałby wywiązać się z ka-

dej podpisanej umowy, ale zarząłoby to sporo pieniędzy, których bardzo teraz potrzebowali.

Popatrzył na listę osób przeznaczonych do zwolnienia i zrobiło mu się niedobrze.

- Chcę się z tym przespać - rzekł, nie mogąc podjąć ostatecznej decyzji.

- Clay, większość z nich się tego spodziewa - powiedziała Paulette.

261

Spojrzał na nazwiska jeszcze raz i spróbował sobie wyobrazić, jakie plotki szaleją teraz w korytarzach kancelarii.

Dwa dni wcześniej Oscar zgodził się - choć niechętnie - pojechać do Helen Warshaw. Odmalował jej szeroki obraz aktywów i potencjalnych zobowiązań Claya i w sumie błagał ją o litość. Jego szef nie chciał wnosić o bankructwo, ale przyparty do muru, nie będzie miał innego wyjścia. Na pani

mecenas nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Clay należał do grupy prawników, jej pozwanych, wartych łącznie około półtora miliarda dolarów. Nie mogła dopuścić do tego, żeby wyłgał się ugodą za nędzny milion dolarów od łebka, podczas gdy Patton French zapłaciłby za tę samą sprawę trzy razy więcej. Poza tym nie była w nastroju do zawierania uгод.

Ten niezwykle ważny proces będzie śmiałą próbą naprawienia błędów w systemie pozwów zbiorowych i zamierzała delektować się każdą jego chwilą.

Oscar wrócił do Waszyngtonu z podwiniętym ogonem, całkowicie przekonany, że Helen Warshaw, jako przedstawicielka największej grupy wierzycieli Claya, pała śądzą krwi.

Bankructwo. Pierwszy wypowiedział to straszne słowo Rex Crittle, jeszcze w szpitalu. Przecięło powietrze jak kula, wybuchło z siłą miny. Potem wypowiadano je coraz częściej. Zaczął je wypowiadać Clay, ale tylko wtedy, gdy mówił sam do siebie. Raz wypowiedziała je Paulette. Oscar wypowiedział je w Nowym Jorku. Nie pasowało, nie podobało im się, jednak już

tydzień później weszło na stałe do ich słownictwa.

Dzięki bankructwu mógłby zerwać umowę o wynajem lokalu na kancelarię.

Dzięki bankructwu mógłby pozrywać umowy z pracownikami.

Dzięki bankructwu mógłby odsprzedać gulfstreama na znacznie lepszych warunkach.

Dzięki bankructwu mógłby nakłonić do ugody niezadowolonych właścicieli domów posklejanych wadliwym cementem Hanny.

I co najważniejsze, dzięki bankructwu mógłby okiełznać Helen Warshaw.

Oscar był przybity niemal tak samo jak on i po kilku godzinach rozpaczenia pojechał do kancelarii. Paulette wywiozła Claya na taras, gdzie wypili po filiżance zielonej herbaty z miodem.

- Chcę ci coś powiedzieć - oznajmiła, siadając tuż przy nim i patrząc mu prosto w oczy. - Po pierwsze, zamierzam zwrócić ci część pieniędzy.

- Niczego nie będziesz mi zwracała.

- Owszem, będę. Dałeś mi dziesięć milionów, chociaż nie musiałeś.

Jesteś głupim białasem, który oberwał po tyłku, i nic na to nie poradzę. Ale wciąż cię kocham, Clay. I chcę pomóc.

- Niewiarygodne, co?

- Fakt, niewiarygodne, ale prawdziwe. Stało się. I będzie jeszcze gorzej. Nie czytaj gazet. Proszę. Obiecuj, że nie będziesz,

- Nie martw się.

- Pomogę ci. Jeśli wszystko stracisz, dopilnuję, żebyś z tego wyszedł.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Najlepiej nic.

Wzięli się za ręce i zwilgotniały mu oczy. Minęła chwila.

- Po drugie - ciągnęła Paulette - rozmawiałam z Rebeką. Boi się tu przyjść, bo ktoś może ją przyłapać. Kupiła nowy telefon; może nic o tym nie wie. Dała mi numer. Chce, żebyś do niej zadzwonił.

- Doradzisz mi coś jako kobieta?

- Nie. Wiesz, co myślę o tej ruskiej cipce. Rebeka to miła dziewczyna, ale, delikatnie mówiąc, ma pewien bagaż. Jesteś zdany na samego siebie.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma za co. Chce, żebyś zadzwonił jeszcze dzisiaj. Może wyjechał

czy coś tam. Za pięć minut wychodzę.

Rebeka zaparkowała za rogiem i prześlizgnęła się ukradkiem do drzwi.

Nie byli w tym dobrzy, ani ona, ani on. Pierwszą rzeczą, jaką ustalili, było to, że robią to pierwszy i ostatni raz.

Doszła z mężem do porozumienia i postanowili rozstać się w przyjaź-

ni. Myers próbował się początkowo dogadać i opóźnić rozwód, ale wolał

pracować osiemnaście godzin na dobę, czy to w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Palo Alto czy w Hongkongu. Jego wielka firma miała filie w trzydziestu dwóch miastach i klientów z całego świata. Praca była dla niego najważniejsza. Dlatego po prostu ją zostawił, za nic nie przeproszając i nie zamierzając niczego zmieniać. Pozew miał wpłynąć do sądu w ciągu dwóch dni. Rebeka już pakowała walizki. On miał zatrzymać mieszkanie; ona nie wiedziała jeszcze, dokąd pójdzie. W ciągu niecałego roku małżeństwa zgromadzili niewiele. Jako wspólnik, Myers zarabiał osiemset tysięcy dolarów rocznie, ale nie chciała jego pieniędzy.

Twierdziła, że rodzice się nie wtrącali. Nie mieli okazji. Myers ich nie lubił, w czym nie było nic dziwnego, i Clay podejrzewał, że jednym z powodów, dla których tak często wyjeżdżał do

Hongkongu, było to, że Van Hornowie nie mogli go tam dopaść.

Oboje mieli powody do ucieczki. Clay pod fałszywym pozorem nie zamierzał zostawać w Waszyngtonie. Poniósł go i wysłano - rany były zbyt głębokie i świeże, tymczasem gdzieś tam czekał świat, gdzie nikt go nie znał.

Tęsknił do anonimowości. Po raz pierwszy w życiu Rebeka chciała po prostu uciec: od nieudanego małżeństwa, od rodziny, od klubu i jego nieznośnych

członków, od przymusu zarabiania pieniędzy i gromadzenia rzeczy, uciec z McLean i od jedynych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miała.

Godzinę trwało, zanim zdołał wciągnąć ją do łóżka, chociaż z gipsem i szwami seks nie wchodził w grę. Chciał po prostu tulić ją, całować i nadrobić stracony czas.

Spędziła z nim noc i postanowiła zostać. Nazajutrz, przy porannej kawie, opowiedział jej wszystko, poczynając od Tequila Watsona i tarvanu.

Paulette i Oscar przynieśli z kancelarii kolejne złe nowiny. Jakiś adwokat z hrabstwa Howard namawiał właścicieli domów do oskarżenia Claya o naruszenie etyki zawodowej w sprawie ugody z Hannami. Do Waszyngtonu wpłynęło już kilkadziesiąt indywidualnych pozwów. Adwokat złożył

przeciwko niemu pozew zbiorowy - jak dotąd zebrał sześciu klientów i aktywnie zabiegał o kolejnych. Kancelaria opracowywała plan ugody z Hannami, który wkrótce zamierzała przedstawić sędziemu. Co dziwne, mogli nawet dostać za to jakieś pieniądze, choć nie takie, jakie odrzucił Clay.

Helen Warsaw nalegała na jak najszybsze skompletowanie zaprzysię-

żonych zeznań kilkunastu „dyktantów”. Sprawa była bardzo pilna, ponieważ ludzie ci umierali, a ich nagrane na wideo oświadczenia stanowiły kluczowy dowód w procesie, który miał rozpocząć się mniej więcej za rok.

Stosowana przez adwokatów taktyka opóźniania, przeciągania, przekładania i zwlekania byłaby w tym przypadku wysoce niesprawiedliwa. Clay zatwierdził zaproponowany przez nią harmonogram, chociaż nie zamierzał

w tych przesłuchaniach uczestniczyć.

Naciskany przez Oscara zgodził się w końcu zwolnić dziesięciu prawników, większość adwokatów bez licencji, sekretarek i urzędników. Do każdego z nich wystosował list z krótkimi przeprosinami. Całą odpowiedzialność za upadek firmy wziął na siebie.

Bo, szczerze powiedziawszy, była to wyłącznie jego wina.

Zredagowali ten list do „maxatylowców”. Clay podsumował w nim wyniki procesu we Flagstaff. Wciąż utrzymywał, że lek jest niebezpieczny, lecz udowodnienie tego byłoby teraz „bardzo trudne, a nawet niemożliwe”.

Przedstawiciele Goffmana nie chcieli iść na ugodę, a zważywszy, że ma w tej chwili poważne kłopoty ze zdrowiem, nie jest w stanie przygotować się do długiego procesu.

Nie chciał wykorzystywać pobicia jako wymówki, ale Oscar nie ustąpił. Brzmiało to bardzo wiarygodnie. Clay upadł tak nisko, że musiał posilkować się każdym argumentem przemawiającym na jego korzyść.

Dlatego też rozwiązywał umowę ze wszystkimi klientami, dając im wystarczająco dużo czasu na wynajęcie innego adwokata i dalsze ściganie Goffmana. śyczył im nawet szczęścia.

264

Wiedział, że list wywoła burzę.

- Jakoś to załatwimy - powtarzał Oscar. - Przynajmniej pozbędziemy się tych ludzi.

Clay ciągle myślał o Maksie, o swoim starym kumplu, który wpakował

go w maxatil. Pace'a - tak brzmiało jedno z pięciu używanych przez niego nazwisk - oskarżono o nielegalny handel papierami wartościowymi, lecz jak dotąd się ukrywał. Akt oskarżenia zarzucał mu wykorzystanie poufnych informacji wewnętrznych i sprzedaż prawie miliona akcji Goffmana przed wniesieniem pozwu przez Claya. Później Max odkupił je i zwiózł z kraju z piętnastoma milionami dolarów na koncie. Uciekaj, Max, uciekaj. Gdyby go schwytano i postawiono przed sądem, mógłby wyjawić brudne tajemnice.

Na liście Oscara figurowało jeszcze sto innych pozycji, ale Clay był już zmęczony.

- Dzisiaj też mam robić za pielęgniarkę? - szepnęła w kuchni Paulette.

- Nie, Rebeka tu jest.

- Uwielbiasz kłopoty, co?

- Jutro wnosi o rozwód. O zgodny rozwód.

- A co z tą cipcią?

- To już przeszłość. Jeśli w ogóle wróci z Saint Barth.

Przez cały tydzień nie wychodził z domu. Rebeka spakowała rzeczy Ridley do stulitrowych worków na śmieci i upchnęła je w piwnicy. Przywiozła kilka walizek rzeczy swoich, chociaż Clay ostrzegął ją, że dom też

straci. Cudownie gotowała i pielęgnowała go w razie potrzeby. Do północy oglądali stare filmy, spali do południa. Wozila go do lekarza.

Ridley dzwoniła co drugi dzień. Nie powiedział jej, że willa przepadła; wolał zrobić to osobiście, gdyby kiedykolwiek wróciła. Nadal remontowa-

ła willę, chociaż bardzo ograniczył jej budżet. Wyglądało na to, że Ridley nie zdaje sobie sprawy z jego problemów.

Ostatnim prawnikiem, który wkroczył w jego życie, był Mark Munson, specjalista od plajt, ekspert od wielkich, skomplikowanych bankructw indywidualnych. Znalazł go Crittle. Gdy Clay zaangażował Munsona, Rex pokazał mu księgi, umowy, kontrakty i pozwy, słowem - zapoznał go ze wszystkimi aktywami i pasywami. Odwiedzili Claya w domu, a on poprosił Rebeke, żeby zostawiła ich samych. Chciał zaoszczędzić jej ponurych szczegółów.

W ciągu siedemnastu miesięcy, jakie upłynęły od chwili, gdy porzucił

pracę w Urzędzie obrońcy Publicznego, zarobił sto dwadzieścia jeden milionów dolarów. Trzydzieści milionów dał Rodneyowi, Paulette i Jonaszowi w ramach premii. Dwadzieścia poszło na koszty utrzymania kancelarii i na samolot. Szesnaście stracił na reklamie i badaniach lekarskich klientów przyjmujących dyloft, maxatil i Chudego Bena. Trzydzieści cztery

miliony zapłacił podatki, już zapłacone i te, które musiał jeszcze zapłacić.

Cztery miliony zapłacił za willę. Trzy za katamaran dla ojca. Milion tu, milion tam: dom w Georgetown, „pościzka” dla Pace'a, ot, zwykle ekstra-wagancje nowobogackich.

Ciekawym przypadkiem był jacht. Clay za niego zapłacił, ale spółka na Bahamach, która miała do niego prawo, należała w całości do ojca. Munson uważał, że sąd upadłościowy może zająć jedno z dwóch stanowisk: albo uzna, że jest to dar od syna, i wówczas Clay będzie musiał zapłacić podatek od darowizny, albo że jacht nie jest częścią majątku Claya. Tak czy inaczej, katamaran pozostanie w posiadaniu Jarretta Cartera.

Clay zarobił również siedem milionów sto tysięcy na akcjach Ackermana i chociaż większość tych pieniędzy spoczywała na zagranicznym koncie, wkrótce miała trafić do kraju.

- Jeśli coś pan ukryje, pójdzie pan siedzieć - pouczał Munson, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że nie toleruje takiego sposobu myślenia.

Bilans wskazywał dochód netto rzędu dziewiętnastu milionów dolarów i kilka zaciągniętych kredytów. Za to zobowiązania wyglądały katastrofalnie. Dwudziestu sześciu byłych klientów skarżyło JCC za fiasko z dyloftem. Oczekiwano, że ich liczba wzrośnie i chociaż trudno było przewidzieć wysokość odszkodowania, nie ulegało wątpliwości, że znacznie przekroczy wartość jego aktywów. Właściciele rozlatujących się domów burzyli się i organizowali. Konsekwencje pozwu przeciwko producentowi maxatilu będą paskudne i długotrwałe. Tych wydatków też nie dało się w żaden sposób przewidzieć.

- Niech martwi się o to sąd - powiedział Munson. - Wyjdzie pan z te-go w jednej koszuli na grzbiecie, ale przynajmniej bez długów.

- Jeju, dzięki - odrzekł Clay, wciąż myśląc o jachcie. Gdyby sąd nie zaliczył katamaranu do aktywów, Jarrett mógłby go sprzedać i kupić sobie coś mniejszego, a on miałby trochę pieniędzy na chleb.

Po dwugodzinnej nsiadówce z Munsonem i Crittle'em kuchenny stół

był zasłany arkuszami kalkulacyjnymi, wydrukami i porzuconymi notatkami, śłośnymi strzypami siedemnastu miesięcy jego śycia. Wstydział się swej chciwości, śenowała go własna głupota. To, co zrobiły z nim pieniądze, było obrzydliwe.

Na duchu podtrzymywała go jedynie myśl o wyjeździe.

Ridley zadzwoniła z Saint Barth z alarmującą wiadomością, śe przed

„ich" willą ustawiono tablicę z napisem NA SPRZEDAŚ.

- Bo jest teraz na sprzedaś - odrzekł Clay.

- Nie rozumiem.

- Wróć do domu, wszystko ci wyjaśnię.

266

- Masz kłopoty?

- Mośna to tak nazwać.

Ridley długo milczała.

- Wolę zostać tutaj - powiedziała w końcu.

- Do niczego nie mogę cię zmusić.

- Nie, nie mośesz.

- Świetnie. Zostań tam, dopóki ktoś jej nie kupi. Wszystko mi jedno.

- Ile to mośe potrwać?

Juś widział, jak Ridley robi wszystko, śeby tylko uniemośliwić sprzedaś. Ale w tej chwili miał to gdzieś.

- Mośe miesiąc, mośe rok. Nie wiem.

- Zostaję.

- Dobrze.

Rodney zastał swego przyjaciela na schodach jego malowniczego domu.

Na ziemi kule, na ramionach szal chroniący przed jesiennym chłodem. Na ulicy Dumbarton wirowały miotane wiatrem liście.

- Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedział Clay. - Od trzech tygodni siedzę w domu.

- Jak tam twoje kości? - Rodney usiadł koło niego i spojrzał na ulicę.

- Dobrze, zrastają się.

Rodney był teraz typowym mieszkańcem przedmieść. Luźne brązowe spodnie, adidas, elegancka terenówka do wożenia dzieci.

- A głowa?

- Mózg ocalał.

- A dusza?

- Delikatnie mówiąc, udręczona. Ale jakoś przeżyję.

- Paulette mówi, że wyjeżdżasz.

- Przynajmniej na jakiś czas. W przyszłym tygodniu składam wniosek o bankructwo i znikam. Paulette ma mieszkanie w Londynie. Przywarujemy tam na kilka miesięcy.

- Nie dasz rady uniknąć plajty?

- Absolutnie. Jest za dużo pozwów, dobrych pozwów. Pamiętasz naszego pierwszego „dyłofowca”, Teda Worleya?

- Jasne.

- Zmarł wczoraj. To nie ja pociągnąłem za spust, ale na pewno nie zrobiłem nic, żeby go uratować. Przed ławą przysięgłych jego sprawa była-by warta pięć milionów. Takich jak on jest dwudziestu sześciu. Wyjeżdżam do Londynu.

- Clay, chcę pomóc...

267

- Nie przyjmę twoich pieniędzy. Wiem, po to tu przyjechałeś. Raz rozmawiałem o tym z Jonaszem, dwa razy z Paulette. Zarobiłeś je i byłeś na tyle mądry, żeby się wycofać. Ja mądry nie byłem.

- Nie pozwolimy ci umrzeć, stary. Nie musiałeś dawać nam dziesięciu milionów. Ale dałeś. Dlatego chcemy ci trochę zwrócić.

- Nie.

- Tak. Już to obgadaliśmy. Zaczekamy, aś zbankrutujesz i kaśde z nas odpali ci działkę. To nasz podarunek.

- Zarobiliście te pieniądze, zatrzymajcie je.

- Nikt nie zarabia dziesięciu milionów w pół roku. Dziesięć milionów mośe spać z nieba, mośna je wygrać albo ukraść, ale nie zarobić. To absurdalne i obrzydliwe. Dlatego chcę ci trochę zwrócić. Paulette teś. Nie wiem jak Jonasz, ale on teś otrzeźwieje.

- Jak tam dzieci?

- Zmieniasz temat.

- Tak, zmieniam temat.

Tak więc zaczęli rozmawiać o dzieciach, o starych przyjaciółach z UOP, o dawnych klientach i sprawach, które tam prowadzili. Siedzieli na schodach aś do zmroku, kiedy to przyszła Rebeka i zaprosiła ich na kolację.

ROZDZIAŁ 42

Nazywał się Art Mariani, pracował w „Washington Post” i całkiem dobrze Claya znał, bo dokumentował jego zadziwiający wzlot i równie nie-wiarygodny upadek z dbałością o szczegóły i względną uczciwością. Gdy przyjechał, powitała go Paulette, która wąskim korytarzem zaprowadziła go do kuchni, gdzie czekali pozostali. Clay z trudem wstał, przywitał się, po czym przedstawił siedzących wokół stołu: Zacka Battle'a, swego adwokata, Rebekę Van Horn, przyjaciółkę, i Oscara Mulrooneya, swego współ-nika. Podłączono magnetofony. Rebeka podała kawę.

- To długa historia - powiedział Clay - ale czas nas chyba nie goni.

- Nie mam śadnego terminu - odrzekł Mariani.

Clay wypił łyk kawy i wziął głęboki oddech. Zaczął od morderstwa Ramona „Dyńi” Pumphreya, zastrzelonego przez Tequilę Watsona. Daty, godziny, miejsca. Miał notatki i wszystkie akta. Potem mówił o Washadzie Porterze i jego ofiarach. Potem o czterech pozostałych zabójstwach. O Obozie Zbawienia, o Czystych Ulicach, o zdumiewających skutkach leczenia tarvanem. Nie wymieniając jego nazwiska, opowiedział teś szczegółowo o wszystkim, czego dowiedział się od Pace'a: o tajnych próbach klinicz-268

nych w Meksyku, Belgradzie i w Singapurze, o tym, śe producenci chcieli wypróbować lek na ludności pochodzenia afrykańskiego, najchętniej w Stanach Zjednoczonych. O testach w Waszyngtonie.

- Kto był tym producentem? - spytał, wyraźnie wstrząśnięty Mariani.

Clay milczał tak długo, że myśleli już, iż nie jest w stanie mówić.

- Nie wiem na pewno, ale chyba Philo.

- Philo Products?

- Tak. - Clay sięgnął po grubo dokument i podsunął go Marianiemu. -

To jedna z ugód. Jak sam pan zobaczy, wymienia się w niej nazwy dwóch zagranicznych spółek. Jeśli zdołacie je spenetrować i wpadniecie na ślad, traficie do fasadowej firmy w Luksemburgu, a stamtąd do Philo.

- Dobrze, ale dlaczego ich pan podejrzewa?

- Mam informatora. Mogę powiedzieć tylko tyle.

Ów tajemniczy informator wybrał go spośród wszystkich prawników w Waszyngtonie i nakłonił do sprzedaży duszy za piętnaście milionów dolarów. Clay szybko porzucił pracę w UOP i otworzył własną kancelarię; Mariani już o tym wiedział. Potem przekonał rodziny ofiar, żeby za cenę milczenia przyjęły pięć milionów, podpisał z nimi umowę i w ciągu miesiąca było po sprawie. Przekazał dziennikarzowi wszystkie szczegóły.

Wszystkie dokumenty i ugody.

- Jeśli to opublikujemy, co się stanie z pańskimi klientami, z rodzinami ofiar?

- Długo nie mogłem przez to spać, ale myślę, że nic im nie grozi -

odrzekł Clay. - Po pierwsze, mają te pieniądze od roku, więc możemy bezpiecznie założyć, że dużo z tego wydali. Po drugie, producent leku musiał-

być szaleńcem, żeby podważyć zasadność pozwu.

- Rodziny ofiar mogłyby pozwać go bezpośrednio i indywidualnie -

wtrącił Zack. - A tak wysokie odszkodowania zrujnowałyby każdą wielką firmę. Nigdy dotąd nie spotkałem się z tak naciąganyymi faktami.

- Nie, producent tych ludzi nie tknie - powiedział Clay. - Ma szczę-

ście, że kosztowało go to tylko pięćdziesiąt milionów.

- Czy dowiedziawszy się prawdy, rodziny poszkodowanych mogą zrezygnować z ugody?

- To byłoby trudne.

- A co będzie z panem? Podpisał pan zobowiązanie do milczenia?

- Ja się już nie liczę. Niedługo splajtuje. Zamierzam zwrócić licencję adwokacką. Nie mogą mnie tknąć. - To smutne wyznanie zabolalo ich równie mocno, jak jego samego.

Mariani zapisał coś i zmienił temat.

- Co się stanie z Tequilą Watsonem, Washadem Porterem i pozostali mi skazanymi za morderstwo?

269

- Po pierwsze, mogą zaskarżyć producenta leku, chociaż w więzieniu niewiele im to pomoże. Po drugie, istnieje szansa, że ich sprawa zostanie ponownie rozpatrzona, przynajmniej w części dotyczącej wyroku.

Zack Battle odchrząknął. Wszyscy czekali, co powie.

- Mówię to nieoficjalnie. Gdy to opublikujecie i kiedy burza ucichnie, zamierzam doprowadzić do zrewidowania tych spraw. Zaskarżę producenta w imieniu siedmiu skazanych, pod warunkiem, że go zidentyfikujemy. Niewykluczone, że złożę również wniosek do sądu kryminalnego o rewizję wyroku.

- Niesamowite - szepnął Mariani. - Prawdziwa bomba. - Drugo studiował notatki. - Co doprowadziło do złożenia pozwu przeciwko producentowi dyloftu?

- To zupełnie inna historia - odrzekł Clay. - Zresztą już ją pan zna.

Nie chcę o tym mówić.

- Rozumiem. A więc to już... koniec?

- Dla mnie tak.

Paulette i Rodney odwieźli ich na lotnisko Reagana, gdzie niegdyś ukochany przez Claya gulfstream stał niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym Clay zobaczył go pierwszy raz. Ponieważ wyjeżdżali co najmniej na pół roku, mieli dużo walizek, zwłaszcza Rebeka. Clay, który w ciągu ostatniego miesiąca stracił niemal wszystko, podróżował prawie bez бага-

żu. Świetnie sobie radził z kulami, ale nie mógł niczego nosić. Za tragarza robił Zack.

Clay był dzielny, chociaż wszyscy wiedzieli, że to jego ostatnia wyprawa. Uściskał Paulette, objął Zacka, podziękował im i obiecał zadzwonić za kilka dni. Gdy drugi pilot zamknął drzwi, Clay zasłonił okna, żeby nie widzieć miasta, gdy będą startowali.

Dla Rebeki samolot był ohydny symbolem niszczycielskiej chciwo-

ści. Tęskniła za małym mieszkaniem w Londynie, gdzie nikt ich nie znał, gdzie nikogo nie

obchodziło, jak się ubierają, czym je sędzą, co kupują i je-dzą, gdzie pracują, gdzie robią zakupy i spędzają urlop. Nie zamierzała wracać do domu. Pokłóciła się z rodzicami ostatni raz.

Clay tęsknił za dwiema zdrowymi nogami i czystym Syciowym kontem. Przesył najbardziej niechlubny krach w historii amerykańskiego prawa. Miał Rebeke tylko dla siebie i nic innego się nie liczyło.

Gdzieś nad Nową Fundlandią rozłożyli sofę, weszli pod koc i zasnęli.

OD AUTORA

W tym miejscu autorzy często zamieszczają obszernie zastrzeżenia, żeby osłonić tyły i uniknąć odpowiedzialności za ewentualne pomówienie. Zawsze istnieje pokusa, żeby zamiast obracać się w namacalnych realiach, stworzyć fikcyjne miejsce czy fikcyjnego bohatera i przyznając, że wolałbym zrobić wszystko, byleby tylko uniknąć weryfikowania szczegółów. Fikcja jest cudowną tarczą. Łatwo się za nią schronić. Ale kiedy oscyluje na pograniczu prawdy, musi być wiarygodna. Jeśli nie jest, autor pisze w tym miejscu kilka słów od siebie.

Urząd Obrócy Publicznego w Waszyngtonie jest dumną, prężną instytucją, która od wielu lat śarliwie występuje w obronie najuboższych. Pracujący tam adwokaci są inteligentni, oddani sprawie i bardzo dyskretni. A nawet skryci. Ponieważ zasady działania prawdziwego UOP pozostają dla mnie tajemnicą, stworzyłem swój własny Urząd Obrócy Publicznego. Jego podobieństwo do waszyngtońskiego, jeśli w ogóle istnieje, jest zupełnie przypadkowe.

Mark Twain często przenosił miasta, hrabstwa, a nawet całe stany, żeby łatwiej mu się pisało. Ja też nie zważam na przeszkody. Jeśli nie mogę znaleźć odpowiedniego gmachu, natychmiast go buduję. Jeśli jakaś ulica nie pasuje do mojej mapy, bez wahania ją przenoszę albo wykreślam nową mapę. Mniej więcej połowa miejsc w tej książce jest opisana dość wiernie. Druga połowa albo nie istnieje, albo została przeniesiona i zmodyfikowana do tego stopnia, że nikt tych miejsc nie rozpozna. Ten, kto spróbuje, straci tylko czas.

Co nie znaczy, że się nie staram. Zbieranie materiałów polega u mnie na tym, że im bliżej terminu oddania maszynopisu, tym bardziej gorączkowo wydzwaniam po ludziach. O wsparcie i radę prosiłem następujące osoby: Fritza Chockleya, Bruce'a Browna, Gainesa Talbotta, Bobby'ego Moaka, Penny Pynkalę i Jerome'a Davisa. Bardzo im w tym miejscu dziękuję.

Renee przeczytała wersję roboczą książki i nie cisnęła we mnie maszynopisem -

to zawsze dobry znak. David Gernert rozebrał powieść na kawałki, a potem pomógł mi ją złożyć w całość. Will Denton i Pamela Creel Jenner przeczytali ją od deski do deski i udzielili mi cennych rad. Gdy wszystko poprawiłem i napisałem książkę po raz czwarty, Estelle Laurence znalazła w niej tysiąc błędów.

Wszyscy wymienieni bardzo mi pomogli. Za wszystkie błędy odpowiadam jak zwykle ja.